



TESS GERRITSEN SOBOWTÓR

W tym gatunku nie ma nikogo lepszego
Harlan Coben

TESS GERRITSEN SOBOWTÓR

Z angielskiego przełożył
JERZY ŻEBROWSKI



2011. Wydanie elektroniczne

Tytuł oryginału:
BODY DOUBLE

Copyright © Tess Gerritsen 2004
All rights reserved

Polish edition copyright © Wydawnictwo Albatros A. Kuryłowicz 2005

Polish translation copyright © Jerzy Żebrowski 2005

Redakcja: Jacek Ring

Konsultacja medyczna: dr nauk med. Marcin Szulc

Ilustracja na okładce: Taxi/Getty Images/Flash Press Media

Projekt graficzny okładki i serii: Andrzej Kuryłowicz

ISBN 978-83-7659-444-6

Wydawca

WYDAWNICTWO ALBATROS A. KURYŁOWICZ

Hłonda 2a/25, 02-972 Warszawa

www.wydawnictwoalbatros.com

2011. Wydanie elektroniczne

Plik opracował i przygotował Woblink

woblink

www.woblink.com

Więcej ebooków i audiobooków na chomiku JamaNiamy

Spis treści

[Strona tytułowa](#)

[Karta redakcyjna](#)

[Dedykacja](#)

[Podziękowania](#)

[Prolog](#)

[Rozdział pierwszy](#)

[Rozdział drugi](#)

[Rozdział trzeci](#)

[Rozdział czwarty](#)

[Rozdział piąty](#)

[Rozdział szósty](#)

[Rozdział siódmy](#)

[Rozdział ósmy](#)

[Rozdział dziewiąty](#)

[Rozdział dziesiąty](#)

[Rozdział jedenasty](#)

[Rozdział dwunasty](#)

[Rozdział trzynasty](#)

[Rozdział czternasty](#)

[Rozdział piętnasty](#)

[Rozdział szesnasty](#)

[Rozdział siedemnasty](#)

[Rozdział osiemnasty](#)

[Rozdział dziewiętnasty](#)

[Rozdział dwudziesty](#)

[Rozdział dwudziesty pierwszy](#)

[Rozdział dwudziesty drugi](#)

[Rozdział dwudziesty trzeci](#)

[Rozdział dwudziesty czwarty](#)

[Rozdział dwudziesty piąty](#)

[Rozdział dwudziesty szósty](#)

[Rozdział dwudziesty siódmy](#)

[Rozdział dwudziesty ósmy](#)

[Rozdział dwudziesty dziewiąty](#)

[Rozdział trzydziesty](#)

[Rozdział trzydziesty pierwszy](#)

[Rozdział trzydziesty drugi](#)

Rozdział trzydziesty trzeci

Dla Adama i Danielle

Podziękowania

Pisanie jest samotną pracą, ale żaden pisarz nie pracuje naprawdę sam. Miałam szczęście korzystać z pomocy i wsparcia Lindy Marrow i Giny Centrello z Ballantine Books, Meg Ruley, Jane Berkey, Dona Cleary'ego i znakomitego zespołu z agencji Jane Rotrosen, Seliny Walker z Transworld i — co najważniejsze — mojego męża, Jacoba. Najgorętsze podziękowania dla was wszystkich!

Prolog

Ten chłopak znów się jej przyglądał.

Czternastoletnia Alice Rose próbowała skupić się na dziesięciu leżących przed nią na ławce pytaniach egzaminacyjnych, ale zamiast o tematach z angielskiego myślała o Elijahu. Wyczuwała jego spojrzenie, jak promień wycelowany w jej twarz, czuła na policzku jego ciepło i wiedziała, że się czerwieni.

Skoncentruj się, Alice!

Kolejne pytanie testu było niewyraźnie odbite na powielaczu i musiała zmrużyć oczy, by je odczytać.

Charles Dickens dobiera często imiona odpowiadające cechom jego postaci. Podaj przykłady i napisz, dlaczego dane imię pasuje do określonej osoby.

Alice gryzła ołówek, próbując sklecić odpowiedź. Ale nie potrafiła myśleć, gdy on siedział w sąsiedniej ławce, tak blisko, że czuła woń sosnowego mydła i palonego drewna. Zapach mężczyzny. Dickens... Kogo obchodził Charles Dickens, Nicholas Nickleby i nudny egzamin z angielskiego, gdy patrzył na nią zachwycający Elijah Lank? Boże, był taki przystojny, z tymi czarnymi włosami i niebieskimi oczami. Oczami Tony'ego Curtisa. To właśnie pomyślała, gdy ujrzała go po raz pierwszy: że wygląda dokładnie jak Tony Curtis, którego piękna twarz jaśniała ze stronic jej ulubionych czasopism „Modern Screen” i „Photoplay”.

Pochyliła głowę i gdy włosy opadły jej na twarz, spojrzała ukradkiem w bok przez zasłonę jasnych kosmyków. Poczowała mocne bicie serca, stwierdziwszy, że rzeczywiście na nią patrzy, i to nie tak lekceważąco jak wszyscy inni chłopcy w szkole, ci złośliwcy, przez których czuła się tępa i nierozgarnięta. Ich drwiące szepty były zawsze zbyt ciche, by mogła rozróżnić słowa. Wiedziała, że jej dotyczą, bo szepcząc, patrzyli na nią. To byli ci sami chłopcy, którzy przykleili do jej szafki zdjęcie krowy i muczeli, gdy przypadkiem otarła się o nich na korytarzu. Ale Elijah patrzył na nią zupełnie inaczej. Uwodzicielsko. Oczami filmowego gwiazdora.

Uniosła powoli głowę i spojrzała na niego, tym razem nie z za zasłony włosów, lecz

śmiało napotykać jego wzrok. Skończył już pisać test i odwrócił kartkę, położywszy ołówek na blacie. Koncentrował na niej teraz całą uwagę. Jego spojrzenie pozbawiało ją tchu.

Lubi mnie. Wiem to.

Dotknęła ręką szyi, górnego guzika bluzki. Musnąwszy palcami skórę, poczuła falę ciepła. Przypomniała sobie płomienny wzrok Tony'ego Curtisa, gdy patrzył na Lanę Turner. Takie spojrzenie odbierało dziewczynie mowę i sprawiało, że miękły jej kolana. Potem następował nieuchronny pocałunek. I wtedy obraz na ekranie zawsze tracił ostrość. Dlaczego tak musiało być? Dlaczego zachodził mgłą właśnie w chwili, gdy najbardziej chciało się patrzeć...

— Czas minął! Proszę oddać kartki.

Alice spojrzała ponownie na odbity na powielaczu test. Nie odpowiedziała jeszcze na połowę pytań. No nie... Dlaczego zabrakło jej czasu? Znała odpowiedzi. Potrzebowała tylko jeszcze paru minut...

— Alice. Alice!

Podniosła wzrok i zobaczyła wyciągniętą rękę pani Meriweather.

— Nie słyszałaś? Musisz oddać kartkę.

— Ale ja...

— Żadnych wymówek. Zacznij wreszcie słuchać, Alice. — Pani Meriweather chwyciła jej test i poszła dalej między rzędami ławek. Alice wiedziała, że siedzące tuż za nią koleżanki plotkują na jej temat, choć prawie nie słyszała ich szeptów. Odwróciwszy się, zobaczyła, jak pochylają się ku sobie, zasłaniając dłońmi usta i tłumiąc chichot. *Alice potrafi czytać z ruchu warg, więc nie dajmy jej zauważyć, że o niej mówimy.*

Teraz śmiali się już także chłopcy, wskazując na nią. Co ich tak rozbawiło?

Alice spojrzała w dół i ku swemu przerażeniu zauważyła, że odpadł jej górny guzik bluzki, odsłaniając dekolt.

Szkolny dzwonek obwieścił koniec lekcji.

Alice chwyciła torbę z książkami i przyciskając ją do piersi, wybiegła z klasy. Nie odważyła się spojrzeć nikomu w oczy, tylko szła przed siebie ze spuszczoną głową, bliska płaczu. Wpadła do toalety i zamknęła się w kabinie. Gdy nadeszły inne dziewczęta i mizdrzyły się ze śmiechem przed lustrami, Alice siedziała ukryta za drzwiami. Czuła ich perfumy z każdym powiewem powietrza, gdy któraś wchodziła lub wychodziła.

Księżniczki w nowiutkich sweterkach. One nigdy nie gubiły guzików. Nie przychodziły do szkoły w znoszonych spódnicach i butach z kartonowymi podeszwami.

Idźcie już sobie. Błagam, idźcie już.

Drzwi przestały się w końcu otwierać.

Przywierając do ścianki kabiny, Alice nasłuchiwała, czy ktoś został jeszcze w toalecie. Gdy wyjrzała przez szczelinę, zobaczyła, że przed lustrem nikt już nie stoi. Dopiero wtedy wymknęła się na zewnątrz.

Korytarz również opustoszał. Wszyscy już poszli. Nie było nikogo, kto mógłby jej dokuczyć. Szła przygarbiona długim korytarzem, obok poobijanych szafek i plakatów obwieszczających, że za dwa tygodnie będzie zabawa z okazji Halloween. Nie wybierała się na nią. Czuła jeszcze palące upokorzenie po potańcówce z ubiegłego tygodnia i pewnie nigdy tego nie zapomni. Przez dwie godziny stała samotnie pod ścianą, mając nadzieję, że jakiś chłopak poprosi ją na parkiet. A gdy jeden w końcu podszedł, nie chodziło o taniec. Zgiął się nagle wóół i zwymiotował na jej buty. Tańce się dla niej skończyły. Mieszkała w tym mieście dopiero od dwóch miesięcy, a pragnęła już, by matka spakowała ich rzeczy i przeniosła się z nią w jakieś miejsce, gdzie mogłyby zacząć od nowa. Gdzie wszystko wyglądałoby wreszcie inaczej.

Tylko że nigdy tak nie było.

Wyszła ze szkoły na jesienne słońce. Pochyliwszy się nad rowerem, otwierała z takim skupieniem kłódkę, że nie usłyszała kroków. Dopiero gdy jej twarz przesłonił cień, zdała sobie sprawę, że stoi przy niej Elijah.

— Cześć, Alice.

Podniosła się tak gwałtownie, że rower przewrócił się na ziemię. O Boże, czuła się jak idiotka. Jak mogła być tak niezdarna?

— To był trudny egzamin, prawda? — Elijah wyrzekł te słowa powoli, dobitnie. To też jej się w nim podobało. W odróżnieniu od innych chłopaków zawsze mówił wyraźnie, nie bełkotał. I nie zasłaniał ust. Zna mój sekret, pomyślała. A jednak chce się ze mną przyjaźnić.

— Odpowiedziałas na wszystkie pytania?

Pochyliła się, by podnieść rower.

— Znałam odpowiedzi. Zabrakło mi tylko czasu. — Wyprostowała się i zobaczyła, że wpatruje się w jej bluzkę. W miejsce, gdzie odpadł guzik. Zaczerwieniła się

i skrzyżowała ręce na piersiach.

— Mam agrafkę — oznajmił.

— Co?

Sięgnął do kieszeni i wyjął agrafkę.

— Też zawsze gubię guziki. To trochę krępujące. Daj, pomogę ci.

Wstrzymała oddech, gdy dotknął jej bluzki. Z trudem opanowywała drzenie, kiedy wsunął palec pod materiał, żeby zapiąć agrafkę. Czy czuje, jak wali mi serce? — zastanawiała się. Czy wie, że kręci mi się w głowie, gdy czuję jego dotyk?

Kiedy się cofnął, odetchnęła głęboko. Spojrzała w dół i zauważyła, że jest skromnie zapięta pod szyją.

— Lepiej? — spytał.

— O tak! — Zamilkła, aby się opanować, po czym dodała z królewską godnością: — Dziękuję, Elijahu. Jesteś bardzo uczynny.

Milczeli przez chwilę. Słysząc było krakanie wron, a jesienne liście wyglądały jak jasne płomienie, ogarniające gałęzie nad ich głowami.

— Mogłabyś mi w czymś pomóc, Alice? — spytał.

— W czym?

Och, co za głupia odpowiedź! Powinnaś powiedzieć: tak! Tak, zrobię dla ciebie wszystko, Elijahu Lank.

— Mam zadanie z biologii. Potrzebuję kogoś do pomocy i nie wiem, kogo innego mógłbym poprosić.

— Co to za zadanie?

— Pokażę ci. Musimy podjechać do mnie.

Do jego domu! Nigdy nie była u żadnego chłopaka.

Skinęła głową.

— Zostawię tylko u siebie książki.

Wyciągnął rower ze stojaka. Był niemal równie zużyty jak jej, z pordzewiałymi błotnikami i obłazącym siodełkiem. Przez ten stary rower polubiła go jeszcze bardziej. Pasujemy do siebie, pomyślała. Tony Curtis i ja.

Pojechali najpierw do jej domu. Nie zaprosiła go do środka. Wstydziła się starych mebli i farby obłazącej ze ścian. Wpadła tylko do środka, rzuciła torbę z książkami na kuchenny stół i wybiegła.

Niestety, Buddy, pies jej brata, także wyskoczył. Gdy wychodziła frontowymi drzwiami, przeleciał obok niej jak czarno-biała torpeda.

— Buddy! — krzyknęła. — Wracaj!

— Nie bardzo cię słucha, co? — zauważył Elijah.

— Bo to głupi pies. Buddy!

Kundel obejrzał się, machając ogonem, i pobiegł dalej drogą.

— Nieważne — powiedziała Alice. — Wróci do domu, jak będzie chciał. — Wsiadła na rower. — Gdzie mieszkasz?

— Przy Skyline Road. Byłaś tam kiedyś?

— Nie.

— Trzeba podjechać spory kawałek pod górę. Dasz radę?

Skinęła głową. *Dla ciebie zrobię wszystko.*

Oddalili się od jej domu. Miała nadzieję, że skęci w główną ulicę i miną sklep z napojami, gdzie dzieciaki szły zawsze po lekcjach słuchać szafy grającej i sączyć wodę sodową. Zobaczą, jak jedziemy razem, pomyślała. To dopiero dziewczyny będą miały o czym gadać. Alice i niebieskooki Elijah!

Ale nie pojechał z nią główną ulicą. Skęcił w Locust Lane, gdzie nie było prawie żadnych domów, tylko kilka zakładów i parking dla pracowników fabryki konserw. Trudno. Ale chociaż jechała z nim. Na tyle blisko, że widziała jego napięte uda i pośladki wsparte na siodełku.

Odwrócił głowę i jego czarne włosy rozwiały się na wietrze.

— Radzisz sobie, Alice?

— Tak. — Prawdę mówiąc, brakowało jej już tchu, bo wyjechali z miasta i zaczęli wspinaczkę pod górę. Elijah musiał jeździć tam rowerem codziennie, był więc przyzwyczajony. Pedałował niemal bez wysiłku. Jego nogi pracowały jak potężne tłoki. Ale Alice dyszała, naciskając mocno pedały. Dostrzegła kątem oka psa. Spojrzawszy w bok, zobaczyła, że Buddy ich goni. Był też wyraźnie zmęczony. Biegł z wysuniętym językiem, starając się za nimi nadążyć.

— Wracaj do domu!

— Co mówiłaś? — Elijah spojrział na nią.

— To znów ten głupi pies — odparła zdyszana. — Cały czas za nami biegnie. W końcu.... się zgubi.

Skarciła Buddy'ego wzrokiem, ale on nadal biegł obok, głupio zadowolony. A leć sobie, pomyślała. Wykończ się. Co mnie to obchodzi.

Jechali dalej pod górę. Droga wiała się łagodnymi serpentynami. Wśród drzew migąło chwilami daleko w dole Fox Harbor. W popołudniowym słońcu tafla wody przypominała lśniąca miedź. Potem drzewa przesłoniły wszystko i Alice widziała już tylko las, przybrany w olśniewające czerwone i pomarańczowe barwy. Kręta droga była przysypana liśćmi.

Kiedy Elijah w końcu się zatrzymał, Alice tak drżała z wysiłku nogi, że z trudem mogła stać. Buddy'ego nie było nigdzie widać. Miała nadzieję, że trafi do domu, bo nie zamierzała go szukać. Na pewno nie teraz, gdy Elijah stał obok i uśmiechał się do niej z błyskiem w oczach. Oparłszy rower o drzewo, zarzucił torbę z książkami na ramię.

— To gdzie jest twój dom? — spytała.

— Tam. — Wskazał na drogę, gdzie stała na słupku zardzewiała skrzynka na listy.

— Nie idziemy do ciebie?

— Nie. Moja kuzynka leży chora. Wymiotowała przez całą noc, więc lepiej tam nie wchodźmy. Zresztą robię doświadczenia tutaj, w lesie. Zostaw rower. Musimy kawałek przejść.

Oparła rower o drzewo, tuż obok jego i poszła za Elijahem. Nogi drżały jej jeszcze od jazdy pod górę. Zagłębili się w las. Drzewa rosły gęsto, a ziemię pokrywał gruby dywan liści. Podążała za nim dzielnie, oganiając się od komarów.

— Więc mieszka z tobą kuzynka? — spytała.

— Tak. Przyjechała do nas w zeszłym roku. Teraz już chyba zostanie. Nie ma się gdzie podziąć.

— Twoi rodzice się na to zgadzają?

— Mam tylko ojca. Mama nie żyje.

— O... — Nie wiedziała, co odpowiedzieć. W końcu mruknęła po prostu „przykro mi”, ale chyba tego nie słyszał.

Zarośla gęstniały coraz bardziej i jeżyny drapały jej gołe nogi. Z trudem za nim nadążała. Popędził naprzód, zostawiając ją z sukienką zaczepioną o krzak jeżyn.

— Elijahu!

Nie odpowiedział. Szedł dalej, jak śmiały odkrywca, z przewieszoną przez ramię torbą.

— Zaczekaj!

— Chcesz to zobaczyć czy nie?

— Tak, ale...

— To chodź. — W jego głosie pojawił się ton zniecierpliwienia, który ją przestraszył. Stał w odległości paru metrów, patrząc na nią, i zauważyła, że zaciska pięści.

— W porządku — odparła potulnie. — Już idę.

Kilka metrów dalej wyłoniła się nagle polana. Alice ujrzała stare kamienne fundamenty, pozostałe po nieistniejącym od dawna gospodarstwie. Elijah spojrział na nią. Popołudniowe słońce znaczyło plamkami jego twarz.

— To tutaj — oznajmił.

— Co?

Pochylił się i odsunął dwie drewniane deski, odsłaniając głęboką dziurę.

— Zajrzyj do środka — powiedział. — Kopałem to trzy tygodnie.

Podeszła powoli do jamy i zajrzała w głąb. Popołudniowe słońce zniknęło za drzewami i dno dziury było w cieniu. Dostrzegła tam warstwę zeschniętych liści i zwisającą z boku linę.

— To pułapka na niedźwiedzia czy coś w tym rodzaju?

— Niewykluczone. Gdybym położył na wierzchu gałęzie, żeby zasłonić otwór, mógłbym schwytać nawet jelenia. — Wskazał w głąb dziury. — Widzisz, co tam jest?

Pochyliła się niżej. W cieniu na dnie coś niewyraźnie lśniło. Plamki bieli pod rozrzuconymi liśćmi.

— Co to jest?

— Mój eksperyment. — Sięgnął po linę i pociągnął za nią.

Liście na dnie jamy zaszeleściły i zawirowały. Alice patrzyła, jak lina się naprężyła, gdy Elijah wydobywał coś z cienia. Był to koszyk. Wyciągnął go z jamy i postawił na ziemi. Odgarnąwszy liście, pokazał jej, co lśniło bielą na dnie dziury.

Zobaczyła niewielką czaszkę.

Gdy strzepał liście, ujrzała kępki czarnego futra, patykowate żebra, guzkowate kręgi i cienkie jak gałązki kości łap.

— Niezłe, co? Już nawet nie cuchnie. Jest tu prawie od siedmiu miesięcy. Kiedy sprawdzałem ostatnim razem, były na nim jeszcze kawałki mięsa. Ciekawe, jak i ono łatwo znika. Zaczęło gnić naprawdę szybko w maju, gdy zrobiło się ciepło.

— Co to jest?

— Nie wiesz?

— Nie.

Podniósłszy czaszkę, przekręcił ją lekko i oderwał od kręgosłupa. Alice wzdrygnęła się, gdy podsunął ją w jej kierunku.

— Przestań! — pisnęła.

— Miau!

— Elijahu!

— Pytałaś, co to jest.

Wpatrywała się w puste oczodoły.

— To kot?

Elijah wyjął z torby z książkami worek na zakupy i zaczął wkładać do niego kości.

— Co zrobisz z tym szkieletem?

— To temat mojej pracy. Jak kot zamienia się w szkielet w siedem miesięcy.

— Skąd go wziąłeś?

— Znalazłem.

— Tak po prostu znalazłeś martwego kota?

Spojrzał na nią roześmianymi niebieskimi oczami. Ale nie były to już oczy Tony'ego Curtisa. Przeraziły ją.

— Kto powiedział, że był martwy?

Poczuła nagle, jak wali jej serce. Zrobiła krok do tyłu.

— Chyba muszę już wracać do domu.

— Dlaczego?

— Mam zadanie domowe.

Stanął nagle przy niej, podnosząc się bez wysiłku. Nie uśmiechał się już, tylko patrzył wyczekująco.

— No to... do zobaczenia w szkole — rzekła niepewnie. Cofnęła się, spoglądając w lewo i w prawo na las, który wyglądał z każdej strony tak samo. Skąd przyszli? Którędy powinna wracać?

— Przecież ledwie się tu zjawiłaś, Alice — powiedział. Trzymał coś w ręce. Dopiero gdy uniósł to nad głowę, zobaczyła, co tak ścisnął.

Kamień.

Cios powalił ją na kolana. Przyklękła na ziemi. Pociemniało jej w oczach i miała odrętwiałe kończyny. Nie czuła bólu, tylko tępe zdumienie, że ją uderzył. Zaczęła się czołgać, ale nie widziała, dokąd idzie. Chwycił ją za kostki i pociągnął do tyłu. Ocierała twarzą o ziemię, gdy włókł ją za nogi. Próbowwała go kopać, krzyczeć, ale usta miała zapchane błotem i gałązkami. Ciągnął ją w kierunku jamy. Poczawszy, że traci grunt pod nogami, uchwyciła się drzewka i zawisała na jej krawędzi.

— Puść, Alice — rozkazał.

— Wyciągnij mnie! Wyciągnij!

— Powiedziałem, puść! — Uniósł kamień i uderzył ją w rękę.

Krzyknęła i puściwszy drzewko, zsunęła się w głąb jamy, lądując na warstwie suchych liści.

— Alice. Alice.

Oszołomiona upadkiem spojrzała na widoczny w górze krąg nieba i zobaczyła zarys jego głowy, gdy pochylał się i patrzył na nią.

— Dlaczego to robisz? — spytała, szlochając. — Dlaczego?

— Nie mam nic do ciebie. Chcę tylko sprawdzić, ile czasu to potrwa. Z kotem siedem miesięcy. A z tobą, jak myślisz?

— Nie możesz mi tego zrobić!

— Żegnaj, Alice.

— Elijahu! Elijahu!

Drewniane deski zakryły otwór, zasłaniając krąg światła. Przestała widzieć niebo. To się nie dzieje naprawdę, pomyślała. To żart. Próbuje mnie tylko przestraszyć. Przetrzymaj mnie tu kilka minut, a potem wróci i mnie wypuści. Jasne, że wróci.

Nagle usłyszała u góry głuchy łoskot. *Kamienie. Układa na deskach kamienie.*

Wstała i próbowała wydostać się z jamy. Chwyciła uschniętą gałązkę winorośli, która natychmiast rozsypała jej się w rękach. Drapała palcami ziemię, ale nie znalazła żadnego oparcia dla rąk, nie mogła podciągnąć się choćby kilkanaście centymetrów, bo zaraz osuwała się z powrotem. Jej krzyki przeszywały ciemność.

— Elijahu! — piszczała desperacko.

Jedyną odpowiedzią były uderzenia kamieni o deski.

Rozdział pierwszy

*Pesez le matin que vous n'irez peut-être pas jusqu'au soir,
Et au soir que vous n'irez peut-être pas jusqu'au matin.*

Bądź świadom każdego ranka, że możesz nie przeżyć dnia,
I każdego wieczoru, że możesz nie przeżyć nocy.

(napis wyryty na katakumbach w Paryżu)

Stojące rzędem czaszki spoglądały złowrogo ze sterty ułożonych misternie kości udowych i piszczeli. Choć był czerwiec i doktor Maura Isles wiedziała, że na ulicach Paryża, dwadzieścia metrów nad nią, świeci słońce, przenikał ją dreszcz, gdy szła mrocznym korytarzem, którego ściany wyłożone były niemal pod sufit ludzkimi szczątkami. Obcowała — nawet bardzo blisko — ze śmiercią i mnóstwo razy stawiała z nią twarzą w twarz przy sekcji zwłok, ale oszałamiał ją ogrom tego miejsca, liczba kości zgromadzonych w labiryncie tuneli pod Miastem Światła. Kilometrowa trasa zwiedzania obejmowała jedynie niewielką część katakumb. Niedostępne dla turystów były liczne boczne tunele i wypełnione kośćmi komnaty, których mroczne wnętrza wyzierały kusząco zza zamkniętych bram. Znajdowały się tam szczątki sześciu milionów paryżan, których twarze rozgrzewały kiedyś promienie słońca, którzy zaznawali głodu, pragnienia, miłości, czuli w piersiach bicie swoich serc i ruch powietrza w płucach. Nie wyobrażali sobie nigdy, że pewnego dnia ich kości zostaną wydobyte z miejsc pochówku na cmentarzach i przeniesione do tego ponurego grobowca w podziemiach miasta.

Że pewnego dnia zostaną wystawieni na pokaz hordom ciekawskich turystów.

Półtora wieku temu, aby zrobić miejsce dla nowych zmarłych na przetłoczonych paryskich cmentarzach, wykopano kości i złożono je w ogromnym labiryncie dawnych kamieniołomów, głęboko pod miastem. Robotnicy, którzy przenosili kości, nie rzucali ich niedbale na stosy, lecz wykonali swe makabryczne zadanie z polotem, układając je starannie w wymyślne konfiguracje. Jak wybredni kamieniarze, zbudowali wysokie

ściany, ozdobione układanymi na przemian warstwami czaszek i kości długich, przekształcając szczątki w artystyczną wizję. Powiesili też tablice z ponurymi cytatami, które przypominały wszystkim idącym wzdłuż tych korytarzy, że śmierć nikogo nie oszczędza.

Jedna z tablic zwróciła uwagę Maury. Przystanęła w tłumie turystów, by ją przeczytać. Gdy tłumaczyła z trudem pojedyncze słowa, korzystając ze swej słabej szkolnej znajomości francuskiego, usłyszała rozbrzmiewający echem w mrocznych korytarzach absurdalny odgłos dziecięcego śmiechu i wypowiedziane pod nosem z teksaskim akcentem słowa mężczyzny, który mruknął do żony: „Co za niesamowite miejsce, Sherry. Człowieka przechodzą ciarki...”.

Para Teksaszczyków poszła dalej i ich głosy zamarły w ciszy. Przez chwilę Maura stała sama w niszy, wdychając kurz stuleci. W mrocznej poświacie tunelu widać było na czaszkach pleśń, okrywającą je zielonkawą powłoką. W jednej z nich dostrzegła otwór po kuli, wyglądający jak trzecie oko.

Wiem, jak zginęłaś.

Chłód tunelu przeniknął do jej własnych kości. Nie ruszyła się jednak, zdecydowana przetłumaczyć napis na tablicy, stłumić strach dzięki bezużytecznej intelektualnej zagadce. Co jest, Mauro? Trzy lata francuskiego w szkole i nie potrafisz sobie z tym poradzić? To było osobiste wyzwanie. Odsunęła od siebie chwilowo wszelkie myśli o śmierci. Nagle słowa motta nabrały znaczenia i poczuła, jak zastyga jej krew...

Szczęśliwy, kto zawsze oczekuje godziny śmierci I każdego dnia gotów jest umrzeć.

Spostrzegła nieoczekiwanie, że otacza ją cisza. Nie słyszała żadnych rozmów ani odgłosów kroków. Odwróciła się i wyszła z ponurej wnęki. Jak to się stało, że została tak daleko za innymi turystami? Była sama w tunelu, sama z umarłymi. Pomyślała, że w razie nieoczekiwanej awarii prądu mogłaby zabłądzić w nieprzenikniętych ciemnościach. Słyszała o paryskich robotnikach, którzy sto lat temu zgubili się w katakumbach i zmarli z głodu. Przyspieszyła kroku, starając się dogonić pozostałych, dołączyć do towarzystwa żyjących. Czuła w tych korytarzach zbyt bliski oddech śmierci. Czaszki zdawały się spoglądać na nią z pogardą, chór sześciu milionów zmarłych gromił

ją za upiorną dociekliwość.

Byliście kiedyś równie żywi jak ty. Sądzisz, że unikniesz w przyszłości tego, co tu widzisz?

Gdy wyłoniła się w końcu z katakumb i wyszła na słońce przy rue Remy Dumoncel, wciągnęła głęboko powietrze. Cieszył ją, jak nigdy, gwar uliczny i tłum ludzi, jakby dostała właśnie szansę rozpoczęcia na nowo życia. Kolory wydawały jej się jaśniejsze, twarze bardziej przyjazne. To mój ostatni dzień w Paryżu, pomyślała, a dopiero teraz doceniam naprawdę urok tego miasta. Spędziła większość minionego tygodnia zamknięta w salach obrad, uczestnicząc w Międzynarodowej Konferencji Patologii Sądowej. Niewiele było czasu na zwiedzanie, a na zorganizowanych dla nich wycieczkach oglądali miejsca powiązane ze śmiercią i chorobami: muzeum medycyny, dawną salę operacyjną.

I katakumby.

Jak na ironię, spośród wszystkich wspomnień, jakie miała przywieźć z Paryża, najbardziej żywe będą te dotyczące ludzkich szczątków. To nie jest normalne, pomyślała, siedząc w kafejce na powietrzu i delektując się ostatnią filiżanką kawy espresso i ciastem truskawkowym. Za dwa dni znajdę się z powrotem w prosektorium, otoczona przedmiotami z nierdzewnej stali, odcięta od promieni słońca. Będę wdychała tylko zimne, filtrowane powietrze z klimatyzatora. Ten dzień stanie się wspomnieniem z rajy.

Nie spieszyła się, starając się zapamiętać jak najwięcej. Aromat kawy, maślany smak ciasta. Gawędzących biznesmenów z przytkniętymi do uszu telefonami komórkowymi, związane fantazyjnie chusty, powiewające na szyjach kobiet. Wyobraźnia podsuwała jej myśl, która musiała zaświtać w głowie każdego Amerykanina odwiedzającego Paryż: a gdyby tak nie zdążyć na samolot? Na resztę życia zostać tutaj, w tej kafejce, w tym cudownym mieście?

W końcu wstała jednak od stolika i zatrzymała taksówkę, by pojechać na lotnisko. Pozostawiała marzenia, Paryż, ale tylko dlatego, że przyrzekła sobie pewnego dnia tam powrócić. Nie wiedziała jedynie kiedy.

* * *

Jej lot był opóźniony trzy godziny. Mogłabym pospacerować sobie w tym czasie nad Sekwaną, pomyślała rozczarowana, siedząc na lotnisku Charles'a de Gaulle'a. Przez trzy

godziny mogłam włączyć się po Marais albo myszkować w Les Halles. A tymczasem tkwiła uwięziona na lotnisku, tak zatłoczonym podróżnymi, że nie mogła znaleźć miejsca do siedzenia. Gdy wreszcie znalazła się na pokładzie samolotu Air France, była wykończona i całkowicie skołowana. Wystarczyła lampka wina i posiłek, aby zapadła w głęboki sen.

Przebudziła się dopiero wtedy, gdy maszyna podchodziła do lądowania w Bostonie. Bolała ją głowa, a zachodzące słońce raziło w oczy. Ból głowy nasilił się jeszcze, gdy czekała na bagaż, patrząc na kolejne zjeżdżające z taśmy walizki i nie znajdując swojej. Stała w kolejce, by zgłosić zaginięcie bagażu, i czuła nieznośne pulsowanie w skroniach. Kiedy w końcu wsiadła do taksówki, mając tylko podręczną torbę, zapadł już zmrok i marzyła jedynie o gorącej kąpieli i solidnej dawce advilu. Osunęła się na siedzenie taksówki i znów zapadła w sen.

Zbudziło ją gwałtowne hamowanie.

— Co się tu dzieje? — usłyszała głos kierowcy.

Dźwignąwszy się, spojrzała zaczerwienionymi oczami na pulsujące niebieskie światła. Dopiero po chwili dotarło do niej, na co patrzy. Nagle zdała sobie sprawę, że skręcili w ulicę, przy której mieszka, i wyprostowała się raptownie, natychmiast przytomniejąc, przerażona tym, co ujrzała. Stały tam zaparkowane cztery radiowozy policyjne z Brookline. Migające na ich dachach światła przeszywały ciemność.

— Chyba coś się tu stało — oznajmił kierowca. — To pani ulica, tak?

— A tam jest mój dom. W połowie drogi.

— Gdzie stoją wszystkie radiowozy? Nie sądzę, żeby nas przepuścili.

Jakby na potwierdzenie jego słów podszedł do nich policjant, dając znak, by zawracali.

Taksówkarz wystawił głowę przez okno.

— Muszę wysadzić pasażerkę. Mieszka na tej ulicy.

— Przykro mi, kolego. Cały kwartał jest otoczony kordonem.

Maura pochyliła się naprzód i powiedziała do kierowcy:

— Wsiądę tutaj.

Podła mu należność, chwyciła podręczną torbę i wysiadła z taksówki. Zaledwie kilka sekund wcześniej była odurzona i półprzytomna, ale teraz ciepła czerwcową noc zdawała się pulsować napięciem. Ruszyła chodnikiem, czując narastający niepokój,

w miarę jak zbliżała się do tłumu gapiów i obserwowała zaparkowane przed jej domem policyjne samochody. Czyżby coś się stało któremuś z jej sąsiadów? Przemknęły jej przez głowę różne straszne domysły. Samobójstwo. Morderstwo. Pomyślała o panu Telushkinie, samotnym inżynierze robotyku, który mieszkał obok. Czyż nie był wyraźnie przygnębiony, kiedy ostatnio go widziała? Pomyślała także o Lily i Susan, sąsiadkach z drugiej strony, dwóch prawniczkach lesbijkach, których działalność w obronie homoseksualistów narażała je na niebezpieczeństwo. Zauważyła jednak, że Lily i Susan stoją w tłumie, całe i zdrowe, zaczęła się więc martwić ponownie o pana Telushkina, którego nie widziała wśród gapiów.

Lily spojrzała w bok i zobaczyła Maurę. Nie pomachała jej, tylko gapiła się bez słowa, szturchając Susan. Susan odwróciła głowę i na widok Maury szeroko otworzyła usta. Teraz także inni sąsiedzi wpatrywali się w nią ze zdumieniem na twarzach.

Czemu tak na mnie patrzą? — zastanawiała się Maura. Co ja takiego zrobiłam?

— Doktor Isles? — spytał policjant z Brookline, przyglądając się jej. — To pani?

Co za głupie pytanie, pomyślała.

— Mieszkam w tamtym domu. Co się tu dzieje?

Policjant westchnął ciężko.

— Hm... proszę pójść ze mną.

Wziął ją pod ramię i poprowadził przez tłum. Sąsiedzi rozstępowali się z powagą, jakby robili przejście dla skazańca. Zaległa upiorna cisza. Słyszeć było tylko trzaski policyjnych nadajników. Doszli do żółtej taśmy, rozciągniętej między słupkami, z których kilka było wbitych w ziemię przed domem pana Telushkina. Jest tak dumny ze swojego trawnika, że nie będzie z tego powodu szczęśliwy, pomyślała natychmiast, zupełnie bez sensu. Policjant uniósł taśmę. Przeszła pod nią pochyłona, uświadamiając sobie, że znalazła się na miejscu zbrodni.

Wiedziała o tym, zauważywszy znajomą postać. Mimo dzielącej je odległości rozpoznała po drugiej stronie trawnika detektyw Jane Rizzoli z wydziału zabójstw. Drobna Rizzoli była już w ósmym miesiącu ciąży i wyglądała w spodniach jak dojrzała gruszka. Jej obecność stanowiła kolejny zaskakujący szczegół. Co policjantka z Bostonu robiła w Brookline, poza obszarem swojej jurysdykcji? Rizzoli nie widziała Maury. Wpatrywała się w samochód, zaparkowany przy krawężniku przed domem pana Telushkina. Kręciła głową, wyraźnie przejęta, potrząsając ciemnymi lokami, które miała

jak zwykle w nieładzie.

Pierwszy zauważył Maurę partner Rizzoli, detektyw Barry Frost. Spojrzał na nią, potem w bok i jakby zreflektowawszy się nagle, utkwiał w niej wzrok, blady jak ściana. Bez słowa ścisnął Rizzoli za ramię.

Rizzoli znieruchomiała. W blasku niebieskich świateł radiowozów widać było wyraz niedowierzania na jej twarzy. Podeszła do Maury jak w transie.

— Pani doktor? — spytała cicho. — To pani?

— A któżby inny? Dlaczego wszyscy mnie o to pytają? Dlaczego przyglądacie mi się tak, jakbym była zjawą?

— Ponieważ... — Rizzoli zamilkła. Pokręciła głową, potrząsając niesfornymi lokami. — Chryste. Myślałam przez chwilę, że naprawdę jest pani zjawą.

— Co?

Rizzoli odwróciła się i zawołała:

— Ojciec Brophy?

Maura nie zauważyła wcześniej stojącego samotnie z boku księdza. Teraz wyłonił się z cienia, ze lśniąco białą na szyi koloratką. Jego piękna zwykle twarz była spięta i wyrażała zaskoczenie. Co robi tu Daniel? Księży nie wzywano zwykle na miejsce zbrodni, chyba że rodzina ofiary prosiła o pociechę. Jej sąsiad, pan Telushkin, nie był katolikiem, tylko żydem. Nie wzywałby księdza.

— Mógłby ojciec zaprowadzić ją do domu? — poprosiła Rizzoli.

— Czy ktoś mi wreszcie powie, co tu się dzieje? — zapytała Maura.

— Proszę wejść do środka, pani doktor. Wyjaśnimy to później.

Maura poczuła, jak ojciec Brophy obejmuje ją mocno w pasie, dając jej wyraźnie do zrozumienia, że nie czas na stawianie oporu. Że powinna po prostu słuchać poleceń Rizzoli. Pozwoliła mu się zaprowadzić do drzwi frontowych i zauważyła, że przechodzi ją tajemniczy dreszcz z powodu ich bliskiego kontaktu, ciepła jego ciała. Była tak bardzo świadoma jego obecności, że drżały jej ręce, gdy wkładała klucz do zamka. Choć przyjaźnili się od wielu miesięcy, nigdy dotąd nie zapraszała Daniela Brophy'ego do swojego domu, a to, jak reagowała teraz na jego bliskość, przypomniało jej, dlaczego tak starannie trzymała się od niego na dystans. Weszli do środka, do salonu, gdzie paliły się już lampy, włączane przez automatyczne sterowniki. Przystanęła na chwilę przy kanapie, niepewna, co robić dalej.

Ojciec Brophy przejął inicjatywę.

— Usiądź — powiedział, wskazując jej kanapę. — Przyniosę ci coś do picia.

— Jesteś gościem w moim domu. To ja powinnam zaproponować ci drinka — odparła.

— Nie w tych okolicznościach.

— Nie wiem nawet, jakie to okoliczności.

— Detektyw Rizzoli ci powie. — Wyszedł z pokoju i wrócił ze szklanką wody. Nie na to miała w tym momencie ochotę, ale nie wypadało prosić księdza o butelkę wódki. Popijała wodę, czując się nieswojo pod jego spojrzeniem. Zasiadł w fotelu naprzeciwko, wpatrując się w nią tak, jakby miał obawy, że zaraz zniknie.

Usłyszała w końcu, jak Rizzoli i Frost wchodzą do mieszkania. Słyszała, że szepczą coś w holu do trzeciej osoby, której głosu nie rozpoznawała. Tajemnice, pomyślała. Dlaczego wszyscy coś przede mną ukrywają? Czego nie chcą mi powiedzieć?

Podniosła wzrok, gdy para detektywów weszła do salonu. Towarzyszył im mężczyzna, który przedstawił się jako detektyw Eckert z Brookline. Była pewna, że zapomni to nazwisko w ciągu pięciu minut. Skupiła całą uwagę na Rizzoli, z którą wcześniej współpracowała. Lubiała ją i szanowała.

Detektywi zajęli miejsca w fotelach. Rizzoli i Frost usiedli naprzeciwko Maury, po drugiej stronie stolika do kawy. Była jedna, a ich czworo. I wszyscy się w nią wpatrywali. Frost wyjął notatnik i pióro. Co zamierzał notować? Dlaczego miała wrażenie, że jest na przesłuchaniu?

— Jak się pani czuje, pani doktor? — spytała z troską w głosie Rizzoli.

Maura roześmiała się, słysząc to banalne pytanie.

— Czułabym się o wiele lepiej, gdybym wiedziała, co się dzieje.

— Mogę zapytać, gdzie była pani dziś wieczorem?

— Wróciłam właśnie do domu z lotniska.

— Co pani tam robiła?

— Przyleciałam z Paryża. Z lotniska Charles'a de Gaulle'a. To był długi lot i nie jestem w nastroju do odpowiadania na dwadzieścia pytań.

— Jak długo była pani w Paryżu?

— Tydzień. Poleciałam tam w zeszłą środę. — Maurze wydało się, że wyczuwa w szorstkich pytaniach Rizzoli oskarżycielską nutę, i jej rozdrażnienie zaczęło

przechodzić w gniew. — Jeśli mi pani nie wierzy, proszę spytać Louise, moją sekretarkę. Rezerwowała mi lot. Brałam udział...

— W Międzynarodowej Konferencji Patologii Sądowej. Zgadza się?

Maura była zaskoczona.

— Już pani wie?

— Louise nam powiedziała.

Wypytywali o mnie. Rozmawiali z moją sekretarką, zanim jeszcze wróciłam do domu.

— Powiedziała nam, że pani samolot miał wylądować o siedemnastej na lotnisku Logan — oznajmiła Rizzoli. — Jest już prawie dziesiąta. Gdzie pani była?

— Wylecieliśmy z opóźnieniem z Paryża. Jakieś dodatkowe kontrole ze względów bezpieczeństwa. Linie lotnicze mają na tym punkcie taką obsesję, że mieliśmy szczęście, startując tylko trzy godziny po czasie.

— Więc pani lot miał trzygodzinne opóźnienie?

— Właśnie to pani powiedziałam.

— O której wylądowaliście?

— Nie wiem. Około ósmej trzydzieści.

— Jazda do domu z Logan zabrała pani półtorej godziny?

— Zaginęła moja walizka. Musiałam złożyć reklamację w biurze Air France. — Maura przerwała, tracąc nagle cierpliwość. — O co tu chodzi, do cholery? Zanim odpowiem na dalsze pytania, mam prawo wiedzieć. Oskarżacie mnie o coś?

— Nie, pani doktor. O nic pani nie oskarżamy. Próbujemy tylko określić przedział czasowy.

— Jaki?

— Czy dostawała pani pogróżki, doktor Isles? — zapytał Frost.

Spojrzała na niego zaskoczona.

— Co?

— Czy naraziła się pani komuś?

— Nie.

— Na pewno?

Maura zaśmiała się bezsilnie.

— No cóż, czy można być tego pewnym?

— Musiała pani mieć kilka spraw w sądzie, gdy pani zeznania kogoś wkurzyły —

rzekła Rizzoli.

— Chyba że kogoś wkurza prawda.

— Narobiła pani sobie wrogów na procesach. Wśród przestępców, których pomogła pani skazać.

— Z pewnością pani także, Jane. Taka praca.

— Otrzymała pani jakieś konkretne pogróżki? Listy albo telefony?

— Mój numer jest zastrzeżony. A Louise nie daje nikomu adresu.

— Co z listami wysyłanymi do pani Urzędu Lekarza Sądowego?

— Zdarzały się dziwaczne przesyłki. Wszyscy je dostajemy.

— Dziwaczne?

— Ludzie piszący o kosmitach albo spiskach. Albo oskarżający nas, że próbujemy ukryć prawdę na temat wyników sekcji. Odkładamy te listy do osobnej teczki. Chyba że zawierają otwarte groźby, wtedy przekazujemy je policji.

Maura zobaczyła, że Frost bazgrze coś w notatniku, i zastanawiała się, co zapisał. Była już taka wściekła, że miała ochotę wyciągnąć rękę nad stolikiem i wyrwać mu ten notatnik.

— Pani doktor, czy ma pani siostrę? — spytała cicho Rizzoli.

To nieoczekiwane pytanie tak zaskoczyło Maurę, że spojrzała na Rizzoli, zapominając nagle o swoim rozdrażnieniu.

— Słucham?

— Czy ma pani siostrę?

— Czemu pani o to pyta?

— Po prostu muszę wiedzieć.

Maura odetchnęła ciężko.

— Nie, nie mam siostry. Wie pani, że byłam adoptowana. Kiedy powiecie mi, do cholery, o co tu chodzi?

Rizzoli i Frost popatrzyli na siebie.

Frost zamknął notatnik.

— Chyba czas, żeby to zobaczyła.

* * *

Rizzoli ruszyła w kierunku drzwi frontowych. Maura wyszła na zewnątrz, w ciepłą letnią noc, rozświetloną jak podczas karnawału błyskającymi lampami radiowozów. Jej organizm funkcjonował jeszcze według czasu paryskiego, gdzie była czwarta nad ranem, z powodu zmęczenia widziała więc wszystko jak przez mgłę i ta noc przypominała surrealistyczny koszmar. Gdy tylko wyłoniła się z domu, wszystkie twarze zwróciły się w jej stronę. Widziała, jak zgromadzeni po drugiej stronie ulicy sąsiedzi wpatrują się w nią zza policyjnej taśmy. Jako lekarz sądowy przywykła do tego, że jest w centrum uwagi, że policja i media śledzą każdy jej ruch, ale dziś patrzono na nią jakoś inaczej. Bardziej natarczywie, wręcz niepokojąco. Cieszyła się, że Rizzoli i Frost towarzyszą jej z obu stron, jakby osłaniając ją przed wścibskimi spojrzeniami, gdy szli chodnikiem w kierunku zaparkowanego przy krawężniku przed domem pana Telushkina ciemnego forda taurusa.

Maura nie rozpoznała samochodu, poznała jednak brodatego mężczyznę, który stał obok, mając na krzepkich dłoniach rękawiczki z lateksu. Był to doktor Abe Bristol, jej kolega z Urzędu Lekarza Sądowego. Miał zawsze wilczy apetyt i jego tusza odzwierciedlała zamiłowanie do obfitego jedzenia, a brzuch wylewał mu się zza paska.

— Chryste, to niesamowite — powiedział, spojrzawszy na Maurę. — Dałbym się oszukać. — Skinął głową w kierunku samochodu. — Mam nadzieję, że jesteś na to gotowa, Mauro.

Gotowa na co?

Spojrzała na zaparkowanego taurusa. Zobaczyła w blasku błyskających świateł sylwetkę postaci leżącej na kierownicy. Na szybie widniały ciemne plamy. Krew.

Rizzoli poświeciła latarką na drzwiczki od strony pasażera. Początkowo Maura nie rozumiała, na co ma patrzeć. Koncentrowała nadal uwagę na obryzganym krwią szybie i ciemnej sylwetce na fotelu kierowcy. Potem zobaczyła, co Rizzoli oświetla latarką. Tuż pod klamką widać było trzy równoległe rysy, wyryte głęboko w lakierze samochodu.

— To wygląda jak ślady pazurów — odezwała się Rizzoli, wyginając palce jakby dla zilustrowania swoich słów.

Maura przyglądała się rysom. To nie pazury, pomyślała, czując dreszcz na plecach, tylko szpony drapieznika.

— Proszę podejść do fotela kierowcy — powiedziała Rizzoli.

Maura nie zadawała więcej pytań, obchodząc taurusa w ślad za nią.

— Rejestracja z Massachusetts — oznajmiła Rizzoli, oświetlając latarką tylny zderzak, ale rzuciła to tylko mimochodem. Podszedłszy do drzwi kierowcy, przystanęła i popatrzyła na Maurę.

— Oto co tak nami wstrząsnęło. — Rizzoli skierowała snop światła do wnętrza samochodu.

Latarka oświetliła twarz kobiety, wpatrzonej w szybę. Opierała się prawym policzkiem o kierownicę i miała otwarte oczy.

Maura zaniemówiła. Utkwiła wzrok w jej skórze koloru kości słoniowej, czarnych włosach i pełnych wargach, lekko rozchylonych, jakby ze zdziwienia. Ugięły się pod nią nogi i miała wrażenie, że odrywa się od ziemi i unosi w powietrzu. Poczwała na ramieniu czyjaś dłoń. Był to ojciec Brophy, który stał tuż za nią. Wcześniej nawet go nie zauważyła.

Teraz zrozumiała, dlaczego wszystkich tak oszołomiło jej przybycie. Patrzyła na zwłoki w samochodzie, na twarz oświetloną latarką Rizzoli.

To ja. Ta kobieta to ja.

Rozdział drugi

Siedziała na kanapie, sącąc wódkę z wodą sodową i kostkami lodu. Do diabła ze zwykłą wodą. Ten szok wymagał mocniejszego lekarstwa i ojciec Brophy rozumiał to wystarczająco, by przyrzadzić mocnego drinka i wręczyć go jej bez słowa komentarza. Człowiek nie co dzień widzi swojego trupa. Niecodziennie na miejscu zbrodni spotyka się swego martwego sobowtóra.

— To tylko przypadek — szepnęła Maura. — Ta kobieta jest po prostu do mnie podobna. Wiele kobiet ma czarne włosy. A jej twarz... Przecież w tym samochodzie nie było jej dobrze widać.

— Nie wiem, pani doktor — odparła Rizzoli. — Podobieństwo jest zatrważające. — Zagłębiła się w fotelu, jęknąwszy, gdy poduszki otoczyły jej wydatny brzuch.

Biedna Rizzoli, pomyślała Maura. Kobieta w ósmym miesiącu ciąży nie powinna się borykać ze śledztwem w sprawie zabójstwa.

— Ona ma inną fryzurę — rzekła Maura.

— Tylko trochę dłuższe włosy.

— Ja mam grzywkę, a ona nie.

— Nie sądzi pani, że to jedynie drobny szczegół? A jej twarz? Mogłaby być pani siostrą.

— Zaczekajmy, aż zobaczymy ją przy lepszym świetle. Może wcale nie jest do mnie podobna.

— Jest podobna, Mauro — wtrącił ojciec Brophy. — Wszyscy to widzieliśmy. Wygląda dokładnie jak ty.

— Poza tym siedzi w samochodzie w pani miejscu zamieszkania — dodała Rizzoli. — Zaparkowanym praktycznie przed pani domem. A to miała na tylnym siedzeniu. — Rizzoli pokazała jej przezroczysty plastikowy woreczek, w którym Maura zobaczyła artykuł wydarty z „Boston Globe”. Nagłówek był wystarczająco duży, by mogła go przeczytać z drugiej strony stolika.

DZIECKO PANI RAWLINS BYŁO MALTRETOWANE. OBCIĄŻAJĄCE

ZEZNANIA LEKARZA SĄDOWEGO.

— Jest tu pani zdjęcie, pani doktor — oznajmiła Rizzoli. — Z podpisem: „Lekarz sądowy, doktor Maura Isles, opuszcza salę rozpraw po złożeniu zeznań w sprawie pani Rawlins”. — Spojrzała na Maurę. — Ofiara miała to w swoim samochodzie.

Maura pokręciła głową.

— Dlaczego?

— Nad tym się właśnie zastanawiamy.

— Od tego procesu minęły prawie dwa tygodnie.

— Pamięta pani tę kobietę z sali sądowej?

— Nie. Nigdy przedtem jej nie widziałam.

— Ale ona najwyraźniej widziała panią. Przynajmniej w gazecie. A potem pojawia się tutaj. Szuka pani? Śledzi panią?

Maura wpatrywała się w szklankę. Od wódki zaczynało jej się kręcić w głowie. Niecałe dwadzieścia cztery godziny temu chodziłam ulicami Paryża, pomyślała. Delektowałam się słońcem i zapachami, dolatującymi z ulicznych kafejek. Jak to się stało, że wdepnęłam w ten koszmar?

— Czy ma pani broń, pani doktor? — spytała Rizzoli.

Maura zeszywniała.

— A cóż to za pytanie?

— Nie, o nic panią nie oskarżam. Zastanawiałam się tylko, czy potrafi się pani obronić.

— Nie mam broni. Widziałam, jakie czyni spustoszenie w ludzkim ciele, i nie trzymam jej w domu.

— W porządku. Tylko spytałam.

Maura wypła kolejny łyk wódki, by dodać sobie odwagi, a następnie zadała kolejne pytanie:

— Co wiecie o ofierze?

Frost wyjął notatnik, wertując go jak gorliwy urzędnik. Pod wieloma względami przypominał Maurze pocziwego biurokrata z gotowym zawsze do użytku piórem.

— Z prawa jazdy, które znaleźliśmy w jej torebce, wynika, że nazywała się Anna Jessop. Czterdzieści lat, zamieszkała w Brighton. Samochód zarejestrowany na to samo nazwisko.

Maura uniosła głowę.

— To zaledwie kilka kilometrów stąd.

— Mieszkała w bloku. Sąsiedzi niewiele o niej wiedzą. Nadal próbujemy zlokalizować właścicielkę domu, żeby wpuściła nas do jej mieszkania.

— Czy nazwisko Jessop brzmi pani znajomo? — dopytywała się Rizzoli.

Maura pokręciła głową.

— Nie znam nikogo takiego.

— Zna pani kogoś w Maine?

— Czemu pani pyta?

— Miała w torebce mandat za przekroczenie dozwolonej prędkości. Wygląda na to, że zatrzymano ją dwa dni temu, gdy jechała na południe autostradą do Maine.

— Nie znam tam nikogo. — Maura wzięła głęboki oddech i spytała: — Kto ją znalazł?

— Pani sąsiad, pan Telushkin, zawiadomił policję — odparła Rizzoli. — Wyprowadzał psa, gdy zauważył zaparkowanego przy krawężniku taurusa.

— Kiedy to było?

— Około dwudziestej.

Oczywiście, pomyślała Maura. Pan Telushkin co wieczór wychodził z psem dokładnie o tej porze. Inżynierowie już tacy są, skrupulatni i przewidywalni. Ale tej nocy spotkało go coś zaskakującego.

— Niczego nie słyszał? — spytała Maura.

— Tylko coś, co przypominało strzał z gaźnika samochodu, jakieś dziesięć minut wcześniej. Ale nie było żadnych świadków. Gdy znalazł taurusa, zadzwonił pod dziewięćset jedenaście. Powiedział, że ktoś zastrzelił właśnie jego sąsiadkę, doktor Isles. Policjanci z Brookline przybyli pierwsi, z obecnym tu detektywem Eckertem. Frost i ja przyjechaliśmy około dziewiątej.

— Dlaczego? — Maura zadała w końcu pytanie, które przyszło jej do głowy już wtedy, gdy zobaczyła Rizzoli na trawniku przed swoim domem. — Dlaczego jesteście w Brookline? To nie wasz rewir.

Rizzoli spojrzała na detektywa Eckerta.

— W zeszłym roku mieliśmy w Brookline tylko jedno zabójstwo — odparł nieco zmieszany. — Uznaliśmy, że w tych okolicznościach należy zadzwonić do Bostonu.

Tak, rzeczywiście, pomyślała Maura. Brookline było zaledwie dzielnicą mieszkalną na peryferiach Bostonu. W zeszłym roku policja bostońska prowadziła śledztwo w sprawie sześćdziesięciu zabójstw. Ćwiczenie czyni mistrza, w wykrywaniu zbrodni tak samo jak w każdej innej dziedzinie.

— Tak czy inaczej, włączylibyśmy się do tej sprawy — oznajmiła Rizzoli. — Jak tylko się okazało, kim jest ofiara. A raczej na kogo wygląda. — Przerwała na chwilę. — Byłam absolutnie przekonana, że to pani. Spojrzałam tylko na ofiarę i nie miałam wątpliwości...

— Jak my wszyscy — wtrącił Frost.

Zaległo milczenie.

— Wiedzieliśmy, że ma pani przylecieć dziś wieczorem z Paryża — kontynuowała Rizzoli. — Powiedziała nam to pani sekretarka. Nie pasował nam tylko ten samochód. Dlaczego siedziała pani w samochodzie, zarejestrowanym na nazwisko innej kobiety.

Maura opróżniła szklankę i odstawiła ją na stolik do kawy. Musiała poprzestać na tym jednym drinku. Drętwiały jej już nogi i miała mgłę przed oczami. Pokój spowijała delikatna poświata. To się nie dzieje naprawdę, pomyślała. Śpię w samolocie gdzieś nad Atlantykiem i stwierdzę po przebudzeniu, że już wylądowaliśmy i to był tylko sen.

— Nic jeszcze nie wiemy o Annie Jessop — oznajmiła Rizzoli. — Z wyjątkiem tego, co widzieliśmy wszyscy na własne oczy: że kimkolwiek jest, do złudzenia przypomina panią, pani doktor. Może ma nieco dłuższe włosy. Może jest parę różnic. Ale ulegliśmy sugestii. Wszyscy. A my panią znamy. — Zamilkła. — Wie pani, do czego zmierzam, prawda?

Owszem, Maura wiedziała, ale nie chciała tego mówić. Wpatrywała się tylko w stojącą na stoliku szklankę. W topniejące kostki lodu.

— Skoro my się pomyliliśmy, mogło się to przydarzyć każdemu — ciągnęła Rizzoli. — Także temu, kto strzelił jej w głowę. Pani sąsiad usłyszał strzał tuż przed dwudziestą. Już zapadał zmrok. A ona siedziała w samochodzie zaparkowanym zaledwie kilka metrów od pani domu. Każdy, kto by ją tam zobaczył, zakładałby, że to pani.

— Uważacie, że chodziło o mnie — powiedziała Maura.

— To logiczne, prawda?

Maura pokręciła głową.

— Nic tu nie jest logiczne.

— Jest pani osobą publiczną. Zeznaje pani w procesach o zabójstwa. Piszą o pani w gazecie. Jest pani naszą Królową Zmarłych.

— Proszę mnie tak nie nazywać.

— Tak mówią o pani wszyscy policjanci. I prasa. Wie pani o tym, prawda?

— To nie znaczy, że lubię ten przydomek. Prawdę mówiąc, nie znoszę go.

— Ale to oznacza, że jest pani zauważana. Nie tylko ze względu na swoją pracę, ale także na wygląd. Wie pani, że mężczyźni zwracają na panią uwagę, prawda? Musiałaby pani być ślepa, by tego nie dostrzec. Atrakcyjna kobieta zawsze przyciąga ich wzrok. Prawda, Frost?

Frost drgnął, najwyraźniej zaskoczony jej pytaniem, i zaczerwienił się. Biedny Frost, tak łatwo się peszył.

— Taka jest ludzka natura — przyznał.

Maura popatrzyła na ojca Brophy'ego, który nie odwzajemnił jej spojrzenia. Zastanawiała się, czy on także ulega tym skłonnościom. Chciała tak myśleć. Chciała wierzyć, że Daniel ma takie same pragnienia jak ona.

— Atrakcyjna kobieta, która jest osobą publiczną — kontynuowała Rizzoli. — Może być śledzona, napadnięta przed własnym domem. To już się zdarzało. Jak nazywała się ta aktorka z Los Angeles? Ta, którą zamordowano.

— Rebecca Schaefer — odparł Frost.

— Właśnie. No i sprawa Lori Hwang. Pamięta ją pani.

Owszem, Maura pamiętała, gdyż robiła sekcję prezenterki Kanału Szóstego. Lori Hwang pracowała w telewizji zaledwie od roku, gdy została zastrzelona przed wejściem do studia. Nie miała pojęcia, że ktoś ją śledzi. Sprawca znał ją z ekranu, był jej wielbicielem i napisał do niej kilka listów. A potem pewnego dnia czekał na nią pod drzwiami studia. Gdy Lori wyszła i zmierzała do samochodu, strzelił jej w głowę.

— To ryzyko bycia osobą publiczną — oświadczyła Rizzoli. — Nigdy nie wiesz, kto cię obserwuje na ekranie telewizora. Kto jedzie za tobą, gdy wracasz po pracy do domu. Nie myślimy nawet o tym, że ktoś może nas śledzić. Fantazjować na nasz temat. — Rizzoli zamilkła i po chwili dodała cicho: — Przeżywałam to. Wiem, co to znaczy być przedmiotem czyjejś obsesji. Nie jestem szczególnie atrakcyjna, a jednak mi się to przydarzyło. — Wyciągnęła ręce, pokazując blizny na przegubach. Pozostałe na zawsze pamiątki zmagania z człowiekiem, który dwukrotnie omal nie pozbawił jej życia.

Człowiekiem, który nadal żył, choć był całkowicie sparaliżowany.

— Dlatego pytałam, czy dostawała pani jakieś dziwne listy — wyjaśniła Rizzoli. — Myślałam o niej. O Lori Hwang.

— Jej zabójcę aresztowano — wtrącił ojciec Brophy.

— Tak.

— Więc nie sugeruje pani, że to ten sam człowiek.

— Nie, wskazuję tylko na podobieństwa. Pojedynczy strzał w głowę. Kobiety na publicznych stanowiskach. To daje do myślenia. — Rizzoli próbowała wstać. Podźwignięcie się z fotela kosztowało ją sporo wysiłku. Frost wyciągnął do niej rękę, ale go zignorowała. Mimo zaawansowanej ciąży nie oczekiwała pomocy. Zarzuciła na ramię torebkę i spojrzała badawczo na Maurę.

— Chce pani przenieść się gdzieś na tę noc?

— To mój dom. Po co miałabym się przenosić?

— Tylko pytam. Chyba nie muszę pani przypominać o zamykaniu drzwi.

— Zawsze to robię.

Rizzoli spojrzała na Eckerta.

— Czy policja z Brookline może obserwować dom?

Skinął głową.

— Dopilnuję, żeby przejeżdżał tędy regularnie wóz patrolowy.

— Będę wdzięczna — odparła Maura. — Dziękuję.

Maura odprowadziła troje detektywów do drzwi frontowych i patrzyła, jak wracają do swoich samochodów. Było już po północy. Na ulicy panował znów spokój, jak zawsze. Zniknęły policyjne radiowozy z Brookline. Taurusa odholowano już na posterunek. Usunięto nawet żółtą taśmę policyjną. Pomyślała, że gdy obudzi się rano, uzna to wszystko za wytwór swojej wyobraźni.

Odwróciwszy się, zobaczyła ojca Brophy'ego, który nadal stał w holu. Nigdy nie czuła się bardziej niezręcznie w jego towarzystwie niż w tym momencie, gdy byli oboje sami w jej domu. W ich głowach z pewnością krążyły różne myśli. *A może tylko w mojej? Czy leżąc samotnie w łóżku późną nocą, myślisz o mnie czasem, Danielu? Tak jak ja o tobie?*

— Czy na pewno czujesz się bezpieczna, zostając tu sama? — spytał.

— Nic mi się nie stanie. — *A jaki mam wybór? Spędzisz tę noc ze mną? Czy to mi*

proponujesz?

Brophy skierował się do drzwi.

— Kto cię tu wezwał, Danielu? — zdziwiła się. — Skąd wiedziałeś?

Odwrócił się do niej.

— Detektyw Rizzoli. Powiedziała mi... — Przerwał. — Ciągłe mam takie telefony z policji. Śmierć w rodzinie, ktoś potrzebuje księdza. Zawsze chętnie pomagam. Ale tym razem... — Zamilkł. — Zamknij dobrze drzwi, Mauro — poprosił. — Nie chcę już nigdy przeżywać takiej nocy jak ta.

Patrzyła, jak wychodzi z jej domu i wsiada do samochodu. Nie od razu włączył silnik. Czekał, aby się upewnić, że wróciła bezpiecznie do siebie.

Zamknęła drzwi i zaryglowała.

Obserwowała przez okno w salonie, jak Daniel odjeżdża. Przez chwilę spoglądała na pusty krawężnik, czując się nagle samotna. Zapragnęła w tym momencie wezwać go z powrotem. I co by się wtedy stało? Co mogłoby zająć między nimi? Pomyślała, że niektóre pokusy najlepiej odsunąć jak najdalej. Jeszcze raz powiodła wzrokiem po ciemnej ulicy, po czym odeszła od okna, świadoma, że widać ją doskonale na tle oświetlonego salonu. Zaciągnąwszy zasłony, przeszła przez wszystkie pokoje, sprawdzając zamki i okna. W taką ciepłą czerwcową noc spałaby normalnie przy otwartym oknie w sypialni, ale tego wieczoru zamknęła okna i włączyła klimatyzację.

Obudziła się wczesnym rankiem, drżąc z powodu zimnego powietrza. Śnił jej się Paryż. Przechadzała się pod błękitnym niebem, obok straganów z różami i liliami i ocknąwszy się, nie wiedziała przez chwilę, gdzie jest. Nagle zdała sobie sprawę, że bynajmniej już nie w Paryżu, lecz w swoim łóżku. I że stało się coś strasznego.

Była dopiero piąta rano, a czuła się całkiem rozbudzona. W Paryżu jest teraz jedenasta, pomyślała. Świeci słońce i gdybym stamtąd nie wyjechała, byłabym już po drugiej filiżance kawy. Wiedziała, że w ciągu dnia odczuje zmęczenie podróżą, że ten przypływ porannej energii opadnie do popołudnia, ale nie mogła się zmusić, by dłużej spać.

Wstała i ubrała się.

Ulica przed jej domem wyglądała tak samo jak zawsze. Niebo rozjaśniały pierwsze promienie brzasku. Zobaczyła światła zapalające się w domu jej sąsiada, pana Telushkina. Wcześniej wstawał i zwykle wyruszał do pracy co najmniej godzinę przed

nią, ale tego ranka zbudziła się pierwsza i patrzyła na swoją okolicę zupełnie inaczej. Zobaczyła, jak po drugiej stronie ulicy włączają się automatyczne zraszacze, znacząc wilgotne kręgi na trawniku. Zobaczyła przejeżdżającego na rowerze gazeciarza, we włożonej tył na przód czapce baseballowej i usłyszała, jak ląduje na jej ganku egzemplarz „Boston Globe”. Wszystko wydaje się jak dawniej, pomyślała, ale tak nie jest. Śmierć zawitała do mojej dzielnicy i wszyscy, którzy tu mieszkają, będą o tym pamiętali. Będą patrzyli przez okna na krawężnik, przy którym stał zaparkowany taurus, i drżeli na myśl, że to mogło spotkać każdego z nas.

Zza rogu wyłoniły się światła reflektorów i ulicą przejechał samochód, zwalniając na wysokości jej domu. Radiowóz policyjny z Brookline.

Nie, nic już nie jest jak dawniej, pomyślała, patrząc w ślad za nim.

Wszystko się zmienia.

* * *

Maura dotarła do pracy przed swoją sekretarką. O szóstej siedziała już przy biurku, walcząc z ogromną stertą zapisów nagrań z dyktafonu i raportów laboratoryjnych, które nagromadziły się w jej skrzynce, kiedy była przez tydzień na konferencji w Paryżu. Zdążyła przejrzeć jedną trzecią papierów, gdy usłyszała kroki i podniósłszy wzrok, zobaczyła stojącą w drzwiach Louise.

— Jest pani — bąknęła Louise.

Maura powitała ją uśmiechem.

— *Bonjour!* Pomyślałam, że powinnam zabrać się jak najszybciej do tej papierkowej roboty.

Louise wpatrywała się w nią przez chwilę, po czym weszła do pokoju i usiadła w fotelu naprzeciwko biurka Maury, jakby poczuła się nagle zbyt zmęczona, by stać. Mimo swej pięćdziesiątki Louise zdawała się mieć zawsze dwa razy więcej energii niż dziesięć lat od niej młodsza Maura. Ale tego ranka wyglądała na wycieńczoną, a jej wychudła twarz miała w świetle jarzeniówki ziemistą barwę.

— Dobrze się pani czuje, doktor Isles? — spytała cicho.

— Nie najgorzej. Jestem trochę zmęczona lotem.

— Chodzi mi o to... co zdarzyło się minionej nocy. Detektyw Frost był prawie

pewien, że to pani siedzi w tym samochodzie...

Maura skinęła głową, przestając się uśmiechać.

— To przypominało podróż do Strefy Mroku, Louise. Kiedy wróciłam i zobaczyłam przed swoim domem wszystkie te policyjne radiowozy.

— To był koszmar. Wszyscy sądziliśmy... — Louise przełknęła z trudem ślinę, opuszczając wzrok. — Poczułam taką ulgę, gdy doktor Bristol zadzwonił do mnie zeszłej nocy. Żeby powiedzieć, że zaszła pomyłka.

Zaległa pełna wyrzutu cisza. Maura uzmysłowiła sobie nagle, że to ona powinna była zadzwonić do swojej sekretarki. Powinna zdawać sobie sprawę, że Louise jest wstrząśnięta i chciałaby usłyszeć jej głos. Od tak dawna żyję sama i z nikim niezwiązana, pomyślała, że nie przychodzi mi nawet do głowy, iż są na tym świecie ludzie, którzy interesują się moim losem.

Louise wstała, żeby wyjść.

— Tak się cieszę, że znów panią widzę, doktor Isles. Tylko to chciałam powiedzieć.

— Louise?

— Słucham?

— Przywiozłam ci pewien drobiazg z Paryża. Zabrzmi to jak kiepska wymówka, ale był w walizce, która zaginęła w podróży.

— Och — roześmiała się Louise. — Jeśli to czekolada, moje biodra z pewnością się bez niej obejdą.

— Nic kalorycznego, obiecuję. — Spojrzała na zegar na biurku. — Czy doktor Bristol już jest?

— Właśnie przyjechał. Widziałam go na parkingu.

— Czy wiesz, kiedy robi sekcję?

— Którą? Ma dzisiaj dwie.

— Tej zastrzelonej wczoraj kobiety.

Louise przyjrzała jej się uważnie.

— Chyba jest druga w kolejności.

— Wiedzą o niej coś więcej?

— Nie mam pojęcia. Musi pani zapytać doktora Bristola.

Rozdział trzeci

Chociaż Maura nie miała tego dnia w harmonogramie sekcji, o czternastej zeszła na dół i przebrała się w odzież ochronną. Była sama w damskiej szatni, bez pośpiechu ściągała więc garderobę, składając starannie bluzkę i spodnie i umieszczając je w szafce. Strój ochronny szeleścił na jej nagiej skórze jak świeżo uprana pościel. Znajdowała ukojenie w znajomym rytuale sznurowania spodni i wsuwania włosów pod czepek. Czuła się bezpiecznie pod osłoną tego bawełnianego uniformu i w roli, którą w nim odgrywała. Spojrzawszy w lustro, zobaczyła odbicie zimnej, obcej kobiety, ukrywającej wszelkie emocje. Wyszła z szatni i ruszyła korytarzem do sali prosektorium.

Rizzoli i Frost stali już obok stołu, w fartuchach i rękawiczkach, zasłaniając jej plecami ofiarę. Pierwszy zauważył Maurę doktor Bristol. Stał twarzą do niej, wypełniając swą potężną postacią wielki chirurgiczny fartuch, i napotkał jej wzrok, gdy weszła do sali. Zmarszczył brwi nad maską i dostrzegła jego pytające spojrzenie.

— Pomyślałam, że wpadnę zobaczyć tę sekcję — oznajmiła.

Rizzoli odwróciła się do niej, również marszcząc brwi.

— Na pewno chce pani tu być?

— A pani nie dręczyłaby ciekawość?

— Nie wiem, czy chciałabym to oglądać, zważywszy na okoliczności.

— Chcę tylko popatrzeć. Jeśli nie masz nic przeciwko temu, Abe.

Bristol wzruszył ramionami.

— No cóż, do diabła, na twoim miejscu pewnie też byłbym ciekawy — odparł. — Przyłącz się do nas.

Przeszła na drugą stronę stołu, gdzie stał Abe, i gdy nic już nie zasłaniało jej zwłok, poczuła suchość w gardle. Widziała w tym prosektorium wiele koszmarów, patrzyła na ciała w różnych stadiach rozkładu, ciała tak zniekształcone przez ogień lub obrażenia, że trudno je było nazwać ludzkimi szczątkami. Leżące na stole zwłoki kobiety były — w porównaniu z tymi, które widywała — w wyjątkowo dobrym stanie. Obmyto je z krwi, a ranę postrzałową, z lewej strony głowy, zakrywały ciemne włosy. Twarz nie została

uszkodzona, a tors szpeciły jedynie plamki na skórze. W pachwinie i na szyi widniały świeże ślady ukłuć w miejscach, gdzie Yoshima, pracownik prosektorium, pobierał próbki krwi do badań laboratoryjnych, ale poza tym tors był nietknięty. Skalpel Abego miał wykonać dopiero pierwsze nacięcie. Gdyby klatka piersiowa została już otwarta i jama brzuszna odkryta, widok tych zwłok o wiele mniej by Maurę poruszył. Rozcięte ciała są anonimowe. Serca, płuca i śledziony to tylko narządy, którym na tyle brakuje indywidualności, że można je przeszczepiać jak części zamienne, z jednego ciała do drugiego. Ale ciało tej kobiety było nadal nienaruszone, a jej rysy zaskakująco znajome. Zeszłej nocy Maura widziała ją w ubraniu i w półmroku, jedynie przy świetle latarki Rizzoli. Teraz nagie zwłoki oświetlały rzeźbiście lampy prosektorium. Podobieństwo było uderzające.

Dobry Boże, to moja twarz, moje ciało.

Jedynie ona wiedziała, jak bardzo były do siebie podobne. Nikt inny w tej sali nie znał kształtu jej nagich piersi, krągłości ud. Widzieli tylko to, co pozwalała im zobaczyć: twarz, włosy. Nie mogli wiedzieć, że upodobniały ją do ofiary tak intymne szczegóły anatomii, jak rudawy odcień włosów łonowych.

Spojrzała na jej ręce. Miała szczupłe, smukłe palce, tak jak ona. Dłonie pianistki. Na palcach były już ślady tuszu. Wykonano również zdjęcia czaszki i zębów. Rentgen uzębienia wisiał na podświetlanym ekranie. Dwa białe rzędy zębów lśniły jak uśmiech kota z Cheshire. Czy moje zdjęcia też tak by wyglądały? — pomyślała. Czy jesteśmy takie same, łącznie ze szkliwem na zębach?

Spytała nienaturalnie spokojnym głosem:

— Dowiedzieliście się o niej czegoś więcej?

— Nadal sprawdzamy, czy to jest Anna Jessop — odparła Rizzoli. — Na razie mamy tylko jej prawo jazdy z Massachusetts, wydane cztery miesiące temu. Wynika z niego, że miała czterdzieści lat. Metr siedemdziesiąt wzrostu, czarne włosy, zielone oczy. Sześćdziesiąt kilo wagi. — Rizzoli spojrzała na zwłoki na stole. — Powiedziałabym, że pasuje do rysopisu.

Ja też, pomyślała Maura. Mam czterdzieści lat i metr siedemdziesiąt wzrostu. Tylko waga jest inna. Ważę ponad sześćdziesiąt jeden kilo. Ale która kobieta ma wpisaną w prawie jazdy prawdziwą wagę?

Przyglądała się w milczeniu, jak Abe kontynuuje oględziny. Od czasu do czasu

zaznaczał coś na druku z rysunkiem kobiecego ciała. Rana postrzałowa na lewej skroni. Plamki w dolnej części torsu i na udach. Blizna po operacji wyrostka. Potem odłożył podkładkę do pisania i przeszedł na koniec stołu, aby pobrać wymaz z pochwy. Gdy razem z Yoshimą rozchylali uda ofiary, aby odsłonić krocze, Maura zwróciła uwagę na jej brzuch. Przyglądała się bliźnie po operacji wyrostka, cienkiej białej linii na skórze koloru kości słoniowej.

Ja też mam taką.

Po pobraniu wymazu Abe podszedł do tacy z narzędziami i sięgnął po skalpel.

Pierwsze cięcie stanowiło dla Maury widok niemal nie do zniesienia. Uniosła odruchowo rękę do piersi, jakby poczuła ostrze skalpela we własnym ciele. To był błąd, pomyślała, gdy Abe wykonywał nacięcie w kształcie litery Y. Nie wiem, czy potrafię na to patrzeć. Nie ruszyła się jednak z miejsca, przyglądając się z pełnym fascynacji przerażeniem, jak Abe odciąga zręcznie skórę z klatki piersiowej ofiary, jakby oprawiał zwierzynę. Nie był świadomy jej odczuć, gdyż koncentrował uwagę wyłącznie na rozcinaniu torsu. Sprawny patolog potrafi wykonać nieskomplikowaną sekcję w niecałą godzinę, a w tej fazie autopsji Abe nie tracił czasu na zbędną elegancję. Maura zawsze uważała go za miłego faceta, o niezaspokojonym apetycie na jedzenie, alkohol i operę, ale w tym momencie, ze swym sterczącym brzuchem i byczym karkiem, przypominał krojącego mięso grubego rzeźnika.

Odciągnięta skóra klatki piersiowej przesłaniała teraz biust, widoczne były natomiast żebra i mięśnie. Yoshima pochylił się z sekatorem i zaczął przecinać żebra. Maura skrzywiła się z odrazą. Jak łatwo złamać ludzką kość, pomyślała. Sądzymy, że nasze serca chroni solidna klatka żeber, a jednak wystarczy parę ruchów sekatora, by poddały się one hartowanej stali. Jesteśmy zrobieni z tak kruchego materiału.

Yoshima rozciął ostatnią kość, a Abe przekroił ostatnią wiązkę chrząstek i mięśni. Usunęli razem górną warstwę klatki piersiowej, jakby zdejmowali wieko z pudełka.

Wewnątrz otwartej jamy lśniło serce i płuca. Młode narządy, pomyślała od razu Maura. Ale nie, zreflektowała się. Czterdzieści lat to nie tak mało, prawda? Trudno było jej pogodzić się z faktem, że w tym wieku ma już za sobą połowę życia. Że podobnie jak ta kobieta na stole nie może już uważać się za młodą.

Narządy, które widziała wewnątrz klatki piersiowej, wydawały się normalne, nie nosiły oznak choroby. Abe kilkoma zręcznymi ruchami skalpela wyciął płuca i serce

i umieścił w metalowej misie. W jaskrawym świetle wykonał kilka nacięć, by obejrzeć miąższ płuc.

— Nie paliła — oznajmił parze detektywów. — Nie ma obrzęku. Piękna zdrowa tkanka.

Tyle że martwa.

Wrzucił płuca z powrotem do misy, gdzie tworzyły różową masę, i wziął do ręki serce. Mieściło się bez trudu w jego potężnej dłoni. Maura poczuła nagle gwałtowne bicie własnego serca. Także by się zmieściło w dłoni Abego. Ogarnęły ją mdłości na myśl, że miałyby je trzymać w ręce i oglądać jej naczynia wieńcowe, tak jak robił to teraz. Choć z formalnego punktu widzenia serce jest tylko pompą, stanowi centrum ludzkiego ciała i widząc je tak obnażone, czuła pustkę w piersiach. Zaczerpnęła powietrza, lecz zapach krwi przyprawił ją o jeszcze silniejsze mdłości. Odwróciwszy głowę, napotkała spojrzenie Rizzoli. Wiedziała, że pozwoliła jej zobaczyć zbyt wiele. Znały się już prawie dwa lata i pracowały razem nad tyloma sprawami, że jako profesjonalistki darzyły się wzajemnie ogromnym szacunkiem. Ale jednocześnie zachowywały dystans. Maura wiedziała, iż Rizzoli ma niezawodny instynkt, i gdy patrzyły na siebie przez stół, zdawała sobie sprawę, że policjantka musiała zauważyć, jak bliska była wybiegnięcia z sali. Widząc pytające spojrzenie Rizzoli, Maura po prostu zacisnęła usta. Królowa Zmarłych znów stała się niezwykła.

Ponownie skupiła uwagę na zwłokach.

Abe, nieświadomy panującego w sali napięcia, rozkroił jamy serca.

— Zastawki wyglądają normalnie — oznajmił. — Naczynia wieńcowe są miękkie. Czyste. Jezu, mam nadzieję, że moje serce wygląda równie dobrze.

Maura wątpiła, by tak było, widząc jego ogromny brzuch i znając zamiłowanie Abego do wątróbek i tłustych sosów. Wyznawał zasadę: ciesz się życiem, póki możesz. Folguj swoim zachciankom, bo prędzej czy później wszyscy skończymy w prosektorium. Po co komu czyste naczynia wieńcowe, jeśli miało się życie pozbawione przyjemności?

Odłożył serce do misy, przeciął skalpelem otrzewną i zajął się zawartością jamy brzusznej. Odślonił żołądek, wątrobę, śledzionę i trzustkę. Odór śmierci, zamrożonych narządów, nie był Maurze obcy, lecz tym razem źle go znosiła. Jakby uczestniczyła w sekcji po raz pierwszy. Przyglądała się, jak Abe kroi narządy nożycami i skalpelem, i przerażała ją brutalność tych czynności, jakby nie była wytrawnym patologiem. Dobry

Boże, robię to przecież codziennie, ale ostrze mojego skalpela tnie ciała obcych ludzi.

Ta kobieta nie wydawała się jej obca.

Popadła w odrętwienie, przypatrując się pracy Abego jakby z dystansu. Zmęczona niespokojną nocą i podróżą samolotem, czuła, jak obojętnie wobec tego, co działo się na stole prosektorium, wycofując się w bezpieczne miejsce, z którego mogła obserwować wszystko bez emocji. To były tylko zwłoki. Nikt, kogo znała. Abe przeciął szybko zwoje jelita cienkiego i wrzucił je do miski. Za pomocą nożyczek i kuchennego noża opróżnił żołądek, pozostawiając jedynie pustą jamę. Zaniósł misę, ciężką teraz od wnętrzości, na kontuar z nierdzewnej stali, gdzie wyjął kolejno wszystkie narządy, by dokładniej je zbadać.

Rozciął na desce do krojenia żołądek i wylał jego zawartość do mniejszej miski. Odór niestrawionego jedzenia sprawił, że Rizzoli i Frost odwrócili głowy, krzywiąc się z odrazą.

— Wygląda to na resztki kolacji — ocenił Abe. — Chyba jadła sałatkę z owoców morza. Widzę tu sałatę i pomidory. Może krewetki...

— Ile czasu przed śmiercią zjadła ostatni posiłek? — spytała Rizzoli. Mówiła dziwnie przez nos, zakrywając ręką twarz, by nie czuć smrodu.

— Godzinę, może więcej. Domyślam się, że jadła w restauracji, bo sałatki z owoców morza nie przyrządza się raczej w domu. — Abe spojrzał na Rizzoli. — Znaleźliście w jej torebce jakiś kwit z restauracji?

— Nie. Mogła płacić gotówką. Czekamy nadal na wyciąg z jej karty kredytowej.

— Chryste — powiedział Frost, nadal odwracając wzrok. — Całkiem straciłem apetyt na krewetki.

— Ejże, nie powinien pan tak się tym przejmować — rzekł Abe, krojąc teraz trzustkę. — Jak dobrze się przyjrzeć, wszyscy składamy się z tego samego podstawowego budulca. Tłuszczu, węglowodanów i białek. Jedząc soczysty befsztyk, konsumuje pan mięśnie. Miałbym z niego zrezygnować tylko dlatego, że to tkanka, którą codziennie kroję? Wszystkie mięśnie mają ten sam skład biochemiczny, pachną tylko lepiej lub gorzej. — Sięgnął po nerki. Naciął je delikatnie i wrzucił niewielkie próbki tkanki do słoja z formaliną. — Na razie wszystko wygląda normalnie — powiedział, spoglądając na Maurę. — Zgadzasz się?

Skinęła odruchowo głową, ale się nie odezwała, gdyż nagle jej uwagę odwrócił nowy

zestaw klisz, które Yoshima zawieszał na podświetlanym ekranie. Były to zdjęcia czaszki. Na bocznym ujęciu widać było zarys miękkiej tkanki, jak mglisty profil twarzy.

Maura podeszła do ekranu, przyglądając się plamce w kształcie gwiazdy, zaskakująco wyrazistej na tle ciemniejszej kości. Pocisk utkwił w czaszce. Pozornie niewielka rana postrzałowa w skroni nie wskazywała, jak wielkie spustoszenia mógł poczynić w mózgu.

— Chryste — mruknęła. — To pocisk typu Black Talon.

Abe spojrzął znad miski z narzędziami.

— Od dawna nie miałem z nimi do czynienia. Musimy być ostrożni. Ich metalowe końcówki są ostre jak brzytwa. Mogą przeciąć rękawiczkę. — Spojrzął na Yoshimę, który pracował w Urzędzie Lekarza Sądowego dłużej niż którykolwiek z patologów i był ich bazą informacji. — Kiedy po raz ostatni mieliśmy ofiarę z black talon?

— Jakies dwa lata temu — odparł Yoshima.

— Tak niedawno?

— Pamiętam, że zajmował się tym doktor Tierney.

— Możesz poprosić Stellę, żeby to sprawdziła? Niech zobaczy, czy sprawa jest zamknięta. To nietypowy pocisk, więc możemy mieć do czynienia z tym samym sprawcą.

Yoshima ściągnął rękawiczki i podszedł do interkomu, by skontaktować się z sekretarką Abego.

— Cześć, Stello. Doktor Bristol prosi o informacje na temat ostatniego przypadku z użyciem pocisku typu Black Talon. Zajmował się tym doktor Tierney...

— Słyszałem o tych pociskach — oznajmił Frost, który podszedł do świetlnego ekranu, by przyjrzeć się kliszy. — Ale po raz pierwszy widzę ich ofiarę.

— Produkuje je Winchester — wyjaśnił Abe. — Pocisk jest wydrążony i zaprojektowany tak, by się rozwierał i przebijał tkankę miękką. Kiedy wchodzi w ciało, miedziana osłona przybiera kształt sześcioramiennej gwiazdy. A każdy jej szpic jest ostry jak pazur. — Stał przy głowie martwej kobiety. — Usunięto je z rynku w dziewięćdziesiątym trzecim roku, gdy jakiś świr zabił nimi w San Francisco podczas masowej strzelaniny dziewięć osób. Winchester tak nadszarpnął sobie reputację, że postanowili przerwać ich produkcję. Jest jednak jeszcze trochę tych pocisków w obiegu. Co pewien czas znajdujemy jakiś w ciele ofiary, ale coraz rzadziej.

Maura wpatrywała się nadal w kliszę, w śmiertcionośną białą gwiazdę. Brzmiały jej

w uszach słowa Abego: „Każdy szpic jest ostry jak pazur”. Przypomniała sobie zadrapania na samochodzie ofiary. *Jak ślady szponów drapieżnika.*

Podeszła z powrotem do stołu, gdy Abe kończył nacinać skórę na głowie ofiary. Przez krótką chwilę, nim ją ściągnął, Maura przyjrzała się jej twarzy. Miała sine wargi i otwarte oczy, a odsłonięte, wystawione na powietrze rogówki były wysuszone i zmętniałe. Lśnienie oczu u żywego człowieka bierze się jedynie z odbicia światła od wilgotnych rogówek. Kiedy powieki nie mrugają i rogówka nie jest nawilżana, oczy stają się suche i matowe. To nie odejście duszy pozbawia je życia, lecz po prostu zanik odruchu mrugania. Maura spojrzała na dwie matowe smugi na rogówce i wyobraziła sobie przez moment, jak te oczy musiały wyglądać, gdy były żywe. Poczowała się, jakby patrzyła w lustro. O zawrót głowy przyprawiła ją nagle myśl, że to w istocie ona leży na tym stole. Że ogląda sekcję własnego ciała. Czy duchy zmarłych nie wracają do miejsc, w których ci przebywali za życia? To moja zmora, pomyślała. Prosektorium. Jestem skazana na spędzenie tu wieczności.

Abe ściągnął skórę z twarzy ofiary jak gumową maskę.

Maura się wzdrygnęła. Odwróciwszy wzrok, zauważyła, że Rizzoli znów się jej przygląda. *Patrzy na mnie, czy na mojego ducha?*

Warkot elektrycznej piły przeniknął ją do szpiku kości. Abe rozciął sklepienie odsłoniętej czaszki w miejscu, gdzie trafił pocisk. Ostrożnie podważył i usunął fragment kości. Black talon wypadł z otwartej czaszki i uderzył z brzękiem o dno miski, którą trzymał Yoshima. Jego rozwarte metalowe szpice lśniły jak płatki śmiercionośnego kwiatu.

Mózg był upstrzony ciemnymi plamami krwi.

— Rozległe krwotoki w obu półkulach. Wykazał to rentgen — oznajmił Abe. — Pocisk trafił tutaj, w lewą kość skroniową. Ale nie przeszedł na wylot. Widać to na zdjęciu. — Wskazał na podświetlony ekran, gdzie pocisk jaśniał jak gwiazda przy wewnętrznej krawędzi lewej kości potylicznej.

— Ciekawe, że utknął po tej samej stronie głowy, z której wszedł — zauważył Frost.

— Pewnie odbijał się rykoszetem wewnątrz czaszki, wyładowując całą swoją energię na tkance miękkiej. Jak wirujące łopatki miksera.

— Doktorze Bristol? — odezwała się przez interkom Stella, jego sekretarka.

— Tak?

— Znalazłam ten przypadek, który pana interesował. Ofiarą był niejaki Wasilij Titow. Sekcję przeprowadzał doktor Tierney.

— Kto zajmował się tą sprawą?

— E... mam to tutaj. Detektywi Vann i Dunleavy.

— Pogadam z nimi — powiedziała Rizzoli. — Zobaczymy, co pamiętają.

— Dzięki, Stello! — zawołał Bristol. Spojrzał na Yoshimę, który przygotował już aparat fotograficzny. — Dobra, rób zdjęcia.

Yoshima zaczął fotografować odsłonięty mózg, by zarejestrować jego wygląd, zanim Abe usunie go z czaszki. Oto miejsce, gdzie spoczywają wspomnienia z całego życia, pomyślała Maura, przyglądając się lśniącej zwojom istoty szarej. Abecadło dzieciństwa. Cztery razy cztery jest szesnaście. Pierwszy pocałunek, pierwszy kochanek, pierwszy miłosny zawód. Wszystko to zawiera informacyjny kwas rybonukleinowy znajdujący się w skomplikowanym układzie neuronów. Pamięć to jedynie biochemia, a jednak określa ona każdego człowieka jako niepowtarzalną jednostkę.

Abe uwolnił mózg kilkoma cięciami skalpela i zaniósł go w obu dłoniach, jak bezcenny skarb, na kontuar. Nie zamierzał kroić go od razu. Najpierw musiał go zanurzyć w utrwalaczu. Nie potrzebował jednak analizy mikroskopowej, by dostrzec, że jest uszkodzony. Świadczyło o tym krwawe przebarwienie jego powierzchni.

— Mamy więc ranę postrzałową tutaj, w lewej skroni — powiedziała Rizzoli.

— Tak, otwory w skórze i w czaszce są idealnie na jednej linii — odparł Abe.

— To potwierdza, że strzelano dokładnie w bok głowy.

Abe przytaknął.

— Sprawca prawdopodobnie wycelował broń przez okno od strony kierowcy. Było otwarte, więc szyba nie zmieniła trajektorii pocisku.

— Czyli ofiara siedzi w samochodzie. Jest ciepła noc. Ma opuszczoną szybę. Dochodzi dwudziesta, zapada zmrok. On podchodzi do samochodu, wymierza broń i strzela. — Rizzoli pokręciła głową. — Dlaczego?

— Nie zabrał torebki — oznajmił Abe.

— Więc to nie rabunek — zauważył Frost.

— A zatem zabójstwo w afekcie albo na zlecenie. — Rizzoli spojrzała na Maurę. Znowu pojawiał się motyw upatrzonej ofiary.

Czy zginęła właściwa osoba?

Abe zanurzył mózg w wiadrze z formaliną.

— Jak dotąd żadnych niespodzianek — oznajmił, zaczynając kroić szyję.

— Przeprowadzi pan testy toksykologiczne? — spytała Rizzoli.

Abe wzruszył ramionami.

— Możemy je zlecić, ale nie jestem przekonany, czy to konieczne. Przyczyna śmierci jest oczywista. — Skinął głową w kierunku świetlnego ekranu, gdzie na tle czaszki odznaczał się wyraźnie pocisk. — Ma pani jakieś powody, żeby żądać testu toksykologicznego? Czy ekipa dochodzeniowa znalazła w samochodzie narkotyki albo podejrzane akcesoria?

— Nie. Samochód był czysty. Nie licząc, rzecz jasna, krwi.

— Należała tylko do ofiary?

— W każdym razie jest grupy B plus.

Abe spojrzał na Yoshimę.

— Sprawdziłeś już naszą dziewczynę?

Yoshima skinął głową.

— Zgadza się. Ma grupę B plus.

Nikt nie patrzył na Maurę. Nikt nie zauważył, jak otwiera szeroko usta, ani nie usłyszał, że wciąga głęboko powietrze. Odwróciła się raptownie, by nie widzieli jej twarzy, i rozwiązała maskę, a następnie zdjęła ją gwałtownym ruchem.

Gdy podeszła do pojemnika na śmieci, Abe zawołał:

— Już się nami znudziłaś, Mauro?

— Zaczynam odczuwać zmęczenie podróżą — odparła, zrzucając fartuch. — Chyba wrócę wcześniej do domu. Do zobaczenia jutro, Abe.

Wyszła szybko z prosektorium, nie oglądając się za siebie.

Jechała do domu jak zamroczona. Dopiero gdy dotarła na przedmieścia Brookline, jej mózg zaczął nagle funkcjonować. Pozbyła się obsesyjnych myśli, które krążyły w jej głowie. *Nie myśl o sekcji. Zapomnij o tym. Pomyśl o obiedzie, o czymkolwiek, byle nie o tym, co dziś widziałaś.*

Zatrzymała się przy sklepie spożywczym. Miała pustą lodówkę i jeśli nie chciała jeść tego wieczoru tuńczyka i mrożonego groszku, musiała zrobić zakupy. Z ulgą skoncentrowała się na tym zajęciu. Gorączkowo wrzucała do wózka kolejne produkty. O wiele bezpieczniej było myśleć o jedzeniu, o tym, co ugotuje na resztę tygodnia. *Przestań*

rozmyślać o plamach krwi i kobiecych narządach w metalowych misach. Potrzebuję grejpfrutów i jabłek. Te bakłażany też nieźle wyglądają. Wzięła do ręki wiązkę świeżej bazylii i zachłannie wciągnęła w nozdrza jej gryzącą woń, czując ulgę, że może choć na chwilę zatrzeć wspomnienie zapachów prosektorium. Po tygodniu mdłych francuskich potraw zatęskniła za ostrymi przyprawami. Dziś wieczorem, pomyślała, przyrządę tajlandzkie zielone curry, tak pikantne, żeby paliło mnie w usta.

W domu, przebrawszy się w szorty i podkoszulek, zabrała się do szykowania kolacji. Krojąc kurczaka, cebulę i czosnek, popijała schłodzone białe bordeaux. Kuchnię wypełniał aromat jaśminowego ryżu. Nie czas myśleć o krwi grupy B plus i czarnowłosych kobietach. Z garnka dymiła oliwa. Pora usmażyć kurczaka, dodać pastę z curry. Dolać puszkę mleczka kokosowego. Przykryła garnek, aby powstał na wolnym ogniu. Spojrzawszy w kuchenne okno, ujrzała nagle w szybie swoje odbicie.

Wyglądam tak jak ona. Dokładnie.

Przeszedł ją dreszcz, jakby ta twarz w szybie nie była odbiciem, lecz wpatrującą się w nią zjawą. Pokrywka na garnku brzęknęła pod ciśnieniem pary. Jakby duchy próbowały wydostać się na wolność, rozpaczliwie chcąc zwrócić jej uwagę.

Wyłączyła kuchenkę, podeszła do telefonu i wybrała numer pagera, który znała na pamięć.

Po chwili oddzwoniła do niej Jane Rizzoli. W tle Maura słyszała dzwonek telefonu, a więc Rizzoli nie wróciła jeszcze do domu, lecz siedziała zapewne za biurkiem przy Schroeder Plaza.

— Przepraszam, że przeszkadzam — powiedziała Maura. — Ale muszę o coś zapytać.

— Dobrze się pani czuje?

— Tak. Chciałabym dowiedzieć się o niej jeszcze jednej rzeczy.

— O Annie Jessop?

— Właśnie. Wspomniała pani, że miała prawo jazdy z Massachusetts.

— Zgadza się.

— Jaką wpisano jej tam datę urodzenia?

— Co?

— Dzisiaj w prosektorium mówiła pani, że miała czterdzieści lat. Którego dnia się urodziła?

— Czemu pani pyta?

— Po prostu chcę wiedzieć.

— W porządku. Proszę zaczekać.

Maura słyszała szelest przerzucanych kartek i po chwili Rizzoli znów się odezwała.

— Według tego prawa jazdy urodziła się dwudziestego piątego listopada.

Maura na chwilę zamilkła.

— Jest pani tam jeszcze? — spytała Rizzoli.

— Tak.

— O co chodzi, pani doktor? Co się dzieje?

Maura przełknęła ślinę.

— Muszę poprosić panią o przysługę, Jane. To zabrzmiało, jakbym postradała zmysły.

— Zamieniam się w słuch.

— Chcę, żeby w laboratorium kryminalistyki porównano moje i jej DNA.

Maura usłyszała, że drugi telefon przestał w końcu dzwonić.

— Proszę powtórzyć — powiedziała Rizzoli. — Bo chyba nie dosłyszałam.

— Chcę wiedzieć, czy moje DNA pasuje do kodu Anny Jessop.

— Zgadzam się, że istnieje duże podobieństwo...

— Jest coś więcej.

— Co ma pani na myśli?

— Obie mamy tę samą grupę krwi. B plus.

— Ilu jeszcze ludzi ma taką grupę? — zauważyła rozsądnie Rizzoli. — Jakieś dziesięć procent populacji?

— Poza tym data urodzenia. Powiedziała pani, że urodziła się dwudziestego piątego listopada. Ja też, Jane.

Rizzoli nagle zaniemówiła, po chwili odparła cicho:

— W porządku, przeszedł mi dreszcz po plecach.

— Rozumie pani teraz, dlaczego o to proszę? Ta kobieta, poczynając od jej wyglądu, poprzez grupę krwi i datę urodzenia... — Maura zamilkła na chwilę. — Jest mną... Chcę wiedzieć, skąd pochodzi. Chcę wiedzieć, kim jest.

Zaległo długie milczenie. W końcu Rizzoli powiedziała:

— Odpowiedź na to pytanie okazuje się o wiele trudniejsza, niż sądziliśmy.

— Dlaczego?

— Dostaliśmy po południu wyciąg z jej karty kredytowej. Miała kartę MasterCard zaledwie od pół roku.

— Więc?

— Jej prawo jazdy wydano cztery miesiące temu. Tablice rejestracyjne przed trzema miesiącami.

— A co z miejscem zamieszkania? Mieszkała w Brighton, prawda? Musieliście rozmawiać z sąsiadami.

— Wczoraj wieczorem skontaktowaliśmy się w końcu z właścicielką domu. Mówi, że wynajęła Annie Jessop mieszkanie trzy miesiące temu. Wpuściła nas do środka.

— I co?

— To mieszkanie jest puste, pani doktor. Żadnych mebli, patelni, nawet szczoteczki do zębów. Ktoś płacił za telewizję kablową i telefon, ale nikt tam nie mieszkał.

— A co mówią sąsiedzi?

— Nigdy jej nie widzieli. Nazywali ją „zjawą”.

— Musiała mieszkać wcześniej pod innym adresem. Mieć jakieś konto w banku...

— Sprawdzaliśmy. Nie możemy znaleźć żadnych informacji na jej temat.

— Co to oznacza?

— To oznacza — odparła Rizzoli — że pół roku temu Anna Jessop nie istniała.

Rozdział czwarty

Gdy Rizzoli weszła do lokalu J. P. Doyle'a, ujrzała stałych bywalców zgromadzonych wokół baru. Byli to w większości policjanci, dzielący się przy piwie i orzeszkach opowieściami z pola walki. Bar Doyle'a, usytuowany tuż przy posterunku bostońskiej policji w Jamaica Plain, był zapewne najbezpieczniejszą knajpą w mieście. Jeden fałszywy ruch, a kilkunastu gliniarzy rzucało się na awanturnika jak drużyna futbolistów. Znała ich wszystkich, a oni ją. Rozstąpili się, by przepuścić ciężarną kobietę. Dostrzegła kilka uśmiechów, gdy przeciskała się między nimi z brzuchem przypominającym dziób okrętu.

— Jezu, Rizzoli — zawołał któryś. — Utyłaś czy co?

— Tak. — Zaśmiała się. — Ale w przeciwieństwie do ciebie w sierpniu znów zeszczupleję.

Podeszła do detektywów Vanna i Dunleavy'ego, którzy machali do niej z baru. Wszyscy mówili o nich Sam i Frodo. Gruby i chudy hobbit byli partnerami od tak dawna, że funkcjonowali jak stare małżeństwo i spędzali zapewne więcej czasu ze sobą niż ze swoimi żonami. Rizzoli rzadko widywała ich osobno i sądziła, że jest tylko kwestią czasu, kiedy zaczną się tak samo ubierać.

Uśmiechnęli się szeroko i pozdrowili ją, unosząc identyczne kufle guinnessa.

— Cześć, Rizzoli — odezwał się Vann.

— ...spóźniłaś się — dodał Dunleavy.

— Kończymy już drugą kolejkę...

— Przyłączysz się?

Chryste, jeden dokańczył nawet zdanie drugiego.

— Za głośno tutaj — odparła. — Chodźmy do drugiej sali.

Przeszli do jadalni, w kierunku boksu pod irlandzką flagą, gdzie zwykle siadała. Dunleavy i Vann zajęli miejsca naprzeciw niej, przywierając do siebie. Pomyślała o swoim partnerze, Barrym Froście, który był miłym, a nawet atrakcyjnym facetem, ale z którym nie miała absolutnie nic wspólnego. Pod koniec dnia każde z nich szło swoją

drogą. Lubili się wystarczająco, ale nie sądziła, by mogła spędzać z nim więcej czasu. Z pewnością nie tyle, ile spędzali ze sobą ci dwaj mężczyźni.

— A więc trafiła ci się ofiara black talon — zaczął Dunleavy.

— Zeszłej nocy, w Brookline — przytaknęła. — Pierwszy taki przypadek od czasu waszego. Kiedy to było, ze dwa lata temu?

— Mniej więcej.

— Sprawa zamknięta?

Dunleavy się zaśmiał.

— Jak wieko trumny.

— Kto był sprawcą?

— Niejaki Anton Leonow. Ukraiński emigrant, drobny gracz o wielkich ambicjach. Zajęłaby się nim w końcu rosyjska mafia, gdybyśmy go pierwsi nie aresztowali.

— Cholerny dupek — prychnął pogardliwie Vann. — Nie miał pojęcia, że go śledzimy.

— Jaki mieliście powód? — spytała.

— Dostaliśmy cynk, że oczekuje dostawy z Tadżykistanu — odparł Dunleavy. — Heroiny. Dużej partii. Deptaliśmy mu po piętach prawie tydzień i nas nie zauważył. Dotarliśmy za nim do domu jego współnika, Wasilija Titowa. Titow musiał go czymś wkurzyć. Obserwowaliśmy, jak wchodzi do jego domu, a potem usłyszeliśmy strzały i zobaczyliśmy, że Leonow wybiega.

— Czekaliśmy na niego — oznajmił Vann. — Mówiłem, że to dupek.

Dunleavy wzniosł toast kuflem guinnessa.

— I sprawa zamknięta. Sprawca złapany z bronią w rękę. Byliśmy świadkami. Nie wiem, po co wnosił o uniewinnienie. Przysięgli wydali werdykt w niecałą godzinę.

— Zdradził wam, skąd miał te pociski? — chciała wiedzieć Rizzoli.

— Żartujesz? — odparł Vann. — Nic nam nie powiedział. Prawie nie mówił po angielsku, ale cholernie dobrze umiał upominać się o swoje prawa.

— Ściągnęliśmy ekipę, żeby przeszukała jego dom i firmę — dodał Dunleavy. — Znaleźli w magazynie chyba z osiem pudełek tych pocisków. Uwierzysz w to? Nie wiem, skąd je zdobył, ale miał spory zapas. — Dunleavy wzruszył ramionami. — To tyle o Leonowie. Nie widzę, jaki może mieć związek z twoją sprawą.

— W ciągu pięciu lat mieliśmy tu tylko dwa przypadki użycia takich pocisków —

wyjaśniła Rizzoli. — Wasz i mój.

— Cóż, pewnie na czarnym rynku znalazłoby się ich jeszcze parę. Do diabła, sprawdź w sieci. Wiem tylko, że Leonowa przyskrzyniliśmy na dobre. — Dunleavy odstawił kufel. —

Masz do czynienia z innym sprawcą.

Sama doszła już do tego wniosku. Sprzeczka podrzędnym rosyjskich gangsterów sprzed dwóch lat nie wydawała się mieć nic wspólnego z zabójstwem Anny Jessop. Black talon stanowił martwy trop.

— Pożyczycie mi akta Leonowa? — spytała. — Mimo wszystko chcę je przejrzeć.

— Jutro będziesz je miała na biurku.

— Dzięki, chłopcy. — Wysunęła się zza stołu i z wysiłkiem wstała.

— Kiedy termin? — zagadnął Vann, wskazując głową na jej brzuch.

— Jeszcze nie tak szybko.

— Chłopaki robią już zakłady na temat płci dziecka.

— Żartujesz.

— Jest chyba siedemdziesiąt dolców na dziewczynkę i czterdzieści na chłopca.

Vann zachichotał.

— I dwadzieścia dolców — dodał — na inne możliwości.

* * *

Wchodząc do mieszkania, Rizzoli poczuła, jak dziecko kopie. Spokojnie, mały, pomyślała. Wystarczy, że przez cały dzień traktowałeś mnie jak worek treningowy. W nocy też masz zamiar? Nie wiedziała, czy nosi w łonie chłopca, dziewczynkę, czy „inną możliwość”. Wiedziała tylko, że dzieciakowi spieszy się na świat.

Przestań ćwiczyć kung-fu, żeby się wydostać, dobrze?

Zrzuciła przy drzwiach buty, cisnęła torebkę i klucze na blat w kuchni, a garsonkę na krzesło w jadalni. Dwa dni temu jej mąż, Gabriel, wyjechał do Montany jako członek ekipy FBI, prowadzącej śledztwo w sprawie nielegalnego składu broni. Teraz w mieszkaniu zapanowywała znów przyjemna anarchia, jak w czasach przed ich ślubem. Zanim Gabriel się do niej przeniósł i zaczął zaprowadzać coś w rodzaju dyscypliny. Tylko były komandos ustawi ci garnki i patelnie według wielkości.

W sypialni dostrzegła nagle swoje odbicie w lustrze. Z trudem siebie rozpoznawała. Miała rumiane policzki i wygięte plecy, a spod elastycznych ciężowych spodni sterczał jej wydatny brzuch. Kiedy ja zniknęłam? — pomyślała. Czy nadal tu jestem, ukryta gdzieś w tym zniekształconym ciele? Przyglądała się obcemu odbiciu w lustrze, przypominając sobie, jak płaski miała kiedyś brzuch. Nie podobała jej się zaokrąglona twarz i zaróżowione jak u dziecka policzki. Gabriel nazywał to „rumieńcem macierzyństwa”, próbując przekonać żonę, że nie wygląda wcale jak wieloryb ze lśniącem nosem. Ta kobieta nie jest naprawdę mną, pomyślała. To nie policjantka, która wyważa kopniakiem drzwi i obezwładnia przestępców.

Położyła się na plecach na łóżku i rozpostarła ręce na materacu, jak ptak skrzydła w locie. Czuła na pościeli zapach Gabriela. Będzie mi ciebie brak tej nocy, pomyślała. Małżeństwo nie tak powinno wyglądać. Dwie kariery, dwoje ludzi ogarniętych obsesją pracy. Gabriel w drodze, a ona sama w tym mieszkaniu. Ale wiedziała od początku, że nie będzie łatwo. Że bardzo wiele będzie takich nocy jak ta, gdy jego lub jej praca ich rozdzieli. Znów miała ochotę do niego zadzwonić, lecz tego ranka rozmawiali już dwa razy i wydawała na telefon fortunę.

A niech tam.

Odwróciła się na bok, zwlokła z łóżka i miała właśnie sięgnąć po stojący na nocnej szafce telefon, gdy nagle zadzwonił. Zaskoczona spojrzała na odczyt numeru na wyświetlaczu. To nie był Gabriel.

Podniosła słuchawkę.

— Halo?

— Detektyw Rizzoli? — spytał męski głos.

— Tak, to ja.

— Przepraszam, że dzwonię o tej porze. Dopiero dziś wieczorem wróciłem do miasta i...

— Kto mówi?

— Detektyw Ballard, z komisariatu w Newton. O ile wiem, prowadzi pani śledztwo w sprawie kobiety zastrzelonej wczoraj w Brookline. Anny Jessop.

— Owszem.

— W zeszłym roku zetknąłem się tutaj z kimś o tym nazwisku. Nie wiem, czy to ta sama osoba, ale...

— Jest pan z policji w Newton?

— Tak.

— Potrafiłby pan zidentyfikować panią Jessop? Gdyby zobaczył pan zwłoki?
Zaległa cisza.

— To chyba konieczne. Muszę mieć pewność, że to ona — odparł.

— A jeśli rzeczywiście?

— Wtedy będę wiedział, kto ją zabił.

* * *

Zanim jeszcze detektyw Rick Ballard wyciągnął swoją legitymację, Rizzoli domyśliła się już, że to policjant. Gdy weszła do holu recepcyjnego Urzędu Lekarza Sądowego, natychmiast się podniósł, stając jakby na baczność. Miał kryształowo niebieskie oczy, przyszyrzyżone w tradycyjny sposób brązowe włosy i wyprasowaną nieskazitelnie koszulę. Upodabniało go do Gabriela opanowanie i zdecydowane spojrzenie, które zdawało się mówić: W razie czego możesz na mnie liczyć. Przez moment żałowała, że nie jest szczupła i atrakcyjna. Gdy podali sobie dłonie i pokazał jej legitymację, czuła, jak się w nią wpatruje.

Typowy policjant, pomyślała.

— Jest pan gotowy? — spytała. Gdy skinął głową, spojrzała na recepcjonistkę. — Czy doktor Bristol jest na dole?

— Kończy właśnie sekcję. Powiedział, że może pani zejść.

Zjechali windą do piwnicy i weszli do przedsionka prosektorium, gdzie w szafkach były zapasy osłon na buty, masek i papierowych czepków. Przez wielką szybę widzieli salę, w której doktor Bristol i Yoshima robili sekcję chudego, siwego mężczyzny. Bristol zauważył ich i przywitał gestem ręki.

— Jeszcze dziesięć minut! — krzyknął.

Rizzoli skinęła głową.

— Zaczekamy.

Bristol zrobił właśnie nacięcie głowy i ściągał teraz skórę z czaszki.

— Nie znoszę tego momentu — powiedziała Rizzoli — kiedy dobierają się do twarzy. Resztę jakoś wytrzymuję.

Ballard milczał. Spojrzała na niego i zobaczyła, że stoi wyprostowany, z kamiennym obliczem. Ponieważ nie pracował w wydziale zabójstw, zapewne rzadko bywał w prosektorium i to, co działo się teraz za szybą, musiało nim wstrząsnąć. Pamiętała swoją pierwszą wizytę w tym miejscu, gdy była jeszcze w szkole policyjnej. Przyszła z grupą kolegów, jako jedyna kobieta w gronie sześciu krzepkich chłopaków, którzy górowali nad nią wzrostem. Wszyscy spodziewali się, że to ona nie wytrzyma i ucieknie z prosektorium. Stała jednak na samym środku i oglądała całą sekcję bez jednego mrugnięcia. To jeden z mężczyzn, najbardziej barczysty, zbladł nagle i osunął się na stojące w pobliżu krzesło. Zastanawiała się, czy Ballard nie zareaguje podobnie. W świetle jarzeniówek jego twarz wyglądała chorobliwie blado.

Yoshima zaczął przepiłowywać czaszkę. Zgrzyt metalu o kość był już dla Ballarda nie do zniesienia. Odwrócił się od szyby, koncentrując wzrok na stojących na półce pudełkach z rękawiczkami różnych rozmiarów. Rizzoli zrobiło się go trochę żal. To musiało być upokarzające, gdy młoda policjantka widziała, jak takiemu twardemu facetowi jak Ballard miękną kolana.

Podsunała mu stołek, a sobie przyciągnęła drugi i siadła z westchnieniem.

— Teraz nie mogę długo stać.

Ballard również usiadł, czując wyraźną ulgę, że może odwrócić uwagę od świszczącej piły.

— To pani pierwsze? — spytał, wskazując na jej brzuch.

— Tak.

— Chłopiec czy dziewczynka?

— Nie wiem. Będziemy szczęśliwi bez względu na płeć.

— Tak samo mówiłem, gdy urodziła się moja córka. Chciałem tylko, by miała po dziesięć paluszków u rąk i nóg... — Przerwał, przełykając z trudem ślinę, gdyż świst piły nie ustawał.

— Ile ona ma teraz lat? — zagadnęła Rizzoli, próbując zająć go rozmową.

— Czternaście, i zbliża się do trzydziestki. Nie jest mi teraz do śmiechu.

— Trudny wiek dla dziewcząt.

— Widzi pani te siwe włosy?

Rizzoli roześmiała się.

— Moja mama robiła tak samo. Dotykała głowy i mówiła: „Te siwe włosy to wasza

wina". Muszę przyznać, że gdy miałam czternaście lat, sprawiałam kłopoty. Taki wiek.

— My też mamy problemy. W zeszłym roku rozszedłem się z żoną. Katie jest teraz rozdarta. Dwoje pracujących rodziców, dwa domy.

— To musi być dla dziecka trudne.

Świst piły nareszcie ustał. Rizzoli zobaczyła przez szybę, jak Yoshima zdejmuje sklepienie czaszki. Bristol ujął delikatnie mózg w obie dłonie i wydobył na zewnątrz. Ballard nie patrzył w tamtym kierunku, skupiając wzrok na Rizzoli.

— Ciężko jest, prawda? — spytał.

— Z czym?

— Być policjantką. W pani stanie.

— Przynajmniej nikt teraz ode mnie nie oczekuje, że będę wyważała kopniakiem drzwi.

— Moja żona była początkującą policjantką, kiedy zaszła w ciążę.

— Pracowała w Newton?

— W Bostonie. Chcieli natychmiast zwolnić ją z patroli. Powiedziała, że ciąża daje jej przewagę. Przestępcy są o wiele bardziej uprzejmi.

— Uprzejmi? Dla mnie nie.

W sąsiednim pomieszczeniu Yoshima zszywał właśnie nicią zwłoki, jak upiorny krawiec, fastrygujący nie płótno, lecz ciało. Bristol zdjął rękawiczki, umył ręce i wyszedł ciężkim krokiem, by powitać gości.

— Przepraszam za opóźnienie. Potrwało to trochę dłużej, niż przypuszczałem. Facet miał guzy w całym brzuchu i nie pofatygował się do lekarza. Więc w końcu trafił do mnie. — Wyciągnął muskularną, nadal wilgotną dłoń, witając się z Ballardem. — Zatem chce pan obejrzeć naszą ofiarę.

Rizzoli spostrzegła, że twarz Ballarda tężeje.

— Prosiła mnie o to detektyw Rizzoli — odparł.

Bristol skinął głową.

— No to chodźmy. Ciało jest w chłodni.

Poprowadził ich przez prosektorium do sąsiedniego pomieszczenia. Wyglądało jak chłodnia do składowania mięsa, ze wskaźnikami temperatury i masywnymi drzwiami z nierdzewnej stali. Wisiała przy nich na ścianie tablica z rejestrem zwłok. Widniało na niej nazwisko starszego mężczyzny, którego sekcję Bristol właśnie skończył. Zwłoki

przywieziono zeszłej nocy o jedenastej. Nie była to lista, na której człowiek chciałby się znaleźć.

Gdy Bristol otworzył drzwi, owionęła ich mgielka skroplonej pary. Weszli do środka i Rizzoli omal się nie zakrztusiła, poczuwszy odór schłodzonych ciał. Odkąd zaszła w ciążę, przestała być odporna na nieprzyjemne zapachy. Nawet powiew zgnilizny sprawiał, że rzucała się biegiem do najbliższej toalety. Tym razem zdołała opanować mdłości, patrząc z determinacją na leżących rzędem pięć ciał, owiniętych w białe plastikowe worki.

Bristol podszedł do nich, przyglądając się identyfikatorom. Przystanął przy czwartym worku.

— To nasza dziewczyna — oświadczył, rozpinając worek na tyle, by odsłonić górną część jej torsu, ze zszytym nicią nacięciem w kształcie litery Y. To też było dzieło Yoshimy.

Gdy plastikowy worek został rozpięty, Rizzoli nie patrzyła na martwe ciało kobiety, lecz na Ricka Ballarda. Przyglądał się w milczeniu zwłokom. Widok Anny Jessop zupełnie go zmroził.

— No i? — odezwał się Bristol.

Ballard zamrugał oczami, jakby otrząsając się z transu. Wypuścił powietrze i szepnął:

— To ona.

— Jest pan całkowicie pewny?

— Tak. — Ballard przełknął ślinę. — Co się stało? Co ustaliliście?

Bristol spojrział na Rizzoli, pytając ją wzrokiem, czy może udzielać informacji. Skinęła głową.

— Pojedynczy strzał w lewą skroń — powiedział Bristol, wskazując na ranę w głowie. — Rozległe obrażenia lewego płatu skroniowego i obu płatów ciemieniowych z powodu rykoszetu pocisku wewnątrz czaszki. Rozległy krwotok wewnątrzczaszkowy.

— To była jedyna rana?

— Tak. Zadana szybko i skutecznie.

Wzrok Ballarda powędrował na tors i piersi ofiary. Nie była to zaskakująca reakcja u mężczyzny, patrzącego na nagą młodą kobietę, ale mimo wszystko wprawiała Rizzoli w zakłopotanie. Anna Jessop, żywa czy martwa, miała prawo do godności. Rizzoli poczuła ulgę, gdy doktor Bristol beznamiętnie zapiął worek, zasłaniając dyskretnie

zwłoki.

Wyszli z chłodni i Bristol zasunął ciężkie metalowe drzwi.

— Zna pan nazwiska jej krewnych? — spytał. — Kogoś, kogo powinniśmy zawiadomić?

— Nie ma nikogo takiego — odparł Ballard.

— Jest pan tego pewny.

— Nie miała żyjących... — Jego głos nagle zamarł. Mężczyzna znieruchomiał jak głaz, patrząc przez szybę do prosektorium.

Rizzoli odwróciła się, by zobaczyć, na co spogląda, i natychmiast zrozumiała, co przykuło jego uwagę. Do prosektorium weszła właśnie Maura Isles, niosąc kopertę ze zdjęciami rentgenowskimi. Podeszła do świetlnego ekranu, wpięła klisze i zapaliła światło. Oglądając zdjęcia potrzaskanych kości kończyn, nie zdawała sobie sprawy, że jest obserwowana. Że zza szyby wpatrują się w nią trzy pary oczu.

— Kto to jest? — wymamrotał Ballard.

— Jedna z naszych lekarek sądowych — odrzekł Bristol. — Doktor Maura Isles.

— Zatrważające podobieństwo, prawda?

Ballard pokręcił głową z niedowierzaniem.

— Przez chwilę myślałem...

— Tak jak my wszyscy, gdy po raz pierwszy ujrzeliśmy ofiarę.

W sąsiedniej sali Maura wsunęła klisze z powrotem do koperty i wyszła, nie zauważając, że była obserwowana. Jak łatwo jest człowieka śledzić, pomyślała Rizzoli. Nie mamy szóstego zmysłu, który by nas ostrzegał, że ktoś się nam przygląda. Nie czujemy na plecach wzroku prześladowcy. Dopiero gdy atakuje, zdajemy sobie sprawę z jego obecności.

Zwróciła się do Ballarda.

— W porządku, widział pan Annę Jessop. Potwierdził pan, że ją znał. Teraz proszę nam powiedzieć, kim ona naprawdę była.

Rozdział piąty

Samochód wszech czasów. Tak określały go wszystkie reklamy, tak nazywał go Dwayne, a Mattie Purvis prowadziła tę wspaniałą maszynę po West Central Street, przełykając łyzy i myśląc: Musisz tam być. Błagam, Dwayne, bądź tam. Nie była jednak tego pewna. Przestała ostatnio rozumieć męża, jakby jego miejsce zajął jakiś obcy mężczyzna, który w ogóle nie zwracał na nią uwagi. Właściwie prawie na nią nie patrzył. *Chcę odzyskać mojego męża. Ale nie wiem nawet, jak go straciłam.*

Zobaczyła przed sobą ogromny napis PURVIS BMW. Skręciła na plac, mijając rzędy innych lśniących „samochodów wszech czasów” i dostrzegła wóz Dwayne'a, zaparkowany w pobliżu drzwi salonu.

Stała obok niego i wyłączyła silnik. Siedziała przez chwilę, oddychając głęboko. Takich relaksujących oddechów uczono ją na zajęciach dla przyszłych rodziców. Dwayne przestał na nie chodzić miesiąc temu, ponieważ uznał to za stratę czasu. *To ty rodzisz dziecko, nie ja. Po co mam tam siedzieć?*

Uch, za wiele głębokich wydechów. Nagle zakręciło jej się w głowie i opadła na kierownicę, naciskając przypadkiem klakson. Wzdrygnęła się, słysząc głośnie trąbienie. Przez szybę zauważyła, że przygląda jej się jeden z mechaników. Głupiej żonie Dwayne'a, która bez powodu włącza klakson. Czerwieniąc się, otworzyła drzwiczki, wysunęła zza kierownicy swój wielki brzuch i weszła do salonu BMW.

Wewnątrz pachniało skórą i woskiem do karoserii. Dwayne nazywał tę grę zapachów, która teraz przyprawiała ją o mdłości, afrodyzjakiem dla facetów. Przystanęła wśród seksownych, kuszących rusalek. Tegoroczne modele lśniły w świetle reflektorów zmysłowymi liniami i chromem. Mężczyzna mógł w tym salonie stracić duszę. Przesuwając ręką po metalicznej niebieskiej karoserii i przyglądając się zbyt długo swemu odbiciu w szybie, zacząłby widzieć swoje marzenia. Zobaczyłby, kim mógłby być, gdyby miał taki wóz.

— Pani Purvis?

Odwróciwszy się, Mattie spostrzegła, że macha do niej Bart Thayer, jeden ze

sprzedawców z salonu jej męża.

— O, witaj — powiedziała.

— Szuka pani Dwayne'a?

— Tak. Gdzie on jest?

— Chyba... — Bart spojrział w kierunku pomieszczeń biurowych. — Zaraz sprawdzę.

— Nie trzeba. Sama go znajdę.

— Nie! To znaczy... przyprowadzę go, dobrze? Powinna pani usiąść i odpocząć.

W pani stanie nie można być zbyt długo na nogach. — W ustach Barta zabrzmiało to zabawnie. Miał większy brzuch niż ona.

Zdobyła się na uśmiech.

— Jestem tylko w ciąży, Bart. To nie kalectwo.

— Kiedy będzie ten wielki dzień?

— Za dwa tygodnie. Taki przynajmniej mam termin. Ale nigdy nie wiadomo.

— Święta prawda. Mój pierwszy syn nie spieszył się na świat. Urodził się z trzytygodniowym opóźnieniem i potem spóźniał się już zawsze. — Mrugnął okiem. — Zaraz znajdę Dwayne'a.

Patrzyła, jak idzie w kierunku pomieszczeń biurowych. Podążyła za nim i zobaczyła, jak puka do drzwi biura Dwayne'a. Nie było odpowiedzi, zapukał więc ponownie. W końcu drzwi się otworzyły i Dwayne wystawił głowę. Był wyraźnie zaskoczony, zauważywszy Mattie, która machała do niego z salonu.

— Mogę z tobą porozmawiać? — zawołała.

Dwayne wyszedł natychmiast z biura, zamykając za sobą drzwi.

— Co ty tu robisz? — warknął.

Bart przyglądał się im, zmierzając powoli w kierunku wyjścia.

— Wiesz, Dwayne, chyba zrobię sobie małą przerwę na kawę.

— Tak, tak — mruknął Dwayne. — Jak chcesz.

Bart czmychnął z salonu. Mąż i żona zostali sami.

— Czekałam na ciebie — oznajmiła Mattie.

— Co?

— Miałam kontrolne badania, Dwayne. Obiecałeś, że przyjdiesz. Doktor Fishman czekała dwadzieścia minut, ale dłużej już nie mogliśmy. Nie zobaczyłeś sonogramu.

— O Chryste. Zapomniałem. — Dwayne przyglądał dłońią ciemne włosy. Zawsze

poprawiał fryzurę, koszulę, krawat. Lubił powtarzać, że kiedy sprzedaje się produkty wysokiej klasy, trzeba stosownie wyglądać. — Przepraszam.

Mattie sięgnęła do torebki i wyjęła fotografię z polaroidu.

— Chcesz chociaż zobaczyć zdjęcie?

— Co na nim jest?

— Nasza córeczka. To obraz z sonogramu.

Spojrzał na zdjęcie i wzruszył ramionami.

— Niewiele tu widzę.

— Widać rączkę i nóżkę. Jak dobrze się przyjrzeć, można zobaczyć nawet buzię.

— Jasne. — Oddał jej fotografię. — Dziś wieczorem wrócę do domu trochę później, dobrze? O szóstej przyjeżdża facet na jazdę próbną. Zjem kolację sam.

Włożyła zdjęcie z powrotem do torebki i westchnęła.

— Dwayne...

Cmoknął ją pospiesznie w czoło.

— Odprowadzę cię. Chodź.

— Nie moglibyśmy napić się razem kawy?

— Mam klientów.

— Ale w salonie nikogo teraz nie ma.

— Mattie, proszę. Pozwól mi zająć się pracą, dobrze?

Drzwi biura Dwayne'a nagle się otworzyły. Odwróciwszy głowę, Mattie dostrzegła wychodzącą stamtąd kobietę, chudą blondynkę, która czmychnęła korytarzem do innego pomieszczenia.

— Kto to? — zapytała Mattie.

— Co?

— Ta kobieta, która wyszła właśnie z twojego biura.

— A, ona? — Odchrząknął. — To nasz nowy nabytek. Pomyślałem, że już najwyższy czas zatrudnić sprzedawczynię. No wiesz, odnowić zespół. Okazała się prawdziwym skarbem. W zeszłym miesiącu sprzedała więcej samochodów niż Bart, a to coś znaczy.

Mattie wpatrywała się w zamknięte drzwi biura Dwayne'a, myśląc: To właśnie wtedy się zaczęło. W zeszłym miesiącu. Wtedy wszystko się między nami zmieniło i Dwayne stał się nagle obcym człowiekiem.

— Jak ona ma na imię? — chciała wiedzieć.

— Posłuchaj, naprawdę muszę wracać do pracy.

— Chcę tylko wiedzieć, jak ma na imię. — Dostrzegła w oczach męża poczucie winy, gorejące jak neon.

— Chryste! — Odwrócił się. — Tylko tego mi brakuje.

— Pani Purvis? — Zakrzyknął do niej od drzwi salonu Bart. — Wie pani, że siadła pani opona? Mechanik właśnie mi to powiedział.

Popatrzyła na niego zdumiona.

— Nie... nie wiedziałam.

— Jak można tego nie zauważyć? — spytał Dwayne.

— Być może... no cóż, wóz jakby stracił przyspieszenie, ale...

— To nie do wiary. — Dwayne zmierzał już do drzwi. Ucieka ode mnie, jak zawsze, pomyślała. Teraz w dodatku jest zły. Czemu nagle ja jestem wszystkiemu winna?

Podążyła za nim z Bartem do swojego samochodu. Dwayne przykucnął obok prawego tylnego koła, kręcąc głową.

— Możesz uwierzyć, że tego nie zauważyła? — powiedział do Barta. — Spójrz na tę pieprzoną oponę! Jest w strzępach!

— Hej, to się zdarza — odparł Bart, rzucając Mattie życzliwe spojrzenie. — Powiem Edowi, żeby założył nową. Żaden problem.

— Zobacz felgę, jest cała wykrzywiona. Ile kilometrów przejechała na tym flaku? Jak można być tak tępym?

— Daj spokój, Dwayne — rzekł Bart. — Nic takiego się nie stało.

— Nie wiedziałam — odezwała się Mattie. — Przepraszam.

— Jechałaś tak całą drogę od lekarza? — Dwayne spojrzał na nią przez ramię i przeraził ją gniew, który zobaczyła w jego oczach. — Marzyłaś o niebieskich migdałach czy co?

— Dwayne, nie wiedziałam.

Bart poklepał Dwayne'a po ramieniu.

— Może powinieneś trochę się odprężyć, co?

— Odwal się, do cholery! — warknął Dwayne.

Bart cofnął się, unosząc pojednawczo rękę.

— Dobrze już, dobrze.

Rzucił Mattie ostatnie spojrzenie, jakby chciał powiedzieć „trzymaj się, skarbie” i odszedł.

— To tylko opona — rzekła Mattie.

— Musiałaś sypać iskrami na szosie. Jak sądzisz, ile osób to widziało?

— Czy to ma znaczenie?

— Hej! To beemka! Prowadząc taki wóz, tworzy się jego wizerunek. Ludzie oczekują, że za kierownicą siedzi ktoś bystry, ktoś z klasą. Dzwoniąc o asfalt felgą, rujnujesz ten wizerunek. Psujesz reputację wszystkim jeżdżącym bmw. Także moją.

— To tylko opona.

— Przestań to powtarzać.

— Ale to prawda.

Dwayne prychnął pogardliwie i stanął obok samochodu.

— Szkoda fatygi.

Mattie przełknęła łzy.

— Nie chodzi o tę oponę, prawda, Dwayne?

— Co?

— Ta sprzeczka dotyczy nas. Coś się między nami popsulo.

Jego milczenie pogorszyło tylko sytuację. Nie patrzył na nią, lecz odwrócił głowę, przyglądając się idącemu w ich kierunku mechanikowi.

— Hej! — zawołał mechanik. — Bart mówi, że mam zmienić oponę.

— Tak, zajmij się tym — Dwayne przerwał, skupiając uwagę na toyocie, która wjechała właśnie na plac. Wysiadł z niej jakiś mężczyzna i przyglądał się jednemu z modeli bmw. Pochylił się, by przeczytać etykietę z nazwą dealera na szybie. Dwayne przyglądał włosy, podciągnął krawat i zaczął iść w kierunku nieznanego.

— Dwayne? — powiedziała Mattie.

— Mam klienta.

— Ale ja jestem twoją żoną.

Odwrócił się raptownie i obrzucił ją szokująco jadowitym spojrzeniem.

— Nie przeginaj, Mattie... — wycedził.

— Co mam zrobić, żebyś zwrócił na mnie uwagę? — krzyknęła. — Kupić od ciebie samochód? Tylko to się liczy? Bo nie znam innego sposobu. — Głos jej się załamał. — Nie znam innego sposobu.

— To może przestań próbować. Bo i tak nie widzę w tym już sensu.

Patrzyła, jak się oddala, jak przystaje, by wyprostować ramiona i przykleić na twarz uśmiech. Usłyszała nagle jego gromki, ciepły i przyjazny głos, gdy witał nowego klienta.

— Pani Purvis? Proszę pani?

Zamrugła oczami, odwracając się do mechanika.

— Poproszę o kluczyki, jeśli można. Wezmę wóz na warsztat i założę oponę. — Wyciągnął do niej zabrudzoną smarem dłoń.

Podala mu bez słowa breloczek z kluczykami i odwróciła się, patrząc na Dwayne'a. On jednak nawet się nie obejrzał. Jakby była niewidzialna. Jakby nie istniała.

Nie pamiętała nawet, jak dojechała do domu.

Ocknęła się przy kuchennym stole, trzymając nadal w rękach klucze i widząc przed sobą stertę korespondencji. Na wierzchu leżał rachunek karty kredytowej, zaadresowany do państwa Purvis. Państwo Purvis. Pamiętała, jak po raz pierwszy ktoś nazwał ją panią Purvis i jaką czuła wtedy radość. Pani Purvis. Pani Purvis.

Pani Nikt.

Klucze upadły na podłogę. Ukryła twarz w dłoniach i zaczęła płakać. Płakała, czując w łonie ruchy dziecka. Płakała, aż rozbolało ją gardło, a sterta listów była mokra od łez.

Chcę go z powrotem takiego, jaki był. Kiedy mnie kochał.

Zanosząc się szlochem, usłyszała skrzypienie drzwi. Dochodziło z garażu. Podniosła raptownie głowę, ożywiona nadzieją.

On wrócił! Wrócił do domu, żeby mnie przeprosić.

Poderwała się tak gwałtownie, że przewróciła krzesło. Czując zawroty głowy, otworzyła drzwi i weszła do garażu. Stała oszołomiona, mrugając oczami w ciemnościach. W garażu stał tylko jej samochód.

— Dwayne? — powiedziała.

Zauważyła smugę światła słonecznego. Drzwi prowadzące na boczny dziedziniec były otwarte. Przeszła przez garaż, by je zamknąć. Zaledwie to zrobiła, usłyszała, że ktoś zeskakuje tuż za nią na ziemię. Zmartwiała, czując szybkie bicie serca. Zrozumiała natychmiast, że nie jest w garażu sama. Zanim zdążyła się odwrócić, ogarnęła ją ciemność.

Rozdział szósty

Maura weszła z popołudniowego słońca w chłodny mrok kościoła Najświętszej Maryi od Bożej Światłości. Przez chwilę widziała tylko cienie, niewyraźne zarysy ławek i sylwetkę samotnej parafianki, siedzącej z przodu z pochyloną głową. Wślizgnęła się do ławki i usiadła. Pogrążyła się w ciszy, przyzwyczajając oczy do mrocznego wnętrza. Ciemny witraż u góry przedstawiał kobietę o kręconych włosach, wpatrzoną z uwielbieniem w drzewo, na którym wisiało krwistoczerwone jabłko. Ewa z rajskiego ogrodu. Kobieta jako kusicielka. Niszczycielski żywioł. Patrząc na ten witraż, poczuła niepokój, przeniosła więc wzrok na inny. Choć została wychowana w katolickiej rodzinie, nie czuła się dobrze w kościele. Wpatrywała się w przedstawione na witrażach barwne wizerunki męczenników i choć czczono ich teraz jako świętych, wiedziała, że za życia, jako ludzie z krwi i kości, nie byli bez skazy. Ich ziemskie bytowanie z pewnością szpeciły grzechy, błędne decyzje i małostkowe żądze. Wiedziała lepiej niż inni, że człowiek nie jest doskonały.

Wyszędłszy z ławki, znieruchomiała nagle na widok ojca Brophy'ego. Światło przenikające przez witraże rzucało na jego twarz mozaikę barw. Podszedł tak cicho, że go nie usłyszała, i teraz stali naprzeciw siebie, nie ośmielając się przerwać ciszy.

— Mam nadzieję, że jeszcze nie wychodzisz — odezwał się w końcu.

— Przyszłam porozmyślać przez parę minut.

— W takim razie cieszę się, że zdążyłem na czas. Chciałabyś porozmawiać?

Spojrzała w kierunku tylnych drzwi, jakby rozważając możliwość ucieczki, po czym westchnęła głęboko.

— Tak, chyba tak.

Kobieta siedząca w pierwszej ławce odwróciła głowę i się im przyglądała. Co ona sobie myśli? — zastanawiała się Maura. Przystojny młody ksiądz. Atrakcyjna kobieta. I potajemne szepty, wymieniane pod spojrzeniami świętych.

Ojciec Brophy też najwyraźniej poczuł się niezręcznie. Spojrzawszy na obserwującą ich parafiankę, rzekł:

— Nie musimy rozmawiać tutaj.

* * *

Spacerowali po parku Jamaica Riverway, ocienioną drzewami ścieżką ciągnącą się wzdłuż brzegu rzeki. W ciepłe popołudnie roило się tam od biegaczy, rowerzystów i matek z wózkami. W takim publicznym miejscu ksiądz spacerujący z szukającą pociechy parafianką nie wywoływał plotek. Tak już zawsze musi być między nami, pomyślała, gdy pochylili głowy pod opadającymi gałęziami wierzby. Żadnego skandalu ani grzesznych pokus. Nie może mi dać tego, czego najbardziej od niego chcę. A jednak jestem z nim tutaj.

Spotkaliśmy się.

— Zastanawiałem się, kiedy mnie odwiedzisz — powiedział.

— Chciałam. To był ciężki tydzień. — Przystanęła, wpatrując się w rzekę. Ruch pojazdów na pobliskiej drodze zagłuszał szum wody. — Poczułam nagle, że jestem śmiertelna.

— Przedtem tego nie czułaś?

— Nie w ten sposób. Kiedy widziałam w zeszłym tygodniu tę sekcję...

— Oglądasz ich tyle.

— Nie tylko oglądam, Danielu. Wykonuję je. Trzymam w dłoni skalpel i tnę. Robię to w pracy niemal codziennie i nigdy się tym nie przejmowałam. Może to oznacza, że straciłam ludzkie uczucia. Może tak zobojętniałam, że nie zauważam nawet, iż kroję ludzkie ciało. Ale tamtą sekcję przeżyłam bardzo osobiście. Patrzyłam na tę kobietę i widziałam na stole siebie. Teraz, gdy biorę do ręki skalpel, zawsze myślę o niej. O tym, jak żyła, co czuła, o czym myślała, kiedy... — Maura przerwała i westchnęła. — Trudno mi było wrócić do pracy. To wszystko.

— Naprawdę musiałaś?

Spojrzała na niego, zaskoczona tym pytaniem.

— A mam wybór?

— To brzmi jak pańszczyzna.

— Taką mam pracę. Na tym się znam.

— To jeszcze nie powód, żeby się tym zajmować. Więc dlaczego to robisz?

— A dlaczego ty jesteś księdzem?

Teraz on wydawał się zaskoczony. Zastanawiał się nad tym przez chwilę, stojąc w milczeniu obok niej. W cieniu wierzb jego oczy miały mniej błękitną barwę.

— Dokonałem tego wyboru tak dawno temu — odparł — że już się nad tym nie zastanawiam. Ani tego nie kwestionuję.

— Musiałeś mocno wierzyć.

— Nadal wierzę.

— Czy to nie wystarczy?

— Naprawdę sądzisz, że wystarczy sama wiara?

— Nie, oczywiście, że nie. — Odwróciła się i zaczęła iść dalej ocienioną ścieżką. Bała się napotkać jego spojrzenie. Bała się, że zobaczy zbyt wiele w jej oczach.

— Czasem dobrze jest poczuć swoją śmiertelność — powiedział. — Pozwala to zastanowić się nad własnym życiem.

— Nie mam na to ochoty.

— Dlaczego?

— Nie przepadam za introspekcją. Drażniły mnie zajęcia z filozofii. Wszystkie te pytania bez odpowiedzi. Fizykę i chemię potrafiłam przynajmniej zrozumieć. Pasowały mi, bo uczyły zasad, które są powtarzalne i uporządkowane. — Zamilkła, przyglądając się młodej kobiecie na wrotkach, z dzieckiem w wózku. — Nie lubię tego, co niewytłumaczalne.

— Tak, wiem. Zawsze oczekujesz rozwiązania matematycznych równań. Dlatego tak przeżywasz zabójstwo tej kobiety.

— To pytanie bez odpowiedzi. Tego właśnie nie cierpię.

Usiadła na drewnianej ławce i popatrzyła na rzekę. Zapadał zmierzch i płynąca woda przybierała coraz ciemniejszą barwę. Brophy także usiadł i choć się nie dotykali, był na tyle blisko, że niemal czuła na nagim ramieniu ciepło jego ciała.

— Dowiedziałaś się czegoś więcej o tej sprawie od detektyw Rizzoli?

— Nie informuje mnie na bieżąco.

— A powinna?

— Nie jako policjantka.

— A jako przyjaciółka?

— Właśnie, sądziłam, że jesteśmy przyjaciółkami. Ale niewiele mi powiedziała.

— Nie możesz mieć jej tego za złe. Ofiarę znaleziono przed twoim domem. Rizzoli na pewno się zastanawia...

— Czy miałam z tym coś wspólnego?

— Albo czy to nie ty miałaś być ofiarą. Tamtej nocy wszyscy sądziliśmy, że w samochodzie są twoje zwłoki. — Wpatrywał się w rzekę. — Prześladowuje cię wspomnienie sekcji. A ja nie mogę zapomnieć tych chwil, gdy stałem na twojej ulicy obok policyjnych radiowozów. Nie wierzyłem, że to się naprawdę dzieje. Nie dopuszczałem tego do świadomości.

Oboje zamilkli. Przed nimi płynął ciemny nurt rzeki, za ich plecami — strumień samochodów.

Maura spytała nagle:

— Zjesz ze mną dziś kolację?

Przez chwilę nie odpowiadał i jego wahanie sprawiło, że poczerwieniała z zażenowania. Co za idiotyczne pytanie! Chciała je anulować, cofnąć czas o sześćdziesiąt sekund. O ile lepiej byłoby powiedzieć sobie po prostu „do widzenia” i rozstać się. Tymczasem wyskoczyła z tym bezmyślnym zaproszeniem, którego — jak oboje dobrze wiedzieli — nie powinien przyjąć.

— Przepraszam — wyjąkała. — To chyba nie jest zbyt dobry...

— Czemu nie — odparł. — Z przyjemnością.

* * *

Stała w kuchni, krojąc drżącą ręką pomidory na sałatkę. Z garnka na kuchence unosił się aromatyczny zapach kurczaka w winie. Była to łatwa, dobrze jej znana potrawa, którą potrafiła przyrządzić bez zaglądania do przepisu, bez zastanawiania się. Nie poradziłaby sobie z żadnym bardziej skomplikowanym daniem. Skupiała całą uwagę na mężczyźnie, który nalewał właśnie do dwóch kieliszków pinot noir.

Postawił jeden z nich przed nią na blacie.

— W czym jeszcze mogę pomóc?

— W niczym więcej.

— Może zrobię sos do sałatki? Umyję sałatę?

— Nie zaprosiłam cię tutaj do pracy. Pomyślałam, że tak będzie lepiej niż

w restauracji, bardziej prywatnie.

— Męczy cię już rola osoby publicznej — podsumował.

— Myślałam bardziej o tobie.

— Nawet księża jadają czasem w restauracjach, Mauro.

— Nie, chodziło mi o to... — Poczula, że się czerwieni, i jeszcze energiczniej zaczęła kroić pomidor.

— Pewnie ludziom dałoby to do myślenia, gdyby zobaczyli nas razem — powiedział. Przyglądał się jej przez chwilę. Słyszał tylko stukanie noża o deskę do krojenia. Co robi się z księdzem w kuchni? — pomyślała. Prosi go, by pobłogosławił żywność? Przy żadnym innym mężczyźnie nie czułaby się taka zakłopotana, taka podatna na pokusy. A jakie są twoje słabości, Danielu? — zastanawiała się, zsuwając pokrojone pomidory do salaterki i mieszając je z oliwą i octem balsamicznym. Czy ta biała koloratka chroni cię przed pokusą?

— Pokroję przynajmniej ogórek — powiedział.

— Nie potrafisz się odprężyć, prawda?

— Nie umiem siedzieć beczynnym, gdy inni pracują.

Zaśmiała się.

— Witam w klubie.

— Czy to klub nieuleczalnych pracoholików? Jestem honorowym członkiem. — Wyjął nóż z drewnianego klocka i zaczął kroić ogórek, napełniając kuchnię jego świeżym, letnim zapachem. — To dlatego że pomagałem w wychowywaniu pięciu braci i siostry.

— Było was siedmioro? Dobry Boże!

— Mój tata na pewno mówił to samo za każdym razem, gdy dowiadywał się, że w drodze jest następne dziecko.

— Który byłeś w kolejności?

— Czwarty. Dokładnie w środku. Co zdaniem psychologów oznacza, że jestem urodzonym mediatorem. Tym, który zawsze stara się utrzymać pokój. — Spojrzał na nią z uśmiechem. — To również oznacza, że potrafię naprawdę szybko korzystać z pryszniczicy.

— A w jaki sposób czwarte z kolei dziecko zostało księdzem?

Opuścił ponownie wzrok na deskę do krojenia.

— Jak można się spodziewać, to długa historia.

— Nie chcesz o tym mówić?

— Moje powody zapewne wydadzą ci się nielogiczne.

— To ciekawe, że nasze najważniejsze życiowe decyzje są zwykle najmniej logiczne.

Na przykład wybór współmałżonka. — Łyknęła wina i odstawiła kieliszek. — Z pewnością nie wybroniłabym swojego małżeństwa, kierując się logiką.

Podniósł wzrok.

— Pożądanie?

— Chyba tak by to trzeba określić. W ten sposób popełniłam największy życiowy błąd. Przynajmniej na razie. — Wypiła następny łyk wina. *A ty możesz być moim kolejnym wielkim błędem. Jeśli Bóg chciał, żebyśmy się dobrze sprawowali, nie powinien był stwarzać pokusy.*

Zsunął pokrojone ogórki do salaterki i opłukał nóż. Przyglądała mu się, gdy stał przy zlewie, odwrócony do niej plecami. Miał wysoką, szczupłą sylwetkę długodystansowca. Dlaczego się w to wdaję? — pomyślała. Dlaczego musi mnie pociągać akurat ten mężczyzna?

— Pytałaś, czemu zostałem księdzem — powiedział.

— Właśnie.

Odwrócił się i spojrzał na nią.

— Moja siostra zachorowała na białaczkę.

Zaskoczona, nie wiedziała, co odpowiedzieć. Nic nie wydawało się stosowne.

— Sophie miała wtedy sześć lat — kontynuował. — Była jedyną dziewczynką w rodzinie, najmłodszą z nas. — Sięgnął po ścierkę do naczyń, żeby wytrzeć ręce, i starannie powiesił ją z powrotem, nie spiesząc się, jakby potrzebował czasu na dobranie odpowiednich słów. — To była ostra białaczka limfocytarna. Można by ją nazwać łagodną odmianą, jeśli w ogóle istnieje coś takiego jak łagodna białaczka.

— Ta odmiana daje największe szanse wyleczenia u dzieci. W osiemdziesięciu procentach przypadków. — Była to prawda, ale Maura pożałowała tych słów, gdy tylko je wypowiedziała. Racjonalna doktor Isles, reagująca na tragedię rzeczowymi faktami i beznamiętną statystyką. Zawsze w ten sposób radziła sobie z przykrymi emocjami otaczających ją ludzi, chowając się za pancierzem naukowych wyjaśnień. Przyjaciel zmarł właśnie na raka płuc? Czyjś krewny jest sparaliżowany po wypadku samochodowym? Na

wieść o cudzej tragedii przytaczała dane statystyczne, czerpiąc otuchę z pewności, jaką dają liczby. Z wiary, że każdy koszmar można racjonalnie wyjaśnić.

Zastanawiała się, czy Daniel nie uznał jej reakcji za obojętną, a nawet bezduszną. Nie wydawał się jednak urażony. Po prostu skinął głową, przyjmując jej słowa tak, jak zostały wypowiedziane, jako stwierdzenie faktu.

— Wtedy nie mogliśmy nawet liczyć, że przeżyje pięć lat — powiedziała. — Kiedy postawiono diagnozę, była już bardzo chora. Nie potrafię opisać, jak wszyscy cierpieliśmy. Zwłaszcza moja matka. Jej jedyna córeczka. Jej maleństwo. Miałem wtedy czternaście lat i w pewnym sensie właśnie ja zajmowałem się Sophie. Chociaż otaczano ją opieką i rozpieszczano, nigdy nie była kapryśna. Pozostała najśłodszym dzieckiem, jakie można sobie wyobrazić. — Nadal nie patrzył na Maurę, tylko na podłogę, jakby pragnął ukryć głębię swego bólu.

— Danielu? — powiedziała.

Wziął głęboki oddech i wyprostował się.

— Nie jestem pewien, jak opowiedzieć tę historię tak wytrawnemu sceptykowi jak ty.

— Co się wydarzyło?

— Jej lekarz poinformował nas, że jest umierająca. W tamtych czasach opinia doktora była świętością. Tego wieczoru moi rodzice i bracia poszli do kościoła. Chyba po to, by modlić się o cud. Ja zostałem w szpitalu, żeby Sophie nie była sama. Z powodu chemoterapii nie miała już wtedy włosów. Pamiętam, jak usnęła na moich kolanach. A ja się modliłem. Modliłem się długie godziny, składając Bogu różne szalone obietnice. Gdyby umarła, chyba już nigdy nie postawiłbym nogi w kościele.

— Ale przeżyła — powiedziała cicho Maura.

Spojrzał na nią i uśmiechnął się.

— Tak. A ja dotrzymałem wszystkich przyrzeczeń. Co do jednego. Bo tego dnia On mnie wysłuchał. Nie mam co do tego wątpliwości.

— Gdzie jest teraz Sophie?

— Wyszła szczęśliwie za mąż i mieszka w Manchesterze. Ma dwoje adoptowanych dzieci. — Usiadł, przyglądając się jej zza kuchennego stołu. — A ja jestem, kim jestem.

— Ojcem Brophym.

— Teraz wiesz, dlaczego dokonałem takiego wyboru.

Czy był właściwy? — miała ochotę zapytać.

Napełnili ponownie kieliszki winem. Pokroiła chrupiący chleb, zamieszała sałatkę i wlała gorące coq au vin do miseczek. Droga do serca mężczyzny prowadzi przez żołądek. Czy to próbowała osiągnąć, czy tego naprawdę chciała? Serca Daniela Brophy'ego?

Może właśnie dlatego, że nie mogę go mieć, czuję się bezpieczna. Jest poza moim zasięgiem, więc nie może mnie zranić, tak jak Victor.

Ale kiedy wychodziła za Victora, też sądziła, że nie może jej zranić.

Nigdy nie jesteśmy tak odporni, jak myślimy.

Skończyli właśnie posiłek, gdy dzwonek do drzwi sprawił, że oboje znieruchomieli. Choć spędzili ze sobą niewinny wieczór, wymienili niespokojne spojrzenia, jak dwoje kochanków przyłapanych na gorącym uczynku.

Na ganku przed domem Maury stała Jane Rizzoli. Jej czarne włosy poskręcały się na wilgotnym powietrzu w płataninę loków. Choć noc była ciepła, miała na sobie jeden z ciemnych służbowych spodniów, które zawsze nosiła w pracy. To nie jest towarzyska wizyta, pomyślała Maura, napotykając poważne spojrzenie Rizzoli. Opuściwszy wzrok, zobaczyła, że Rizzoli trzyma neseser.

— Przepraszam, że nachodzę panią w domu, pani doktor, ale musimy porozmawiać. Uznałam, że lepiej będzie spotkać się tutaj niż w pani biurze.

— Czy chodzi o tę sprawę?

Rizzoli skinęła głową. Żadna z nich nie musiała precyzować, o czym mowa. Dobrze to wiedziały. Choć szanowały się wzajemnie jako profesjonalistki, nie zdołały się jeszcze zaprzyjaźnić i tego wieczoru przyglądały się sobie z pewnym niepokojem. Coś się wydarzyło, pomyślała Maura. Coś, co wzbudziło jej nieufność.

— Proszę wejść.

Rizzoli weszła do domu i przystanąła, czując zapach jedzenia.

— Przeszkadzam w kolacji?

— Nie, właśnie skończyliśmy.

To „my” nie uszło jej uwagi. Spojrzała na Maurę pytająco. Usłyszawszy kroki, odwróciła się i zobaczyła w holu Daniela, odnoszącego do kuchni kieliszki.

— Dobry wieczór, pani detektyw! — zawołał.

Rizzoli zamrugnęła oczami ze zdziwieniem.

— Ojciec Brophy.

Brophy zniknął w kuchni, a Rizzoli spojrzała na Maurę. Choć nic nie powiedziała, było jasne, co myśli. To samo co parafianka w kościele. *Owszem, to źle wygląda, ale nic nie zaszło. Jedliśmy kolację i rozmawialiśmy. Czemu, do cholery, tak na mnie patrzysz?*

— No cóż — odezwała się Rizzoli, mieszcząc w tych słowach wiele treści. Usłyszały brzęk porcelany i sztućców. Daniel wkładał naczynia do zmywarki. Ksiądz czuł się w jej kuchni jak u siebie.

— Chciałabym pomówić z panią w cztery oczy, jeśli można — oznajmiła Rizzoli.

— Czy to naprawdę konieczne? Ojciec Brophy jest moim przyjacielem.

— I bez niego trudno nam będzie rozmawiać, pani doktor.

— Nie mogę powiedzieć mu tak po prostu, żeby wyszedł.

— Przerwała, słysząc z kuchni odgłos kroków Daniela.

— Naprawdę powinienem już pójść — odezwał się, rzucając okiem na teczkę Rizzoli. — Najwyraźniej macie panie do omówienia jakieś sprawy.

— Rzeczywiście — przyznała Rizzoli.

Uśmiechnął się do Maury.

— Dziękuję za kolację.

— Zaczekaj, Danielu — powiedziała Maura, podążając za nim na ganek i zamykając za sobą drzwi. — Nie musisz wychodzić.

— Ona chce pomówić z tobą na osobności.

— Tak mi przykro.

— Dlaczego? To był wspaniały wieczór.

— Czuję się tak, jakby przepędzono cię z mojego domu.

Wyciągnął rękę i poczuła na ramieniu jego ciepły, uspokajający uścisk.

— Zadzwoń, gdy tylko będziesz miała ochotę znów porozmawiać. O dowolnej porze.

Patrzyła, jak idzie do samochodu. Jego ciemna szata wtapiała się w mrok letniej nocy. Gdy odwrócił się, by pomachać jej na pożegnanie, dostrzegła jego koloratkę, jedyny biały punkt w ciemnościach.

Wszedłszy z powrotem do domu, zastała Rizzoli stojącą nadal w holu. Przyglądała się Maurze i myślała, rzecz jasna, o Danielu. Nie była ślepa. Widziała, że zaczyna ich łączyć coś więcej niż przyjaźń.

— Napije się pani czegoś? — zaproponowała Maura.

— Chętnie. Ale bez alkoholu. — Rizzoli poklepała się po brzuchu. — Młody jest

jeszcze za mały.

— Jasne.

Maura poprowadziła ją korytarzem, zmuszając się do odgrywania roli uprzejmej pani domu. W kuchni wrzuciła do dwóch szklanek kostki lodu i wlała do nich sok pomarańczowy, dodając do swojej odrobinę wódki. Odwróciła się, by postawić drinki na kuchennym stole, i zobaczyła, że Rizzoli wyjmuje z neseseru teczkę.

— Co to jest? — spytała.

— Lepiej najpierw usiądźmy, pani doktor. To, co mam do powiedzenia, może panią trochę wstrząsnąć.

Maura opadła na krzesło przy stole kuchennym. Rizzoli również. Siedziały naprzeciwko siebie, patrząc na teczkę. Puszka Pandory, pomyślała Maura. Może wcale nie chcę wiedzieć, co tam jest.

— Pamięta pani, co mówiłam w zeszłym tygodniu o Annie Jessop? Że mamy na jej temat informacje tylko z ostatnich sześciu miesięcy? I że jej mieszkanie było puste?

— Nazwała ją pani zjawą.

— W pewnym sensie miałam rację. Anna Jessop naprawdę nie istniała.

— Jak to możliwe?

— Nosiała fałszywe nazwisko. Nazywała się w istocie Anna Leoni. Jakies pół roku temu przybrała całkowicie nową tożsamość. Zaczęła zamykać rachunki i w końcu wyprowadziła się z domu. Pod nowym nazwiskiem wynajęła mieszkanie w Brighton, do którego nie miała zamiaru się przenieść. Był to tylko ślepy trop, na wypadek gdyby ktoś zdołał ją zdemaskować. Potem spakowała rzeczy i wyjechała do Maine. Do małego miasteczka na wybrzeżu. Przez ostatnie dwa miesiące właśnie tam mieszkała.

— Kto pani to wszystko powiedział?

— Policjant, który jej pomagał.

— Policjant?

— Detektyw Ballard z Newton.

— A więc miała przybrane nazwisko nie dlatego, że ukrywała się przed prawem?

— Nie. Domyśla się pani zapewne, przed kim uciekała. To dawna historia.

— Przed mężczyzną?

— W dodatku bardzo bogatym. To doktor Charles Cassell.

— Nie znam tego nazwiska.

— Założyciel firmy Castle Pharmaceuticals. Anna pracowała u niego w laboratorium. Mieli romans, ale po trzech latach próbowała go opuścić.

— A on nie chciał na to pozwolić.

— Doktor Cassell nie jest typem faceta, od którego kobieta może tak po prostu odejść. Pewnej nocy trafiła na pogotowie w Newton z podbitym okiem. Od tego czasu przeżywała piekło. Śledził ją, groził śmiercią. Znalazła nawet w skrzynce na listy zdechłego kanarka.

— Chryste.

— Właśnie. I wszystko w imię prawdziwej miłości. Czasem jedyny sposób, żeby nie dać się skrzywdzić mężczyźnie, to go zastrzelić... albo się ukryć. Może żyłaby nadal, gdyby wybrała pierwszą możliwość.

— Odnalazł ją.

— Musimy to tylko udowodnić.

— Potraficie?

— Nie rozmawialiśmy jeszcze z doktorem Cassellem. Wyjechał z Bostonu akurat w dzień po zabójstwie. Od tygodnia podróżuje w interesach i wróci do domu jutro. — Rizzoli podniosła do ust szklankę z sokiem pomarańczowym i brzęk kostek lodu podziałał Maurze na nerwy. Rizzoli odstawiła szklankę i milczała przez chwilę. Chce zyskać na czasie, ale w jakim celu? — pomyślała Maura.

— Jest coś jeszcze, co powinna pani wiedzieć o Annie Leoni — oznajmiła Rizzoli, wskazując na teczkę na stole. — Przyniosłam to dla pani.

Maura otworzyła teczkę i poczuła pulsowanie w skroniach. Była to kolorowa fotokopia niewielkiego zdjęcia. Dziewczynka o czarnych włosach i poważnym spojrzeniu stała między dwojgiem starszych ludzi, którzy obejmowali ją troskliwie ramionami.

— Wygląda jak ja — powiedziała cicho Maura.

— Nosila to zdjęcie w portfelu. Sądzymy, że to Anna w wieku mniej więcej dziesięciu lat i jej rodzice, Ruth i William Leoni. Oboje już nie żyją.

— To jej rodzice?

— Tak.

— Ale... są w podeszłym wieku.

— Zgadza się. Jej matka, Ruth, miała sześćdziesiąt dwa lata, gdy robiono to zdjęcie. — Rizzoli przerwała. — Anna była ich jedynym dzieckiem.

Jedynaczka. Sędziwi rodzice. Wiem, do czego to zmierza, pomyślała Maura, i boję się, co ona mi powie. To dlatego tu dziś przyjechała. Nie chodzi tylko o Annę Leoni i jej natrętnego kochanka, lecz o coś znacznie bardziej szokującego.

Maura spojrzała na Rizzoli.

— Była adoptowana?

Rizzoli skinęła głową.

— Pani Leoni miała pięćdziesiąt dwa lata, gdy Anna się urodziła.

— Dla większości agencji to zbyt dużo.

— Dlatego musieli zapewne załatwiać prywatną adopcję, przez adwokata.

Maura pomyślała o swoich nieżyjących już rodzicach. Też byli po czterdziestce.

— Co pani wie o swojej adopcji, pani doktor?

Maura wzięła głęboki oddech.

— Po śmierci ojca znalazłam papiery adopcyjne. Wszystko załatwiano przez prawnika tu, w Bostonie. Zadzwoiłam do niego kilka lat temu, żeby dowiedzieć się, kim była moja biologiczna matka.

— Powiedział pani?

— Podobno moje akta były zapieczętowane. Odmówił udzielenia jakichkolwiek informacji.

— Nie nalegała pani?

— Nie.

— Czy tym adwokatem był Terence Van Gates?

Maura milczała jak grób. Nie musiała odpowiadać na to pytanie. Jej zdumione spojrzenie mówiło Rizzoli wszystko.

— Skąd pani wie? — wyjąkała.

— Dwa dni przed śmiercią Anna zatrzymała się w hotelu Tremont, tutaj, w Bostonie. Z pokoju hotelowego wykonała dwa telefony. Do detektywa Ballarda, który był wtedy poza miastem. I do kancelarii Van Gatesa. Nie wiemy, po co się z nim kontaktowała. Nie miałam od niego jeszcze odpowiedzi.

Teraz wyłoży karty na stół, pomyślała Maura. Powie mi, dlaczego naprawdę tu przyszła.

— Wiemy, że Anna Leoni została adoptowana. Miała tę samą co pani grupę krwi i datę urodzin. A krótko przed śmiercią rozmawiała z Van Gatesem, prawnikiem, który

zajmował się pani adopcją. Zdziwiający zbieg okoliczności.

— Dawno pani to wszystko wie?

— Od kilku dni.

— I nic mi pani nie powiedziała? Trzymała to pani w tajemnicy.

— Nie chciałam bez potrzeby pani denerwować.

— Cóż, jestem zdenerwowana, że zwlekała pani tak długo.

— Musiałam, bo chciałam dowiedzieć się jeszcze jednej rzeczy. — Rizzoli zaczerpnęła tchu. — Dziś po południu rozmawiałam z Waltem DeGrootem z laboratorium DNA. Na początku tygodnia zleciłam mu wykonanie testu, o który pani prosiła. Dzisiaj pokazał mi wyniki. Wykonał dwa oddzielne profile genetyczne. Anny Leoni i pani.

Maura siedziała w bezruchu, nastawiając się na nieuchronny cios.

— Są identyczne — oznajmiła Rizzoli.

Rozdział siódmy

Na kuchennej ścianie tykał zegar, w szklankach na stole topniały powoli kostki lodu. Czas biegł naprzód, ale Maura czuła się jak zawieszona w przestrzeni. Słowa Rizzoli kołatały się bez końca w jej głowie.

— Przykro mi — kontynuowała Rizzoli. — Musiałam jakoś to pani przekazać. Moim zdaniem powinna pani wiedzieć, że ma pani... — Rizzoli przerwała.

Miałam siostrę. I nie wiedziałam nawet o jej istnieniu.

Rizzoli pochyliła się nad stołem i wzięła Maurę za rękę. Było to do niej niepodobne. Nie należała do kobiet, które skłonne są kogoś pocieszać czy przytulać. A jednak ścisnęła dłoń Maury, wpatrując się w nią tak, jakby się obawiała, że zaraz zemdleje.

— Niech mi pani o niej opowie — poprosiła cicho Maura. — Jaka była?

— Powinna pani pomówić z detektywem Ballardem.

— Z kim?

— Z Rickiem Ballardem. Jest w Newton. Zajmował się sprawą Anny Leoni, gdy została napadnięta przez doktora

Cassella. Myślę, że całkiem dobrze ją poznał.

— Co pani o niej mówił?

— Dorastała w Concord. W wieku dwudziestu pięciu lat wyszła za mąż, ale małżeństwo szybko się rozpadło. Wzięli polubowny rozwód. Nie mieli dzieci.

— Jej były mąż nie jest podejrzany?

— Nie. Ponownie się ożenił i mieszka w Londynie.

Rozwódka, tak jak ja. Czy jest jakiś gen, który przesądza o nieudanym małżeństwie?

— Jak wspomniałam, pracowała w firmie Charlesa Cassella, Castle Pharmaceuticals. Była mikrobiologiem w ich dziale badawczym.

— Naukowcem.

— Tak.

Znów podobnie jak ja, pomyślała Maura, wpatrując się w twarz siostry na zdjęciu. A więc ceniła rozsądek i logikę. Naukowcy kierują się intelektem. Lubią mieć do czynienia

z faktami. Dobrze byśmy się rozumiały.

— Wiem, że trudno pani to przyjąć do wiadomości — rzekła Rizzoli. — Nie potrafię sobie wyobrazić, jak zareagowałabym na pani miejscu. To jakby odkrywało się osobny wszechświat, w którym ma się sobowtóra. Dowiedzieć się nagle, że ta kobieta cały czas tu była, mieszkała w tym samym mieście. Gdyby tak... — Rizzoli zamilkła.

Czy jest bardziej bezużyteczny zwrot niż „gdyby tak”?

— Przepraszam — powiedziała Rizzoli.

Maura odetchnęła głęboko i usiadła wyprostowana, dając do zrozumienia, że nie musi być trzymana za rękę. Że sama sobie poradzi. Zamknęła teczkę i podsunęła ją z powrotem do Rizzoli.

— Dziękuję, Jane.

— Nie, proszę to zatrzymać. Ta fotokopia jest dla pani.

Obie wstały. Rizzoli sięgnęła do kieszeni i położyła na stole wizytówkę.

— To też może się pani przydać. Powiedział, że czeka na telefon, gdyby miała pani jakieś pytania.

Maura spojrzała na nazwisko na wizytówce: RICHARD D. BALLARD, DETEKTYW. KOMISARIAT POLICJI W NEWTON.

— To właśnie z nim powinna pani pomówić.

Podeszły razem do drzwi frontowych. Maura nadal panowała nad emocjami i odgrywała rolę uprzejmej pani domu. Stała na progu wystarczająco długo, by pomachać Rizzoli na pożegnanie, po czym zamknęła drzwi i poszła do salonu. Nasłuchiwała, jak odjeżdża samochód Rizzoli i podmiejska ulica znów pogrąża się w ciszy. Zostałam sama, pomyślała. Znowu całkiem sama.

Wzięła z półki w salonie stary album ze zdjęciami. Nie zaglądała do niego od lat, od śmierci ojca, gdy robiła porządki w jego domu kilka tygodni po pogrzebie. Znalazła ten album na nocnej szafce i wyobraziła sobie, jak tata siedział na łóżku w ostatnią noc życia, sam w tym wielkim domu, wpatrując się w rodzinne fotografie z czasów młodości. Ostatnią rzeczą, jaką widział, zanim zgasił światło, były radosne twarze.

Otworzyła album i przyglądała się tym twarzom teraz. Papier był kruchy. Niektóre z fotografii miały prawie czterdzieści lat. Wpatrywała się w zdjęcie matki, promiennie uśmiechniętej, trzymającej ciemnowłose niemowlę. Za nimi był dom, którego Maura nie pamiętała, z wiktoriańskim wykończeniem i oknami wykuszowymi. Pod zdjęciem jej

matka, Ginny, napisała z właściwą sobie starannością: *Przyjazd Maury do domu*.

Nie było żadnych zdjęć ze szpitala ani z okresu ciąży. Tylko ten sugestywny obraz Ginny, uśmiechniętej w blasku słońca, z podarowanym niemowlęciem na rękach. Maura pomyślała o innym ciemnowłosym dziecku, obejmowanym przez inną matkę. Może tego samego dnia dumny ojciec w innym mieście zrobił zdjęcie swojej nowej córeczki. Dziewczynki o imieniu Anna.

Maura odwracała kolejne strony albumu. Widziała siebie w wieku niemowlęcym, a potem przedszkolnym. Tu siedzi na nowiutkim rowerze, podtrzymywana przez ojca. A to jej pierwszy recital fortepianowy. Trzyma ręce na klawiaturze, a ciemne włosy ma związane z tyłu zieloną wstążką.

Odwróciła ostatnią stronę. Boże Narodzenie. Siedmioletnia Maura stoi między matką i ojcem. Obejmują się czule ramionami na tle lśniącej świecącymi choinki. Wszyscy są uśmiechnięci. Wymarzona chwila, pomyślała Maura. Ale takie chwile nigdy nie trwają długo. Przychodzą i znikają i nie możemy ich przywrócić. Możemy tylko stwarzać następne.

Doszła do końca albumu. Oczywiście, były jeszcze inne, co najmniej cztery następne tomy historii Maury, w których jej rodzice rejestrowali wszystkie ważne wydarzenia. Ale ojciec trzymał przy łóżku właśnie ten album, ze zdjęciami córki z czasów, gdy była małą dziewczynką, a on i Ginny tryskali jeszcze energią, zanim ich włosy przyprószyła siwizna. Zanim nad jego życiem zaciążył smutek i śmierć Ginny.

Wpatrywała się w twarze swoich rodziców, myśląc: Jakie miałam szczęście, że mnie wybraliście. Tęsknię za wami. Bardzo mi was brakuje. Zamknęła album i patrzyła przez łąki na skórzaną oprawę.

Czemu was tu nie ma? Czemu nie możecie mi powiedzieć, kim naprawdę jestem?

Poszła do kuchni i wzięła do ręki wizytówkę, którą Rizzoli zostawiła na stole. Z przodu wydrukowany był służbowy telefon Ricka Ballarda z komisariatu w Newton. Odwróciwszy wizytówkę, zobaczyła, że jest tam również domowy numer i dopisek: „Proszę dzwonić o każdej porze, w dzień i w nocy. R.B.”.

Podeszła do telefonu i wykręciła jego domowy numer. Po trzecim sygnale usłyszała odpowiedź: „Ballard”. Tylko nazwisko, wypowiedziane rzeczowym tonem. Ten człowiek przechodzi od razu do konkretów, pomyślała. Nie miałby ochoty rozmawiać z kobietą, która nie panuje nad uczuciami. W tle słyszała reklamę telewizyjną. Odpoczywał w domu

i na pewno nie chciał, by mu przeszkadzano.

— Halo? — powiedział z nutą zniecierpliwienia.

Maura odchrząknęła.

— Przepraszam, że niepokoję pana w domu. Detektyw Rizzoli dała mi pańską wizytówkę. Nazywam się Maura Isles i... — *I co? Chcę, żeby pomógł mi pan przetrwać tę noc?*

— Spodziewałem się pani telefonu, doktor Isles — odparł.

— Wiem, że powinnam poczekać do rana, ale...

— Ależ skąd. Na pewno ma pani wiele pytań.

— Trudno mi się z tym oswoić. Nie wiedziałam, że mam siostrę i nagle...

— Wszystko się zmieniło, prawda? — Jego głos, który jeszcze przed chwilą brzmiał oschle, był teraz tak cichy i współczujący, że Maurze napłynęły do oczu łzy.

— Tak — szepnęła.

— Powinniśmy chyba się spotkać. Dowolnego dnia w przyszłym tygodniu. Jeśli woli pani wieczorem...

— A dzisiaj?

— Jestem z córką. Nie mogę teraz wyjść.

Oczywiście, ma rodzinę, pomyślała. Zaśmiała się z zażenowaniem.

— Przepraszam. Nie przyszło mi do głowy... — Może wpadnie pani do mnie?

Zamilkła, czując pulsowanie w skroniach. — Gdzie pan mieszka? — spytała.

* * *

Ballard mieszkał w Newton, w spokojnej podmiejskiej dzielnicy na zachód od Bostonu, zaledwie sześć kilometrów od Brookline. Jego dom niczym się nie wyróżniał, jak zresztą wszystkie nieruchomości w okolicy, ale był dobrze utrzymany. Z frontowego ganku Maura zobaczyła niebieską poświatę ekranu telewizora i usłyszała jednostajne dudnienie popu. Była zaskoczona, że policjant ogląda MTV.

Zadzwoniła do drzwi. Otworzyły się szeroko i na progu pojawiła się blondynka w poszarpanych dżinsach i odsłaniającym pępek podkoszulku. Był to dość prowokujący strój jak na dziewczynę, która mogła mieć najwyżej czternaście lat, sądząc po jej szczupłych biodrach i drobnych piersiach. Nie odezwała się ani słowem, tylko

wpatrywała się w Maurę posępnym wzrokiem, jakby broniła domu przed kolejnym intruzem.

— Cześć — powiedziała Maura. — Jestem Maura Isles. Chcę się zobaczyć z detektywem Ballardem.

— Czy tata pani oczekuje?

— Tak.

Usłyszały ze środka męski głos:

— Katie, to do mnie.

— Myślałam, że to mama. Powinna już być.

Ballard pojawił się w drzwiach, górując wzrostem nad córką. Maurze trudno było uwierzyć, że ten mężczyzna, ze swą konserwatywną fryzurą i starannie uprasowaną oksfordzką koszulą, może być ojcem zbuntowanej nastolatki. Uścisnął jej mocno dłoń, mówiąc:

— Rick Ballard. Proszę wejść, doktor Isles.

Gdy Maura weszła do środka, dziewczyna odwróciła się i wróciła do salonu, gdzie usiadała przed telewizorem.

— Katie, przywitaj się chociaż z naszym gościem.

— Oglądam mój program.

— Możesz przez grzeczność na chwilę się oderwać, prawda?

Katie westchnęła głośno i niechętnie skinęła głową w kierunku Maury.

— Cześć — powiedziała i ponownie odwróciła się do telewizora.

Ballard przyglądał się córce przez chwilę, jakby się zastanawiał, czy warto dalej ją strofować.

— Ścisz to trochę — poprosił w końcu. — Muszę porozmawiać z doktor Isles.

Dziewczyna chwyciła pilota i wycelowała go jak broń w telewizor. Zaczął grać odrobinę ciszej.

Ballard spojrzał na Maurę.

— Napije się pani kawy? Albo herbaty?

— Nie, dziękuję.

Pokiwał głową ze zrozumieniem.

— Chce pani tylko posłuchać o Annie.

— Właśnie.

— Mam w gabinecie kopię jej akt.

Jeśli gabinet odzwierciedlał charakter człowieka, Rick Ballard był równie solidny i niezawodny jak zajmujące tam większość przestrzeni dębowe biurko. Nie usiadł za nim, lecz wskazał Maurze kanapę, a sam zajął miejsce w fotelu naprzeciwko niej. Dzielił ich tylko stolik do kawy, na którym leżała pojedyncza kartonowa teczka. Przez zamknięte drzwi nadal słyszeli natrętne dudnienie muzyki z telewizora.

— Muszę przeprosić za zachowanie mojej córki — powiedział. — Katie przeżywa teraz trudny okres i nie bardzo potrafię sobie z nią poradzić. Wiem, jak postępować z przestępcami, ale z czternastolatką...? — Zaśmiał się gorzko.

— Mam nadzieję, że moja wizyta nie pogarsza sprawy.

— To nie ma nic wspólnego z panią, proszę mi wierzyć. Nasza rodzina przechodzi właśnie kryzys. W zeszłym roku rozszedłem się z żoną i Katie nie chce tego zaakceptować. Powoduje to wiele kłótni i napięć.

— Przykro mi to słyszeć.

— Rozwód nigdy nie jest przyjemny.

— Mój z pewnością nie był.

— Ale jakoś pani doszła do siebie.

Pomyślała o Victorze, który tak niedawno wtargnął w jej życie. Kusilo ją przez chwilę, by się z nim pogodzić.

— Nie jestem pewna, czy kiedykolwiek dochodzi się do siebie po rozwodzie — odparła. — Były mąż czy żona zawsze stanowi część naszego życia, dobrą lub złą. Ważne, żeby pamiętać tylko to, co dobre.

— Czasem nie jest to takie łatwe.

Milczeli przez moment. Słysząc było tylko drażniące dudnienie muzyki z telewizora, przed którym siedziała zbuntowana nastolatka. Ballard rozprostował nagle swe szerokie ramiona i popatrzył na Maurę. Było to spojrzenie, którego nie mogła uniknąć, które mówiło, że skupia na niej całą uwagę.

— Przyszła pani dowiedzieć się czegoś o Annie.

— Tak. Detektyw Rizzoli powiedziała, że pan ją znał. Że próbował ją pan chronić.

— Nie za bardzo mi to wyszło — rzekł cicho. Dostrzegła w jego oczach grymas bólu. Wziął do ręki teczkę, leżącą na stoliku do kawy i podał jej. — Mało przyjemny widok. Ale ma pani prawo to zobaczyć.

Otworzyła teczkę i ujrzała fotografię Anny Leoni, stojącej na tle nagiej białej ściany. Miała na sobie papierową koszulę szpitalną. Jedno oko było prawie niewidoczne pod opuchlizną, a na policzku widniał fioletowy siniak. Patrzyła w obiektyw zdrowym okiem, wyraźnie oszołomiona.

— Tak wyglądała, gdy pierwszy raz ją spotkałem — powiedział. — To zdjęcie zrobiono w zeszłym roku na pogotowiu, kiedy pobił ją mężczyzna, z którym wcześniej mieszkała. Wyprowadziła się z jego mieszkania w Marblehead i wynajmowała dom tutaj, w Newton. Pewnej nocy pojawił się u niej i próbował ją namówić do powrotu. Kazała mu wyjść. Ale Charles Cassell nie pozwalał, by mu rozkazywano. I tak do tego doszło.

Maura słyszała gniew w jego głosie. Podniosła wzrok i zobaczyła, jak zaciska usta.

— Rozumiem, że wniosła przeciw niemu oskarżenie.

— Tak, do cholery. Cały czas jej pomagałem. Wobec mężczyzny, który bije kobietę, skutkuje tylko jedno: kara. Starłem się dopilnować, by poniósł konsekwencje. Ciągle mam do czynienia z przemocą w rodzinie i za każdym razem budzi to mój gniew. Czuję się wtedy tak, jakbym został zaprogramowany na jeden cel: chcę tylko przygwoździć faceta. Takie właśnie miałem nastawienie do Charlesa Cassella.

— I co się stało?

Ballard pokręcił głową z odrazą.

— Spędził w więzieniu tylko jedną parszywą noc. Kiedy ma się pieniądze, można niemal wszystko kupić. Miałem nadzieję, że na tym się skończy, że będzie trzymał się od niej z daleka. Ale ten człowiek nie ma zwyczaju przegrywać. Nadal do niej dzwonił, nachodził ją. Dwukrotnie się przeprowadzała, ale za każdym razem ją odnajdywał. W końcu otrzymał sądowy zakaz zbliżania się do niej, ale i tak przejeżdżał regularnie samochodem obok jej domu. Potem, jakieś pół roku temu, zaczęła się czuć śmiertelnie zagrożona.

— Dlaczego?

Skinął głową na teczkę.

— Wszystko jest tutaj. Pewnego ranka znalazła wetkniętą w drzwi karteczkę.

Maura spojrzała na fotokopię. Na pustej kartce były wydrukowane tylko dwa słowa.

Jesteś martwa.

Przeniknął ją dreszcz. Wyobraziła sobie, że wstaje rano, otwiera drzwi frontowe, by zabrać gazetę, i widzi, jak upada na ziemię pojedyncza biała kartka. Rozwija ją

i odczytuje te dwa słowa.

— To była dopiero pierwsza pogróżka — wyjaśnił Ballard. — Potem pojawiły się następne.

Popatrzyła na kolejną stronę. Widniały na niej te same dwa słowa.

Jesteś martwa.

Obejrzała trzecią i czwartą.

Jesteś martwa.

Jesteś martwa.

Poczuła, że zaschło jej w gardle. Spojrzała na Ballarda.

— Nie mogła go jakoś powstrzymać?

— Próbowaliśmy, ale nie mogliśmy udowodnić, że on to pisał. Podobnie jak nie było dowodów, że to on zadrapał jej samochód i pociął siatki w oknach. Pewnego dnia znalazła w skrzynce na listy martwego kanarka ze skreconą szyjką. Wtedy postanowiła wynieść się z Bostonu. Chciała zniknąć.

— I pan jej w tym pomógł.

— Zawsze jej pomagałem. To do mnie dzwoniła za każdym razem, gdy Cassell ją molestował. Ja załatwiłem jej nakaz sądowy. A kiedy postanowiła wyjechać z miasta, w tym także jej pomogłem. Nie jest łatwo tak po prostu zniknąć, zwłaszcza gdy szuka cię ktoś z takimi możliwościami jak Cassell. Nie dość, że zmieniła nazwisko, to miała również fikcyjne miejsce zamieszkania. Wynajęła mieszkanie, do którego nigdy się nie przeprowadziła — chciała zmylić trop na wypadek, gdyby ktoś ją wysłedził. Chodziło o to, by przenieść się w zupełnie nowe miejsce, gdzie płaci się za wszystko gotówką, i zostawić za sobą całą przeszłość. Tak to powinno wyglądać.

— A jednak ją odnalazł.

— Chyba dlatego wróciła do Bostonu. Wiedziała, że nie jest już bezpieczna w nowym miejscu. Wie pani, że do mnie dzwoniła, prawda? Poprzedniej nocy?

Maura skinęła głową.

— Tak mówiła Rizzoli.

— Zostawiła na automatycznej sekretarce wiadomość, że zatrzymała się w hotelu Tremont. Byłem u siostry w Denver, więc odebrałem tę informację dopiero po powrocie do domu. Wtedy Anna już nie żyła. — Napotkał spojrzenie Maury. — Cassell oczywiście do niczego się nie przyzna. Ale jeśli zdołał odnaleźć ją w Fox Harbor, ktoś musiał go tam

widzieć. Zamierzam udowodnić, że był w tym mieście. Dowiem się, czy ktoś go zapamiętał.

— Ale Anna nie zginęła w Maine. Zamordowano ją przed moim domem.

Ballard pokręcił głową.

— Nie wiem, co łączy panią z tą sprawą, doktor Isles. Ale nie wierzę, by śmierć Anny miała coś wspólnego z panią.

Usłyszeli gong u drzwi. Ballard nie wstał, by otworzyć, lecz pozostał w fotelu, wpatrując się w Maurę. Jego spojrzenie było tak intensywne, że nie mogła odwrócić wzroku, tylko patrzyła mu w oczy, myśląc: Chcę mu wierzyć. Nie mogę znieść świadomości, że w jakiś sposób jestem winna jej śmierci.

— Chcę przymknąć Cassella — oznajmił. — I zrobię wszystko, co w mojej mocy, żeby pomóc Rizzoli to zrobić. Obserwowałem rozwój tej sprawy i wiedziałem od samego początku, jak to się skończy. A jednak nie umiałem temu zapobiec. Mam dług wobec Anny. Muszę doprowadzić sprawę do końca.

Uwagę Maury przyciągnęły nagle odgłosy kłótni. W sąsiednim pokoju umilkł telewizor, ale Katie sprzeczała się z jakąś kobietą. Ballard spojrzał w kierunku drzwi, gdy ostra wymiana zdań zamieniła się w krzyki.

— Co ty sobie myślisz, do cholery? — wrzeszczała kobieta.

Ballard wstał.

— Przepraszam. Powinienem chyba sprawdzić, o co chodzi. — Wyszedł i Maura usłyszała, jak pyta: — Carmen, co się dzieje?

— Zapytaj swoją córkę — odparła kobieta.

— Przestań, mamó. Po prostu, kurwa, przestań!

— Powiedz ojcu, co się dzisiaj stało. No już, powiedz mu, co znaleźli w twojej szafce.

— To nic takiego.

— Powiedz mu, Katie.

— Mocno przesadzasz.

— Co się stało, Carmen? — spytał Ballard.

— Po południu zadzwonił do mnie dyrektor szkoły. Zrobili rano wyrywkową kontrolę szafek i zgadnij, co znaleźli u naszej córki? Skręta. Jak to wygląda, do cholery? Oboje rodzice pracują w policji, a ona trzyma w szafce narkotyki. Mamy szczęście, że

dyrektor pozwolił, żebyśmy sami się tym zajęli. A gdyby złożył doniesienie? Musiałabym aresztować własną córkę.

— O Chryste.

— Musimy zająć się tym razem, Rick. Trzeba uzgodnić, jak to załatwimy.

Maura podniosła się z kanapy i podeszła do drzwi, nie wiedząc, jak dyskretnie zniknąć. Nie chciała uczestniczyć w rodzinnym konflikcie i słuchać wymiany zdań, której nie powinna być świadkiem. Powinnam się pożegnać i wyjść, pomyślała. Zostawić tych strapionych rodziców samych.

Wyszła do holu i przystanęła, zbliżywszy się do salonu. Matka Katie spojrzała zaskoczona na nieoczekiwanego gościa. Jeśli córka miała w przyszłości być do niej podobna, ta posępna nastolatka zapowiadała się na posagową blondynę. Kobieta była niemal tak wysoka jak Ballard. Miała smukłą sylwetkę lekkoatletki i włosy związane z tyłu w luźny ogonek. Na jej twarzy nie było śladu makijażu, ale kobieta o tak wyrazistych rysach nie musiała poprawiać urody.

— Przykro mi, że przeszkadzam — rzekła Maura.

Ballard odwrócił głowę i zaśmiał się gorzko.

— Obawiam się, że nie poznaje nas pani z najlepszej strony. To mama Katie, Carmen. A to doktor Maura Isles.

— Już pójdę — oznajmiła Maura.

— Nie zdążyliśmy jeszcze porozmawiać.

— Zadzwońię innym razem. Widzę, że jest pan zajęty. — Skinęła głową do Carmen.

— Miło było panią poznać. Dobranoc.

— Odprowadzę panią — zaproponował Ballard.

Gdy wyszli z domu, odetchnął głęboko, jakby czując ulgę, że oddalił się od rodzinnych problemów.

— Przepraszam, że zjawiłam się nie w porę — powiedziała.

— To ja przepraszam, że musiała pani tego słuchać.

— Zauważył pan, że ciągle się przed sobą usprawiedliwiamy?

— Pani nie ma żadnych powodów, Mauro.

Doszli do jej samochodu i przystanęli na chwilę.

— Nie zdążyłem pani powiedzieć zbyt wiele o siostrze.

— Może następnym razem.

Skinął głową.

— Następnym razem.

Wsunęła się za kierownicę i zamknęła drzwiczki. Zobaczywszy, że Ballard pochyla się, by coś dodać, opuściła szybę.

— Na razie powiem pani tylko jedno — rzekł.

— Słucham?

— Jest pani tak podobna do Anny, że zapiera mi dech w piersiach.

* * *

Nie mogła zapomnieć tych słów, siedząc w salonie i wpatrując się w fotografię małej Anny Leoni z rodzicami. Przez wszystkie te lata, pomyślała, brakowało cię w moim życiu, a ja nie zdawałam sobie z tego sprawy. Ale musiałam wiedzieć. W jakimś sensie musiałam czuć nieobecność siostry.

Jest pani tak podobna do Anny, że zapiera mi dech w piersiach.

Tak, pomyślała, dotykając twarzy Anny na zdjęciu. Mnie też zapiera dech. Miały z Anną taki sam kod DNA. Co jeszcze miały wspólnego? Anna też wybrała pracę naukową, wymagającą kierowania się rozumem i logiką. Musiała być równie dobra z matematyki. Czy podobnie jak Maura grała na pianinie? Czy uwielbiała książki, australijskie wina i programy historyczne w telewizji?

Tyle jeszcze chciałabym o tobie wiedzieć.

Zrobiło się późno. Zgasła lampę i poszła do sypialni, by się spakować.

Rozdział ósmy

Nieprzenikniona ciemność. Ból głowy. Zapach drewna, wilgotnej ziemi i... czegoś jeszcze, co zupełnie nie pasowało do tego miejsca. Czekolada. Czuła czekoladę.

Mattie Purvis otworzyła szeroko oczy, ale równie dobrze mogła mieć zaciśnięte powieki, bo i tak nic nie widziała. Żadnego przebłysku światła ani zarysu cienia.

O Boże, czyżbym oślepla? Gdzie ja jestem?

Nie była w swoim łóżku. Leżała na czymś twardym i bolały ją plecy. Podłoga? Nie, nie miała pod sobą gładkiego drewna, lecz surowe, zakurzone deski.

Gdyby tylko tak nie pulsowało jej w skroniach.

Przymknęła oczy, opanowując mdłości. Próbowała, mimo bólu, przypomnieć sobie, jak mogła się znaleźć w tym obcym, ciemnym miejscu, gdzie nic nie wydawało się znajome. Dwayne, pomyślała. Pokłóciliśmy się, a potem pojechałam do domu. Starła się odtworzyć bieg wydarzeń. Pamiętała stertę korespondencji na stole. Pamiętała, jak łyżki skapywały jej na listy. Jak raptownie podskoczyła, przewracając krzesło.

Usłyszałam hałas. Poszłam do garażu. Usłyszałam hałas, poszłam do garażu i...

Nic. Potem już niczego nie pamiętała.

Otworzyła oczy. Było nadal ciemno. Kiepsko, Mattie, pomyślała. Bardzo kiepsko. Boli cię głowa, straciłaś pamięć i wzrok.

— Dwayne? — zawołała. Słyszała tylko pulsowanie krwi w uszach.

Musiała się podnieść. Musiała poszukać pomocy albo przynajmniej znaleźć telefon.

Przekręciła się na prawy bok, aby wstać, i tak mocno uderzyła twarzą o jakąś ścianę, że znów przewróciła się na plecy. Leżała oszołomiona, z obolałym nosem. Skąd się tam wzięła ściana? Wyciągnęła rękę i dotknęła surowych desek. W porządku, pomyślała, odwróć się w drugą stronę. W lewo.

Zderzyła się z kolejną ścianą.

Serce zaczęło jej bić coraz głośniejsze i szybciej. Leżała znów na plecach, myśląc: Z obu stron są ściany. To niemożliwe. To się nie dzieje naprawdę. Podźwignęła się, próbując usiąść i uderzywszy o coś głową, ponownie opadła plecami na podłogę.

Nie, nie, nie!

Ogarnęła ją panika. Zaczęła wymachiwać rękami, natrafiając z każdej strony na przeszkody. Drapała deski, wbijając sobie drzazgi w palce. Słyszała krzyki, ale nie rozpoznawała własnego głosu. Wszędzie były ściany. Po omacku tłukła w nie pięściami, aż posiniaczyła i poraniła dłonie, a ręce omdlały jej z wysiłku. Stopniowo krzyki przeszły w szloch, a na koniec w pełne zdumienia milczenie.

To skrzynia. Jestem zamknięta w skrzyni.

Wciągnęła głęboko powietrze i poczuła zapach własnego potu, swego strachu. Dziecko poruszyło się w jej łonie, uwięzione tak jak ona w ciasnej przestrzeni. Przypomniały jej się rosyjskie laleczki, które dostała kiedyś od babci. Powkładane jedna w drugą.

Umrzemy tu oboje. Moje dziecko i ja.

Przymknąwszy oczy, starała się zapanować nad kolejnym atakiem paniki.

Przestań. Natychmiast przestań. Rusz głową, Mattie.

Wyciągnąwszy drżącą rękę w prawo, dotknęła jednej ze ścian. Sięgnąwszy w lewo, wymacała drugą. W jakiej były od siebie odległości? Metr, może więcej. A jaką długość miała skrzynia? Sięgnąwszy za głowę, przekonała się, że jest tam ze trzydzieści centymetrów wolnej przestrzeni. W tym kierunku nie było tak źle. Miała trochę swobody. Tuż za głową wyczuła palcami coś miękkiego. Okazało się, że to koc. Gdy przyciągnęła go do siebie i rozwinęła, na podłogę wypadł jakiś ciężki przedmiot. Zimny metalowy cylinder. Serce znów zaczęło jej walić. Tym razem jednak nie czuła strachu, lecz nadzieję.

To była latarka.

Znalazła przełącznik i zapaliła ją. Odetchnęła z ulgą, gdy snop światła przeniknął mrok. *Widzę, widzę!* Poświeciła latarką po ścianach swego więzienia. Skierowawszy ją na sufit, zobaczyła, że trzymając nisko głowę, powinna dać radę usiąść.

Poruszając się niezdarnie z powodu swego brzucha, z trudem się podźwignęła. Dopiero wtedy zobaczyła, co ma przy nogach. Stało tam plastikowe wiadro, miska, dwa duże dzbanki z wodą i torba na zakupy. Podpełzła do niej, by zajrzeć do środka. To dlatego czułam zapach czekolady, pomyślała. Wewnątrz były batoniki, suszona wołowina i słone krakersy. I baterie. Trzy opakowania nowych baterii.

Oparła się o ścianę, wybuchając nagle śmiechem. Szaleńczym, przeraźliwym

śmiechem, który brzmiał zupełnie obco. Jakby postradała zmysły. *Super. Mam wszystko, żeby przeżyć, z wyjątkiem...*

Powietrza.

Jej śmiech nagle zamarł. Siedziała, nasłuchując swego oddechu. Wdech — tlen, wydech — dwutlenek węgla. Oczyszczający proces. Ale tlenu w końcu zabraknie. W skrzyni mieści się go tylko pewna ilość. Czy powietrze nie jest już gęściejsze? Poza tym wpadła w panikę, tłukła się jak opętana. Zużyła już pewnie większość tlenu.

Nagle poczuła na włosach chłodny powiew. Podniosła wzrok i skierowała snop światła nad głowę, zobaczyła okrągłą kratkę. Miała zaledwie kilkanaście centymetrów średnicy, ale wystarczała, by z góry dochodziło świeże powietrze. Mattie patrzyła zdumiona na wywietrznik. Jestem zamknięta w skrzyni, pomyślała. Mam jedzenie, wodę i powietrze.

Ktokolwiek ją tam wsadził, chciał, żeby żyła.

Rozdział dziewiąty

Rick Ballard powiedział, że doktor Charles Cassell jest bogaty, ale tego Jane Rizzoli się nie spodziewała. Posiadłość Marblehead była ogrodzona wysokim ceglany murem, a przez pręty bramy z kutego żelaza Rizzoli i Frost zobaczyli dom — masywny biały gmach w stylu federalnym, otoczony co najmniej dwoma akrami szmaragdowego trawnika. Za nim lśniły wody zatoki Massachusetts.

— Nieźle — powiedział Frost. — Dorobił się tego na lekarstwach?

— Zaczął od sprzedaży jednego środka na odchudzanie — wyjaśniła Rizzoli. — W ciągu dwudziestu lat doszedł do tego. Ballard twierdzi, że to facet, z którym nie należy zadzierać. — Spojrzała na Fosta. — A kobieta z całą pewnością nie powinna od niego odchodzić.

Opuściła szybę w samochodzie i wcisnęła guzik interkomu.

Usłyszeli przez trzaski w głośniku męski głos:

— Nazwisko, proszę.

— Detektywi Rizzoli i Frost z policji w Bostonie. Do doktora Cassella.

Brama otworzyła się szeroko i wjechali do środka, na kręty podjazd, który prowadził do okazałego portyku. Rizzoli zaparkowała za ognistoczerwonym ferrari. Jej stary subaru miał pewnie jedyną okazję stać tak blisko wozu tej klasy. Drzwi frontowe otworzyły się, zanim zdążyli zapukać, i pojawił się w nich kędzierzawy mężczyzna, którego spojrzenie nie było ani przyjazne, ani nieprzyjazne. Wcale nie przyglądał im się ze swobodą, na jaką wskazywałby jego ubiór: koszulka polo i jasnobrązowe spodnie.

— Jestem Paul, asystent doktora Cassella — oznajmił.

— Detektyw Rizzoli. — Wyciągnęła rękę, ale mężczyzna nawet na nią nie spojrzał, jakby nie była warta jego uwagi.

Wprowadził ich do domu, który bynajmniej nie wyglądał tak, jak Rizzoli się spodziewała. Choć z zewnątrz był tradycyjną, federalną budowlą, w środku zobaczyła surową, nowoczesną, wręcz zimną, lśniącą białymi ścianami galerię sztuki abstrakcyjnej. W foyer dominowała rzeźba z brązu, przedstawiająca splecione faliste linie, które budziły

erotyczne skojarzenia.

— Jak państwo wiecie, doktor Cassell wrócił właśnie zeszłej nocy z podróży — oznajmił Paul. — Jest zmęczony lotem i nie czuje się dobrze. Proszę więc się streszczać.

— Wyjeżdżał w interesach? — spytał Frost.

— Tak. Miał spotkanie umówione ponad miesiąc temu, jeśli to pana interesuje.

Co nic nie znaczyło, pomyślała Rizzoli, z wyjątkiem tego, że Cassell potrafił planować z wyprzedzeniem swoje działania.

Paul poprowadził ich przez salon o czarno-białym wystroju, w którym szokował wzrok pojedynczy szkarłatny wazon. Przy jednej ze ścian stał telewizor z wielkim płaskim ekranem, a szafka z przyciemnionego szkła mieściła całą kolekcję sprzętu elektronicznego. Wymarzona kawalerska garsoniera, pomyślała Rizzoli. Ani śladu ręki kobiety, tylko męskie akcesoria. Słyszała muzykę, przypuszczalnie z płyty CD. Jazzowe akordy, wędrujące smętnie po klawiaturze fortepianu. Nie była to melodia ani piosenka, tylko dźwięki, przemieszane w niemym lamencie. Muzyka stała się jeszcze głośniejsza, gdy Paul doprowadził ich do przesuwanych drzwi i otworzywszy je, oznajmił:

— Policja, doktorze Cassell.

— Dziękuję.

— Czy mam zostać?

— Nie, Paul, możesz odejść.

Rizzoli i Frost weszli do pokoju, a Paul zasunął za nimi drzwi. Znaleźli się w pomieszczeniu tak mrocznym, że nie widzieli prawie mężczyzny siedzącego przy fortepianie. A więc była to muzyka na żywo, nie płyta kompaktowa. Zaciągnięte na oknie ciężkie zasłony wpuszczały tylko smugę światła. Cassell sięgnął do lampy i włączył ją. Była to przyciemniona kula, osłonięta japońskim papierem ryżowym, ale i tak zmrużył oczy. Na fortepianie obok niego stała szklanka whisky. Był nieogolony i miał przekrwione oczy — nie przypominał wyrachowanego rekina korporacji, lecz człowieka zbyt pogrążonego w rozpacz, by przejmować się tym, jak wygląda. Mimo wszystko miał uderzająco atrakcyjną twarz i tak przenikliwe spojrzenie, że Rizzoli czuła, jakby świdrowało jej mózg. Był młodszy, niż oczekiwałyby po człowieku, który własnymi siłami dorobił się fortuny — mógł mieć pod pięćdziesiątkę. W tak młodym wieku wierzył jeszcze zapewne, że jest niezwykły.

— Doktorze Cassell — odezwała się. — Jestem detektyw Rizzoli z policji

w Bostonie. A to detektyw Frost. Wie pan, dlaczego tu przyjechaliśmy?

— Ponieważ was na mnie nasłał, czy tak?

— Kto?

— Detektyw Ballard. Jest jak cholerny bulterier.

— Przyjechaliśmy tu, ponieważ znał pan Annę Leoni. Ofiarę zabójstwa.

Sięgnął po szklankę whisky. Sądząc po tym, jak wyglądał, nie był to jego pierwszy drink tego dnia.

— Powiem wam coś o detektywie Ballardzie, zanim zaczniecie wierzyć we wszystko, co mówi. Ten facet to prawdziwy, stuprocentowy duppek. — Opróżnił jednym haustem resztę zawartości szklanki.

Rizzoli pomyślała o Annie Leoni, jej opuchniętym oku i fioletowym siniaku na policzku. *Chyba wiemy, kto tu jest naprawdę dupkiem.*

Cassell odstawił pustą szklankę.

— Powiedzcie mi, jak to się stało — rzekł. — Muszę wiedzieć.

— Mamy kilka pytań, doktorze Cassell.

— Najpierw powiedzcie mi, co się stało.

To dlatego zgodził się z nami spotkać, pomyślała Rizzoli. Potrzebuje informacji. Chce wybadać, jak dużo wiemy.

— Podobno ktoś strzelił jej w głowę — powiedział. — I znaleziono ją w samochodzie?

— Zgadza się.

— Tyle wyczytałem już w „Boston Globe”. Jakiej użyto broni? Jakiego kalibru pocisku?

— Wie pan, że tego nie mogę ujawnić.

— To zdarzyło się w Brookline? Co ona tam robiła, do cholery?

— Tego też nie mogę panu powiedzieć.

— Nie może mi pani powiedzieć? — Spojrzał na nią. — Czy tego nie wiecie?

— Nie wiemy.

— Czy był z nią ktoś, kiedy to się stało?

— Nie było innych ofiar.

— Więc kogo podejrzewacie oprócz mnie?

— To my mamy zadawać pytania, doktorze Cassell.

Podniósł się i ruszył chwiejnym krokiem do szafki. Wyjął butelkę whisky i napełnił ponownie szklanekę, ostentacyjnie nie proponując drinka swoim gościom.

— Może odpowiem od razu na pytanie, które chcecie mi zadać — rzekł, siadając znów przy fortepianie. — Nie, nie zabiłem Anny. Od miesiący nawet jej nie widziałem.

— Kiedy widział pan panią Leoni po raz ostatni? — spytał Frost.

— Chyba w marcu. Któregoś popołudnia przejeżdżałem koło jej domu. Stała na chodniku i wyjmowała pocztę.

— Czy nie miał pan już wtedy sądowego zakazu zbliżania się do niej?

— Nie wysiadałem z samochodu, jasne? Nawet się do niej nie odezwałem. Zobaczyła mnie i weszła bez słowa do domu.

— To po co pan tamtędy przejeżdżał? — zadała pytanie Rizzoli. — Żeby ją zastraszyć?

— Nie.

— Zatem po co?

— Chciałem tylko ją zobaczyć. Brakowało mi jej. Ja nadal... — Przerwał i odchrząknął. — Nadal za nią tęsknię.

Teraz powie, że ją kochał.

— Kochałem ją — dodał. — Czemu miałbym ją krzywdzić?

Jakby nigdy nie słyszeli tego od żadnego mężczyzny.

— Poza tym, jak mógłbym? Nie wiedziałem, gdzie jest.

Gdy ostatnio się przeprowadziła, nie potrafiłem jej odnaleźć.

— Ale próbował pan?

— Owszem, próbowałem.

— Wiedział pan, że mieszkała w Maine? — spytał Frost.

Cassell zamilkł. Podniósł wzrok, marszcząc brwi.

— Gdzie w Maine?

— W małym miasteczku Fox Harbor.

— Nie, tego nie wiedziałem. Przypuszczałem, że jest gdzieś w Bostonie.

— Doktorze Cassell — powiedziała Rizzoli. — Gdzie był pan w miniony czwartek w nocy?

— Tutaj, w domu.

— Przez całą noc?

— Od piątej po południu. Pakowałem się do wyjazdu.

— Czy ktoś może to potwierdzić?

— Nie. Paul miał wolny wieczór. Przyznaję, że nie mam alibi. Byłem sam, tylko w towarzystwie fortepianu. — Uderzył w klawiaturę, wygrywając fałszywie brzmiący akord. — Odleciałem następnego ranka. Samolotem Northwest Airlines, jeśli chcecie sprawdzić.

— Sprawdzimy.

— Rezerwację zrobiono sześć tygodni wcześniej. Planowałem te spotkania od dawna.

— Tak powiedział nam pański asystent.

— Doprawdy? No cóż, tak było.

— Czy ma pan broń? — spytała Rizzoli.

Cassell znieruchomiał, wpatrując się w nią ciemnymi oczami.

— Naprawdę pani myśli, że to zrobiłem?

— Mógłby pan odpowiedzieć na pytanie?

— Nie, nie mam żadnej broni. Ani pistoletu, ani karabinu, ani straszaka. I nie zabiłem jej. Nie zrobiłem nawet połowy rzeczy, o które mnie oskarżała.

— Twierdzi pan, że kłamała policji?

— Uważam, że przesadzała.

— Widzieliśmy zdjęcie, które zrobiono jej na pogotowiu tej nocy, gdy pan ją pobił. Czy wtedy też przesadzała?

Opuścił wzrok, jakby nie mogąc znieść jej oskarżycielskiego spojrzenia.

— Nie — odparł cicho. — Nie przeczę, że ją uderzyłem. Żałuję tego, ale się nie wypieram.

— A to wielokrotne przejeżdżanie obok jej domu? Wynajmowanie prywatnego detektywa, żeby ją śledził? Zjawianie się u niej i żądanie rozmowy?

— Nie odpowiadała na moje telefony. Co miałem zrobić?

— Może wyciągnąć z tego wnioski?

— Nigdy nie czekam biernie, co mi się przydarzy, pani detektyw. Dlatego mam ten dom z pięknym widokiem. Jeśli naprawdę czegoś pragnę, ciężko na to pracuję. A potem nikomu tego nie oddaję. Nie zamierzałem pozwolić, żeby tak po prostu ode mnie odeszła.

— Co właściwie Anna dla pana znaczyła? Była kolejną zdobyczą?

— Nie. — Napotkał jej spojrzenie. Miał w oczach ból. — Anna Leoni była miłością

mojego życia.

Jego odpowiedź zbiła Rizzoli z tropu. Te zwykle, wypowiedziane cicho słowa, brzmiały zaskakująco szczerze.

— O ile wiem, byliście ze sobą trzy lata — powiedziała.

Skinął głową.

— Była mikrobiologiem. Pracowała w dziale badawczym mojej firmy. Tak się poznaliśmy. Pewnego dnia przyszła na posiedzenie zarządu, żeby przekazać nam wyniki testów antybiotyków. Spojrzałem na nią tylko i pomyślałem: To właśnie ta. Wie pani, jak to jest, kochać kogoś tak bardzo, a potem patrzeć, jak odchodzi?

— Czemu to zrobiła?

— Nie wiem.

— Musi pan się domyślać.

— Nie. Proszę spojrzeć, co tu miała! Ten dom, wszystko, czego zapragnęła. Chyba nie jestem odrażający. Każda kobieta byłaby zachwycona, zostając ze mną.

— Dopóki nie zaczęłyby jej pan bić.

Zapadło milczenie.

— Jak często to się zdarzało, doktorze Cassell?

Westchnął głęboko.

— Mam stresującą pracę...

— To pana usprawiedliwia? Dał pan w twarz dziewczynie, bo miał pan ciężki dzień w biurze?

Nie odpowiedział, tylko sięgnął po szklankę. Rizzoli pomyślała, że na tym z pewnością polega częściowo jego problem. Kombinacja zapracowanego biznesmena ze zbyt dużą ilością alkoholu daje w efekcie dziewczynę z podbitym okiem.

Odstawił ponownie szklankę.

— Chciałem tylko, żeby wróciła do domu.

— I próbował pan ją przekonać, wtykając jej w drzwi kartki z pogrózkami?

— Nie robiłem tego.

— Wielokrotnie składała skargi na policji.

— To się nigdy nie zdarzyło.

— Detektyw Ballard twierdził co innego.

Cassell prychnął pogardliwie.

— Ten kretyn wierzył we wszystko, co mu opowiadała. Lubi odgrywać sir Galahada, bo dzięki temu czuje się ważny. Wie pani, że zjawił się tu kiedyś i oznajmił, że jeśli jeszcze raz ją tknę, wypruje mi flaki. Moim zdaniem to żałosne.

— Ona twierdziła, że pociął jej pan siatki w oknach.

— To nieprawda.

— Więc zrobiła to sama?

— Ja nie miałem z tym nic wspólnego.

— Zadrapał jej pan samochód?

— Co?

— Porysował pan drzwiczki?

— To dla mnie nowość. Kiedy to się niby stało?

— A martwy kanarek w skrzynce na listy?

Cassell zaśmiał się z niedowierzaniem.

— Czy wyglądam na kogoś, kto zrobiłby coś tak perwersyjnego? Nie było mnie nawet w mieście, kiedy to się działo. Jakie macie dowody, że to ja?

Przyglądała mu się przez chwilę, myśląc: Jasne, że się wszystkiego wypiera, bo przecież nie możemy dowieść, że pociął siatki w oknach, porysował samochód albo wrzucił do jej skrzynki martwego kanarka. Skoro doszedł do tego, co ma, nie jest głupcem.

— Czemu Anna miałaby kłamać? — spytała Rizzoli.

— Nie wiem — odparł. — Ale kłamała.

Rozdział dziesiąty

Przed południem Maura była już w drodze, dołączyła do tłumu tkwiących w korkach weekendowych turystów, którzy jak wędrujące łososie migrowali na północ z ulic miasta, gdzie powietrze drżało od upału. Uwięzieni w swych samochodach, z marudzącymi dziećmi na tylnych siedzeniach, posuwali się powoli do przodu, wabieni pokusą chłodnych plaż i słonej bryzy. Maura miała przed oczami ten sam obraz, stojąc w korku i patrząc na ciągnący się aż po horyzont sznur aut. Nigdy nie była w Maine. Znała ten region tylko z fotografii w katalogu L. L. Beana, na których opaleni mężczyźni i kobiety nosili parki i traperskie buty, a u ich stóp leżały w trawie golden retrievery. W świecie L. L. Beana Maine było krainą lasów i mglistych wybrzeży, mitycznym miejscem, zbyt pięknym, aby istnieć poza nadziejami i marzeniami. Z pewnością będę zawiedziona, myślała, patrząc na lśniący w promieniach słońca nieskończony sznur samochodów. Ale właśnie w Maine musiała szukać odpowiedzi na pytania.

Wiele miesięcy temu Anna Leoni odbyła taką samą podróż na północ. Jechała wczesną wiosną, w chłodny dzień i szosa nie była wtedy tak zatłoczona. Wyruszywszy z Bostonu, minęła Tobin Bridge, a potem zmierzała na północ drogą 95, w kierunku granicy między Massachusetts i New Hampshire.

Podążam twoimi śladami. Muszę wiedzieć, kim byłaś. Tylko w ten sposób dowiem się, kim ja jestem.

O drugiej przejechała z New Hampshire do Maine, gdzie jak za sprawą czarodziejskiej różdżki zniknął nagle sznur samochodów, jakby skończyła się próba wytrzymałości i teraz otwierały się bramy rajów dla najbardziej wytrwałych. Zatrzymała się tylko na chwilę w zajeździe, by zjeść kanapkę. Przed trzecią zjechała z autostrady na drogę numer 1, prowadzącą dalej na północ wzdłuż wybrzeży Maine.

Ty też tędy jechałaś.

Widoki, które oglądała Anna, musiały być inne. Pola dopiero się zieleniły, a drzewa nie miały jeszcze liści. Ale z pewnością mijala tę samą knajpkę, serwującą paszteciki z homarów, rzuciła okiem na złomowisko z rozłożonymi na trawniku zardzewiałymi

ramami od łóżek i zareagowała, podobnie jak Maura, kręcąc głową z rozbawieniem. Może też zjechała z drogi w Rockport, żeby rozprostować nogi, i spacerowała obok pomnika foki Andre', podziwiając port. I zadrżała z zimna, gdy od morza powiała bryza.

Maura wsiadła z powrotem do samochodu i ruszyła dalej na północ.

Gdy minęła nadbrzeżne miasteczko Bucksport i skierowała się na południe, w dół półwyspu, słońce chyliło się już nad drzewami. Widziała zbierający się nad morzem szary tuman mgły, który zbliżał się do brzegu i pochłaniał horyzont jak wygłodniała bestia. Przed zachodem słońca osaczył mój samochód, pomyślała. Nie zarezerwowała hotelu w Fox Harbor, wyjeżdżając z Bostonu w przekonaniu, że zatrzyma się na noc w jakimś nadbrzeżnym motelu. Ale na tym urwistym odcinku wybrzeża widziała niewiele moteli, a te, które mijala, miały wywieszki: BRAK MIEJSC.

Słońce było coraz niżej.

Wjechawszy w ostry zakręt, zacisnęła ręce na kierownicy, z trudem panując nad samochodem, gdy okrążała skalisty występ, mając z jednej strony karłowate drzewa, a z drugiej morze.

I nagle jej oczom ukazało się Fox Harbor, ukryte nad brzegami płytkiej zatoczki. Nie spodziewała się, że to tak małe miasteczko. Wyglądało jak przystań, ze strzelistą wieżą kościoła i szeregiem białych domostw nad wodą. W porcie kołysały się na cumach łodzie do połowu homarów, jak wystawiona zwierzyna, przeznaczona na pożarcie dla nadciągającej mgły.

Jadąc powoli główną ulicą, widziała sfatygowane, wymagające odmalowania frontowe ganki i okna z wypłowiałymi zasłonami. Najwyraźniej nie było to bogate miasteczko, sądząc po rdzewiejących ciężarówkach na podjazdach. Jedyne nowe modele samochodów stały na parkingu przy motelu Bayview. Miały tablice rejestracyjne z Nowego Jorku, Massachusetts i Connecticut. Ich właściciele uciekali z upalnych miast, by posmakować homarów i namiastki raj.

Maura zatrzymała się przed recepcją motelu. Najpierw to, co najpilniejsze, pomyślała. Muszę gdzieś przenocować, a to chyba jedyne miejsce w mieście. Wsiadła z samochodu, rozciągając zeszywniałe mięśnie i wdychając wilgotne, słone powietrze. Choć Boston był miastem portowym, rzadko czuła tam zapach morza. Powiew morskiej bryzy zanieczyszczała zawsze woń benzyny, spalin i asfaltu. Tutaj naprawdę czuła w powietrzu sól, osiadającą na skórze jak delikatna mgiełka. Stojąc na parkingu przed

motelem i wystawiając twarz do wiatru, miała wrażenie, jakby obudziła się nagle z głębokiego snu. Jakby ożyła.

Wystrój motelu wyglądał dokładnie tak, jak to sobie wyobrażała: drewniane płyty z lat sześćdziesiątych, podniszczona zielona wykładzina, ścienny zegar wmontowany w koło sterowe. W recepcji nie było nikogo.

Przechyliła się przez kontuar.

— Halo?

Zaskrzypiały drzwi i wyłonił się z nich mężczyzna, gruby i łysiejący, w cienkich okularach, które przysiadły na jego nosie jak ważka.

— Ma pan wolne pokoje? — spytała Maura.

Mężczyzna milczał jak grób. Wpatrywał się w nią z otwartymi ustami, wlepiając oczy w jej twarz.

— Przepraszam — rzekła, sądząc, że jej nie usłyszał. — Czy ma pan wolne pokoje?

— Chce pani... pokój?

Czy właśnie tego nie powiedziałam?

Spojrzał do książki hotelowej i z powrotem na nią.

— Hm, niestety. Nie mamy miejsc.

— Przyjechałam samochodem aż z Bostonu. Czy gdzieś w miasteczku mogłabym przenocować?

Przełknął ślinę.

— W weekend jest tu tłoczno. Godzinę temu pytała o pokój jakaś para. Dzwoniłem wszędzie i w końcu musiałem ich odesłać aż do Ellsworth.

— Gdzie to jest?

— Ponad czterdzieści kilometrów stąd.

Maura spojrzała na zegar w kole sterowym. Była już za kwadrans piąta. Musiała odłożyć szukanie noclegu.

— Gdzie jest biuro sprzedaży nieruchomości Land and Sea Realty? — spytała.

— Przy głównej ulicy. Dwie przecznice stąd, po lewej.

* * *

Wszedłszy do biura Land and Sea Realty, Maura zastała jeszcze jedną opuszczoną

recepcję. Czy w tym miasteczku nikt nie siedział tam, gdzie powinien? W biurze cuchnęło papierosami, a na biurku stała pełna niedopałków popielniczka. Na ścianie wisiały zdjęcia oferowanych przez firmę nieruchomości, niektóre już pożółkłe. Najwyraźniej nie było ruchu w interesie. Przeglądając oferty, Maura zobaczyła walącą się stodołę (IDEALNA NA STADNINĘ KONI!), dom z zapadniętym gankiem (NIEPOWTARZALNA OKAZJA DLA ZŁOTEJ RĄCZKI!) i fotografię drzew — tak, po prostu drzew (CICHE, USTRONNE MIEJSCE! WYMARZONA DZIAŁKA NA BUDOWĘ!). Czyżby wszystko w tym miasteczku było takie idealne i wymarzone?

Usłyszawszy, jak otwierają się drzwi od zaplecza, odwróciła się i zobaczyła mężczyznę, który przyniósł kapiący dzbanek z kawą i postawił go na biurku. Był niższy od Maury, miał kwadratową głowę i krótko przycięte siwe włosy. Nosił zbyt dużych rozmiarów odzież. Mankiety i nogawki miał tak podwinięte, jakby ubrano go w strój olbrzyma. Brzękając kluczami u pasa, podszedł pewnym krokiem, by przywitać się z Maurą.

— Przepraszam, byłam na zapleczu, żeby umyć dzbanek do kawy. Doktor Isles, prawda?

Maura zaniemówiła z wrażenia. Głos, choć ochryply — niewątpliwie z powodu tych wysypujących się z popielniczki niedopałków — wyraźnie należał do kobiety. Dopiero teraz Maura zauważyła pod obszerną koszulą krągłe piersi.

— Czy pani jest... tą osobą, z którą rozmawiałam? — spytała.

— Britta Clausen. — Bezceremonialnie uściśnęła Maurze dłoń. — Harvey powiedział mi, że jest pani w mieście.

— Harvey?

— Z motelu Bayview. Zadzwoił, żeby mnie zawiadomić, że jest pani w drodze. — Kobieta zamilkła, mierząc Maurę wzrokiem. — Chyba nie muszę pani legitymować. Od razu widać, czyją jest pani siostrą. Chce pani pojechać do tego domu ze mną?

— Pojadę za panią moim samochodem.

Panna Clausen poszperała w kluczach przy pasku i mruknęła z zadowoleniem:

— To ten. Skyline Drive. Policja już tam była, więc chyba mogę go pani pokazać.

* * *

Maura pojechała za furgonetką panny Clausen drogą, która nagle skręcała w głąb łądu i prowadziła serpentynami pod górę. Gdy się wspinały, widziała chwilami wybrzeże i morze, spowite już gęstą mgłą, podobnie jak miasteczko Fox Harbor. Tuż przed nią rozbłysły nagle światła stopu samochodu panny Clausen i Maura w ostatniej chwili zahamowała. Jej lexus poślizgnął się na mokrych liściach i stanął, dotykając zderzakiem wbitego w ziemię słupka z napisem NA SPRZEDAŻ.

Panna Clausen wychyliła głowę przez okienko furgonetki.

— Hej, wszystko w porządku?

— Tak. Przepraszam. Zagapiłam się.

— Ten ostatni zakręt jest dość nieoczekiwany. To ta droga, na prawo.

— Jadę tuż za panią.

Panna Clausen się zaśmiała.

— Nie za blisko, dobrze?

Polna droga w szpalerze drzew była tak wąska, że Maura miała wrażenie, jakby jechała tunelem przez las. Gdy nagle się skończył, ujrzała kryty cedrowym gontem domek. Zaparkowała obok furgonetki panny Clausen i wysiadła z lexusa. Przez chwilę stała w milczeniu na polanie, przyglądając się domkowi. Drewniane schodki prowadziły na kryty ganek, gdzie wisiała nieruchomo huśtawka. W niedużym zacienionym ogródku walczyły o życie naparstnice i lilie. Las zdawał się napierać ze wszystkich stron i Maura poczuła, że ma przyspieszony oddech, jakby była uwięziona w ciasnym pokoju. Jakby przyduszało ją powietrze.

— Tak tu spokojnie — powiedziała.

— Owszem, daleko od miasta. Dlatego działki na tym wzgórzu mają taką wartość. Niedługo zacznie się tu koniunktura. Za kilka lat wzdłuż tej drogi będą stały domy. Najlepszy moment, żeby zainwestować.

Maura spodziewała się, że doda zaraz: Ponieważ to idealne miejsce.

— Karczuję już działkę w sąsiedztwie — oznajmiła panna Clausen. — Kiedy wprowadziła się tu pani siostra, uznałam, że czas przygotować następne działki. Jak znajdzie się pierwszy lokator, zaczyna się ruch. Wkrótce wszyscy chcą mieszkać w pobliżu. — Spojrzała na Maurę z namysłem. — W czym się pani specjalizuje jako lekarz?

— Jestem patologiem.

— To znaczy? Pracuje pani w laboratorium?

Ta kobieta zaczynała działać jej na nerwy.

— Pracuję z nieboszczykami — odparła bez ogródek.

Jej odpowiedź bynajmniej nie zbiła panny Clausen z tropu.

— Czyli ma pani regularne godziny pracy. I dużo wolnych weekendów. Może panią interesować letni domek. Działka w sąsiedztwie będzie wkrótce gotowa pod budowę. Jeśli myślała pani kiedykolwiek o posiadaniu czegoś takiego, to niepowtarzalna okazja.

A więc tak to wyglądało, gdy człowiek wpadał w sidła agenta sprzedaży nieruchomości.

— Naprawdę nie jestem zainteresowana, panno Clausen — odparła.

— Hm. — Kobieta westchnęła głęboko i odwróciwszy się, weszła na ganek. — No to chodźmy do środka. Skoro pani tu jest, proszę mi powiedzieć, co zrobić z rzeczami pani siostry.

— Nie jestem pewna, czy mam do tego prawo.

— Nie wiem, komu miałabym je przekazać. Nie zamierzam płacić za ich przechowywanie. Muszę opróżnić dom, żeby go sprzedać albo ponownie wynająć. — Zabrzęczała kluczami, szukając właściwego. — Wynajmuję większość mieszkań w mieście, a na ten dom nie było wcale łatwo znaleźć chętnego. Pani siostra podpisała półroczny kontrakt.

Czy śmierć Anny znaczy dla niej tylko tyle? — pomyślała Maura. Koniec dochodów z czynszu i konieczność znalezienia nowego lokatora? Ta kobieta z brzęczącymi kluczami i pazernym spojrzeniem nie budziła jej sympatii. Królowa nieruchomości z Fox Harbor, którą interesowały tylko comiesięczne zyski.

W końcu panna Clausen otworzyła drzwi, mówiąc:

— Proszę wejść.

Maura weszła do środka. Choć w salonie były duże okna, bliskość drzew i popołudniowa pora sprawiały, że w domu panował półmrok. Zobaczyła ciemną sosnową podłogę, zużyty dywan, zapadniętą kanapę. Wypłowiałe tapety z motywem zielonych winorośli pogłębiały wrażenie Maury, że osaczają ją liście.

— Dom był w pełni umeblowany — wyjaśniła panna Clausen. — Zważywszy na to, zaferowałam jej bardzo dobrą cenę.

— Jaką? — spytała Maura, patrząc przez okno na ścianę drzew.

— Sześćset miesięcznie. Dostałabym cztery razy więcej, gdyby ten dom stał bliżej wody. Ale człowiek, który go zbudował, lubił prywatność. — Panna Clausen zmierzyła wzrokiem salon, jakby od dawna go nie widziała. — Byłam trochę zaskoczona, gdy zadzwoniła, pytając o ten dom, zwłaszcza że miałam do wynajęcia inne, nad samym morzem.

Maura spojrzała na nią. Robiło się już ciemno i panna Clausen stała w cieniu.

— Moja siostra pytała konkretnie o ten dom?

Panna Clausen wzruszyła ramionami.

— Pewnie odpowiadała jej cena.

Wyszły z mrocznego salonu na korytarz. Jeśli dom odzwierciedlał osobowość swego lokatora, Anna Leoni musiała pozostawić w tym miejscu jakiś ślad. Ale mieszkali tu również inni ludzie i Maura zastanawiała się, które drobiazgi, które obrazy należały do Anny, a które do jej poprzedników. To pastelowe malowidło z widokiem zachodu słońca z pewnością nie było własnością Anny. Jej siostra nie powiesiłaby na ścianie czegoś tak okropnego. Nie pasował do niej również stęchły zapach papierosów, którym przesiąkł cały dom — Anna z pewnością nie paliła. Bliźniaczki są zwykle nadzwyczaj do siebie podobne. Czyżby Anna mogła nie dzielić awersji Maury do papierosów? Czyżby nie kaszlała, gdy tylko poczuła dym?

Weszły do sypialni. Na łóżku leżał nagi materac.

— Z tego pokoju chyba nie korzystała — oceniła panna Clausen. — Szafa i komody były puste.

Potem oglądały łazienkę. Maura weszła do środka i otworzyła szafkę z lekami. Zobaczyła tam advil, sudafed i tabletki na kaszel ricola. Nazwy te brzmiały zaskakująco znajomo. Te same lekarstwa miała w swojej łazience. Byłyśmy identyczne nawet w doborze leków przeciw grypie, pomyślała.

Zamknęła szafkę i przeszła korytarzem do ostatnich drzwi.

— Tutaj spała — wyjaśniła panna Clausen.

Pokój wyglądał schludnie, łóżko było pościelone, a na toaletce nie leżały żadne rupiecie. Jak w mojej sypialni, pomyślała Maura. Podeszła do szafy i otworzyła drzwi. Wewnątrz wisiały spodnie, wyprasowane bluzki i sukienki. Rozmiar sześć. Taki jak jej.

— Policja stanowa przeszukała w zeszłym tygodniu cały dom.

— Znaleźli coś ciekawego?

— Nic mi nie powiedzieli. Niewiele tu trzymała. Mieszkała tu tylko parę miesięcy.

Maura odwróciła się i wyjrzała za okno. Nadchodził zmierzch i okoliczne drzewa pogrążyły się już w mroku.

Panna Clausen stała w progu sypialni, jakby zamierzała pobrać od Maury opłatę, zanim pozwoli jej wyjść.

— To nie taki zły dom — oświadczyła.

Owszem, pomyślała Maura. Jest koszmarny.

— O tej porze roku nie ma już czego wynajmować. Prawie wszystko zajęte. Hotele, motele. W zajeździe też nie ma wolnych pokoi.

Maura wpatrywała się w las. Byle tylko uniknąć dalszej rozmowy z tą odrażającą kobietą.

— No to chyba znalazła pani miejsce na nocleg.

A więc do tego zmierza. Maura spojrzała na nią.

— Właściwie nie mam się gdzie zatrzymać. W motelu Bayview jest komplet.

Kobieta odpowiedziała z przebiegłym uśmiechem.

— Tak jak wszędzie.

— Podobno mają wolne pokoje w Ellsworth.

— Tak? Skoro chce pani aż tam jechać... Po ciemku potrwa to dłużej, niż pani sądzi. Po drodze jest mnóstwo serpentyn. — Panna Clausen wskazała na łóżko. — Przyniosę pani świeżą pościel. Zapłaci pani jak za pokój w motelu. Jeśli to panią interesuje.

Maura spojrzała na łóżko i przeszedł jej dreszcz po plecach. *Moja siostra tu spała.*

— Jak pani chce.

— Sama nie wiem...

Panna Clausen odchrząknęła.

— Zdaje się, że nie ma pani wielkiego wyboru.

* * *

Maura stała na ganku i patrzyła, jak tylne światła furgonetki Britty Clausen znikają za ciemną zasłoną drzew. Nasłuchiwała przez chwilę w zapadającym zmierzchu cykania świerszczy i szelestu liści. Usłyszawszy za sobą skrzypienie, odwróciła głowę i ujrzała kołyszącą się huśtawkę, poruszoną jakby niewidzialną ręką. Przeniknął ją dreszcz.

Weszła z powrotem do domu i miała już zaryglować drzwi, gdy nagle znieruchomiała. Poczuła znów dreszcze na plecach.

Na drzwiach były cztery zamki.

Wpatrywała się w dwa łańcuchy, zasuwę i rygiel. Mosiężne płytki jeszcze lśniły, a śruby nie były porysowane. *Nowe zamki.* Zaryglowała drzwi i wsunęła łańcuchy w szczeliny, czując pod palcami zimny metal.

Weszła do kuchni i włączyła światła. Zobaczyła wytarte linoleum na podłodze i niewielki stół z wyszczerbionym laminatem. W rogu rzeziła lodówka. Skupiła jednak uwagę na drzwiach prowadzących na tyły domu. Miały trzy lśniące mosiądzem zamki. Zamykając je, poczuła szybsze bicie serca. Odwróciwszy się, zobaczyła ze zdumieniem, że w kuchni są jeszcze jedne zaryglowane drzwi. Dokąd prowadziły?

Odsunęła zasuwę i otworzyła je. Ujrzała wąskie drewniane schody, prowadzące w dół, do ciemnej piwnicy. Poczuła powiew chłodnego powietrza i zapach wilgotnej ziemi. Przeszły ją ciarki.

Po co ktoś miałby zamykać na klucz drzwi do piwnicy?

Zaryglowała je z powrotem. I w tym momencie zdała sobie sprawę, że mają inny zamek. Zardzewiały i stary.

Poczuła potrzebę sprawdzenia, czy okna są też pozamykane. Anna była tak przerażona, że zamieniła ten dom w fortecę i Maura nadal wyczuwała przenikający go strach. Sprawdziła okna w kuchni, a potem przeszła do salonu.

Dopiero upewniwszy się, że okna w całym domu są pozamykane, zaczęła penetrować sypialnię. Stała przed otwartą szafą, oglądając wiszące w niej rzeczy. Przesuwając wieszaki, wpatrywała się w garderobę, która była dokładnie w jej rozmiarach. Zdjęła z wieszaka jedną z sukienek — z czarnej dzianiny, o prostym kroju, który sama najbardziej lubiła. Wyobraziła sobie, jak Anna stoi w sklepie, przyglądając się tej sukience, sprawdzając cenę, przykładając ją do siebie, patrząc w lustro i myśląc: *Właśnie tę chcę mieć.*

Maura rozpięła bluzkę i zdjęła spodnie. Włożyła czarną sukienkę i gdy zaciągnęła zamek, poczuła, że idealnie pasuje do jej kształtów. Spojrzała w lustro. Widzę to, co Anna, pomyślała. Tę samą twarz i figurę. Czy ona również ubolewała, że z wiekiem jest coraz szersza w biodrach? I odwracała się bokiem, by sprawdzić, czy ma płaski brzuch? Z pewnością wszystkie kobiety przymierzające nowe sukienki wykonują przed lustrem

ten sam balet. Obrót w tę stronę, i w tamtą. Czy wyglądam grubo z tyłu?

Nagle znieruchomiała, odwrócona prawym bokiem do lustra, bo zauważyła na materiale włos. Zdjęła go i obejrzała pod światło. Był czarny jak jej, ale dłuższy. Włos martwej kobiety.

Wzdrygnęła się, słysząc dzwonek telefonu. Podeszła do nocnej szafki i zatrzymała się, czując, jak wali jej serce, gdy telefon zadzwonił po raz drugi i trzeci, brząc nieznośnie głośno w głuchoj ciszy domu. Podniosła słuchawkę, zanim zadzwonił po raz czwarty.

— Halo? Halo?

Usłyszała kliknięcie i ciągły sygnał.

Pomyłka, pomyślała. Nic więcej.

Na zewnątrz wiał coraz silniejszy wiatr i nawet przez zamknięte okno docierało do niej skrzypienie kołyszących się drzew. Ale wewnątrz domu panowała taka cisza, że słyszała bicie własnego serca. Czy tak wyglądały twoje noce? — pomyślała. W tym domu, w otoczeniu ciemnego lasu?

Tej nocy, zanim poszła do łóżka, zamknęła na klucz drzwi sypialni i zablokowała je krzesłem. Było jej trochę wstyd. Nie miała się czego bać, a jednak czuła się bardziej zagrożona niż w Bostonie, gdzie drapieżnikami byli ludzie, o wiele bardziej niebezpieczni niż jakiegokolwiek zwierzę, które mogło czaić się wśród drzew.

Anna też się bała.

Wyczuwała jej strach, nadal obecny w tym domu z zabarykadowanymi drzwiami.

* * *

Przebudziła się raptownie, słysząc jakiś pisk. Leżała, dysząc ciężko. Serce waliło jej jak młot. To tylko sowa, nie ma powodów do paniki. Była w lesie, na litość boską. To oczywiste, że słyszała głosy zwierząt. Pościel miała mokrą od potu. Zamknęła okno przed pójściem do łóżka i w pokoju było teraz duszno, brakowało powietrza. Nie mogę oddychać, pomyślała.

Wstała i otworzyła okno. Odetchnęła głęboko świeżym powietrzem, patrząc na drzewa, których liście srebrzyło światło księżyca. Nic się nie poruszało. W lesie znów panowała cisza.

Wróciła do łóżka i tym razem spała mocno do świtu.

Rankiem wszystko wyglądało inaczej. Usłyszała śpiew ptaków, a wyjrzawszy przez okno, zobaczyła dwa jelenie, które przeszły przez podwórko i zniknęły w lesie, błyskając białymi plamami na zadzie. Przy wpadających do sypialni promieniach słońca podstawianie krzesła pod drzwi wydało jej się bezsensowne. Nikomu o tym nie wspomnę, postanowiła, odsuwając je na bok.

Zrobiła w kuchni kawę z torebki, którą znalazła w lodówce. Kawa Anny. Wlewała przez filtr gorącą wodę, wdychając aromatyczną woń. Otaczały ją produkty, które kupiła Anna. Prażona kukurydza do mikrofalówki i torebki spaghetti. Kartony z przeterminowanym brzoskwińowym jogurtem i mlekiem. Każdy z tych artykułów wiązał się z jakąś chwilą w życiu Anny, gdy stawała przed półką w sklepie spożywczym, myśląc: Tego też potrzebuję. A potem, wróciwszy do domu, opróżniała torby i wkładała wszystko do szafek. Gdy Maura tam zajrzała, poznała rękę siostry, widząc puszki z tuńczykiem, ułożone starannie na kwiecistym papierze.

Wyszła z kubkiem kawy na ganek i popijała ją, spoglądając na podwórko, gdzie promienie słońca połyskiwały w niewielkim ogródku. Nie mogła się nadziwić, że wszystko jest takie zielone. Trawa, drzewa, nawet samo światło. W baldachimie gałęzi śpiewały ptaki. *Rozumiem teraz, dlaczego chciała tu mieszkać. Dlaczego pragnęła, by budził ją co rano zapach lasu.*

Ptaki poderwały się nagle z konarów, przestraszone nowym hałasem: głuchym dudnieniem maszyny. Maura nie widziała wprawdzie spychacza, ale słyszała go z drażniąco bliskiej odległości. Pamiętała, co mówiła panna Clausen, że karczują sąsiednią działkę. Żegnaj, spokojny niedzielny poranku.

Zeszła po schodkach i okrążyła dom, próbując zobaczyć spychacz między drzewami, ale las był zbyt gęsty i nie miała na to szans. Pod nogami spostrzegła ślady zwierząt i przypomniała sobie dwa jelenie, które widziała rano z okna sypialni. Ruszyła ich tropem wzdłuż bocznej ściany domu i po chwili zauważyła dalsze dowody ich obecności w postaci poobgryzanych liści roślin, zasadzonych tuż przy fundamentach i dziwiła się, że mają odwagę paść się tuż przy murze. Poszła dalej i nagle się zatrzymała na widok kolejnych śladów. Nie zostawiły ich jelenie. Przez chwilę stała nieruchomo, czując przyspieszone bicie serca i zaciskając wilgotne dłonie na kubku. Powiodła powoli wzrokiem wzdłuż śladów. Prowadziły do skrawka miękkiej ziemi pod jednym z okien.

Pozostały tam odciski butów kogoś, kto zaglądał do domu.
Do jej sypialni.

Rozdział jedenasty

Trzy kwadranse później podjechał wyboistą drogą policyjny radiowóz z Fox Harbor. Zatrzymał się przed domem i wysiadł z niego policjant. Był po pięćdziesiątce, miał gruby kark i łysinę między jasnymi włosami na czubku głowy.

— Doktor Isles? — zapytał, ściskając jej mocno dłoń. — Roger Gresham, szef policji.

— Nie wiedziałam, że przyjedzie sam komendant.

— No cóż, i tak się tu wybieraliśmy, zanim pani zadzwoniła.

— My? — Zmarszczyła brwi, widząc drugi radiowóz, forda explorera, który nadjechał drogą i zatrzymał się obok samochodu Greshama. Kierowca wysiadł i pomachał do niej.

— Cześć, Mauro — powiedział Rick Ballard.

Przez chwilę wpatrywała się w niego w milczeniu, zaskoczona jego nieoczekiwanym przybyciem.

— Nie miałam pojęcia, że tu jesteś — odezwała się w końcu.

— Przyjechałem zeszłej nocy. A ty?

— Wczoraj po południu.

— Nocowałaś w tym domu?

— W motelu nie było miejsc. Panna Clausen — agentka od nieruchomości — pozwoliła mi spać tutaj. — Przerwała, dodając tonem usprawiedliwienia: — Twierdziła, że policja już przeszukała dom.

Gresham prychnął pogardliwie.

— Założę się, że skasowała panią za nocleg?

— Tak.

— Ta Britta to jest ziółko. Gdyby mogła, kazałaby płacić za powietrze. — Odwróciwszy się w kierunku domu, zapytał: — Gdzie pani widziała te ślady?

Maura poprowadziła mężczyzn obok ganku za róg budynku. Trzymali się z boku ścieżki, wpatrując się uważnie w ziemię. Spychacz już nie hałasował i słychać było tylko

ich kroki na dywanie z liści.

— Świeże tropy jeleni — zauważył Gresham.

— Tak, widziałam dwa dziś rano — odparła Maura.

— To może wyjaśniać, skąd wzięły się te ślady.

— Panie Gresham — powiedziała z westchnieniem Maura. — Potrafię rozróżnić odcisk buta i trop jelenia.

— Nie, miałem na myśli, że ktoś mógł tu polować. Poza sezonem. Przyszedł za tymi jeleniami z lasu.

Ballard nagle się zatrzymał, wpatrzony w ziemię.

— Widzisz je? — spytała Maura.

— Tak — odparł dziwnie spokojnym głosem.

Gresham przykucnął obok niego. Milczeli przez chwilę. Dlaczego nic nie mówili? Wiatr poruszał drzewami. Maura poczuła dreszcz, patrząc na rozkołysane gałęzie. Zeszłej nocy ktoś wyszedł z tego lasu. Stał przy oknie. Patrzył na nią, gdy spała.

Ballard spojrział na dom.

— Czy to okno sypialni?

— Tak.

— Twojej?

— Tak.

— Zaciągnęłaś wieczorem zasłony? — Popatrzył na nią przez ramię i wiedziała, nad czym się zastanawia. *Zrobiłaś dla kogoś w nocy niezamierzony striptiz?*

Zaczerwieniła się.

— W tym pokoju nie ma zasłon.

— Te ślady są za duże jak na odciski butów Britty — ocenił Gresham. — A tylko ona mogła obchodzić dom.

— Podeszwy typu Vibram — rzekł Ballard. — Trapery. Rozmiar osiem, może dziewięć. — Powiódł wzrokiem za śladami w kierunku lasu. — Tropy jeleni nakładają się na odciski butów.

— To oznacza, że on przechodził tędy wcześniej — powiedziała Maura. — Przed jeleniami. Zanim się obudziłam.

— Tak, tylko o ile wcześniej? — Ballard wyprostował się i stał, patrząc przez okno do jej sypialni. Przez dłuższy czas nic nie mówił i Maura znów poczuła zniecierpliwienie

z powodu milczenia obu mężczyzn. Chciała usłyszeć od nich cokolwiek.

— Wie pani, od tygodnia tu nie padało — oznajmił Gresham. — Te ślady mogą wcale nie być takie świeże.

— Ale kto by tu przychodził zaglądać do okien? — spytała.

— Zadzwoń do Britty. Może zatrudniała tu kogoś do pracy. Albo ktoś zaglądał z ciekawości.

— Z ciekawości? — zdziwiła się Maura.

— Wszyscy tu słyszeli, co przydarzyło się pani siostrze w Bostonie. Może ktoś chciał zajrzeć do jej domu.

— Nie rozumiem takiej chorobliwej ciekawości. Nigdy nie rozumiałam.

— Rick wspominał mi, że jest pani lekarzem sądowym, zgadza się? Więc musi pani mieć do czynienia z tym samym co ja. Wszyscy chcą znać szczegóły. Nie uwierzy pani, ile osób pytało mnie o to zabójstwo. Nie sądzi pani, że niektórzy z tych ciekawskich mogli mieć ochotę zobaczyć dom ofiary?

Maura wpatrywała się w niego z niedowierzaniem. Ciszę przerwały nagle trzaski nadajnika w samochodzie Greshama.

— Przepraszam — rzekł, wracając do radiowozu.

— No cóż — odezwała się Maura. — To chyba rozwiewa moje obawy, prawda?

— Ja traktuję je bardzo poważnie.

— Naprawdę? — Spojrzała na niego. — Wejdz do środka, Rick. Chcę ci coś pokazać.

Wszedł za nią po schodkach na ganek i do domu. Zamknęła drzwi i wskazała na kolekcję mosiężnych zamków.

— Chciałam, żebyś to zobaczył — powiedziała.

Zmarszczył brwi.

— No, no!

— To nie wszystko. Chodź ze mną.

Zaprowadziła go do kuchni i wskazała na lśniące łańcuchy i rygle na drzwiach prowadzących na tyły domu.

— To wszystko nowe zamki. Z pewnością Anna kazała je założyć. Czegoś się bała.

— Miała powody. Grożono jej śmiercią. Nie wiedziała, kiedy może zjawić się tu Cassell.

Spojrzała na niego.

— To dlatego przyjechałeś, prawda? Żeby się dowiedzieć, czy ją odnalazł?

— Pokazywałem w całym miasteczku jego fotografię.

— I co?

— Jak na razie, nikt nie pamięta, żeby go widział. Ale to nie znaczy, że tu nie był. — Wskazał na zamki. — Wcale się nie dziwię, że je założyła.

Maura opadła z westchnieniem na krzesło stojące przy kuchennym stole.

— Jak to możliwe, że nasze losy tak różnie się potoczyły? Gdy ja wysiadałam z samolotu z Paryża, ona... — Przełknęła ślinę. — Co by było, gdybym znalazła się na jej miejscu? Czy wydarzyłoby się to samo? Może to ona siedziałaby tu teraz i rozmawiała z tobą.

— Nie powinnaś się z nią utożsamiać, Mauro. Masz jej twarz i głos, ale nie jesteś Anną.

Popatrzyła na niego.

— Opowiedz mi coś więcej o mojej siostrze.

— Nie wiem, od czego zacząć.

— Chcę wiedzieć wszystko. Powiedziałeś właśnie, że mam jej głos.

Skinął głową.

— Tak. Ten sam ton i brzmienie.

— Pamiętasz ją tak dobrze?

— Anna nie była kobietą, którą łatwo zapomnieć — odparł, patrząc jej w oczy. Nie odrywali od siebie wzroku, nawet gdy usłyszeli odgłos kroków. Dopiero kiedy Gresham wszedł do kuchni, Maura skierowała spojrzenie w jego stronę.

— Doktor Isles — powiedział szef policji. — Proszę wyświadczyć mi drobną przysługę. Chciałbym, żeby pojechała pani ze mną coś obejrzeć.

— Co takiego?

— Dostałem wiadomość przez radio. Mieli telefon od ekipy budowlanej, która pracuje w pobliżu. Ich spychacz wykopał... jakieś kości.

— Ludzkie? — spytała, marszcząc brwi.

— Właśnie się nad tym zastanawiają.

Maura wsiadła z Greshamem do radiowozu, a Ballard pojechał za nimi swoim explorerem. W zasadzie nie warto było korzystać z samochodów, gdyż tuż za zakrętem, na świeżo wykarczowanej polanie, zobaczyli spychacz. W cieniu, przy furgonetkach, stało czterech mężczyzn w kaskach. Jeden z nich wyszedł im naprzeciw, gdy Maura, Gresham i Ballard wysiadali z wozów.

— Cześć, szefie.

— Witaj, Mitch. Gdzie to jest?

— Koło spychacza. Jak zauważyłem tę kość, zaraz wyłączyłem silnik. Była tu kiedyś stara farma. Nie chcę rozkopać jakiegoś rodzinnego cmentarza.

— Poprosimy doktor Isles o ekspertyzę, zanim dokądkolwiek zadzwonię. Nie chcę ściągać tu aż z Augusty lekarza sądowego z powodu sterty kości niedźwiedzia.

Mitch poprowadził ich przez polanę. Świeżo zryta ziemia stanowiła tor przeszkód, pełen zahaczających o kostki korzeni i wykopanych skał. Czółenka Maury nie nadawały się do pieszych wędrówek i choć starała się stąpać ostrożnie, nie mogła uniknąć zabrudzenia czarnego zamszu.

Gresham klepnął się dłonią po policzku.

— Cholerne muchy. Już nas znalazły.

Polanę otaczał gęsty las. Było tam duszno i bezwietrznie. Owady zwietrzyły już ich zapach i nadlatywały chmarami, żądne krwi. Na szczęście Maura włożyła tego ranka długie spodnie. Jej nieosłonięta twarz i ramiona zamieniały się już w żerowisko dla krwiopijców.

Zanim doszli do spychacza, miała zabłocone nogawki. W promieniach słońca lśniły kawałki rozbitego szkła. Wyrwany z korzeniami stary krzak róży usychał w upale.

— To tam — oznajmił Mitch.

Maura rozpoznała leżącą w ziemi kość, zanim jeszcze pochyliła się, by ją dokładniej obejrzeć. Nie dotykała jej, tylko przykucnęła, grzęznąc butami w świeżo wzruszonej glebie. Kość lśniła bielą spod warstwy zaschniętego błota. Usłyszawszy krakanie wśród drzew, podniosła wzrok i zobaczyła przemykające wśród gałęzi wrony. *One też wiedzą, co to jest.*

— I co pani sądzi? — spytał Gresham.

— To kość biodrowa.

— Co?

— Ta tutaj. — Dotknęła spodni w miejscu, gdzie miała miednicę, uświadamiając sobie nagle ponury fakt, że pod skórą i mięśniami też jest jedynie szkieletem. Że ma rusztowanie z przypominających plastry miodu struktur wapnia i fosforu, które przetrwa dużo dłużej niż szybko rozkładające się ciało. — To ludzka kość — dodała.

Przez chwilę milczeli. W ten słoneczny czerwcowy dzień słychać było na polanie tylko krakanie wron, których całe stado obsiadło pobliskie drzewa. Wyglądały na gałęziach jak czarne owoce. Patrzyły na ludzi z budzącą niepokój inteligencją, kracząc coraz głośniejsze. Nagle, jak na zawołanie, ich wrzaski ucichły.

— Co pan wie o tym miejscu? — spytała Maura operatora spychacza. — Co tu kiedyś było?

— Stare kamienne mury — odparł Mitch. — Fundamenty domu. Przenieśliśmy to wszystko tam, bo może się komuś przydać. — Wskazał na stertę kamieni na skraju polany. — Stare mury to tu nic nadzwyczajnego. W lesie znajduje się dużo takich fundamentów. Wzdłuż wybrzeża było kiedyś wiele farm owiec. Teraz już ich nie ma.

— W takim razie to może być stary grób — zasugerował Ballard.

— Ale tę kość znaleźliśmy tuż pod murami — zauważył Mitch. — Nie sądzę, żeby ktoś chciał grzebać drogą mamuszkę tak blisko domu. To chyba przynosi pecha.

— Niektórzy twierdzili wprost przeciwnie — odparła Maura.

— Co?

— W starożytności niemowlę pochowane żywcem pod kamieniem węgielnym miało chronić dom.

Mitch spojrział na nią, jakby chciał powiedzieć: Kim pani jest, do cholery?

— Mówię tylko, że praktyki pochówku zmieniają się z wiekami — dodała Maura. — To może być stary grób.

Nad ich głowami rozległ się hałaśliwy trzepot skrzydeł. Wszystkie wrony zerwały się równocześnie z drzewa. Maura przyglądała się im, zaniepokojona widokiem tak wielu czarnych ptaszysk, wzlatających w niebo jak na komendę.

— Dziwne — rzekł Gresham.

Maura podniosła się i spojrzała w stronę lasu. Przypomniała sobie, w jak bliskiej odległości słyszała rano spychacz.

— Gdzie jest dom, w którym nocowałam? — spytała.

Gresham popatrzył na słońce, aby zorientować się w terenie, po czym wyciągnął

rękę.

— Tam. Patrzy pani w jego kierunku.

— Jak to daleko stąd?

— Tuż za lasem. Dojdzie pani pieszo.

* * *

Lekarz sądowy stanu Maine przybył z Augusty półtorej godziny później. Gdy wysiadł z samochodu ze swoją torbą, Maura natychmiast rozpoznała mężczyznę w białym turbanie, ze starannie przystrzyżoną brodą. Po raz pierwszy spotkała doktora Daljeeta Singha przed rokiem, na konferencji patologów i jedli razem kolację w lutym, gdy brał udział w regionalnym sympozjum ekspertów medycyny sądowej w Bostonie. Choć nie był wysoki, jego dumna postawa i tradycyjny turban sikha sprawiały, że wyglądał bardzo nobliwie. Zawsze imponował Maurze swym spokojnym profesjonalizmem. I swoimi oczami. Daljeet miał szkliste brązowe oczy i najdłuższe rzęsy, jakie widziała kiedykolwiek u mężczyzny.

Uścisnęli sobie dłonie, witając się serdecznie, jak znajomi, którzy szczerze się lubią.

— Co tu robisz, Mauro? Nie masz dość pracy w Bostonie? Kłusujesz na moim terenie?

— Mam przypadkiem roboczy weekend.

— Widziałaś te szczątki?

Skinęła głową, przestając się uśmiechać.

— To grzebień lewej kości biodrowej, częściowo zagrzebany w ziemi. Jeszcze go nie ruszaliśmy. Wiedziałam, że będziesz chciał zobaczyć go najpierw *in situ*.

— Nie ma innych kości?

— Na razie nie.

— No dobrze. — Spojrzał na wykarczowaną polanę, jakby zbierając siły na przeprawę przez rozkopaną glebę. Zauważyła, że ma odpowiednie obuwie: buty typu L. L. Bean, które wyglądały jak nowe i miały chyba przejść pierwszą próbę w błotnistym terenie. — Zobaczmy, co wykopał ten spychacz.

Było już wczesne popołudnie i zrobiło się tak parno, że twarz Daljeeta lśniła od potu. Gdy ruszyli przez polanę, roje owadów zaczęły ucztę, wyczuwszy świeżą krew.

Detektywi Corso i Yates z policji stanowej w Maine przybyli dwadzieścia minut wcześniej i przechadzali się po polanie razem z Ballardem i Greshamem.

Corso pomachał ręką i zawołał:

— Szkoda tak pięknej niedzieli, prawda, doktorze Singh?

Daljeet pomachał mu w odpowiedzi i przykucnął, by spojrzeć na kość.

— Stał tutaj kiedyś dom — wyjaśniła Maura. — Według ekipy budowlanej były tu kamienne fundamenty.

— Nie ma szczątków trumny?

— Nie widzieliśmy.

Spojrzał na leżące wokół zabłocone kamienie, powyrywane z korzeniami chwasty i pniaki drzew.

— Ten spychacz mógł wszędzie porzucić kości.

Usłyszeli wołanie detektywa Yatesa:

— Znalazłem coś jeszcze!

— Aż tak daleko? — zdziwił się Daljeet, podchodząc z Maurą przez polanę do Yatesa.

— Szedłem tędy i zaplątałem się w krzak jeżyn — powiedział Yates. — Potknąłem się, a to wyskoczyło z ziemi. — Maura przykucnęła obok niego, a Yates rozsunął ostrożnie wyrwany z korzeniami kolczasty krzak. Z mokrej gleby wzbijała się w powietrze chmara komarów i przeleciała tuż obok twarzy Maury, gdy wpatrywała się w coś, co wystawało z ziemi. Była to czaszka. Zobaczyła pusty oczodół, przez który przebiły się splecione korzenie krzaka jeżyn.

Spojrzała na Daljeeta.

— Masz nożyce ogrodnicze?

Otworzył podręczną walizkę, wydając rękawice, sekator do róż i rydel. Przyklękli razem w grząskiej glebie, by wydobyć czaszkę. Maura podcinała korzenie, a Daljeet ostrożnie odgarniał ziemię. Słońce prażyło i gleba promieniowała ciepłem. Maura musiała przerwać kilka razy pracę, by otrzeć z czoła pot. Środek przeciw owadom, którego użyła przed godziną, już nie działał i wokół jej twarzy znów krążyły roje much.

Odłożyli z Daljeetem narzędzia i w rękawiczkach zaczęli grzebać w ziemi. Klęczeli tak blisko siebie, że zderzali się głowami. Maura spulchniała ręką coraz chłodniejszą glebę. Widziała już prawie całą czaszkę. Przerwała, wpatrując się w kość skroniową.

W widoczne teraz rozległe pęknięcie.

Spojrzeni z Daljeetem na siebie, myśląc o tym samym: To nie była naturalna śmierć.

— Chyba da się już wyjąć — rzekł Daljeet. — Podnieśmy ją.

Rozłożył plastikową płachtę, po czym sięgnął głęboko do dziury i wydobył oburącz czaszkę. Żuchwa była do niej częściowo przymocowana zwojami korzeni. Położył swój skarb na płachcie.

Przez chwilę wszyscy milczeli, wpatrując się w zmiażdżoną kość skroniową.

Detektyw Yates wskazał na metaliczny błysk na jednym z zębów trzonowych.

— Czy to nie plomba? — spytał.

— Owszem — odparł Daljeet. — Ale dentyści używali amalgamatu już sto lat temu.

— Czyli to mogą być bardzo stare szczątki.

— Ale gdzie są resztki trumny? Jeśli te zwłoki pochowano, powinna być trumna. I jeszcze ten drobny szczegół. — Daljeet wskazał na pęknięcie czaszki i spojrzał na dwóch detektywów, zagląających mu przez ramię. — Bez względu na wiek tych szczątków, popełniono tu zbrodnię.

Pozostali ludzie zaczęli tłoczyć się wokół nich i nagle powietrze zrobiło się tak gęste, jakby wyssano z niego cały tlen. Brzęczenie komarów pulsowało Maurze w uszach. Ale grzeje, pomyślała. Wstała i poszła na chwiejnych nogach w kierunku skraju lasu, gdzie baldachim dębów i klonów rzucał upragniony cień. Osunąwszy się na kamień, ukryła twarz w dłoniach, myśląc: To dlatego, że nie zjadłam śniadania.

— Mauro? — zawołał Ballard. — Dobrze się czujesz?

— To przez ten upał. Muszę się chwilę ochłodzić.

— Chcesz wody? Mam trochę w furgonetce, jeśli napijesz się z mojej butelki.

— Dzięki. Chętnie.

Patrzyła, jak idzie w kierunku samochodu w koszuli mokrej na plecach od potu. Nie starał się stąpać ostrożnie po nierównym terenie, tylko kroczył naprzód, rozdeptując zrytą ziemię. Pewnie i zdecydowanie. Ballard tak właśnie chodził, jak człowiek, który wie, co należy zrobić, i nie odkłada tego na później.

Butelka, którą przyniósł Maurze, zdążyła nagrzać się w furgonetce. Gdy zaczęła z niej zachłannie pić, strużka wody spłynęła jej po podbródku. Opuściwszy butelkę, zauważyła, że Ballard się w nią wpatruje. Przez chwilę nie słyszała brzęczenia owadów i szmeru głosów pracujących w pobliżu mężczyzn. Tutaj, w cieniu zielonych drzew,

mogła skupić uwagę tylko na nim. Na tym, jak musnął ręką jej dłoń, odbierając od niej butelkę. Na delikatnych smugach światła na jego włosach i figlarnych zmarszczkach wokół oczu. Słyszała, że woła ją Daljeet, ale nie odpowiedziała, nie odwróciła się. Ballard także był jak odurzony. Jedno z nas musi się ocknąć, pomyślała. Przerwać ten trans. Ale jakoś nie potrafię.

— Mauro? — Zobaczyła nagle, że Daljeet stoi obok niej. Nie słyszała nawet, jak podszedł. — Mamy ciekawy problem — oznajmił.

— Jaki?

— Chodź spojrzeć jeszcze raz na tę kość biodrową.

Podniosła się powoli. Stała już pewniej na nogach i nie czuła pustki w głowie. Dzięki wodzie i kilku chwilom spędzonym w cieniu odzyskała siły. Wróciła z Ballardem do miejsca, gdzie znaleźli kość biodrową. Zobaczyła, że Daljeet odgarnął już trochę ziemi, odsłaniając większy jej fragment.

— Doszedłem z tej strony do kości krzyżowej — oznajmił. — Widać tu dolny otwór miednicy i guz kulszowy.

Przykucnęła obok niego. Przez chwilę milczała, przyglądając się kości.

— Na czym polega problem? — spytał Ballard.

— Musimy zobaczyć to w całości — powiedziała. Spojrzała na Daljeeta. — Masz drugi rydel?

Podał go jej. Poczowała się, jakby dostała do ręki skalpel. Nagle znów musiała wziąć się do pracy, i to mało przyjemnej. Klęcząc obok siebie, z łopatkami w rękach, odgarniali z Daljeetem kamienistą ziemię. Splątane korzenie drzew uwięziły kość i musieli je przecinać, aby ją wydobyć. Im głębiej kopali, tym szybciej biło jej serce. Poszukiwacze skarbów szukali w ziemi złota, a ona — wyjaśnienia tajemnicy. Odpowiedzi, których mógł dostarczyć tylko grób. Z każdą łopatką odrzuconej ziemi odsłaniali nowe fragmenty kości. Kopali zawzięcie, sięgając coraz głębiej.

Gdy ujrzeli w końcu całą kość, zaniemówili z wrażenia.

Maura wstała i podeszła do czaszki, leżącej nadal na plastikowej płachcie. Uklękawszy obok niej, zdjęła rękawiczki i przesunęła palcami po twardej wypukłości nad oczodołem. Potem odwróciła czaszkę, aby obejrzeć potylicę.

Coś tu się nie zgadzało.

Przykucnęła na piętach. Bluzkę miała przesiąkniętą potem.

Na polanie słychać było tylko brzęczenie owadów. Drzewa otaczały ją ze wszystkich stron, strzegąc tego tajemniczego miejsca. Wpatrując się w nieprzeniknioną ścianę zieleni, miała wrażenie, że ją obserwują. Czekają na jej następny ruch.

— Co się dzieje, doktor Isles?

Podniósłszy wzrok, zobaczyła detektywa Corso.

— Mamy problem — odparła. — Ta czaszka...

— Co w niej jest takiego?

— Widzi pan te zgrubienia tutaj, nad oczodołami? I tu, u podstawy czaszki. Przesuwając tam palcem, wyczuje pan wypukłość. To tak zwana guzowatość potyliczna.

— I co?

— W tym miejscu znajdują się więzadła, przytwierdzające mięśnie karku do czaszki. Rozmiar zgrubienia świadczy, że ten osobnik miał silną muskulaturę. To niemal na pewno czaszka mężczyzny.

— Gdzie problem?

— Ta kość miedniczna należała do kobiety.

Corso spojrział na Maurę, a potem na doktora Singha.

— Całkowicie zgadzam się z doktor Isles — powiedział Daljeet.

— Ale to by znaczyło...

— Mamy tu szczątki dwóch różnych osób — kontynuowała Maura. — Mężczyzny i kobiety. — Wstała, patrząc Corso w oczy. — Pytanie tylko, ile jeszcze jest tutaj grobów?

Przez chwilę Corso był zbyt oszołomiony, by odpowiedzieć. Potem odwrócił się i powiódł powoli wzrokiem po polanie, jakby widział ją po raz pierwszy.

— Komendancie Gresham — powiedział. — Będziemy potrzebowali ochotników. Bardzo wielu. Policjantów, strażaków. Wezwę naszą ekipę z Augusty, ale to nie wystarczy.

Mamy poważne zadanie.

— Ilu ludzi ma pan na myśli?

— Musimy przeczesać ten teren. — Corso wpatrywał się w okoliczne drzewa. — Każdy centymetr polany i lasu. Jeśli pochowano tu jeszcze jakieś zwłoki, znajdziemy je.

Rozdział dwunasty

Jane Rizzoli wychowała się w Revere na przedmieściach Bostonu. Była to położona tuż za mostem Tobin dzielnica robotniczych domów na małych działkach, miejsce, gdzie zawsze czwartego lipca skwierczały grillowane na podwórkach kiełbaski, a na frontowych gankach powiewały dumnie amerykańskie flagi. Rodzina Rizzolich przeżywała swoje wzloty i upadki, w tym kilka koszmarnych miesięcy, gdy ojciec Jane stracił pracę, kiedy miała dziesięć lat. Była wystarczająco duża, by wyczuwać strach matki i bezsilną rozpacz ojca. Ona i jej dwaj bracia poznali, co znaczy żyć na krawędzi między dostatkiem a bankructwem i choć miała teraz stałą pensję, nie wyzbyła się do końca doświadczanego w dzieciństwie poczucia niepewności. Zawsze widziała siebie jako dziewczynkę z Revere, która dorastając, marzyła o tym, że pewnego dnia będzie miała wielki dom w dzielnicy willowej, z tyłoma łazienkami, by nie musiała co rano walić pięścią w drzwi, domagając się swojej kolejki pod prysznicem. Dom z kamiennym kominkiem, podwójnymi drzwiami frontowymi i mosiężną kołatką. Rezydencja, którą oglądała właśnie z samochodu, miała nawet więcej: mosiężną kołatkę, podwójne drzwi frontowe i nie jeden kominek, lecz dwa. Wszystko, o czym marzyła.

Ale był to najbrzydszy dom, jaki kiedykolwiek widziała.

Inne posiadłości na tej ulicy w East Dedham wyglądały tak, jak można oczekiwać w dzielnicy żyjących dostatnio przedstawicieli klasy średniej: miały garaże na dwa samochody i starannie utrzymane ogródki przy wejściu. Na podjazdach stały nowe modele aut. Nic wymyślnego, co by przyciągało wzrok. Ale ten dom nie tylko zwracał uwagę, krzykliwie się jej domagał.

Miało się wrażenie, jakby Tara, rezydencja plantatorów z *Przeminęło z wiatrem*, została porwana przez tornado i rzucona na miejską działkę. Dom nie miał właściwie ogródka, tylko pas ziemi z każdego boku, tak wąski, że między ścianą a płotem sąsiada z trudem mieściła się kosiarka. Białe kolumny trzymały wartę na ganku, gdzie Scarlett O'Hara mogłaby błyszczeć urodą na oczach wszystkich przechodniów na Sprague Street. Ten dom kojarzył jej się z Johnnym Silvą, chłopakiem z sąsiedztwa, który za pierwszą

wypłatę kupił sobie wiśniową corvette.

„Próbuje udawać, że nie jest bankrutem — rzekł wtedy jej ojciec. — Chłopaka nie stać nawet na to, żeby wyprowadzić się z sutereny u rodziców, a funduje sobie drogi sportowy wóz. Najgorsi nieudacznicy kupują największe samochody”.

Albo stawiają największe domy w okolicy, pomyślała, patrząc na Tarę przy Sprague Street.

Wygramoliła się zza kierownicy. Wchodząc po schodach na ganek, czuła, jak płód uciska jej pęcherz. Zacznę od toalety, pomyślała. Dzwonek u drzwi nie zadzwonił zwyczajnie, lecz wydał głęboki dźwięk jak dzwon katedralny, wzywający wiernych na modlitwę.

Blondynka, która jej otworzyła, sprawiała wrażenie, jakby zawędrowała do niewłaściwej rezydencji. Nie przypominała Scarlett O'Hary, tylko klasyczną Bambi — z bujną fryzurą, dużym biustem i ciałem w różowym obcisłym body. Twarz miała tak nienaturalnie pozbawioną wyrazu, że musiała być po operacji plastycznej.

— Jestem detektyw Rizzoli. Chcę się zobaczyć z Terence'em Van Gatesem. Dzwoniłam wcześniej.

— A, tak. Terry czeka na panią. — Dziewczęcy głosik, piskliwy i słodki. Na krótko do wytrzymania, ale po godzinie drażniłby ucho jak drapanie paznokciami po tablicy.

Rizzoli weszła do holu i zobaczyła natychmiast na ścianie monstrualnych rozmiarów obraz olejny. Przedstawiał Bambi w zielonej sukni wieczorowej, stojącą obok ogromnego wazonu orchidei. Wszystko w tym domu było monumentalne: obrazy, sufity, piersi.

— Biurowiec Terry'ego jest w remoncie, więc pracuje dziś w domu. W głębi korytarza, na prawo.

— Przepraszam... nie miałyśmy jeszcze przyjemności się poznać.

— Jestem Bonnie.

Bonnie, Bambi... Brzmi podobnie.

— To znaczy... pani Van Gates? — spytała Rizzoli.

— Aha.

Młoda żona. Van Gates musiał dochodzić do siedemdziesiątki.

— Czy mogę skorzystać z łazienki? Potrzebna mi jest teraz co dziesięć minut.

Dopiero w tym momencie Bonnie zauważyła, że Rizzoli jest w ciąży.

— Oczywiście, skarbie! Toaleta jest tam.

Rizzoli nigdy nie widziała łazienki urządzonej w cukierkowato różowym kolorze. Muszla stała na podwyższeniu jak tron, a na ścianie obok wisiał telefon. Jakby ktoś zamierzał załatwiać interesy w trakcie... załatwiania się. Umyła ręce różowym mydłem w różowej marmurowej umywalce, wytarła je w różowy ręcznik i szybko stamtąd wyszła.

Bonnie zniknęła, ale Rizzoli słyszała rytm muzyki do aerobiku i tupanie na piętrze. Bonnie ćwiczyła. Też będę musiała w końcu zadbać o linię, pomyślała Rizzoli. Ale nie włożę różowego body.

Poszła korytarzem, szukając biura Van Gatesa. Zajrzała najpierw do ogromnego salonu z białym fortepianem, białym dywanem i białymi meblami. Biały salon, różowa łazienka. Co dalej? Minęła kolejny obraz Bonnie, tym razem w pozie greckiej bogini w białej szacie, z sutkami widocznymi pod przezroczystym materiałem. Boże, ci ludzie powinni mieszkać w Vegas.

W końcu dotarła do biura.

— Pan Van Gates? — odezwała się.

Mężczyzna siedzący za wiśniowym biurkiem podniósł wzrok znad papierów i zobaczyła jego szkliste niebieskie oczy, obwisłe ze starości policzki i włosy... jakie one miały właściwie kolor? Coś między żółtym a pomarańczowym. Z pewnością nie było to zamierzone. Po prostu źle je ufarbowano.

— Detektyw Rizzoli? — spytał, skupiając wzrok na jej brzuchu. Wpatrywał się w niego tak, jakby nigdy nie widział policjantki w ciąży.

Mów do mnie, nie do brzucha, pomyślała, podchodząc do biurka i podając mu rękę. Zauważyła na jego głowie wymowne ślady transplantacji włosów, wyglądających jak małe kępki pożółkłej trawy, które miały dowodzić jego męskości. Zasłużyłeś na to, biorąc młodą żonę.

— Proszę usiąść, proszę — powiedział.

Usadowiła się w gładkim skórzanym fotelu. Rozejrzała się po pokoju i zauważyła, że miał zupełnie inny wystrój niż reszta domu. Był to tradycyjny gabinet prawnika, z ciemnym drewnem i skórą. Mahoniowe półki wypełniały czasopisma prawnicze i podręczniki. Ani śladu różu. Najwyraźniej był to jego teren, strefa niedostępna dla Bonnie.

— Naprawdę nie wiem, jak mógłbym pani pomóc — oznajmił. — Adopcję, o którą

pani chodzi, przeprowadzono czterdzieści lat temu.

— A więc nie w starożytności.

Zaśmiał się.

— Wątpię, czy była już pani wtedy na świecie.

Czy to był mały przytyk? Czyżby chciał przez to powiedzieć, że jest za młoda, by zwracać mu głowę takimi pytaniami?

— Nie pamięta pan tych ludzi?

— Mówię tylko, że to było dawno temu. Skończyłem dopiero studia prawnicze. Pracowałem w wynajętym biurze, bez sekretarki. Sam odpowiadałem na telefony. Brałem wszystkie sprawy, jak leci: rozwody, adopcje, jazdę po pijanemu. Byłe starczyło na czynsz.

— Ma pan, oczywiście, akta spraw z tamtych czasów.

— Powinny być w archiwum.

— Gdzie?

— W Quincy. Ale zanim będziemy kontynuować, muszę coś pani powiedzieć. Osoby zaangażowane w tę konkretną sprawę prosiły o całkowitą dyskrecję. Biologiczna matka nie chciała ujawniać swego nazwiska. Akta zostały zapieczętowane wiele lat temu.

— Chodzi o zabójstwo, panie Van Gates. Jedna z dwóch adoptowanych wtedy kobiet nie żyje.

— Tak, wiem. Ale nie rozumiem, co to ma wspólnego z jej adopcją sprzed czterdziestu lat. Jakie to ma znaczenie dla pani śledztwa?

— Dlaczego Anna Leoni do pana dzwoniła?

Wydawał się zaskoczony.

— Słucham? — odparł, nie zdołało to jednak zamaskować jego pierwszej reakcji.

— Dzień przed zabójstwem Anna Leoni dzwoniła do pańskiego biura z pokoju w hotelu Tremont. Dostaliśmy właśnie wykaz jej rozmów. Połączenie trwało trzydzieści siedem minut. Musieliście o czymś mówić. Ta nieszczęsna kobieta nie czekała chyba tyle czasu przy telefonie?

Van Gates nie odpowiadał.

— Panie Van Gates?

— Ta... ta rozmowa była poufna.

— Pani Leoni była pańską klientką? Wystawił jej pan rachunek za konsultację?

— Nie, ale...

— To nie musi pan zachowywać dyskrecji.

— Mam zobowiązania wobec innej osoby.

— Biologicznej matki.

— No cóż, była moją klientką. Oddała dzieci pod jednym warunkiem: że jej nazwisko nigdy nie zostanie ujawnione.

— To było czterdzieści lat temu. Może zmieniła zdanie.

— Nie mam pojęcia. Nie wiem, gdzie jest. Nie wiem nawet, czy jeszcze żyje.

— Czy po to Anna do pana dzwoniła? Żeby zapytać o swoją matkę?

Wyprostował się w fotelu.

— Osoby adoptowane są często ciekawe swego pochodzenia. Dla niektórych staje się to obsesją. Zaczynają więc poszukiwać dokumentów. Inwestują tysiące dolarów i przeżywają wiele cierpień, szukając matek, które wcale nie chcą być odnalezione. A jeśli nawet im się udaje, rzadko jest to szczęśliwe zakończenie, jakiego oczekiwały. Ona tego właśnie szukała, pani detektyw. Szczęśliwego zakończenia. Czasem lepiej jest o wszystkim zapomnieć i żyć swoim życiem.

Rizzoli pomyślała o własnym dzieciństwie, o rodzinie. Zawsze wiedziała, kim jest. Znała swoich dziadków i rodziców, widziała, że jest do nich podobna. Miała ten sam co oni kod genetyczny i bez względu na to, jak bardzo ją drażnili czy wprawiali w zakłopotanie, byli jej krewnymi.

Ale Maura Isles nigdy nie widziała swego odbicia w oczach dziadków. Czy idąc ulicą, wpatrywała się w twarze przechodniów, próbując rozpoznać w nich własne rysy? Znajomy zarys ust albo nosa? Rizzoli doskonale rozumiała ludzi pragnących poznać swoje pochodzenie, wiedzieć, że nie są jedynie pojedynczą gałązką, lecz konarem głęboko zakorzonego drzewa.

Spojrzała Van Gatesowi w oczy.

— Kim jest matka Anny Leoni?

Pokręcił głową.

— Powtórzę raz jeszcze. To nie ma znaczenia dla pani...

— Sama o tym zdecyduję. Proszę podać mi tylko nazwisko.

— Po co? Żeby zakłócić pani spokój kobiety, która może nie chce pamiętać o błędach młodości? Co to ma wspólnego z zabójstwem?

Rizzoli pochyliła się do przodu, kładąc obie dłonie na biurku, wkraczając agresywnie na jego teren. Słodkie małe Bambi tego nie robiły, ale policjantka z Revere nie bała się tak postępować.

— Możemy zażądać wydania akt. Albo grzecznie o to poproszę.

Mierzyli się wzrokiem przez chwilę. W końcu Van Gates westchnął, poddając się.

— W porządku, nie chcę znów przez to przechodzić. Powiem pani. Ta kobieta nazywała się Amalthea Lank. Miała dwadzieścia cztery lata. I bardzo potrzebowała pieniędzy.

Rizzoli zmarszczyła brwi.

— Chce pan powiedzieć, że zapłacono jej za oddanie dzieci?

— No cóż...

— Ile?

— Dużą sumę. Wystarczającą, żeby mogła zacząć nowe życie.

— Ile?

Zamrugął oczami.

— Dwadzieścia tysięcy dolarów za niemowlę.

— Za każde z nich?

— Dwie szczęśliwe rodziny odeszły z dziećmi, a ona z gotówką. Proszę mi wierzyć, że dziś płaci się za adopcję o wiele więcej. Wie pani, jak trudno dziś zaadoptować zdrowego noworodka białej rasy? Po prostu ich brakuje. Działa tu prawo popytu i podaży.

Rizzoli zagłębiła się z powrotem w fotelu, wstrząśnięta, że kobieta może z zimną krwią sprzedać dzieci.

— Tylko tyle mogę pani powiedzieć — rzekł Van Gates. — Jeśli chce pani wiedzieć więcej, może warto pogadać z kolegami z policji. Zaoszczędzi to pani sporo czasu.

Te ostatnie słowa ją zaskoczyły. Potem przypomniała sobie, co powiedział wcześniej: „Nie chcę znów przez to przechodzić”.

— Kto jeszcze pytał pana o tę kobietę? — spytała.

— Wszyscy zachowujecie się tak samo. Zjawiacie się tutaj i grozicie uprzykrzeniem mi życia, jeśli nie będę współpracował...

— To był policjant?

— Tak.

— Jak się nazywał?

— Nie pamiętam. To było wiele miesięcy temu. Jego nazwisko wyleciało mi z pamięci.

— Czemu pana wypytywał?

— Bo ona go poprosiła. Przyszli razem.

— Anna Leoni była z nim?

— Wyświadczał jej przysługę. — Van Gates prychnął pogardliwie. — Wszyscy powinniśmy móc z tego korzystać.

— To było przed kilkoma miesiącami? Przyszli do pana razem?

— Właśnie to powiedziałem.

— I wyjawiał jej pan nazwisko matki?

— Tak.

— Więc po co Anna zadzwoniła w zeszłym tygodniu? Skoro już je znała?

— Ponieważ zobaczyła w „Boston Globe” fotografię bliźniaczo do niej podobnej kobiety.

— Doktor Maury Isles.

Skinął głową.

— Pani Leoni zapytała mnie wprost, więc jej powiedziałem.

— Co takiego?

— Że miała siostrę.

Rozdział trzynasty

Z powodu kości wszystko się zmieniło.

Maura planowała wracać tego wieczoru do Bostonu, postanowiła jednak wpaść na chwilę do domu pod lasem, by przebrać się w dżinsy i podkoszulek, po czym pojechała swoim samochodem na polanę. Zostanę trochę dłużej, pomyślała, i wyjadę przed czwartą. Ale po południu zjawiała się ekipa dochodzeniowa z Augusty, a grupy poszukiwawcze zaczęły penetrować obszar, który Corso wyznaczył na polanie. Maura straciła poczucie czasu. Zrobiła sobie tylko jedną przerwę, by pochłonąć kanapkę z kurczakiem, którą dostarczyli ochotnicy. Smakowała jak środek przeciw komarom, którym nasmarowała sobie twarz, ale była tak głodna, że z radością gryzłaby nawet suchy chleb. Zaspokoiwszy apetyt, znów włożyła rękawiczki, chwyciła rydel i przyklęknęła na ziemi obok doktora Singha.

Godzina szesnasta minęła niespostrzeżenie.

Kartonowe pudła zaczęły wypełniać się kośćmi. Żebra, kręgi lędźwiowe, kości udowe, piszczele. Spychacz w istocie nie rozrzucił ich daleko. Szczątki kobiety znajdowały się w promieniu dwóch metrów, a kości mężczyzny, uwięzione w korzeniach krzaków jeżyn, nawet bliżej siebie. Były tylko dwa szkielety, ale odkopywali je całe popołudnie. Podniecona poszukiwaniami Maura nie potrafiła się zdobyć na to, by wyjechać, skoro każda łopatka ziemi mogła kryć kolejne trofeum. Guzik, kulę albo ząb. Studiując na Uniwersytecie Stanforda, pracowała latem przy wykopaliskach archeologicznych w Baja. Choć temperatura sięgała tam prawie czterdziestu stopni, a jedyne cienia dostarczał jej kapelusz z szerokim rondem, pracowała nawet w najgorętszej porze dnia, rozgorączkowana jak poszukiwacze skarbów, którzy wierzą, że są o krok od następnego odkrycia. Teraz też czuła tę gorączkę, klęcząc wśród paproci i oganiając się od much. Kopała całe popołudnie i wieczór, choć nadciągały chmury burzowe, a w oddali rozległ się grzmot.

Czuła gorączkę... i miłe podniecenie, ile razy zbliżył się do niej Rick Ballard.

Nawet przesiewając ziemię i wyrywając korzenie, wyczuwała jego obecność, jego

bliskość. Słyszała jego głos. To on przyniósł jej świeżą butelkę wody i kanapkę. Przystanął i położył jej rękę na ramieniu, pytając, jak sobie radzi. Koledzy z Urzędu Lekarza Sądowego rzadko pozwalali sobie na taki gest. Może z powodu jej powściągliwości albo jakichś wysyłanych przez nią sygnałów, że nie życzy sobie fizycznego kontaktu. Ale Ballard nie wahał się dotykać jej ramienia i kłaść jej ręki na plecach.

Sprawiał, że się czerwieniła.

Kiedy ekipa dochodzeniowa zaczęła pakować sprzęt, Maura stwierdziła ze zdumieniem, że jest już siódma i zapada zmierzch. Bolały ją mięśnie i miała brudną odzież. Stojąc na drżących z wysiłku nogach, patrzyła, jak Daljeet zakleja taśmą dwa pudła kości. Wzięli oboje po jednym i zanieśli przez polanę do jego samochodu.

— Po dzisiejszym dniu jesteś mi chyba winien kolację, Daljeet — odezwała się Maura.

— Restauracja Julien. Obiecuję. Jak będę następnym razem w Bostonie.

— Wierz mi, że ci nie daruję.

Załadował pudła do samochodu i zamknął drzwiczki. Potem uścisnęli sobie brudne dłonie i Maura pomachała mu, gdy odjeżdżał. Nie został już prawie nikt z grupy poszukiwawczej. Na polanie stało tylko kilka samochodów.

Wśród nich explorer Ballarda.

Przystanąła w zapadającym zmroku, patrząc na polanę. Ballard rozmawiał pod lasem z detektywem Corso, odwrócony do niej plecami. Zwlekała z odjazdem, mając nadzieję, że ją zauważy.

I co potem? Czego oczekiwała?

Wynoś się stąd, zanim zrobisz z siebie idiotkę.

Odwróciwszy się nagle, poszła do samochodu, włączyła silnik i ruszyła z piskiem opon.

W domu ściągnęła z siebie zabłocone ubranie. Stała długo pod prysznicem, namydając się dwukrotnie, żeby dokładnie zmyć resztki tłustego środka przeciw komarom. Kiedy wyszła z łazienki, zdała sobie sprawę, że nie ma już czystych rzeczy na zmianę. Zamierzała przecież spędzić w Fox Harbor tylko jedną noc.

Otworzyła szafę i spojrzała na rzeczy Anny. Wszystkie były w jej rozmiarze. Co innego mogła włożyć? Wyciągnęła letnią sukienkę z białej bawełny. Była trochę zbyt

dziewczęca na jej gust, ale w ten ciepły, wilgotny wieczór miała ochotę na coś takiego. Wsunąwszy ją przez głowę, poczuła, jak przylega jej delikatnie do skóry. Przez moment pomyślała, kiedy Anna wygładzała ją sobie po raz ostatni na biodrach, kiedy zawiązywała pasek w talii. W miejscu, gdzie był węzeł, pozostał jeszcze wymięty materiał. *Wszystko, co tu widzę i czego dotykam, nosi ślady obecności Anny.*

Słyszając dzwonek telefonu, odwróciła się i spojrzała na nocną szafkę. Wiedziała, że to Ballard, zanim podniosła słuchawkę.

— Nie widziałem, kiedy odjechałaś — powiedział.

— Wróciłam do domu, żeby wziąć prysznic. Byłam cała zabłocona.

Zaśmiała się.

— Ja też czuję się dość niechlujny.

— Kiedy wracasz do Bostonu?

— Zrobiło się późno. Chyba zostanę tu jeszcze jedną noc. A ty?

— Też nie mam ochoty jechać po ciemku.

Milczeli przez chwilę.

— Znalazłeś pokój w hotelu? — spytała.

— Mam namiot i śpiwór. Przenocuję na kempingu przy drodze.

Miała pięć sekund na podjęcie decyzji. Pięć sekund na rozważenie wszystkich możliwości. I konsekwencji.

— Mam tutaj wolny pokój — oznajmiła. — Możesz z niego skorzystać.

— Nie chcę ci się narzucać.

— Łóżko jest wolne, Rick.

Zaległa chwila ciszy.

— Byłoby wspaniale. Ale pod jednym warunkiem.

— Jakim?

— Przyjadę z kolacją. Przy głównej ulicy jest restauracja z daniami na wynos. Nic wymyślnego, może jakieś gotowane homary.

— Nie wiem, jak dla ciebie, Rick, ale dla mnie homary to zdecydowanie wymyślne jedzenie.

— Wolisz wino czy piwo?

— Na dzisiejszy wieczór raczej piwo.

— Będę za jakieś pół godziny. Nie trać apetytu.

Odłożyła słuchawkę i nagle uświadomiła sobie, jak bardzo jest głodna. Kilka chwil wcześniej czuła się zbyt zmęczona, by jechać do miasta, i zamierzała zrezygnować z kolacji i po prostu wcześniej się położyć. Teraz była spragniona nie tylko jedzenia, ale również towarzystwa.

Chodziła po domu, niespokojna i targana zbyt wieloma sprzecznymi żądzami. Zaledwie parę dni temu jadła kolację z Danielem Brophym. Ale Daniel od dawna już należał do Kościoła i nie miała u niego szans. Beznadziejne przypadki bywają kuszące, jednak rzadko przynoszą szczęście.

Usłyszawszy grzmot, podeszła do drzwi zabezpieczonych siatką przeciw owadom. Na zewnątrz zmierzch przechodził już w noc. Nie widziała błyskawic, ale powietrze wydawało się naelektryzowane. Naładowane możliwościami. O dach zaczęły stukać krople deszczu. Najpierw rozległo się tylko kilka niepewnych uderzeń, a potem niebo otworzyło się i w górze jakby rozbrzmiało sto bębnow. Urzeczona potęgą burzy stała na ganku i wpatrywała się w ulewny deszcz, czując, jak upragniony powiew chłodnego powietrza marszczy jej sukienkę i unosi włosy.

Przez srebrne strugi wody przedarły się światła reflektorów.

Stała nieruchomo na ganku, z sercem walącym jak krople deszczu, gdy samochód zatrzymał się przed domem. Ballard wysiadł, niosąc dużą torbę z zakupami i sześciopak piwa. Chroniąc głowę przed ulewą, wbiegł po schodach na ganek.

— Nie wiedziałem, że będę tu musiał dopłynąć — powiedział.

Zaśmiała się.

— Chodź, dam ci ręcznik.

— Mogę wskoczyć pod prysznic? Nie miałem jeszcze okazji się wykapać.

— Proszę bardzo. — Wzięła od niego torbę z zakupami. — Łazienka jest w głębi korytarza. W szafce są czyste ręczniki.

— Wyjmę z bagażnika neseser.

Zaniosła jedzenie do kuchni i włożyła piwo do lodówki. Słyszała, jak zamykają się drzwi, gdy wrócił do domu. Chwilę później rozległ się szum wody pod prysznicem.

Usiadła przy stole, robiąc głęboki wydech. To tylko kolacja, pomyślała. Jedna noc pod wspólnym dachem. Przypomniała sobie kolację, którą zaledwie kilka dni temu przygotowała dla Daniela, i jak inny był od początku tamten wieczór. Kiedy na niego patrzyła, wydawał się nieosiągalny. *A co widzę, gdy patrzę na Ricka? Może więcej, niż*

powinnam.

Prysznic został wyłączony. Siedziała w bezruchu, nasłuchując, mając nagle tak wyostrzone zmysły, że czuła na skórze ruchy powietrza. Usłyszała kroki i raptem Ballard znalazł się przy niej, pachnący mydłem, ubrany w dżinsy i czystą koszulę.

— Mam nadzieję, że zechcesz jeść z bosym mężczyzną — powiedział. — Mam zbyt zabłocone buty, żeby nosić je w domu.

Roześmiała się.

— To ja też zdejmę buty. Będzie jak na pikniku. — Zsunęła sandały i poszła do lodówki. — Masz już ochotę na piwo?

— Od wielu godzin.

Otworzyła dwie butelki i podała mu jedną. Sącząc piwo, patrzyła, jak Ballard odchyła głowę i wypija wielki łyk. Daniela nigdy takiego nie zobaczę, pomyślała. Bosego i beztroskiego, z włosami mokrymi po kąpieli.

Odwróciła się i zajrzała do torby z zakupami.

— Co przyniosłeś na kolację?

— Pokażę ci. — Stanąwszy obok niej przy blacie, sięgnął do torby i wyjął różne owinięte folią pakunki. — Pieczone ziemniaki. Stopione masło. Gotowane kolby kukurydzy. I główne danie. — Wyciągnął duży pojemnik ze styropianu i otworzył go, pokazując dwa gorące jeszcze jaskrawoczerwone homary.

— Jak się do nich dostać?

— Nie wiesz, jak się je te stworzy?

— Mam nadzieję, że ty wiesz.

— Nic trudnego. — Wyjął z torby dwa dziadki do orzechów. — Jest pani gotowa do operacji, pani doktor?

— Zaczynam się denerwować.

— Wszystko kwestia techniki. Ale najpierw musimy odpowiednio się ubrać.

— Słucham?

Sięgnął do torby po plastikowe śliniaki.

— Chyba żartujesz.

— Myślisz, że w restauracjach dają te rzeczy tylko po to, żeby turyści wyglądali jak idioci?

— Owszem.

— Miej poczucie humoru. Dzięki temu nie zabrudzisz tej ślicznej sukienki. — Stał za nią i założył jej śliniak. Czuła na włosach jego oddech, gdy zawiązywał go jej na szyi. Nie spieszył się, a jego dotyk przyprawiał ją o dreszcze.

— Teraz twoja kolej — powiedziała cicho.

— Moja kolej?

— Nie będę sama się wygłupiała.

Westchnął z rezygnacją i również sobie zawiązał na szyi śliniak. Spojrzeli na siebie, na wymalowane homary na śliniakach, które mieli na piersiach, i oboje parsknęli śmiechem. Śmiali się nadal, siadając do stołu. Kilka łyków piwa na pusty żołądek i przestanę się kontrolować, pomyślała. A jest mi tak błogo.

Ballard wziął do ręki dziadka do orzechów.

— A więc, doktor Isles. Jesteśmy gotowi do operacji?

Sięgnęła po swoje narzędzie, trzymając je jak chirurg, który ma zrobić pierwsze nacięcie.

— Jestem gotowa.

Deszcz bębnił rytmicznie o dach, gdy odrywali szczypce, rozłupywali skorupy i wydobywali słodkie kawałki mięsa. Jedli rękami, nie używając widelców. Tłustymi od masła palcami otwierali kolejne butelki piwa i rozłamywali pieczone ziemniaki, by dostać się do ciepłego środka. Tego wieczoru manieri nie miały znaczenia. Byli na pikniku i siedzieli bosy przy stole, oblizując palce. Rzucali na siebie ukradkowe spojrzenia.

— To o wiele przyjemniejsze niż jedzenie widelcem i nożem — powiedziała.

— Nigdy dotąd nie jadłaś homarów palcami?

— Możesz mi nie wierzyć, ale po raz pierwszy mam do czynienia z homarem, który jest jeszcze w skorupie. — Sięgnęła po serwetkę i otarła palce z tłuszczu. — Nie jestem z Nowej Anglii. Przeprowadziłam się tu dopiero dwa lata temu. Z San Francisco.

— Trochę mnie to zaskakuje.

— Dlaczego?

— Wyglądasz na typową jankeskę.

— To znaczy?

— Jesteś zamknięta w sobie. Skryta.

— Staram się taka być.

— Chcesz powiedzieć, że to nie twoje prawdziwe oblicze?

— Wszyscy odgrywamy role. W pracy nakładam maskę. Noszę ją, występując jako doktor Isles.

— A kiedy jesteś z przyjaciółmi?

Wypiła łyk piwa, po czym spokojnie odstawiła szklankę.

— W Bostonie nie mam jeszcze zbyt wielu przyjaciół.

— To wymaga czasu, kiedy jest się osobą z zewnątrz.

Osoba z zewnątrz. Tak właśnie codziennie się czuła. Widziała, jak policjanci poklepują się wzajemnie po plecach, słyszała, jak rozmawiają o grillu i meczach softballu, na które nigdy jej nie zapraszano, bo nie należała do ich grona, nie była policjantką. Tytuł lekarza medycyny obok jej nazwiska odgradzał ją od nich jak mur. Koledzy lekarze z biura, wszyscy żonaci, też nie wiedzieli, co z nią zrobić. Atrakcyjne rozwódki są kłopotliwe. Stanowią zagrożenie albo pokusę, na którą nikt nie chce się narażać.

— Co sprowadziło cię do Bostonu? — spytał.

— Chyba musiałam zmienić coś w życiu.

— Problemy zawodowe?

— Nie. Na akademii medycznej było mi całkiem dobrze. Pracowałam jako patolog w szpitalu uniwersyteckim. I miałam kontakt z młodymi, zdolnymi stażystami i studentami.

— Skoro nie chodziło o pracę, to pewnie o sprawy sercowe.

Spojrzała na blat stołu, na resztki kolacji.

— Zgadłeś.

— Teraz mi powiesz, żebym pilnował swego nosa.

— Rozwiodłam się, to wszystko.

— Chcesz o tym pogadać?

Wzruszyła ramionami.

— Cóż mogę powiedzieć? Victor był błyskotliwy, niewiarygodnie charyzmatyczny...

— Boże, już jestem zazdrosny.

— Ale nie da się długo być żoną kogoś takiego. To człowieka wypala. Można się wykończyć. Poza tym on... — Przerwała.

— Co?

Sięgnęła po piwo. Sączyła je przez chwilę, po czym odstawiła szklanę.

— Nie był wobec mnie całkiem uczciwy — dokończyła. — To wszystko.

Wiedziała, że Ballard chce usłyszeć więcej, ale wyczuł w tonie jej głosu, że skończyła ten temat. *Na tym poprzestańmy*. Wstał i podszedł do lodówki po kolejne dwa piwa. Zdjął kapsle i podał jej butelkę.

— Skoro mamy rozmawiać o naszych „byłych”, będziemy potrzebowali dużo więcej piwa — powiedział.

— Więc nie mówmy o nich. Jeśli to sprawia ból.

— Może cierpimy właśnie dlatego, że o tym nie rozmawiamy.

— Nikt nie chce słuchać o moim rozwodzie.

Usiadł, napotykaając nad stołem jej spojrzenie.

— Ja chcę.

Pomyślała, że żaden mężczyzna nie wpatrywał się w nią dotąd tak intensywnie, i nie potrafiła odwrócić wzroku. Oddychała głęboko, czując w nozdrzach zapach deszczu i ostrą zwierzęcą woń stopionego masła. Dostrzegła w jego twarzy szczegóły, których wcześniej nie zauważyła. Jasne pasemka we włosach. Bliznę na podbródku, cienką białą linię tuż pod wargą. Ukruszony przedni ząb. Dopiero spotkałam tego człowieka, pomyślała, a patrzy na mnie, jakbyśmy znali się od zawsze. Usłyszała, że w sypialni dzwoni jej telefon komórkowy, ale nie miała ochoty odpowiadać. Zaczekała, aż zamilknie. Zwykle tak nie postępowała, ale tego wieczoru wszystko wyglądało inaczej. Ona czuła się inna. Była beztroską kobietą, która nie odpowiadała na telefony i jadła palcami.

Kobietą, gotową pójść do łóżka z mężczyzną, którego prawie nie знаła.

Telefon znowu zaczął dzwonić.

Tym razem natarczywość sygnału przyciągnęła jej uwagę. Nie mogła dłużej go ignorować. Podniosła się niechętnie.

— Chyba powinnam odebrać.

Zanim dotarła do sypialni, telefon znów przestał dzwonić. Sprawdziła pocztę głosową i odebrała dwie wiadomości, obie od Rizzoli.

— Pani doktor, muszę z panią pomówić. Proszę o kontakt.

W drugiej wiadomości pobrzmiwał ton zdenerwowania.

— To znowu ja. Czemu pani nie odpowiada?

Maura usiadła na łóżku. Patrząc na nie, pomyślała, że jest w sam raz dla dwojga. Otrząsnąwszy się z tej myśli, zaczerpnęła głęboko tchu i wykręciła numer telefonu Rizzoli.

— Gdzie pani jest? — spytała Rizzoli.

— Jeszcze w Fox Habor. Przepraszam, nie zdążyłam dojść do telefonu, żeby odebrać.

— Widziała się pani z Ballardem?

— Tak, właśnie zjedliśmy kolację. Skąd pani wie, że wybierał się do mnie?

— Ponieważ dzwonił do mnie wczoraj, pytając, dokąd pani pojechała. Wyglądało na to, że chce panią odwiedzić.

— Jest w pokoju obok. Mam go poprosić?

— Nie, chcę porozmawiać z panią. — Rizzoli przerwała na chwilę. — Widziałam się dzisiaj z Terence'em Van Gatesem.

Nagła zmiana tematu zupełnie zbiła Maurę z tropu.

— Co? — spytała zaskoczona.

— Mówiła pani, że to prawnik, który...

— Tak, wiem, kim on jest. Co pani powiedział?

— Coś ciekawego. Na temat adopcji.

— Rozmawiał z panią o tym?

— Tak. To zadziwiające, jak niektórzy ludzie się otwierają, kiedy błysnie się policyjną odznaką. Przyznał, że pani siostra przyszła do niego kilka miesięcy temu. Tak jak pani, próbowała odnaleźć swą biologiczną matkę. Powiedział jej to samo co pani. Że akta są zapieczętowane, że ta kobieta prosiła o dyskrecję i tak dalej. Wróciła więc ze znajomym, który w końcu przekonał Van Gatesa, że we własnym interesie powinien ujawnić nazwisko jej matki.

— I zrobił to?

— Owszem.

Maura przyciskała słuchawkę tak mocno do ucha, że słyszała swoje tętno.

— Wie pani, kim jest moja matka — powiedziała cicho.

— Tak. Ale chodzi o coś jeszcze...

— Jak ona się nazywa, Jane?

Zaległa cisza.

— Lank. Nazywa się Amalthea Lank.

Amalthea. Moja matka ma na imię Amalthea.

Maura odetchnęła z pełną wdzięczności ulgą.

— Dzięki! Boże, nie mogę uwierzyć, że wreszcie wiem...

— Proszę poczekać. To nie wszystko.

Ton głosu Rizzoli brzmiał ostrzegawczo. Miała złe wiadomości. Coś, co się Maurze nie spodoba.

— O co chodzi?

— Ten znajomy Anny, który rozmawiał z Van Gatesem...

— Tak?

— To był Rick Ballard.

Maura znieruchomiała. Słyszała z kuchni brzęk naczyń, odgłos lejącej się wody. *Spędziłam z nim właśnie cały dzień i nagle dowiaduję się, że nie wiem, kim naprawdę jest.*

— Pani doktor?

— Więc dlaczego mi nie powiedział?

— Wiem dlaczego.

— Tak?

— Proszę lepiej zapytać jego. Niech sam pani wszystko opowie.

* * *

Wróciwszy do kuchni, zobaczyła, że Ballard sprzątnął ze stołu i wyrzucił resztki homara do kosza. Mył ręce przy zlewie i nie zauważył, że Maura przygląda mu się, stojąc w progu.

— Co wiesz o Amalthei Lank? — spytała.

Znieruchomiał, nadal odwrócony do niej plecami. Milczał przez dłuższą chwilę. Potem sięgnął po ścierkę do naczyń i powoli wytarł ręce. Chce zyskać na czasie, pomyślała. Ale żadne wyjaśnienie nie mogło zmienić tego, że nagle przestała mu ufać.

W końcu odwrócił się do niej.

— Miałem nadzieję, że się nie dowiesz. Amalthea Lank nie jest kobietą, którą chciałabyś poznać, Mauro.

— Czy jest moją matką? Cholera, powiedz mi chociaż tyle.

Skinął niechętnie głową.

— Tak.

A więc przyznał to. Potwierdził. Minęła kolejna chwila, zanim uzmysłowiła sobie, że ukrywał przed nią tak ważną informację. Przez cały czas przyglądał jej się z wyrazem zatroskania.

— Czemu nic mi nie powiedziałaś? — spytała.

— Myślałem tylko o tobie, Mauro. O tym, co będzie dla ciebie najlepsze...

— Czy nie byłoby najlepiej, gdybym poznała prawdę?

— Nie.

— Co to niby ma znaczyć, do diabła?

— Popełniłem błąd w przypadku twojej siostry. I to poważny. Tak bardzo pragnęła odnaleźć matkę, że postanowiłem wyświadczyć jej tę przysługę. Nie miałem pojęcia, że tak się to skończy. — Zrobił krok w kierunku Maury. — Próbowałem cię chronić. Widziałem, co stało się z Anną. Nie chciałem, żeby to samo przydarzyło się tobie.

— Nie jestem Anną.

— Ale bardzo ją przypominasz. Tak bardzo, że aż mnie to przeraża. Nie tylko wyglądem, ale i psychiką.

Zaśmiała się drwiąco.

— Więc czytasz już w moich myślach?

— Nie chodzi o twój umysł, tylko osobowość. Anna była uparta. Kiedy postanowiła się czegoś dowiedzieć, nie dawała za wygraną. Ty też tak długo będziesz kopać, aż znajdziesz na wszystko odpowiedź. Tak jak kopałaś dzisiaj w lesie. To nie należało do twoich obowiązków ani nie byłaś na swoim terenie. W ogóle nie miałaś powodu tam być. Kierowała tobą czysta ciekawość. I upór. Chciałaś znaleźć te kości, więc znalazłaś. Anna była taka sama. — Westchnął ciężko. — Żałuję tylko, że dokopała się do tego, czego szukała.

— Kim była moja matka, Rick?

— Kobieta, której nie powinnaś spotykać.

Dopiero po chwili Maura uzmysłowiła sobie w pełni sens jego odpowiedzi. *Użył czasu teraźniejszego.*

— Moja matka żyje.

Skinął niechętnie głową.

— I wiesz, gdzie ją znaleźć.

Nic nie odpowiedział.

— Do cholery, Rick! — wybuchnęła. — Dlaczego mi po prostu nie powiesz?

Podszedł do stołu i usiadł, jakby poczuł się nagle zbyt zmęczony, by kontynuować walkę.

— Ponieważ wiem, że fakty sprawią ci ból. Zwłaszcza ze względu na to, kim jesteś. Czym zajmujesz się zawodowo.

— Co ma z tym wspólnego moja praca?

— Pracujesz dla wymiaru sprawiedliwości. Pomagasz osądzać zabójców.

— Nikogo nie osądzam. Dostarczam tylko faktów. Czasem wam, policjantom, wcale nie są one na rękę.

— Ale jesteś po naszej stronie.

— Nie. Po stronie ofiary.

— Zgoda. Po stronie ofiary. Właśnie dlatego nie spodoba ci się to, co mam ci do powiedzenia na temat tej kobiety.

— Na razie nic mi nie powiedziałaś.

Westchnął głęboko.

— W porządku. Może powinienem zacząć od tego, gdzie mieszka.

— Słucham.

— Amalthea Lank — kobieta, która oddała cię do adopcji — jest osadzona w zakładzie karnym stanu Massachusetts we Framingham.

Maura poczuła, jak uginają się pod nią nogi i osunęła się na krzesło stojące naprzeciw niego, rozmazując ręką zastygłe na blacie masło. Świadectwo radosnej kolacji, którą spożywali razem zaledwie przed godziną, zanim zatrzęsł się jej świat.

— Moja matka jest w więzieniu?

— Tak.

Maura wpatrywała się w niego, nie potrafiąc się zdobyć na kolejne, oczywiste pytanie, gdyż bała się odpowiedzi. Ale uczyniwszy pierwszy krok, nie mogła już zawrócić z raz obranej drogi, choć nie wiedziała, dokąd ją zaprowadzi.

— Co ona zrobiła? — spytała. — Za co siedzi?

— Dostała dożywocie — odparł Ballard. — Za dwukrotne zabójstwo.

— Tego właśnie chciałem ci oszczędzić — powiedział Ballard. — Widziałem, jak to podziało na Annę, kiedy dowiedziała się, co zrobiła jej matka. Czyją krew ma w żyłach. To dziedzictwo, które każdy odrzuca — zabójca w rodzinie. Oczywiście, nie chciała w to wierzyć. Uważała, że to pomyłka, że jej matka jest niewinna. A gdy ją zobaczyła...

— Chwileczkę. Anna widziała się z naszą matką?

— Tak. Pojechaliśmy razem do Framingham. Do więzienia dla kobiet. To był kolejny błąd, bo ta wizyta tylko pogłębiła jej wątpliwości. Nie mogła pogodzić się z faktem, że jej matka jest pot... — Przerwał w pół słowa.

Potworem. Moja matka jest potworem.

Krople deszczu postukiwały już tylko lekko o dach. Choć burza minęła, Maura słyszała nadal nad morzem pomruki grzmotów. Ale w kuchni panowała głucha cisza. Siedzieli po dwóch stronach stołu i Rick przyglądał się jej z troską, jakby w obawie, że dozna zaraz szoku. Nie zna mnie, pomyślała. Nie jestem Anną. Nie załamie się. I nie potrzebuję żadnego pieprzonego opiekuna.

— Opowiedz mi wszystko.

— Wszystko?

— Powiedziałeś, że Amaltheę Lank skazano za dwukrotne zabójstwo. Kiedy to było?

— Jakieś pięć lat temu.

— Kim były ofiary?

— Ciężko mi o tym opowiadać. A tobie nie będzie łatwo słuchać.

— Powiedziałeś mi już, że moja matka jest morderczynią. Myślę, że zniosłam to całkiem nieźle.

— Lepiej niż Anna — przyznał.

— Powiedz mi, kim były ofiary i niczego, do cholery, nie pomijaj. Nie znoszę, Rick, gdy ludzie ukrywają przede mną prawdę. Byłam żoną faceta, który zbyt wiele zatajał. To rozbiło nasze małżeństwo. Nikomu więcej na to nie pozwolę.

— W porządku. — Pochylił się naprzód, patrząc jej w oczy. — Skoro chcesz znać szczegóły, będę brutalnie szczery. Ponieważ to była brutalna zbrodnia. Ofiarami były dwie siostry, Theresa i Nikki Wells, z Fitchburga w Massachusetts. Jedna miała trzydzieści pięć lat, druga — dwadzieścia osiem. Utknęły samochodem na poboczu drogi,

bo złapały gumę. Był koniec listopada i niespodziewanie nadciągnęła zamieć. Musiały uznać, że mają dużo szczęścia, kiedy ktoś się zatrzymał, by je podwieźć. Dwa dni później ich zwłoki znaleziono czterdzieści parę kilometrów dalej, w spalonej szopie. Po tygodniu policjanci z Wirginii zatrzymali Amaltheę Lank za wykroczenie drogowe. Stwierdzili, że jej samochód ma skradzione tablice rejestracyjne. Potem zauważyli na tylnym zderzaku plamy krwi. Kiedy przeszukano samochód, natrafiono w bagażniku na portfele ofiar i żelazny łom z odciskami palców Amalthei. Późniejsze testy wykryły na nim ślady krwi. To była krew Nikki i Theresy. Ostatni dowód stanowiło nagranie z kamery wideo ze stacji benzynowej w Massachusetts. Widać na nim, jak Amalthea Lank napełnia benzyną plastikowy pojemnik. Benzyną, której użyła do spalenia ciał ofiar. — Ballard spojrzął Maurze prosto w oczy. — To wszystko. Byłem brutalnie szczery. Tego chciałaś?

— Jaka była przyczyna śmierci? — spytała dziwnie spokojnym, lodowatym głosem. — Powiedziałaś, że zwłoki spalono, ale jak te kobiety zginęły?

Przyglądał się Maurze przez chwilę, jakby zaskoczony jej opanowaniem.

— Prześwietlenie spalonych szczątków wykazało, że obie ofiary miały pęknięte czaszki, zapewne od uderzeń żelaznym łodem. Młodsza siostra, Nikki, dostała tak silny cios w twarz, że kości policzkowe zapadły się do środka, tworząc ziejącą jamę. To była okrutna zbrodnia.

Maura rozmyślała o scenariuszu, który Ballard właśnie jej przedstawił. O zasypanej śniegiem szosie i dwóch zbłąkanych siostrach. Kiedy jakaś kobieta zatrzymała się, by udzielić im pomocy, miały wszelkie powody, by zaufać samarytance, zwłaszcza że była starszą osobą. Miała siwe włosy. Kobiety wzajemnie sobie pomagają.

Spojrziała na Ballarda.

— Wspomniałaś, że Anna nie wierzyła w jej winę.

— Mówiłem ci, co pokazano na procesie. Żelazny łom, taśmę wideo ze stacji benzynowej. Skradzione portfele. Każdy sąd by ją skazał.

— To zdarzyło się pięć lat temu. Ile lat miała wtedy Amalthea?

— Nie pamiętam. Sześćdziesiąt parę.

— I zdołała obezwładnić i zabić dwie kobiety, kilkadziesiąt lat od niej młodsze?

— Chryste, robisz to samo co Anna. Podajesz w wątpliwość oczywiste fakty.

— Ponieważ to, co oczywiste, nie zawsze jest prawdziwe. Każda sprawna fizycznie osoba broniłaby się albo uciekała. Dlaczego Theresa i Nikki tego nie zrobiły?

- Musiały zostać zaskoczone.
- Obie? Czemu chociaż jedna nie uciekła?
- Młodsza siostra, Nikki, nie była w pełni sprawna.
- W jakim sensie?
- Była w dziewiątym miesiącu ciąży.

Rozdział czternasty

Mattie Purvis nie wiedziała, czy jest dzień, czy noc. Nie miała zegarka, więc nie mogła sprawdzić, ile minęło godzin lub dni. To było najgorsze: brak orientacji, jak długo jest już w tej skrzyni. Ile uderzeń serca, ile oddechów przeżyła samotnie ze swoim strachem. Próbowwała liczyć sekundy, potem minuty, ale zrezygnowała już po pięciu. Było to bezcelowe, nawet jeśli pozwalało jej zapomnieć o rozpaczach.

Zbadała już każdy centymetr kwadratowy powierzchni swego więzienia. Nie znalazła żadnych słabych punktów, żadnych szczelin, które mogłaby poszerzyć. Rozłożyła pod sobą koc. Zapewniał jej miękkie legowisko na twardych deskach. Nauczyła się używać plastikowej miski bez chlapania na boki. Nawet w zamkniętej skrzyni życie miało swój rytm. Spanie. Łyk wody. Siusianie. Jedynie zapasy żywności pomagały jej kontrolować upływ czasu. Ile batoników już zjadła, a ile zostało.

W torbie było ich jeszcze kilkanaście.

Wsunęła do ust kawałek czekolady, ale go nie gryzła. Czekwała, aż rozpuści jej się na języku. Zawsze uwielbiała czekoladę. Przechodząc obok cukierni, zatrzymywała się za każdym razem, by podziwiać trufle, wyłożone jak ciemne klejnoty w papierowych osłonkach. Pomyślała o gorzkim smaku kakao, o wiśniowym nadzieniu i syropie rumowym ściekającym jej po podbródku. Ten zwykły batonik nie mógł się z nimi równać. Ale czekolada była czekoladą, toteż delectowała się tym, co miała.

Nie wystarczy jej tego na długo.

Spojrzała na pogniecione papierki, które zaśmiecały jej więzienie, zdumiona, że zjadła już tyle zapasów. Co będzie, jak się skończą? Z pewnością przyniosą jej następne. Po co porywacz dostarczałby jej żywności i wody, żeby zagłodzić ją na śmierć kilka dni później?

Nie, nie. Mam żyć, a nie umierać.

Uniosła twarz w kierunku kratki wentylacyjnej i wciągnęła głęboko powietrze. Chcą, żebym przeżyła — powtarzała sobie. Mam przeżyć.

Dlaczego?

Oparła się z powrotem o ścianę, powtarzając w myślach to słowo. Do głowy przychodziła jej tylko jedyna odpowiedź: okup. Och, co za tępy porywacz! Dwayne skusił go pozorami. Samochody bmw, zegarek marki Breitling, modne krawaty. *Kiedy jeździ się takim wozem, tworzy się jego wizerunek.* Parsknęła histerycznym śmiechem. Zostałam porwana z powodu wizerunku, zbudowanego na pożyczonych pieniądzach. Dwayne'a nie stać na zapłacenie żadnego okupu.

Wyobraziła sobie, jak wchodzi do domu i stwierdza, że jej nie ma. Zobaczy, że mój samochód stoi w garażu, a na podłodze leży wywrócone krzesło, pomyślała. Nic z tego nie wywnioskuje, dopóki nie zobaczy listu od porywacza. Dopóki nie przeczyta żądania okupu. *Zapłacisz, prawda?*

Prawda?

Latarka nagle przygasła. Chwyciła ją i uderzyła nią o dłoń. Przez chwilę świeciła jaśniej, po czym znów przygasła. O Boże, baterie! Kretynko, nie powinnaś świecić nią tak długo. Pogrzebała w torbie na zakupy i rozerwała nową paczkę baterii. Wysypały się i potoczyły we wszystkich kierunkach.

Latarka zgasła.

Słyszała w ciemnościach własny oddech. Ogarniała ją panika. W porządku, Mattie, przestań. Wiesz, że masz zapas baterii. Musisz tylko odpowiednio je włożyć.

Pomacała ręką po podłodze, zbierając rozsypane baterie. Zacerpnąwszy tchu, rozkręciła latarkę, kładąc ostrożnie zakrętkę na zgiętym kolanie. Wysunęła stare baterie, odkładając je na bok. Wszystko robiła po ciemku. Gdyby zgubiła jakąś część, mogła bez światła już jej nie odnaleźć. Spokojnie, Mattie. Zmieniałaś już baterie w latarce. Włóż je tylko, plusem do przodu. Jedna, druga. Teraz nakrętka...

Światło rozbłysło nagle, jasne i piękne. Odetchnęła z ulgą i oparła się o ścianę, tak wyczerpana, jakby przebiegła dwa kilometry. Odzyskałaś światło, więc teraz je oszczędzaj. Nie zużyj znów baterii. Wyłączyła latarkę i siedziała w ciemnościach. Tym razem oddychała powoli, równomiernie. Bez paniki. Nic nie widziała, ale trzymała palec na przełączniku i mogła w każdej chwili włączyć światło. *Panuję nad sytuacją.*

W ciemnościach nie panowała jednak nad swoimi lękami. Dwayne musiał się już zorientować, że zostałam porwana, myślała. Przeczytał list albo odebrał telefon. *Pieniądze lub życie twojej żony.* Zapłaci, oczywiście, że zapłaci. Wyobrażała sobie, jak rozpaczliwie błaga przez telefon anonimowego rozmówcę. *Proszę, nie róbcie jej*

krzywdy! Widziała oczami wyobraźni, jak szlocha przy kuchennym stole, żałując wszystkich przykrych słów, które od niego usłyszała. Dawał jej odczuć na sto różnych sposobów, jaka jest bezużyteczna i nieważna. Teraz pragnął to wszystko odwołać, powiedzieć jej, jak wiele dla niego znaczy...

To tylko złudzenia, Mattie.

Zamknęła oczy, czując głęboki ból, który ścisnął jej serce.

Wiesz, że on cię nie kocha. Wiesz to od miesięcy.

Założywszy ręce na brzuchu, objęła nimi niemowlę. Skulona w kącie swego więzienia, nie mogła już dłużej uciekać od prawdy. Przypomniała sobie wyraz odrazy w jego oczach, gdy któreś nocy wyszła spod prysznic, a on spojrzał na jej brzuch. Albo te wieczory, gdy podchodziła do niego od tyłu, by pocałować go w kark, a on odpędzał ją od siebie. Albo przyjęcie u Everettów dwa miesiące temu, gdzie zniknął jej nagle, a potem zobaczyła, jak flirtuje w altanie z Jen Hockmeister. Było tak wiele sygnałów, a ona wszystkie ignorowała, bo wierzyła w prawdziwą miłość. Wierzyła w nią od dnia, gdy poznała Dwayne'a Purvisa na przyjęciu urodzinowym i wiedziała, że to ten jedyny, choć wiele rzeczy powinno ją w nim zaniepokoić. Na przykład to, że zawsze musiała płacić połowę rachunku, gdy umawiali się na randkę, albo że nie potrafił przejść obok lustra, nie poprawiając fryzury. Drobiazgi, które na dłuższą metę były bez znaczenia, ponieważ łączyła ich miłość. Wmawiała sobie, że piękne kłamstewka mogły być częścią czyjegoś romansu, który oglądała w kinie, ale nie dotyczyły jej życia.

I oto siedziała uwięziona w skrzyni, czekając, aż zapłaci za nią okup mąż, który wcale nie chciał jej powrotu.

Pomyślała o prawdziwym Dwayne, nie tym wyidealizowanym, jak siedzi w kuchni i czyta list od porywacza. *Mamy twoją żonę. Jeśli nie zapłacisz nam miliona dolarów...*

Nie, to zbyt wygórowana suma. Żaden rozsądny porywacz nie zażądałby aż tyle. Jaki mógł być okup za porwaną żonę? Sto tysięcy dolarów brzmiało o wiele sensowniej. Mimo to Dwayne by się obruszył. Zacząłby szacować swój majątek. Samochody, dom. Ile warta jest żona?

Jeśli mnie kochasz, jeśli kiedykolwiek mnie kochałeś, zapłacisz okup. Błagam, zapłać.

Osunęła się na podłogę, skulona i pogrążona w rozpacz. Była zamknięta w skrzyni, głębszej i ciemniejszej od jakiegokolwiek celi.

— Proszę pani. Proszę pani.

Zamarła, przestając szlochać, niepewna, czy naprawdę ktoś do niej szepcze. Zaczynała słyszeć głosy. Traciła chyba zmysły.

— Niech pani się odezwie.

Włączyła latarkę i skierowała ją ku górze. Głos dochodził z kratki wentylacyjnej.

— Słyszysz mnie pani? — Był to głos mężczyzny. Niski, melodyjny.

— Kim pan jest? — spytała.

— Znalazła pani jedzenie?

— Kim pan jest?

— Proszę jeść oszczędnie. Musi wystarczyć na długo.

— Mój mąż panu zapłaci. Na pewno. Proszę mnie stąd wypuścić!

— Ma pani bóle?

— Co?

— Czy ma pani bóle?

— Chcę się stąd wydostać! Niech mnie pan wypuści!

— Jak przyjdzie pora.

— Jak długo ma pan zamiar mnie tu trzymać? Kiedy stąd wyjdę?

— Później.

— Co to znaczy?

Nie było odpowiedzi.

— Halo? Halo, proszę pana! Niech pan powie mojemu mężowi, że żyję. Że musi panu zapłacić!

Usłyszała skrzypienie desek.

— Niech pan nie odchodzi! — krzyknęła. — Proszę mnie wypuścić! — Zaczęła walić pięścią w deski u góry, wrzeszcząc: — Musi mnie pan wypuścić!

Kroki umilkły. Wpatrywała się w kratkę wentylacyjną. Powiedział, że wróci, pomyślała. Jutro wróci. Jak Dwayne mu zapłaci, wypuści mnie.

Nagle coś sobie uzmysłowiła. Dwayne. Ten człowiek nie wspomniał ani słowem o jej mężu.

Rozdział piętnasty

Jane Rizzoli prowadziła samochód, jak przystało na mieszkankę Bostonu, często naciskając klakson i przemykając zręcznie swoim subaru obok zaparkowanych w dwóch rzędach pojazdów, by dostać się do zjazdu na autostradę. Cięża nie złagodziła jej agresywności. Wydawała się nawet bardziej niecierpliwa niż zwykle, gdy korki blokowały ich na każdym skrzyżowaniu.

— Już sama nie wiem, pani doktor — powiedziała, bębniąc palcami o kierownicę, gdy czekały z Maurą na czerwonym świetle. — Będzie pani całkiem wytrącona z równowagi. Co to da, że ją pani zobaczy?

— Przynajmniej dowiem się, kim jest moja matka.

— Wie pani, jak się nazywa. I jaką popełniła zbrodnię. Czy to nie wystarczy?

— Nie.

Za nimi rozległo się trąbienie. Światło zmieniło się już na zielone.

— Dupek — prychnęła Rizzoli, ruszając z impetem przez skrzyżowanie.

Skręciły w autostradę Massachusetts, kierując się na zachód, do Framingham. Subaru Rizzoli wydawało się niepozorne przy budzących grozę konwojach wielkich ciężarówek i ciężkich podrasowanych wozach terenowych. Spędziwszy weekend na spokojnych drogach Maine, Maura stresowała się jazdą po ruchliwej autostradzie, gdzie wystarczył jeden drobny błąd, chwila nieuwagi, by otrzeć się o śmierć. Rizzoli prowadziła szybko i bez lęku, budząc w niej niepokój. Maura, która nigdy nie ryzykowała, chciała mieć zawsze najbezpieczniejszy samochód z dwiema poduszkami powietrznymi i nie dopuszczała, by było w nim mniej niż ćwierć baku paliwa, nie lubiła tracić kontroli nad sytuacją. Zwłaszcza gdy kilkanaście centymetrów obok pędziły dwutonowe ciężarówki.

Dopiero gdy zjechały z autostrady na drogę numer 126 i minęły przedmieścia Framingham, Maura usiadła wygodniej, bez obaw, że za chwilę będzie musiała zaprzeć się rękami o deskę rozdzielczą. Teraz nie bała się już wielkich, pędzących ciężarówek, lecz tego, że wkrótce stanie twarzą w twarz z samą sobą.

I że nie spodoba jej się to, co zobaczy.

— Może pani jeszcze zmienić zdanie — odezwała się Rizzoli, jakby czytając w jej myślach. — Proszę tylko powiedzieć, to zawrócę. Pojedziemy na kawę. I szarlotkę.

— Czy kobiety w ciąży myślą tylko o jedzeniu?

— Nie ja.

— Nie zmienię zdania.

— W porządku. — Rizzoli prowadziła przez chwilę w milczeniu. — Był u mnie dziś rano Ballard.

Maura spojrzała na nią, ale Rizzoli wpatrywała się w drogę.

— Po co?

— Chciał wyjaśnić, dlaczego nie wspomniał nam o pani matce. Wiem, że jest pani na niego wściekła, ale myślę, że naprawdę starał się panią chronić.

— Tak powiedział?

— Wierzę mu. Może nawet się z nim zgadzam. Też chciałam zataić przed panią tę informację.

— Ale jednak pani do mnie zadzwoniła.

— Chodzi o to, że rozumiem, dlaczego nie chciał pani tego powiedzieć.

— Nie miał prawa niczego przede mną ukrywać.

— Faceci tacy są. Policjanci chyba też. Chcą chronić bezbronną kobietę...

— I dlatego zatajają prawdę?

— Mówię tylko, że potrafię zrozumieć jego motywę.

— Czy pani nie byłaby zła?

— Jak cholera.

— To czemu go pani broni?

— Może dlatego, że się tym przejmuje?

— Och, proszę.

— Jest mu naprawdę przykro. Myślę, że sam próbował to pani powiedzieć.

— Nie byłam w nastroju do przyjmowania przeprosin.

— Nadal będzie pani na niego zła?

— Czemu o tym rozmawiamy?

— Nie wiem. Chyba dlatego, że mówił o pani w szczególny sposób. Jakby coś między wami zaszło. Tak było?

Maura poczuła, że Rizzoli przygląda się jej bystrymi oczami policjantki, i wiedziała,

że jeśli skłamię, ona to zauważy.

— Nie potrzebuję teraz żadnych skomplikowanych związków.

— Co w tym skomplikowanego? Poza faktem, że jest pani na niego wkurzona?

— Córka. Była żona.

— Wszyscy mężczyźni w jego wieku są z odzysku. Wszyscy mają byłe żony.

Maura wpatrywała się w drogę.

— Wiesz, Jane, nie każda kobieta musi wyjść za mąż.

— Też tak uważałam i proszę spojrzeć, co się ze mną stało. Jednego dnia nie mogę znieść tego faceta, a następnego nie umiem przestać o nim myśleć. Nigdy nie sądziłam, że tak to się skończy.

— Gabriel jest w porządku.

— Tak, to uczciwy facet. Ale próbował tej samej sztuczki co Ballard. Chciał koniecznie mnie chronić. Byłam na niego wściekła. Nie da się przewidzieć, czy facet jest nadopiekuńczy.

Maura pomyślała o Victorze. O swym nieudanym małżeństwie.

— Nie, nie da się.

— Ale można skoncentrować się na tym, co realne, co ma szansę powodzenia. I zapomnieć o facetach, z którymi nic nie wyjdzie. — Choć nie padło żadne nazwisko, Maura wiedziała, że obie myślą o Danielu Brophym. Był uosobieniem nierealnych pragnień. Kuszącym mirażem, który mógł zwodzić ją przez całe lata, dziesięciolecia, aż do starości, a ona i tak pozostałaby samotna.

— To tutaj — oznajmiła Rizzoli, skręcając w Loring Drive.

Maurze zaczęło walić serce, gdy zobaczyła napis Zakład Karny we Framingham.
Pora przekonać się, kim naprawdę jestem.

— Może pani jeszcze się rozmyślić — powiedziała Rizzoli.

— Już o tym rozmawialiśmy.

— Tak, chciałam tylko, żeby pani wiedziała, że możemy zawrócić.

— Zrobiłaby to pani, Jane? Gdyby zastanawiała się pani całe życie, kim jest pani matka, jak wygląda, zrezygnowałaby pani teraz? Kiedy odpowiesz na wszystkie pytania, które pani sobie zadawała, są w zasięgu ręki?

Rizzoli spojrzała na nią. Rizzoli, która zawsze była w ruchu, zawsze w oku huraganu, patrzyła teraz na Maurę z cichym zrozumieniem.

— Nie — odparła. — Nie zrezygnowałabym.

* * *

W skrzydle administracyjnym budynku imienia Betty Cole Smith obie okazały swoje dowody tożsamości i wpisały się do księgi. Kilka minut później powitała je przy recepcji naczelnik Barbara Gurley. Maura spodziewała się zobaczyć imponującą postać komendantki więzienia, tymczasem kobieta, którą ujrzała, przypominała bibliotekarkę o krótkich włosach, bardziej siwych niż kasztanowych, i szczupłej figurze. Miała na sobie brązową spódnicę i różową bawełnianą bluzkę.

— Miło mi panią poznać, detektyw Rizzoli — rzekła, po czym zwróciła się do Maury: — A pani jest doktor Isles?

— Tak. Dziękuję, że zgodziła się pani na spotkanie. — Maura także wyciągnęła do niej rękę. Kobieta powitała ją chłodno i z rezerwą. Wie, kim jestem, pomyślała Maura. Wie, po co tu przyjechałam.

— Chodźmy na górę do mojego biura. Mam dla pań jej akta.

Gurley poprowadziła je energicznym krokiem. Nie wykonywała zbędnych ruchów, nie oglądała się, by sprawdzić, czy za nią nadążają. Weszły do windy.

— To zakład karny czwartego stopnia? — spytała Rizzoli.

— Tak.

— Czyli tylko o średnim rygorze? — wtrąciła Maura.

— Tworzymy na próbę oddział szóstego stopnia. To jedyne więzienie dla kobiet w stanie Massachusetts, więc na razie musimy tu przyjmować sprawczynie wszelkiego typu przestępstw.

— Nawet wielokrotne morderczynie? — dopytywała się Rizzoli.

— Skazane przez sąd kobiety trafiają tutaj. Nie mamy takich obostrzeń jak więzienia dla mężczyzn. Trochę inaczej traktujemy też więźniarki. Kładziemy nacisk na leczenie i rehabilitację. Wiele naszych pensjonariuszek ma problemy psychiczne i alkoholowe. Sprawę komplikuje jeszcze fakt, że często są matkami, więc przeżywają problemy emocjonalne z powodu braku kontaktu z dziećmi. Kiedy kończą się godziny odwiedzin, jest tu mnóstwo płaczących dzieciaków.

— A co z Amaltheą Lank? Macie z nią jakieś szczególne problemy?

— Mamy... — Gurley zawahała się, patrząc przed siebie. — Kilka.

— Jakiego rodzaju?

Drzwi windy się otworzyły i Gurley wyszła na korytarz.

— To moje biuro.

Przeszły przez poczekalnię. Dwie sekretarki popatrzyły na Maurę, po czym szybko opuściły wzrok na ekrany komputerów. Wszyscy starają się unikać mojego spojrzenia, pomyślała. Czego się obawiają?

Gurley wprowadziła gości do biura i zamknęła drzwi.

— Proszę usiąść.

Wygląd gabinetu zaskoczył Maurę. Sądziła, że będzie to pomieszczenie odzwierciedlające charakter Gurley, surowe i pozbawione ozdób. Wszędzie jednak wisiały fotografie uśmiechniętych twarzy. Kobiet z niemowlętami na rękach, starannie uczesanych dzieci w wyprasowanych koszulach. Par nowożeńców otoczonych gromadką maluchów. Jego, jej, naszych.

— To moje dziewczyny — powiedziała Gurley, uśmiechając się na widok zdjęć na ścianie. — Te, którym udało się wrócić do społeczeństwa. Które dokonały właściwego wyboru i żyją normalnie. Niestety — dodała, przestając się uśmiechać — zdjęcie Amalthei Lank nigdy nie znajdzie się na tej ścianie. — Usiadła za biurkiem i skupiła wzrok na Maurze. — Nie wiem, czy pani przyjazd tutaj był dobrym pomysłem, doktor Isles.

— Nigdy nie spotkałam mojej biologicznej matki.

— Właśnie to mnie martwi. — Gurley oparła się plecami o krzesło, przyglądając się Maurze przez chwilę. — Wszystkie chcemy kochać nasze matki. Chcemy, żeby były niezwykłymi kobietami, bo wtedy my, jako ich córki, też jesteśmy niezwykłe.

— Nie oczekuję, że ją pokocham.

— W takim razie czego pani oczekuje?

Maura zastanawiała się nad tym pytaniem. Pomyślała o matce, którą wyobrażała sobie, będąc dzieckiem, odkąd kuzynka wyjawiała jej brutalną prawdę, że została adoptowana. Że dlatego właśnie w rodzinie blondynów tylko ona miała czarne włosy. Na tej podstawie zmyślała sobie bajki o włoskiej arystokratce, zmuszonej oddać na wychowanie córkę, poczętą w skandalicznym związku, lub porzuconej przez kochanka pięknej Hiszpance, którą zmarła tragicznie z rozpacz. Zawsze, tak jak mówiła Gurley,

wyobrażała sobie matkę jako kobietę wyjątkową, wręcz niezwykłą. Teraz miała się przekonać, jak wygląda naprawdę, i z wrażenia zasychało jej w ustach.

— Czemu pani uważa, że doktor Isles nie powinna się z nią spotkać? — spytała Rizzoli.

— Proszę tylko, żeby była ostrożna.

— Dlaczego? Czy ta kobieta jest niebezpieczna?

— Nie w tym znaczeniu, że może kogoś zaatakować. Prawdę mówiąc, sprawia wrażenie bardzo łagodnej.

— A w rzeczywistości?

— Proszę pomyśleć, co zrobiła, pani detektyw. Jakiej trzeba furii, żeby uderzyć żelaznym łodem z taką siłą, by zmiażdżyć czaszkę. Niech pani sama odpowie sobie na pytanie, jaka jest w rzeczywistości Amalthea. — Gurley spojrzała na Maurę. — Proszę mieć cały czas oczy szeroko otwarte i pełną świadomość, z kim ma pani do czynienia.

— Łączy nas wspólny kod DNA — odparła Maura. — Ale nie czuję się emocjonalnie związana z tą kobietą.

— Więc to po prostu ciekawość.

— Chcę mieć to za sobą. I żyć dalej.

— Pani siostra zapewne myślała tak samo. Wie pani, że odwiedziła Amaltheę?

— Tak, słyszałam.

— Nie sądzę, żeby ją to uspokoiło. Była raczej wstrząśnięta.

— Dlaczego?

Gurley podsunęła Maurze akta.

— To są wyniki badań psychiatrycznych Amalthei. Jest tu wszystko, co powinna pani o niej wiedzieć. Może będzie lepiej, jak pani to tylko przeczyta. A potem stąd odjedzie i o niej zapomni.

Maura nie tknęła akt. Sięgnęła po nie Rizzoli, pytając:

— Jest pod opieką psychiatry?

— Tak — odparła Gurley.

— Dlaczego?

— Ponieważ Amalthea jest schizofreniczką.

Maura wpatrywała się w naczelniczkę więzienia.

— Czemu zatem została skazana za zabójstwo? Skoro jest schizofreniczką, nie

powinna być za kratkami, tylko w szpitalu.

— Podobnie jak wiele naszych więźniarek. Proszę to powiedzieć w sądzie, doktor Isles. Ja już próbowałam. Nasz system jest chory. Nawet jeśli zbrodniarz okazuje się ewidentnym psychopata, przysięgli rzadko dają temu wiarę.

Rizzoli spytała cicho:

— Czy ona na pewno jest niepoczytalna?

Maura spojrzała na Rizzoli i zobaczyła, że Jane wpatruje się w akta.

— Ma pani wątpliwości co do diagnozy?

— Znam lekarkę, która się nią zajmuje. Doktor Joyce O'Donnell. Nie traci zwykle czasu dla byle schizofreników. — Podniosła wzrok na Gurley. — Dlaczego opiekuje się Amaltheą?

— Wydaje się pani tym zaniepokojona — powiedziała Gurley.

— Gdyby znała pani doktor O'Donnell, też by pani była. — Rizzoli zamknęła teczkę i wzięła głęboki oddech. — Czy doktor Isles powinna wiedzieć coś jeszcze, zanim zobaczy więźniarkę?

Gurley popatrzyła na Maurę.

— Chyba nie udało mi się pani odwieść od tego zamiaru?

— Nie. Jestem gotowa ją odwiedzić.

— W takim razie zaprowadzę panią do sali widzeń.

Rozdział szesnasty

Mogę jeszcze zmienić zdanie.

Ta myśl kołatała się Maurze w głowie, gdy przechodziła całą procedurę obowiązującą odwiedzających. Gdy ściągała zegarek, umieszczając go wraz z torebką w zamkniętej szafce. Do sali widzeń nie wolno było wносить biżuterii ani portfela. Nie mając torebki, czuła się obnażona, jakby pozbawiona tożsamości bez tych małych plastikowych kart, które mówiły światu, kim jest. Gdy zamykała szafkę, drażniący metaliczny dźwięk stanowił przypomnienie, do jakiego wchodzi świata. Było to miejsce, gdzie zatraskiwano drzwi, gdzie wsadzano ludzi do klatek.

Maura miała nadzieję na spotkanie z Amaltheą w cztery oczy, ale kiedy strażniczka wprowadziła ją do sali, straciła złudzenia. Już godzinę wcześniej zaczęły się popołudniowe odwiedziny i sala rozbrzmiewała głosami dzieci i gorączkowymi rozmowami złączonych na krótko rodzin. Słysząc było brzęk monet, wrzucanych do automatów, z których wyskakiwały opakowane w folię kanapki, chipsy i batoniki.

— Amalthea zaraz zejdzie — oznajmiła strażniczka. — Proszę sobie znaleźć miejsce.

Maura podeszła do wolnego stolika i usiadła. Plastikowy blat lepił się od rozlanego soku. Położyła ręce na kolanach i czekała. Serce waliło jej jak młot i miała sucho w gardle. Klasyczna reakcja typu „walcz lub uciekaj”, pomyślała. Czym, do cholery, tak się denerwuję?

Wstała i podeszła do umywalki. Napełniwszy papierowy kubek wodą, opróżniła go do dna. Ale nadal czuła suchość w gardle. Tego pragnienia nie można było ugasić wodą. Pragnienie, przyspieszony puls, spocone dłonie — wszystkie te objawy świadczyły o tym, że jej organizm przygotowuje się na nieuchronne zagrożenie. Spokojnie, spokojnie. Spotkasz się z nią, powiesz parę słów, zaspokoisz swoją ciekawość i wyjdiesz. To nic strasznego. Zgniotła papierowy kubek, odwróciła się i znieruchomiała.

Otworzyły się właśnie drzwi i weszła przez nie kobieta o wyprostowanych ramionach, z dumnie podniesioną głową. Patrzyła przez chwilę na nią, ale zaledwie Maura zdążyła pomyśleć: „to ona”, odwróciła się, uśmiechnęła i rozpostarła szeroko ręce,

aby uściskać biegnące w jej kierunku dziecko.

Maura zawahała się, nie wiedząc, czy ponownie usiąść, czy dalej stać. Wtedy drzwi znowu się otworzyły i pojawiła się strażniczka, która wcześniej z nią rozmawiała, prowadząc pod ramię kobietę. Kobietę, która nie szła normalnie, lecz powłóczyła nogami. Miała obwisłe ramiona i pochyloną głowę, jakby obsesyjnie wypatrywała czegoś na podłodze. Strażniczka przyprowadziła więźniarkę do stolika Maury, przysunęła krzesło i posadziła ją.

— Posłuchaj, Amaltheo. Ta pani przyjechała się z tobą spotkać. Porozmawiaj z nią grzecznie, dobrze?

Amalthea nie podnosiła głowy, tylko wbijała wzrok w blat stołu. Splątane kosmyki tłustych włosów opadały jej na twarz. Mocno przyprószyła je już siwizna, ale najwyraźniej były kiedyś czarne. Jak moje, pomyślała Maura. I Anny.

Strażniczka wzruszyła ramionami i spojrzała na Maurę.

— Zostawiam panie same, dobrze? Kiedy skończycie, proszę dać mi znak, to ją zabiorę.

Amalthea nie podniosła nawet wzroku, gdy strażniczka odchodziła. Zdawała się też nie dostrzegać kobiety, która usiadła naprzeciwko niej. Trwała w bezruchu, ukrywając twarz za zasłoną brudnych włosów. Więzienna bluza zwisała jej luźno z ramion, jakby ciało kurczyło jej się pod ubraniem. Oparta o stół ręka nieustannie drgała.

— Witaj, Amaltheo — odezwała się Maura. — Wiesz, kim jestem?

Nie było odpowiedzi.

— Nazywam się Maura Isles. Od... — Maura przełknęła ciężko ślinę. — Od bardzo dawna cię szukałam. Przez całe życie.

Kobieta obróciła głowę. Nie była to reakcja na słowa Maury, lecz mimowolny tik. Przypadkowy impuls, wywołujący pobudzenie nerwów i mięśni.

— Amaltheo, jestem twoją córką.

Maura wpatrywała się w nią, czekając, aż zareaguje, pragnąc, by tak się stało. W tym momencie wszystko wokół przestało istnieć. Nie słyszała już kakofonii dziecięcych głosów, brzęku monet wrzucanych do automatu ani szurania krzeseł po linoleum. Widziała tylko tę zmęczoną, udręczoną kobietę.

— Możesz na mnie spojrzeć? Błagam, popatrz na mnie.

Uniosła w końcu głowę, poruszając nią jak mechaniczna lalka, której zardzewiały

tryby. Jej zaniedbane włosy rozsunęły się na boki, a oczy skupiły się na twarzy Maury. Przepastne oczy, w których nie można było dostrzec nawet cienia świadomości. Ani duszy. Amalthea poruszyła bezgłośnie wargami. Było to znów tylko drgnienie mięśni, niezamierzone i bez znaczenia.

Obok nich przeszedł mały chłopczyk, pozostawiając za sobą zapach mokrej pieluchy. Przy sąsiednim stoliku wyblakła blondynka w więziennym drelichu siedziała z głową ukrytą w dłoniach i szlochała cicho, a odwiedzający ją mężczyzna przyglądał się jej obojętnie. W tym momencie rozgrywało się wokół kilkanaście rodzinnych dramatów. Maura była tylko jednym z uczestników gry, niepotrafiącym wyjść poza krąg własnych problemów.

— Była tutaj moja siostra, Anna — powiedziała. — Wyglądała dokładnie tak jak ja. Pamiętasz ją?

Amalthea poruszyła szczęką, jakby coś przeżuwała. Urojony posiłek, którego smak tylko ona czuła.

Nie, oczywiście, że nic nie pamięta, pomyślała Maura, wpatrując się z rozpaczą w pozbawioną wyrazu twarz Amalthei. Nie dostrzega mnie, nie wie, kim jestem ani po co tu przyszedłam. Krzyczę do pustej jaskini i słyszę tylko echo własnego głosu.

Zdecydowana sprowokować ją do jakiegokolwiek reakcji, Maura powiedziała z zamierzonym niemal okrucieństwem:

— Anna nie żyje. Twoja druga córka nie żyje. Wiedziałaś o tym?

Nie było odpowiedzi.

Po co, do cholery, jeszcze próbuję? Do niej nic nie dociera. W tych oczach nie ma świadomości.

— No cóż — dodała Maura. — Wrócę kiedy indziej. Może wtedy ze mną porozmawiasz. — Westchnąwszy ciężko, wstała i rozejrzała się za strażniczką. Zauważyła ją na drugim końcu sali. Podniosła rękę, by jej pomachać, gdy usłyszała szept tak cichy, że mógł być wytworem jej wyobraźni:

— Odejdź.

Spojrzała zaskoczona na Amaltheę, która siedziała w niezmienionej pozycji, poruszając wargami i patrząc w przestrzeń.

Maura powoli usiadła.

— Co powiedziałaś?

Amalthea podniosła na nią wzrok. Przez moment Maura dostrzegła w nim przebłysk świadomości. Inteligencji.

— Odejdź, zanim on cię zobaczy.

Maura wpatrywała się w nią. Po plecach przeszedł jej dreszcz i czuła mrowienie na karku.

Wyblakła blondyna przy sąsiednim stoliku nadal płakała. Odwiedzający ją mężczyzna wstał i powiedział:

— Przykro mi, ale musisz to zaakceptować. Tak już jest.

Odszedł z powrotem do swojego świata, gdzie kobiety nosiły piękne bluzki, a nie niebieskie drelichy. Gdzie zamknięte drzwi można było otworzyć.

— Kto? — spytała cicho Maura, ale Amalthea milczała. — Kto mnie zobaczy, Amaltheo? — Maura nie dawała za wygraną. — Co masz na myśli?

Ale oczy Amalthei znów zaszły mgłą. Jej przebłysk świadomości trwał tylko chwilę i Maura znów patrzyła w pustkę.

— To co, już po odwiedzinach? — spytała beztrosko strażniczka.

— Czy ona zawsze jest taka? — odparła Maura, patrząc, jak wargi Amalthei poruszają się bezgłośnie.

— Mniej więcej. Ma lepsze i gorsze dni.

— Prawie się do mnie nie odzywała.

— Musi panią lepiej poznać. Zwykle jest zamknięta w sobie, ale czasami się otwiera. Pisze listy, nawet korzysta z telefonu.

— Do kogo dzwoni?

— Nie wiem. Chyba do swojej lekarki.

— Doktor O'Donnell?

— To blondynka, która była tu już kilka razy, więc Amalthea do niej przywykła. Prawda, kochanie? — Ująwszy więźniarkę pod ramię, strażniczka powiedziała: — Chodź, stokrotko. Odprowadzimy cię.

Amalthea podniosła się posłusznie i odeszła ze strażniczką od stolika. Jednak zatrzymała się po paru krokach.

— Chodźmy, Amaltheo.

Ale więźniarka nie ruszyła się z miejsca. Stała, jakby jej mięśnie nagle skamieniały.

— Kochanie, nie mogę czekać na ciebie cały dzień. Idziemy.

Amalthea odwróciła się powoli. Patrzyła wciąż w przestrzeń, a słowa, które po chwili wypowiedziała, zabrzmiały tak, jakby jej głos został mechanicznie zniekształcony.

— Teraz ty też umrzesz — oznajmiła, patrząc na Maurę, po czym odwróciła się i powłócząc nogami, ruszyła z powrotem do celi.

* * *

— Ona cierpi na reaktywną dyskinezę — powiedziała Maura. — Dlatego naczelnik Gurley próbowała odwieść mnie od tej wizyty. Nie chciała, żebym zobaczyła, w jakim stanie jest Amalthea. Nie chciała, żebym odkryła, co z nią zrobili.

— A co właściwie zrobili? — spytała Rizzoli. Znów siedziała za kierownicą, wyprzedzając nieustraszenie ciężarówkę, które wstrząsały nawierzchnię drogi, wprawiając małe subaru w turbulencję. — Twierdzi pani, że zmienili ją w kogoś w rodzaju zombi?

— Widziała pani jej kartotekę psychiatryczną. Pierwsi lekarze leczyli ją fenotiazynami. To rodzaj leków przeciw psychozie. U starszych kobiet mogą mieć katastrofalne skutki uboczne. Jednym z nich jest tak zwana reaktywna dyskineza — mimowolne ruchy ust i twarzy. Pacjent nie może się powstrzymać od przeżuwania, wydymania policzków albo wystawiania języka. Nie potrafi tego kontrolować. Proszę pomyśleć, jak to wygląda. Wszyscy widzą, jak stroisz głupie miny. Jesteś świrem.

— Jak sobie z tym poradzić?

— Nie ma sposobu. Należało natychmiast odstawić leki, gdy pojawiły się pierwsze objawy. Ale czekali zbyt długo. Wtedy pojawiła się doktor O'Donnell. To ona w końcu odstawiła te leki. Rozpoznała, co się dzieje. — Maura westchnęła gniewnie. — Reaktywna dyskineza jest prawdopodobnie nieuleczalna. — Spojrzała za szybę na gęstniejący ruch. Tym razem nie czuła niepokoju na widok pędzących ciężarówek. Myślała tylko o Amalthei Lank, która poruszała bez przerwy wargami, jakby zdradzając szeptem jakieś tajemnice.

— Twierdzi pani, że ona w ogóle nie potrzebowała tych leków?

— Nie. Mówię tylko, że należało je wcześniej odstawić.

— Więc jest niepoczytalna czy nie?

— Taka była wstępna diagnoza. Schizofrenia.

— A jaka jest pani diagnoza?

Maura przypomniała sobie bezmyślne spojrzenie Amalthei, jej zagadkowe słowa. Słowa będące odzwierciedleniem paranoicznych urojeń.

— Muszę zgodzić się z opinią jej lekarzy — rzekła z westchnieniem, wyprostowując się w fotelu. — Nie dostrzegam w niej siebie, Jane. Nie mam z tą kobietą nic wspólnego.

— Cóż, to przynosi ulgę. W pewnym sensie.

— Ale jakiś związek między nami istnieje. Mamy niezaprzeczalnie takie samo DNA.

— Zna pani stare przysłowie, że krew jest gęściejsza od wody? To bzdury, pani doktor. Nic pani nie łączy z tą kobietą. Urodziła panią i oddała komuś po porodzie. To wszystko. Na tym wasz związek się kończy.

— Zna odpowiedzi na tyle pytań. Kto był moim ojcem? Kim ja jestem?

Rizzoli rzuciła jej ostre spojrzenie, po czym skierowała wzrok z powrotem na drogę.

— Dam pani pewną radę. Wiem, że będzie się pani zastanawiała, skąd mi to przyszło do głowy. Proszę mi wierzyć, że nie z powietrza. Od tej kobiety, Amalthei Lank, powinna trzymać się pani z daleka. Proszę się z nią nie widywać, nie rozmawiać, nawet o niej nie myśleć. Jest niebezpieczna.

— To tylko wypalona schizofreniczka.

— Nie byłabym tego taka pewna.

Maura spojrzała na Rizzoli.

— Wie pani o niej coś, czego ja nie wiem?

Przez chwilę Rizzoli prowadziła w milczeniu. Nie z powodu natężonego ruchu. Ważyła odpowiedź, zastanawiając się, jak najlepiej ją sformułować.

— Pamięta pani Warrena Hoyta? — spytała w końcu. Choć wymówiła to nazwisko bez widocznej emocji, stężała jej twarz, a ręce zacisnęły się na kierownicy.

Warren Hoyt, pomyślała Maura. Chirurg.

Taki przydomek nadała mu policja. Zasłużył na niego z powodu okrucieństw, jakich dopuszczał się wobec swych ofiar. Używał taśmy klejącej i skalpela. Jego ofiarami były śpiące w łóżkach kobiety, nieświadome obecności intruza, który stał obok nich w ciemnościach, wyczekując przyjemności dokonania pierwszego cięcia. Jane Rizzoli była jego ostatnią ofiarą, jego przeciwniczką w inteligentnej rozgrywce, której nie spodziewał się przegrać.

Ale Rizzoli pokonała go jednym strzałem, przesywając mu pociskiem kręgosłup.

Warren Hoyt był teraz całkowicie sparaliżowany i jego świat ograniczał się do przestrzeni sali szpitalnej, gdzie pozostały mu tylko nieliczne przyjemności dostępne wyobraźni, umysłowi, który nadal był błyskotliwy i niebezpieczny jak zawsze.

— Jasne, że go pamiętam — odparła Maura. Widziała skutki działań Hoyta, potworne okaleczenia, które jego skalpel pozostawił na ciele jednej z ofiar.

— Mam go ciągle na oku — powiedziała Rizzoli. — Żeby mieć pewność, że ten potwór jest nadal w klatce. Przebywa na oddziale urazów kręgosłupa. I od ośmiu miesięcy, w każdą środę po południu, odwiedza go tam doktor Joyce O'Donnell.

Maura zmarszczyła brwi.

— Po co?

— Twierdzi, że prowadzi badania na temat agresywnych zachowań. Według jej teorii zabójcy nie są odpowiedzialni za swoje działania. Wyzwała w nich agresję jakiś psychiczny wstrząs, który przeżyli w dzieciństwie. Oczywiście adwokaci są zachwyceni. Byłaby zapewne gotowa dowodzić, że Jeffrey Dahmer padł po prostu ofiarą niezrozumienia, a John Wayne Gacy zbyt często obrywał po głowie. Broniłaby każdego.

— Człowiek robi to, za co mu płacą.

— Nie sądzę, żeby chodziło jej o pieniądze.

— To o co?

— Chce mieć szansę nawiązania bliskich kontaktów z ludźmi, którzy zabijają. Mówi, że to dziedzina jej badań, że robi to dla nauki. No cóż, Josef Mengele też działał dla dobra nauki. To tylko wymówka, żeby zyskać szacunek dla swoich poczynań.

— Co ona właściwie robi?

— Szuka silnych wrażeń. Podnieca ją wysłuchiwanie opowieści zabójcy. Lubi wczuwać się w jego rolę, patrzeć na świat jego oczami. Wcielać się w skórę potwora.

— Brzmi to tak, jakby sama nim była.

— Może by i tego chciała. Widziałam listy, które wysłała do Hoyta, gdy siedział w więzieniu. Prosiła go, by opisywał jej szczegółowo swoje zabójstwa. O tak, uwielbia szczegóły.

— Wiele osób interesuje się makabrycznymi historiami.

— U niej to więcej niż ciekawość. Chce wiedzieć, jak to jest, kiedy tnie się skórę i patrzy na krwawiącą ofiarę. Kiedy ma się władzę nad czyimś życiem. Jest spragniona szczegółów jak wampir krwi. — Rizzoli przerwała i zaśmiała się krótko. — Właśnie

uświadomiłam sobie, że to idealne porównanie. Ona i Hoyt wzajemnie się uzupełniają. Opowiada jej swoje fantazje, a ona go przekonuje, że może się nimi delectować. Że nie ma nic złego w podniecaniu się myślą o podrzynaniu komuś gardła.

— A teraz przychodzi odwiedzać moją matkę.

— Właśnie. — Rizzoli spojrzała na nią. — Ciekawe, jakimi fantazjami się dzielą.

Maura pomyślała o zbrodniach, za które skazano Amaltheę Lank. Zastanawiała się, co ta kobieta czuła, zabierając z pobocza drogi dwie siostry. Podniecenie, nagły przypływ mocy?

— Sam fakt, że O'Donnell odwiedza Amaltheę, powinien dać pani do myślenia — podsumowała Rizzoli.

— Dlaczego?

— Ona nie traci czasu na zwyczajnych morderców. Nie obchodzi jej facet, który zastrzelił podczas napadu jakiegoś sklepikarza. Ani mąż, który pokłócił się z żoną i zrzucił ją ze schodów. Nie, ona spędza czas z bydlakami, którzy zabijają, bo sprawia im to przyjemność. Tymi, którzy dodatkowo przekręcają w ciele ofiary ostrze noża, bo lubią czuć, jak skrobie o kość. Poświęca czas tylko wybranym zabójcom. Potworom.

I mojej matce, pomyślała Maura. Czy ona też jest potworem?

Rozdział siedemnasty

Dom doktor Joyce O'Donnell w Cambridge był białą kolonialną rezydencją w ekskluzywnej dzielnicy przy Brattle Street. Ogródzenie z kutego żelaza otaczało dziedziniec z idealnie przystrzyżonym trawnikiem i wysypanymi korą grządkami kwiatowymi, na których kwitły posłusznie krzewy róż. Był to zdyscyplinowany ogród, w którym musiał panować porządek. Gdy Maura szła do drzwi frontowych ścieżką wyłożoną granitowymi płytkami, miała już wyobrażenie, jak wygląda właścicielka domu. Zadbane, starannie ubrana. Równie uporządkowana jak jej ogród.

Kobieta, która otworzyła drzwi, dokładnie odpowiadała tym przewidywaniom.

Doktor O'Donnell była platynową blondynką o bladej, nieskazitelnej cerze. Niebieska oksfordzka koszula, włożona w starannie uprasowane białe spodnie, podkreślała jej szczupłą talię. W jej spojrzeniu nie było ciepła. Przyglądała się Maurze raczej z ciekawością. Wzrokiem naukowca, który widzi jakiś nowy okaz.

— Doktor O'Donnell? Jestem Maura Isles.

O'Donnell odpowiedziała krótkim uściskiem dłoni.

— Zapraszam.

Maura weszła do domu, równie oziębłe wytworne jak jego właścicielka. Jedyne ciepły akcent stanowiły orientalne dywany, przykrywające ciemne tekowe podłogi. O'Donnell poprowadziła ją z holu do oficjalnego salonu, gdzie Maura usiadła niepewnie na kanapie, obitej białą jedwabną tapicerką. O'Donnell wybrała fotel naprzeciwko niej. Na stojącym między nimi stoliku do kawy z palisandru leżała sterta teczek i magnetofon. Nie był włączony, ale pogłębiał tylko dodatkowo niepokój Maury.

— Dziękuję, że zgodziła się pani na spotkanie — powiedziała.

— Byłam ciekawa. Zastanawiałam się, jak może wyglądać córka Amalthei. Słyszałam o pani istnieniu, doktor Isles, ale tylko z gazet. — Rozsiadła się wygodnie w fotelu. Była u siebie. To ona wyświadczała przysługi. Maura była jedynie petentem. — Nie wiem nic o pani, a bardzo bym chciała.

— Dlaczego?

— Dobrze znam Amaltheę. Zastanawiam się, czy...

— Jabłko padło niedaleko od jabłoni?

O'Donnell uniosła lekko wypielęgnowaną brew.

— Pani to powiedziała, nie ja.

— To jest powód pani zainteresowania mną, prawda?

— A z jakiego powodu pani tu przyszła?

Maura przeniosła wzrok na obraz nad kominkiem. Nowoczesne olejne malowidło w czerwono-czarnej tonacji.

— Chcę wiedzieć, kim naprawdę jest ta kobieta — odparła.

— Wie pani, kim jest. Po prostu nie chce pani w to wierzyć. Pani siostra też nie chciała.

Maura zmarszczyła brwi.

— Poznała pani Annę?

— Nie, właściwie nie. Ale cztery miesiące temu dzwoniła do mnie kobieta, która przedstawiła się jako córka Amalthei. Wyjeżdżałam właśnie na dwutygodniowy proces do Oklahomy, więc nie mogłam się z nią spotkać. Rozmawiałyśmy tylko przez telefon. Odwiedziła matkę w więzieniu we Framingham i stąd wiedziała, że jestem jej psychiatrą. Chciała się dowiedzieć czegoś więcej o Amalthei. O jej dzieciństwie, rodzinie.

— Wie pani to wszystko?

— Zdobyłam część informacji z jej szkolnej kartoteki. Trochę sama mi powiedziała w przeblyskach świadomości. Wiem, że urodziła się w Lowell. Kiedy miała dziewięć lat, zmarła jej matka i zamieszkała wtedy z wujem i kuzynem w Maine.

Maura podniosła wzrok.

— W Maine?

— Tak. Skończyła szkołę średnią w miasteczku Fox Harbor.

Teraz rozumiem, dlaczego Anna tam pojechała. Podążałam jej śladami, a ona śladami naszej matki.

— Potem trop się urywa — oznajmiła O'Donnell. — Nie wiemy, dokąd się przeprowadziła ani z czego żyła. Wtedy prawdopodobnie zapadła na schizofrenię. Ta choroba pojawia się zwykle we wczesnym wieku dojrzałym. Zapewne pogłębiała się z latami, aż doprowadziła ją do obecnego stanu. Jest całkiem wypalona i ma urojenia. — O'Donnell spojrzała na Maurę. — Robi dość posępne wrażenie. Pani siostra nie mogła

pogodzić się z tym, że to naprawdę jej matka.

— Nie dostrzegam w wyglądzie Amalthei Lank żadnych swoich cech. Ani jednej.

— A ja widzę podobieństwo. Ten sam kolor włosów. Ten sam podbródek.

— Wcale nie jesteśmy podobne.

— Naprawdę pani tego nie widzi? — O'Donnell pochyliła się naprzód, wbijając wzrok w Maurę. — Proszę mi coś powiedzieć, doktor Isles. Dlaczego wybrała pani patologię?

Zaskoczona tym pytaniem, Maura patrzyła na nią w milczeniu.

— Mogła pani specjalizować się w czymkolwiek innym. W położnictwie, pediatrii. Pracowałaby pani z żywymi pacjentami, ale pani wybrała patologię. W dodatku z zakresu medycyny sądowej.

— Do czego pani zmierza?

— Mam wrażenie, że pociągają panią zmarli.

— To absurd.

— Więc dlaczego wybrała pani tę specjalizację?

— Ponieważ lubię jednoznaczne odpowiedzi. Nie znoszę domysłów. Chcę widzieć diagnozę pod lupą mikroskopu.

— Nie lubi pani niepewności.

— Jak wszyscy.

— Mogła więc pani wybrać matematykę albo inżynierię. W tylu innych dziedzinach praca wymaga precyzji. Jednoznacznych odpowiedzi. A tymczasem trafiła pani do Urzędu Lekarza Sądowego i zajmuje się zwłokami. — O'Donnell przerwała i zapytała cicho: — Sprawia to pani przyjemność?

Maura spojrzała jej prosto w oczy.

— Nie.

— I wybrała pani taki zawód?

— Chodzi o wyzwanie. O satysfakcję. Nawet jeśli sama praca nie jest przyjemna.

— Nie rozumie pani, do czego zmierzam? Amalthea Lank wydaje się pani obca. Patrzy pani na nią i widzi potwora. Albo przynajmniej kobietę, która dopuściła się straszliwych czynów. Niektórzy ludzie zapewne w ten sam sposób postrzegają panią, doktor Isles.

— Nie można nas porównywać.

— Wie pani, za co skazano pani matkę?

— Tak, słyszałam.

— Ale widziała pani raporty z sekcji?

— Jeszcze nie.

— A ja widziałam. Podczas procesu obrona prosiła mnie o opinię na temat stanu psychiki pani matki. Oglądałam zdjęcia, zapoznałam się z dowodami. Wie pani, że ofiarami były dwie siostry? Młode kobiety szukające pomocy na poboczu drogi.

— Tak.

— I młodsza z nich była w dziewiątym miesiącu ciąży.

— Wiem to wszystko.

— Zatem wie pani też, że pani matka zabrała je z szosy. Zawiozła je ponad czterdzieści kilometrów dalej do szopy w lesie i rozbiła im czaszki żelaznym łomem. A potem zrobiła coś zaskakująco logicznego. Podjechała do stacji benzynowej, napełniła benzyną kanister, wróciła do szopy i podpaliła ją, z dwoma ciałami w środku. — O'Donnell przechyliła głowę. — Czy to pani nie zaciekawia?

— Przyprawia mnie o mdłości.

— Owszem, ale w głębi duszy może czuje pani coś innego, do czego nie chce się pani nawet przyznać. Intrygują panią te wydarzenia, nie tylko jako intelektualna zagadka. Jest pani tym zafascynowana, a nawet podniecona.

— Tak jak pani?

O'Donnell nie poczuła się urażona tą ripostą. Skwitowała uwagę Maury uśmiechem.

— Moje zainteresowanie jest czysto zawodowe. Zajmuję się badaniem aktów zbrodni. Ale zastanawia mnie, dlaczego pani interesuje się Amaltheą Lank.

— Dwa dni temu nie znałam jeszcze mojej matki. Teraz próbuję uporać się z prawdą. Próbuję zrozumieć...

— Kim pani jest? — spytała cicho O'Donnell.

Maura napotkała jej spojrzenie.

— Wiem, kim jestem.

— Na pewno? — O'Donnell pochyliła się bliżej. — Kiedy jest pani w prosektorium i bada rany ofiary, opisując ślady, które pozostawił nóż zabójcy, nie czuje pani dreszczu podniecenia?

— Skąd to przypuszczenie?

— Jest pani córką Amalthei.

— Z biologicznego przypadku. Nie wychowała mnie.

O'Donnell oparła się wygodnie o fotel, mierząc ją chłodnym wzrokiem.

— Zdaje pani sobie sprawę, że przemoc jest genetycznie uwarunkowana? Że niektóre rodziny mają ją zakodowaną w DNA?

Maura przypomniała sobie, co Rizzoli powiedziała jej na temat doktor O'Donnell: „W jej przypadku to więcej niż ciekawość. Chce wiedzieć, jak to jest, kiedy tnie się skórę i patrzy na krwawiącą ofiarę. Kiedy ma się władzę nad czyimś życiem. Jest spragniona szczegółów jak wampir krwi”. Maura dostrzegła teraz w jej oczach tę żądzę. Tej kobiecie sprawia przyjemność obcowanie z potworami, pomyślała. I ma nadzieję, że znalazła następnego.

— Przyszłam pomówić o Amalthei — oświadczyła Maura.

— Czy nie o niej właśnie rozmawiamy?

— Dowiedziałam się w więzieniu we Framingham, że odwiedzała ją pani co najmniej kilkanaście razy. Dlaczego tak często? Z pewnością nie dla jej dobra.

— Interesuję się Amaltheą jako naukowiec. Chcę zrozumieć, co skłania ludzi do zabijania. Czemu czerpią z tego przyjemność?

— Twierdzi pani, że robiła to dla przyjemności?

— A czy pani wie, dlaczego zabijała?

— Jest najwyraźniej chora psychicznie.

— Większość schizofreników nie zabija.

— Ale przyznaje pani, że jest chora?

O'Donnell zawahała się.

— Takie sprawia wrażenie.

— Ma pani wątpliwości. Mimo tych wszystkich wizyt?

— Za jej chorobą psychiczną kryje się coś więcej. Podobnie jak za jej zbrodnią.

— Co ma pani na myśli?

— Wie pani już, co zrobiła. A przynajmniej o co została oskarżona.

— Sąd miał dość dowodów, żeby ją skazać.

— O tak, było ich mnóstwo. Numer tablicy rejestracyjnej jej wozu, nagrany przez kamery wideo na stacji benzynowej. Krew ofiar na żelaznym łomie. Ich portfele w bagażniku. Ale nie słyszała pani pewnie o tym. — O'Donnell sięgnęła po jedną

z leżących na stoliku teczek i podała ją Maurze. — Dostałam to z laboratorium kryminalistyki w Wirginii, gdzie aresztowano Amaltheę.

Maura otworzyła teczkę i zobaczyła fotografię białego sedana z tablicą rejestracyjną ze stanu Massachusetts.

— To samochód, który prowadziła Amalthea — wyjaśniła O'Donnell.

Maura spojrzała na następną stronę. Był tam raport na temat linii papilarnych.

— W samochodzie znaleziono wiele odcisków palców — powiedziała O'Donnell. — Obie ofiary, Nikki i Theresa Wells, zostawiły ślady na klamrach tylnych pasów bezpieczeństwa, co oznacza, że usiadły z tyłu i zapięły się. Na kierownicy i dźwigni zmiany biegów były, oczywiście, odciski Amalthei. — O'Donnell zamilkła na chwilę. — Ale odkryto też linie papilarne czwartej osoby.

— Czwartej osoby?

— Jest o tym mowa w raporcie. Znaleziono je na schowku na rękawiczki, na drzwiach z obu stron i na kierownicy. Nie udało się ich zidentyfikować.

— To nic nie znaczy. Mógł zostawić je w samochodzie jakiś mechanik.

— Możliwe. Ale proszę spojrzeć na raport dotyczący włosów i włókien.

Maura odwróciła kartkę i przeczytała, że na tylnym siedzeniu znaleziono jasne włosy, które należały do Theresy i Nikki Wells.

— Nie widzę w tym nic dziwnego. Wiemy, że ofiary były w samochodzie.

— Ale niech pani zauważy, że ich włosów nie było na przednim siedzeniu. Proszę się zastanowić. Dwie kobiety tkwią na poboczu drogi. Ktoś zatrzymuje się, proponując im podwiezienie. I co robią siostry? Obie wsiadają do tyłu. Trochę to niegrzeczne, prawda? Zostawiać kierowcę z przodu samego? Chyba że...

Maura spojrzała na nią.

— Chyba że z przodu ktoś już siedzi.

O'Donnell wyprostowała się w fotelu, uśmiechając się z satysfakcją.

— Oto frapujące pytanie, którego w sądzie nikt nie zadał. Dlatego właśnie spotykałam się tyle razy z pani matką. Chcę się dowiedzieć tego, czego policja nigdy nie próbowała ustalić: kto siedział z przodu obok Amalthei?

— Nie powiedziała pani?

— Nie podała mi jego nazwiska.

Maura przyglądała jej się uważnie.

— Jego?

— Domyślam się tylko płci. Ale wierzę, że ktoś był z Amaltheą w samochodzie w chwili, gdy zauważyła przy drodze te dwie kobiety. Ktoś pomógł jej obezwładnić ofiary. Ktoś wystarczająco silny, by razem z nią zaciągnąć ciała do szopy i podpalić. — O'Donnell przerwała. — To on mnie interesuje, doktor Isles. Jego chcę znaleźć.

— A więc nie chodziło pani naprawdę o Amaltheę.

— Nie interesuje mnie niepoczytalność, tylko zło.

Maura wpatrywała się w nią, myśląc: Tak, to prawda. Lubisz, żeby było tak blisko, by ocierać się o nie, czuć je w nozdrzach. To nie Amalthea cię przyciąga. Jest tylko pośredniczką, która może cię doprowadzić do prawdziwego przedmiotu twego pożądania.

— Miała współnika — powiedziała Maura.

— Nie wiemy, kim on jest ani jak wygląda. Ale pani matka wie.

— Czemu nie wyjawi jego nazwiska?

— Właśnie. Dlaczego go kryje? Boi się czy chce go chronić?

— Nie wie pani nawet, czy ten człowiek istnieje. Ma pani tylko niezidentyfikowane odciski palców. I swoją teorię.

— To więcej niż teoria. Bestia nie jest moim wymysłem. — O'Donnell pochyliła się naprzód i powiedziała cicho, niemal szeptem: — Takiego użyła określenia, gdy aresztowano ją w Wirginii. Kiedy przesłuchiwała ją tam policja. Powiedziała, cytując: „Bestia kazała mi to zrobić”. To on kazał jej zabić te kobiety.

W ciszy, która zapadła, Maura słyszała bicie swego serca, jak coraz szybszy rytm bębna. Przełknęła ślinę i powiedziała:

— Ona jest schizofreniczką. Kobieta, która ma prawdopodobnie omamy słuchowe.

— Albo mówi o kimś naprawdę istniejącym.

— Bestia? — Maura zdobyła się na śmiech. — Może to jej osobisty demon. Potwór ze snów.

— Który pozostawia odciski palców.

— Na sędziach nie zrobiło to wrażenia.

— Zignorowali ten fakt. Byłam na procesie. Obserwowałam, jak oskarżyciel wytaczał argumenty przeciwko kobiecie tak chorej psychicznie, że nawet on musiał mieć świadomość, iż nie może ona odpowiadać za swoje czyny. Ale stanowiła łatwy cel, bez

trudu można było ją skazać.

— Mimo oczywistej niepoczytalności?

— Och, nikt nie wątpił, że jest schizofreniczką i słyszy głosy. Te głosy mogły ją zmuszać, by rozbiła komuś głowę i spaliła zwłoki, ale sędziowie mimo wszystko uważają, że człowiek odróżnia dobro od zła. Prokurator przygwoździł Amaltheę, więc ją skazali. Popełnili błąd. Przeoczyli jego. — O'Donnell znów oparła się o fotel. — A tylko pani matka wie, kim on jest.

* * *

Była już prawie szósta, gdy Maura podjechała pod budynek Urzędu Lekarza Sądowego. Na parkingu stały jeszcze dwa samochody: niebieska honda Yoshimy i czarny saab doktora Costasa. Muszą robić jakąś wieczorną sekcję, pomyślała z poczuciem winy. Tego dnia powinna mieć dyżur, ale poprosiła kolegów o zastępstwo.

Otworzyła kluczem drzwi z tyłu budynku, weszła do środka, i ruszyła prosto do siebie, po drodze nikogo nie spotykała. Na biurku znalazła to, po co przysłała: dwie teczki z dołączoną żółtą karteczką, na której Louise napisała: *Zamówione akta*. Usiadła, wzięła głęboki oddech i otworzyła pierwszą teczkę.

Była to dokumentacja Theresy Wells, starszej siostry. Na pierwszej stronie znajdowało się nazwisko ofiary, numer sprawy i data sekcji zwłok. Nie знаła patologa, doktora Jamesa Hobarta, ale zaczęła pracować w Urzędzie Lekarza Sądowego dopiero dwa lata temu, a to był raport sprzed pięciu lat. Zaczęła czytać maszynopis nagrania z dyktafonu.

Denatka jest dobrze odżywioną kobietą w nieokreślonym wieku, ma sto sześćdziesiąt pięć centymetrów wzrostu, pięćdziesiąt siedem kilogramów wagi. Tożsamość ustalona na podstawie zdjęć uzębienia. Odciski palców niedostępne. Widoczne rozległe oparzenia tułowia i kończyn, zwęglenie skóry i odsłonięte mięśnie. Twarz i przednia część torsu nieuszkodzone. Pozostały resztki odzieży: dżinsowe spodnie, rozmiar osiem, z zapiętym zamkiem błyskawicznym i zatrzaskami oraz spalony biały sweter i stanik, również zapięty. Badanie dróg oddechowych nie wykazało obecności sadzy. Nasylenie krwi karboksyhemoglobina minimalne.

Gdy podpalono jej ciało, Theresa Wells nie oddychała. Przyczyna śmierci wynikała jasno ze zdjęć rentgenowskich.

Boczne i frontalne zdjęcia czaszki wykazują wgniecenie i zmiżdżenie prawej kości ciemieniowej, z czterocentymetrową szczeliną w kształcie klina.

Zabiło ją prawdopodobnie uderzenie w głowę.

U dołu raportu, pod podpisem doktora Hobarta, Maura zobaczyła znajome inicjały. To Louise przepisywała nagranie z dyktafonu. Patolodzy się zmieniali, ale ona była w tym biurze od zawsze.

Maura przekartkowała następne strony akt. Był tam wykaz wszystkich wykonanych podczas autopsji zdjęć rentgenowskich oraz pobranych próbek krwi, płynów i śladów. Na stronach urzędowych odnotowano zabezpieczone dowody zbrodni, rzeczy osobiste ofiary i nazwiska osób obecnych przy sekcji. Asystentem Hobarta był Yoshima. Zobaczyła też nazwisko nieznanego jej detektywa Swigerta, oficera policji z Fitchburga.

Na ostatniej stronie była fotografia. Zatrzymała się przy niej, patrząc z odrazą. Ogień zwęglił kończyny Theresy Wells i odsłonił mięśnie jej tułowia, ale twarz pozostała dziwnie nietknięta i bez wątplenia należała do kobiety. Miała zaledwie trzydzieści pięć lat, pomyślała Maura. O pięć mniej niż ja teraz. Byłaby w moim wieku, gdyby żyła. Gdyby w tamten listopadowy dzień nie złapała gumy.

Zamknęła teczkę z aktami Theresy i sięgnęła po drugą. Znów zawahała się, zanim ją otworzyła, myśląc z niechęcią o potwornościach, które zawierała. Przypomniała sobie spalone zwłoki, których sekcję robiła przed rokiem, i odór przenikający jej włosy i ubranie nawet wtedy, gdy wyszła z sali. Do końca tamtego lata unikała grillowania w ogródku, nie mogąc znieść zapachu mięsa z rusztu. Teraz, gdy otworzyła akta Nikki Wells, znów czuła niemal ten odór, powracający we wspomnieniach.

Twarz Theresy uniknęła płomieni, jej młodszej siostry — przeciwnie. Ogień, który tylko częściowo strawił ciało pierwszej z kobiet, skupił całą swą furję na Nikki Wells.

Zwłoki są w poważnym stopniu zwęglone. Fragmenty piersi i ściany brzucha całkowicie spalone, odsłonięte trzewia. Miękką tkankę twarzy i skórę głowy również wypalone. Widoczne fragmenty sklepienia czaszki i zmiżdżone kości

policzkowe. Nie ma zachowanych resztek odzieży. Na zdjęciu rentgenowskim widać jedynie na wysokości piątego żebra niewielkie metalowe haczyki, być może pozostałość po haftce od stanika, oraz pojedynczy kawałek metalu w okolicy łona. Rentgen jamy brzusznej pokazuje także szczątki szkieletu płodu. Oceniając po średnicy czaszki, miał około trzydziestu sześciu tygodni...

Zabójca Nikki Wells musiał widzieć, że była w ciąży. A jednak nie okazał jej i nienarodzonemu dziecku litości ani szczególnych względów. Oboje trafili na stos pogrzebowy w lesie.

Maura odwróciła kartkę i zmarszczyła brwi, czytając kolejne zdanie w raporcie z autopsji.

Na zdjęciu rentgenowskim płodu zauważalny brak prawej kości piszczelowej, kości strzałkowej i kości stępu.

Piórem dopisana była adnotacja z gwiazdką: „Patrz załącznik”. Maura odszukała dopiętą kartkę i przeczytała:

**Przeprowadzone trzy miesiące wcześniej u pacjentki badania prenatalne wykazały niedorozwój płodu. Ultrasonografia wykonana podczas drugiego trymestru ujawniła, że płód nie ma prawej dolnej kończyny, prawdopodobnie z powodu syndromu ABS.*

Zniekształcenie płodu. Kilka miesięcy przed śmiercią Nikki Wells dowiedziała się, że jej niemowlę urodzi się bez prawej nogi, a jednak postanowiła nie usuwać ciąży. Zachować dziecko.

Maura wiedziała, że ostatnie strony raportu będzie jej najtrudniej oglądać. Mdlilo ją na myśl o fotografii zwłok, ale zmusiła się, by na nią spojrzeć. Zobaczyła zwęglone kończyny i tułów. Zamiast twarzy pięknej kobiety, emanującej radością z powodu ciąży, widziała czaszkę wyzierającą zza czarnej maski, z kośćmi policzkowymi wgniecionymi do środka z powodu śmiertelnego ciosu.

Zrobiła to Amalthea Lank, pomyślała. Moja matka. Rozbiła im czaszki i zaciągnęła zwłoki do szopy. Czy po oblaniu ich benzyną i zapaleniu zapałki czuła podniecenie, gdy

buchały płomienie? Czy została przy płonącej szopie, by napawać się swądem palących się włosów i ciał?

Nie mogąc znieść już dłużej tego widoku, Maura zamknęła teczkę i skupiła uwagę na leżących na jej biurku dwóch dużych kopertach z kliszami rentgenowskimi. Zaniósła je do podświetlanej tablicy i umocowała w niej zdjęcia głowy i szyi Theresy Wells. Na ekranie ukazały się mgliste zarysy kości. Zdjęcia rentgenowskie ogląda się z mniejszą odrazą niż fotografie denatów. Zwłoki, odarte z ciała, które nadaje im indywidualny wygląd, przestają budzić grozę. Każdy szkielet wygląda tak samo. Czaszka, którą teraz widziała na ekranie, mogła należeć do jakiegokolwiek kobiety, kochanej przez nią lub obcej. Wpatrywała się w złamane sklepienie czaszki, w trójkątny fragment kości wgnieciony do środka. Nie spowodowało tego powierzchowne uderzenie. Tylko zamachnąwszy się celowo i z całą siłą, można było wbić kość tak głęboko w płat ciemieniowy.

Maura zdjęła klisze, sięgnęła do drugiej koperty po dwie następne i umocowała je na ekranie. Kolejna czaszka — tym razem Nikki. Podobnie jak siostra otrzymała cios w głowę, tyle że z przodu. Wgniecenie kości czołowej spowodowało, że oczy wyszły jej z orbit. Nikki Wells musiała widzieć, jak ją uderzano.

Maura ściągnęła zdjęcia czaszki i zawiesiła kolejne dwie klisze, pokazujące kręgosłup i miednicę Nikki, dziwnie dobrze zachowane pod spalonym ciałem. Na tle miednicy widać było kości płodu. Choć ogień zamienił matkę i dziecko w jedną zwęgloną masę, na zdjęciach rentgenowskich Maura widziała szczątki dwojga ludzi. Dwa szkielety, dwie ofiary.

Zobaczyła też coś jeszcze: jasną plamkę, wyróżniającą się nawet w gmatwaniu cieni. Była to cieniutka jak igła kreska na tle kości łonowej Nikki Wells. Drobny odłamek metalu? Może fragment odzieży — zamka błyskawicznego lub klamry — który przyłgnał do spalonej skóry?

Maura sięgnęła do koperty i znalazła boczne zdjęcie tułowia. Umocowała je obok tego, które zrobiono od przodu. Metalowy odłamek nadal był widoczny, ale tym razem nie na tle kości łonowej. Zdawał się w niej tkwić.

Wyjęła z koperty Nikki wszystkie klisze, wieszając je parami na ekranie. Zauważyła haczyki, które dostrzegł na rentgenie klatki piersiowej doktor Hobart, metalowe pętelki, stanowiące części haftki stanika. Zdjęcia robione z boku pokazywały wyraźnie, że

znajdują się one w miękkiej tkance. Włożyła znowu klisze przedstawiające miednicę i przyjrzała się odłamkowi metalu w kości łonowej Nikki Wells. Doktor Hobart wspomniał o nim w raporcie, ale pominął go we wnioskach. Może uznał, że to szczegół bez znaczenia. Trudno się dziwić wobec tylu innych obrażeń, których doznała ofiara.

Yoshima asystował Hobartowi podczas sekcji. Może pamiętał tę sprawę.

Maura wyszła z biura, zbiegła po schodach i pchnęła podwójne drzwi prowadzące do sali prosektorium. Nikogo tam nie było, a stoły wyczyszczono już na noc.

— Yoshima? — zawołała.

Włożyła osłony na buty i przeszła przez prosektorium, obok pustych stołów z nierdzewnej stali, do poczekalni, mijając kolejne podwójne drzwi. Zajrzała do chłodni, ale zobaczyła tylko leżące na wózkach dwa białe worki ze zwłokami.

Zamknęła drzwi i stała przez chwilę w pustej poczekalni, nasłuchując głosów, kroków, czegokolwiek, co świadczyłoby o tym, że w budynku nadal ktoś jest. Słyszała jednak tylko szum chłodziarki i przytłumione wycie syreny karetki na ulicy.

Costas i Yoshima musieli już skończyć pracę.

Gdy kwadrans później wychodziła z budynku, zobaczyła, że saaba i toyoty rzeczywiście nie ma już na parkingu. Oprócz jej czarnego lexusa były tam jeszcze tylko trzy furgonetki z kostnicy z wymalowanymi napisami: URZĄD LEKARZA SĄDOWEGO, STAN MASSACHUSETTS. Zapadł już zmrok i jej samochód stał samotnie w żółtym świetle latarni.

Wciąż miała przed oczami fotografie Theresy i Nikki Wells. Idąc w kierunku lexusa, zwracała uwagę na każdy cień, każdy hałas, najmniejszy ruch. Kilka kroków od wozu przystanęła nagle, wpatrując się w drzwiczki od strony pasażera. Przeszły jej ciarki po plecach. Akta, które niosła, wysunęły jej się z odrętwiałych rąk i rozsypały po chodniku.

Na lśniącym lakierze samochodu widniały trzy równoległe rysy. Ślady pazurów.

Uciekaj. Schowaj się.

Odwróciła się i pobiegła z powrotem do budynku. Stała przy zamkniętych drzwiach, szukając nerwowo klucza. Gdzie jest ten właściwy? W końcu go znalazła, wsunęła w zamek i wślizgnęła się do środka, zatraskując drzwi za sobą. Oparła się o nie całym ciężarem, jakby chciała je zabarykadować.

Wewnątrz pustego budynku było tak cicho, że słyszała swój przyspieszony przez panikę oddech.

Pobiegła korytarzem do biura i tam się zamknęła. Dopiero wtedy, w znajomym otoczeniu, poczuła, że serce nie wali jej już jak młot, a ręce przestają drżeć. Podeszła do biurka, podniosła słuchawkę telefonu i zadzwoniła do Jane Rizzoli.

Rozdział osiemnasty

— Postąpiła pani bardzo rozsądnie, ukrywając się w bezpiecznym miejscu — rzekła Rizzoli.

Maura siedziała przy swoim biurku, patrząc na pogniecione papiery, które Rizzoli pozbierała na parkingu. Były to zabrudzone teraz błotem i podeptane w panice akta Nikki Wells. Nawet w tym momencie, siedząc bezpiecznie w towarzystwie Rizzoli, Maura czuła strach.

— Znaleźliście na drzwiczkach jakieś odciski palców? — spytała.

— Kilka. Jak na każdym samochodzie.

Rizzoli przysunęła krzesło do biurka Maury i usiadła, kładąc ręce na brzuchu. Mamuśka Rizzoli, w ciąży i z bronią, pomyślała Maura. I ona ma mnie chronić?

— Jak długo pani samochód stał na parkingu? Podobno przyjechała pani około szóstej.

— Te zadrapania mogły być tam wcześniej. Nie używam na co dzień drzwi od strony pasażera. Tylko kiedy wkładam do środka zakupy albo coś w tym rodzaju. Dziś samochód był zaparkowany tak, że je zobaczyłam. I stał tuż pod latarnią.

— Kiedy po raz ostatni patrzyła pani na te drzwiczki?

Maura przycisnęła ręce do skroni.

— Wiem, że wczoraj rano nie były zadrapane. Kiedy wyjeżdżałam z Maine. Wrzuciłam torbę podróżną na przednie siedzenie. Zauważyłabym wtedy te rysy.

— W porządku. Czyli wczoraj wróciła pani do domu. I co dalej?

— Samochód był całą noc w garażu. A potem, dziś rano, odwiedziłam panią przy Schroeder Plaza.

— Gdzie pani zaparkowała?

— Na parkingu koło komisariatu policji. Przy Columbus Avenue.

— A więc stał tam całe popołudnie, kiedy byliśmy w więzieniu.

— Tak.

— Ten parking jest w całości monitorowany.

— Tak? Nie zauważyłam...

— A potem dokąd pani pojechała? Kiedy wróciliśmy z Framingham?

Maura zawahała się.

— Pani doktor?

— Byłam umówiona z Joyce O'Donnell. — Napotkała spojrzenie Rizzoli. — Proszę tak na mnie nie patrzeć. Musiałam się z nią zobaczyć.

— Zamierzała mi pani powiedzieć?

— Oczywiście. Chciałam po prostu dowiedzieć się czegoś więcej o mojej matce.

Rizzoli wyprostowała się, zaciskając usta. Nie jest ze mnie zadowolona, pomyślała Maura. Kazała mi trzymać się z daleka od O'Donnell, a ja zlekceważyłam jej rady.

— Jak długo była pani u niej? — spytała Rizzoli.

— Około godziny. Jane, powiedziała mi coś, czego nie wiedziałam. Amalthea wychowała się w Fox Harbor. To dlatego Anna pojechała do Maine.

— Co pani robiła po wyjściu z domu O'Donnell?

Maura westchnęła.

— Przyjechałam wprost tutaj.

— Nikt pani nie śledził?

— Nie sprawdzałam. Mam na głowie zbyt wiele spraw.

Przyglądały się sobie przez chwilę bez słowa, czując w powietrzu napięcie spowodowane wizytą Maury u O'Donnell.

— Wiedziała pani, że kamera na waszym parkingu jest uszkodzona? — spytała Rizzoli.

Maura zaśmiała się, wzruszając ramionami.

— A wie pani, o ile obcięto nam tegoroczny budżet? Ta kamera nie działa od miesiąca. Widać niemal zwisające kable.

— Chodzi mi o to, że taka kamera powinna odstraszyć większość wandalii.

— Niestety, nie w tym wypadku.

— Kto jeszcze wie, że ona nie działa? Wszyscy pracujący w tym biurze, prawda?

Maura poczuła zaniepokojenie.

— Nie podobają mi się pani insynuacje. Wiele osób widziało, że jest uszkodzona. Policjanci. Kierowcy furgonetek. Każdy, kto przywoził tutaj zwłoki. Wystarczy spojrzeć w górę.

— Kiedy pani przyjechała, stały tu podobno dwa samochody, doktora Costasa i Yoshimy.

— Zgadza się.

— A gdy wyszła pani z budynku, około ósmej, już ich nie było.

— Skończyli pracę przede mną.

— Jest pani z nimi w dobrych stosunkach?

Maura zaśmiała się z niedowierzaniem.

— Chyba pani żartuje? To idiotyczne pytania.

— Nie pałam entuzjazmem, że muszę je zadawać.

— To czemu pani to robi? Zna pani doktora Costasa, Jane. I Yoshimę. Nie może ich pani traktować jak podejrzanych.

— Obaj przechodzili przez ten parking. Tuż obok pani samochodu. Doktor Costas wyszedł pierwszy, około osiemnastej czterdzieści pięć. Yoshima trochę później, chyba kwadrans po dziewiętnastej.

— Rozmawiała pani z nimi?

— Obaj powiedzieli, że nie widzieli na pani samochodzie żadnych rys. A powinni je zauważyć. Zwłaszcza Yoshima, który parkował tuż obok pani.

— Pracujemy razem prawie od dwóch lat. Znam go. Pani także.

— Tak nam się wydaje.

Nie rób tego, Jane, pomyślała Maura. Nie każ mi się bać własnych kolegów.

— Pracuje w tym budynku osiemnaście lat — powiedziała Rizzoli.

— Abe niemal równie długo. Louise także.

— Wiedziała pani, że Yoshima mieszka sam?

— Ja też.

— Ma czterdzieści osiem lat, nigdy nie był żonaty i mieszka samotnie. Przychodzi codziennie do pracy i jesteście ze sobą bardzo blisko. Oboje pracujecie przy zwłokach. To ponure zajęcie. Musiały powstać między wami silne więzi. Łączą was te wszystkie okropności, które tylko pani i on widzieliście.

Maura pomyślała o wszystkich godzinach, które spędziła z Yoshimą w sali ze stalowymi stołami i ostrymi narzędziami. Zawsze wiedział z góry, czego jej potrzeba. Tak, istniała między nimi więź, to oczywiste, przecież stanowili zespół. Ale gdy zdejmowali fartuchy i osłony na buty, każde z nich wracało do swojego życia. Nie

spotykali się prywatnie. Nigdy nawet nie wypili po pracy razem drinka. Jesteśmy do siebie podobni, pomyślała. Dwoje samotnych ludzi, którzy spotykają się tylko nad zwłokami.

— Niech pani posłucha — ciągnęła z westchnieniem Rizzoli. — Lubię Yoshimę. Z niechęcią wspominam nawet o takiej możliwości. Ale muszę brać to pod uwagę, bo na tym polega moja praca.

— Na czym? Żeby wpędzić mnie w paranoję? I tak już jestem dość przerażona, Jane. Niech mi pani nie każe bać się ludzi, którym muszę ufać. — Maura zgarnęła z biurka papiery. — Skończyliście już z moim samochodem? Chciałabym pojechać do domu.

— Tak, skończyliśmy. Ale nie jestem pewna, czy powinna pani wracać do siebie.

— A co mam zrobić?

— Są inne możliwości. Może pani zatrzymać się w hotelu. Albo spać na mojej kanapie. Rozmawiałam właśnie z detektywem Ballardem i wspomniał, że ma wolny pokój.

— Czemu rozmawia pani z Ballardem?

— Codziennie pyta mnie o postępy w śledztwie. Dzwonił przed godziną i powiedziałam mu, co stało się z pani samochodem. Natychmiast przyjechał, żeby go obejrzeć.

— Jest teraz na parkingu?

— Zjawił się jakiś czas temu. Martwi się, pani doktor. Ja też. — Rizzoli przerwała. — Więc co chce pani zrobić?

— Nie wiem...

— Ma pani kilka minut, żeby się zastanowić. — Rizzoli podźwignęła się z miejsca. — Chodźmy, odprowadzę panią.

Co za absurd, pomyślała Maura, gdy szły razem korytarzem. Ochronia mnie kobieta, która z trudem wstaje z krzesła. Ale Rizzoli nie pozostawiała wątpliwości, że to ona wydaje polecenia i pełni funkcję strażnika. Otworzyła drzwi i wyszła pierwsza z budynku.

Maura podążyła za nią przez parking do lexusa, przy którym stali Frost i Ballard.

— Dobrze się czujesz, Mauro? — spytał Ballard. W blasku latarni jego oczy pozostawały w cieniu. Nie widziała wyrazu jego twarzy.

— Wszystko w porządku.

— Mogło się skończyć o wiele gorzej. — Spojrzał na Rizzoli. — Powiedziała jej pani, co sądzimy?

— Powiedziałam, że nie powinna raczej wracać na noc do domu.

Maura popatrzyła na swój samochód. Trzy rysy wyraźnie rzucały się w oczy. Były jeszcze bardziej odrażające, niż je pamiętała, jak rany pozostawione przez szpony drapieżnika. *Zabójca Anny przemawia do mnie. A ja nie zdawałam sobie sprawy, jak był blisko.*

— Ekipa dochodzeniowa zauważyła małe wgniecenie w drzwiach po stronie kierowcy — odezwał się Frost.

— To stara sprawa. Ktoś stuknął mnie na parkingu kilka miesięcy temu.

— W porządku, więc chodzi tylko o te zadrapania. Zdjęli kilka odcisków palców. Będą potrzebne także pani odciski, pani doktor. Proszę dostarczyć je jak najszybciej do laboratorium.

— Oczywiście. — Pomyślała o wszystkich odciskach, które zdejmowali w kostnicy, o poplamionych tuszem zimnych palcach, przyciskanych rutynowo do kart zmarłych. *Moje dostanę z wyprzedzeniem. Kiedy jeszcze żyję.* Skrzyżowała ręce na piersiach, czując dreszcze mimo ciepłej nocy. Wyobraziła sobie, jak wraca do pustego domu i zamyka się na klucz w sypialni. Mimo wszystkich zabezpieczeń był to tylko dom, a nie forteca. Dom z oknami, w których łatwo było wybić szyby, i siatkami, które dało się rozciąć nożem.

— Mówiła pani, że samochód Anny zadrapał Charles Cassell. — Maura spojrzała na Rizzoli. — Tego by nie zrobił. Nie w moim wozie.

— Nie, nie miałyby powodów. To najwyraźniej ostrzeżenie dla pani. Może Anna zginęła przez pomyłkę — dodała cicho Rizzoli.

To miałam być ja. To ja powinnam była zginąć.

— Dokąd chce pani jechać, pani doktor? — spytała Rizzoli.

— Nie wiem — powtórzyła Maura. — Nie wiem, co robić...

— Proponowałbym, żebyś stąd odeszła — odezwał się Ballard. — Wszyscy cię tu widzą.

Maura spojrzała na chodnik i zobaczyła sylwetki ludzi, których przyciągnęły pulsujące światła policyjnego radiowozu. Ludzi, których twarzy nie mogła dostrzec, gdyż byli w cieniu, podczas gdy ona stała w świetle latarni jak gwiazda filmowa.

— Mam wolny pokój — oznajmił Ballard.

Nie patrzyła na niego, lecz wpatrywała się w ukryte w półmroku sylwetki. To dzieje się zbyt szybko, pomyślała. Zbyt wiele decyzji trzeba podejmować pochopnie. Dokonywać wyborów, których mogę żałować.

— Pani doktor? — odezwała się Rizzoli. — Co pani na to?

Maura spojrzała w końcu na Ballarda. I poczuła znów, że niepokojąco ją pociąga.

— Nie widzę innego wyjścia — odparła.

* * *

Jechał tuż za nią, tak blisko, że reflektory jego samochodu odbijały się w jej lusterku wstecznym, jakby bał się, że Maura może zjechać na bok, próbować go zgubić w gęstym ruchu. Trzymał się blisko nawet wtedy, gdy dotarli do spokojniejszej dzielnicy Newton i gdy okrążyła dwukrotnie jego dom, tak jak polecił, żeby się upewnić, czy nikt ich nie śledzi. Kiedy zatrzymała się w końcu przed jego domem, niemal natychmiast zjawił się przy niej i zastukał w szybę.

— Wjedź do garażu — powiedział.

— Zajmę ci miejsce.

— Nieważne. Nie chcę, żeby twój samochód stał na ulicy. Otworzę drzwi.

Skręciła na podjazd i patrzyła, jak drzwi się podnoszą, odsłaniając zadbane garaż, z wiszącymi na kołkach narzędziami i rzędami puszek z farbami na wbudowanych w ścianę półkach. Nawet betonowa podłoga zdawała się lśnić. Maura wjechała do garażu. Drzwi natychmiast się za nią zamknęły i samochód przestał być widoczny z ulicy. Przez moment siedziała, nasłuchując odgłosów stygnącego silnika i przygotowując się na czekający ją wieczór. Jeszcze parę chwil temu powrót do domu wydawał jej się ryzykowny i nierozsądny. Teraz zastanawiała się, czy decyzja, którą podjęła, była rozsądniejsza.

Ballard otworzył drzwiczki jej samochodu.

— Chodź. Pokażę ci, jak się włącza system alarmowy. Na wypadek gdyby nie było mnie w domu.

Poprowadził ją do środka, a potem krótkim korytarzem do holu i wskazał przyciski numeryczne koło frontowych drzwi.

— Kazałem ten system przeprogramować zaledwie parę miesięcy temu. Najpierw

wystukuje się kod, a potem naciska AKTYWUJ. Jeśli przy takim zabezpieczeniu ktoś otworzy drzwi albo okno, włącza się alarm tak głośny, że pękają bębny w uszach. System powiadamia też automatycznie agencję ochroniarską. Aby wyłączyć alarm, wystukujesz ten sam kod i przyciskasz WYŁĄCZ. Na razie wszystko jasne?

— Tak. Chcesz podać mi kod?

— Właśnie do tego zmierzałem. — Spojrzał na nią. — Zdajesz sobie, oczywiście, sprawę, że wręczam ci numeryczny klucz do mojego domu.

— Zastanawiasz się, czy możesz mi zaufać?

— Obiecay tylko, że nie wyjawisz go swoim podejrzanym znajomym.

— Bóg świadkiem, że mam ich całe mnóstwo.

— Tak. — Zaśmiał się. — I zapewne wszyscy noszą odznaki. W porządku. Ten kod to jeden-dwa-jeden-siedem. Data urodzin mojej córki. Zapamiętasz czy chcesz go zapisać?

— Zapamiętam.

— Dobrze. Teraz włącz alarm, bo chyba już nigdzie nie wychodzimy.

Gdy wystukiwała cyfry, stał tak blisko niej, że czuła na włosach jego oddech. Nacisnąwszy AKTYWUJ, usłyszała cichy sygnał. Pod klawiaturą pojawił się napis: SYSTEM WŁĄCZONY.

— Forteca zabezpieczona — oznajmił.

— To było dość proste. — Odwróciwszy się, zobaczyła, że wpatruje się w nią tak intensywnie, iż miała ochotę cofnąć się o krok, aby dzielił ich bezpieczny dystans.

— Jadłaś kolację? — spytał.

— Nie miałam kiedy. Tyle się dzisiaj działo.

— No to chodź. Nie pozwolę, żebyś była głodna.

Jego kuchnia wyglądała dokładnie tak, jak się spodziewała.

Były tam solidne klonowe szafki i grube blaty. Garnki i patelnie wisiły równym szeregami pod sufitem. Żadnych ekstrawagancji, po prostu warsztat pracy praktycznego mężczyzny.

— Nie chcę sprawiać ci kłopotu — powiedziała. — Wystarczą jajka i grzanki.

Otworzył lodówkę i wyjął karton jajek.

— Jajecznicą?

— Ja się tym zajmę, Rick.

— A może zrobisz grzanki? Chleb jest tam. Też chętnie jedną zjem.

Wyjęła z opakowania dwie kromki chleba i wrzuciła je do tosterka. Odwróciwszy się, zobaczyła, że Ballard stoi przy kuchence, mieszając jajka w misce, i przypomniała sobie ich ostatni wspólny posiłek, który jedli bosko, śmiejąc się i ciesząc się swoim towarzystwem. Zanim telefon Jane sprawił, że stała się wobec niego nieufna. Gdyby Jane wtedy nie zadzwoniła, do czego by między nimi doszło? Patrzyła, jak wlewa jajka na patelnię i włącza kuchenkę. Poczwała, że się czerwieni, jakby w niej też rozpałił płomień.

Spojrzała na drzwi lodówki, gdzie wisały zdjęcia Ballarda i jego córki. Katie jako niemowlę w ramionach matki. Jako mała dziewczynka na wysokim stołku. Potem kolejne ujęcia, aż do fotografii jasnowłosej nastolatki o zdawkowym uśmiechu.

— Tak szybko się zmienia — powiedział. — Nie mogę uwierzyć, że to zdjęcia tego samego dziecka.

Maura spojrzała na niego przez ramię.

— Co postanowiłeś w sprawie tego skręta w jej szafce?

— Ach, mówisz o tamtym... — Westchnął ciężko. — Carmen zabroniła jej wieczorami wychodzić z domu. Co gorsza, przez miesiąc nie może oglądać telewizji. Będę musiał teraz zamykać swój telewizor, żeby Katie nie zakradała się tutaj i nie oglądała programów, kiedy nie ma mnie w domu.

— Potraficie z Carmen trzymać wspólny front.

— Nie mamy wielkiego wyboru. Rozwód to przykra sprawa, ale dla dobra dziecka trzeba wzajemnie się wspierać. — Odwrócił się od kuchenki i zsunął gorącą jajecznicę na dwa talerze. — Ty nie miałaś dzieci?

— Na szczęście nie.

— Na szczęście?

— Victor i ja nie potrafilibyśmy zachowywać się w tak cywilizowany sposób jak wy.

— To nie jest takie proste, jak wygląda. Zwłaszcza odkąd...

— Tak?

— Udaje nam się zachowywać pozory. To wszystko.

Nakryli do stołu, rozłożyli talerze z jajecznicą, grzankami i masłem i usiedli naprzeciwko siebie. Rozmowa na temat nieudanych małżeństw wyraźnie ich przygnębiła. Oboje nadal leczymy emocjonalne rany, pomyślała Maura. Bez względu na to, jak silnie się wzajemnie przyciągamy, to nieodpowiednia pora, by się angażować.

Ale później, gdy szedł z nią na górę, wiedziała, że z pewnością krążą im w głowach te same myśli.

— Tu jest twój pokój — oznajmił, otwierając drzwi do sypialni Katie. Weszła do środka i napotkała uwodzicielski wzrok Britney Spears, spoglądającej z ogromnego plakatu na ścianie. Na półkach stały rzędem lalki w stylu Britney i jej płyty CD. W tym pokoju będą miała koszmary, pomyślała Maura.

— Za tamtymi drzwiami jest osobna łazienka — powiedział Ballard. — W szafce powinna być zapasowa szczoteczka do zębów. I możesz używać szlafroka Katie.

— Nie będzie miała nic przeciwko?

— W tym tygodniu jest z Carmen. Nie dowie się nawet, że tu jesteś.

— Dziękuję, Rick.

Zawahał się, jakby czekał, aż powie coś jeszcze. Jakby czekał na słowa, które zmieniłyby wszystko.

— Mauro... — rzekł w końcu.

— Słucham?

— Zaopiekuję się tobą. Chcę, żebyś to wiedziała. Nie pozwolę, żeby przydarzyło ci się to, co Annie. — Odwrócił się, mówiąc cicho „dobranoc”, zamknął za sobą drzwi.

Zaopiekuję się tobą.

Czyż nie tego właśnie wszyscy chcemy? — pomyślała. Żeby ktoś dbał o nasze bezpieczeństwo. Zapomniała już, jak to jest być pod czyjąś opieką. Nawet będąc żoną Victora, nie czuła nigdy, by ją chronił. Był zbyt zajęty sobą.

Leżała w łóżku i nasłuchiwała zegara tykającego na nocnej szafce, kroków Ballarda na skrzypiącej podłodze w sąsiednim pokoju. Powoli dom pogrążał się w ciszy. Patrzyła, jak na zegarze zmieniają się godziny. Północ. Pierwsza w nocy. A ona nie mogła zasnąć. Jutro będzie wykończona.

Czy on też nie śpi?

Prawie nie знаła tego człowieka, podobnie jak nie znała Victora, gdy za niego wyszła. I jaką to się skończyło katastrofą. Straciła trzy lata życia. Wszystko z powodu chemii. Iskrzenia. Nie ufała swym ocenom, gdy chodziło o mężczyzn. Mężczyzna, z którym najbardziej chcesz się przespać, może okazać się najgorszym wyborem.

Druga w nocy.

Po oknie prześlizgnęły się światła reflektorów samochodu. Na ulicy słychać było

pomruk silnika. Zastygła w napięciu, myśląc: To nic takiego, pewnie sąsiad wrócił do domu. Potem usłyszała kroki na ganku. Wstrzymała oddech. Nagle ciemność rozdarło przeraźliwe wycie. Usiadła raptownie na łóżku.

System alarmowy. Ktoś wdarł się do domu.

Ballard walił pięściami do jej drzwi.

— Mauro? Mauro? — krzyczał.

— Nic mi się nie stało!

— Zamknij drzwi na klucz! Nie wychodź!

— Rick?

— Zostań w pokoju!

Wygramoliła się z łóżka i zaryglowała drzwi. Przykucnęła, zakrywając rękami uszy i nie słysząc nic prócz wycia alarmu. Myślała o Ballardzie zbiegającym po schodach. Wyobrażała sobie dom pełen cieni. Ktoś czaił się na dole. *Gdzie jesteś, Rick?* Słyszała tylko przenikliwy dźwięk syreny. Siedziała w ciemnościach, głucha i ślepa na wszystko, co mogło zbliżyć się do jej drzwi.

Wycie nagle ustało. W ciszy, która zaległa, usłyszała wreszcie swój przyspieszony oddech i gwałtowne bicie serca.

I głosy.

— Chryste! — krzyczał Rick. — Mogłem cię zastrzelić! Co ty sobie wyobrażasz, do cholery?

Odpowiedział mu głos dziewczyny. Urażony, zagniewany.

— Zamknąłeś drzwi na łańcuch! Nie mogłam wejść, żeby wyłączyć alarm!

— Nie wrzeszcz na mnie.

Maura otworzyła drzwi i wyszła na korytarz. Słyszała podniesione, pełne wściekłości głosy. Wyjrzawszy przez poręcz, zobaczyła w dole Ricka. Był w dżinsach, bez koszuli, a za pasem miał zatknietą broń. Córka patrzyła na niego gniewnie.

— Jest druga w nocy, Katie. Jak się tu dostałaś?

— Ktoś mnie podwiózł.

— W środku nocy?

— Przyjechałam po plecak, rozumiesz? Zapomniałam, że potrzebuję go na jutro. Nie chciałam budzić mamy.

— Powiedz mi, kto cię podwiózł.

— Już pojechał. Alarm pewnie go wystraszył.

— Kim on jest?

— Nie chcę jego też wpędzać w kłopoty!

— Kim jest ten chłopak?

— Przestań, tato. Daj spokój.

— Zostań tu, Katie, i porozmawiaj ze mną. Nie idź na górę...

Jej kroki zadudniły na schodach i nagle ucichły. Katie stanęła jak wryta, patrząc na Maurę.

— Wracaj na dół! — wrzasnął Rick.

— Tak, tato — mruknęła Katie, nie spuszczając wzroku z Maury. — Teraz wiem, dlaczego zamknąłeś przede mną drzwi na łańcuch.

— Katie! — Rickowi przerwał nagle dzwonek telefonu. Podniósł słuchawkę. — Halo? Tak, mówi Rick Ballard. Wszystko w porządku. Nie, nie musicie nikogo wysyłać. Córka wróciła do domu i nie zdążyła wyłączyć alarmu...

Katie nadal wpatrywała się w Maurę z nieukrywaną wrogością.

— Więc jesteś jego nową dziewczyną.

— Proszę, nie masz powodów do zdenerwowania — odparła cicho Maura. — Nie jestem jego dziewczyną. Po prostu potrzebowałam miejsca na nocleg.

— Jasne. Tylko czemu u mojego taty?

— Katie, to prawda...

— Nikt w tej rodzinie nie mówi prawdy.

Na dole znów zadzwonił telefon. Rick ponownie podniósł słuchawkę.

— Carmen. Carmen, uspokój się! Katie jest tutaj. Tak, wszystko w porządku. Podwiózł ją jakiś chłopak, bo chciała zabrać plecak...

Dziewczyna rzuciła Maurze ostatnie, jadowite spojrzenie i zeszła po schodach.

— Dzwoni twoja matka — oznajmił Rick.

— Powiesz jej o swojej nowej dziewczynie? Jak możesz tak postępować, tato?

— Musimy o tym pomówić. Przyjmij wreszcie do wiadomości, że twoja mama i ja nie jesteśmy już razem. Wiele się zmieniło.

Maura weszła z powrotem do sypialni i zamknęła drzwi. Kiedy się ubierała, słyszała nadal kłótnię na dole. Głos Ricka był opanowany i stanowczy, a dziewczyna kipiała z wściekłości. Maura przebrała się w kilka chwil. Gdy zeszła na dół, Ballard i jego córka

byli w salonie. Katie siedziała skulona na kanapie jak rozdrażniony jeżozwierz.

— Rick, wyjeżdżam — oznajmiła Maura.

Ballard podniósł się z miejsca.

— Nie możesz.

— Nie ma problemu. Potrzebujesz teraz czasu dla rodziny.

— Nie będziesz bezpieczna w domu.

— Nie wracam do domu. Zatrzymam się w hotelu. Naprawdę, wszystko będzie dobrze.

— Mauro, zaczekaj...

— Ona chce wyjść, jasne? — warknęła Katie. — Więc jej nie zatrzymuj.

— Zadzwoń, jak dotrę do hotelu — obiecała Maura.

Gdy wyjeżdżała z garażu, Rick wyszedł i stał przy podjeździe, obserwując ją. Spojrzeli na siebie przez szybę samochodu. Zrobił krok do przodu, jakby chciał raz jeszcze spróbować ją przekonać, że powinna zostać, wrócić do jego bezpiecznego domu.

W tym momencie z mroku wyłoniła się druga para reflektorów i przy krawężniku zatrzymał się samochód Carmen. Wsiadła z niego z rozwianymi blond włosami, ubrana w nocną koszulę i szlafrok. Matka wyrwana z łóżka przez niesforną nastolatkę. Przeszyła Maurę spojrzeniem, powiedziała kilka słów do Ballarda i weszła do domu. Maura zobaczyła przez okno salonu, jak matka i córka się obejmują.

Ballard stał niezdecydowany na podjeździe. Spojrzał w kierunku domu, a potem na Maurę, jakby ciągnęło go w dwie strony.

Maura podjęła decyzję za niego. Wrzuciła bieg, wcisnęła gaz i odjechała. Zobaczyła w lusterku wstecznym, jak Ballard odwraca się i idzie do domu. Do rodziny. Nawet rozwód, pomyślała, nie może zniszczyć wszystkich więzi, które powstają przez lata małżeństwa. Utrzymują się jeszcze długo po podpisaniu papierów i notarialnych orzeczeń. A najsilniej wiąże ludzi dziecko.

Odetchnęła głęboko. Poczula się nagle oczyszczona z pokusy. Wolna.

Dotrzymując obietnicy danej Ballardowi, nie wróciła do domu. Pojechała na zachód, w kierunku drogi numer 95, która okrążyła szerokim łukiem przedmieścia Bostonu. Zatrzymała się przy pierwszym napotkanym motelu. Pokój, który dostała, przesiąknięty był zapachem papierosów i białego mydła. W łazience zobaczyła sedes z papierową opaską z napisem „zdezynfekowano” i owinięte w folię plastikowe kubki. Przez cienkie

ściany przenikał hałas z pobliskiej autostrady. Nie pamiętała, kiedy przebywała po raz ostatni w tak tanim, kiepskim motelu. Zadzwoiła do Ricka tylko po to, by powiedzieć mu, gdzie jest. Potem wyłączyła komórkę i nakryła się podartą pościelą.

Tej nocy spała mocniej niż przez cały poprzedni tydzień.

Rozdział dziewiętnasty

Nikt mnie nie lubi, wszyscy mnie nienawidzą, myślą, że będę jadła robaki. Robaki, robaki, robaki.

Przestań o tym myśleć!

Mattie zamknęła oczy i zacisnęła zęby, ale prześladowała ją wciąż ta bezsensowna dziecinna piosenka. Snuła jej się po głowie, przywodząc ciągle na myśl te robaki.

Tyle że to nie ja będę je jadła, lecz one mnie.

Och, pomyśl o czymś innym. O jakichś miłych, ładnych rzeczach. O kwiatkach, sukienkach. Białych sukienkach z szyfonem i koralikami. O dniu ślubu. Tak, pomyśl o tym.

Przypomniała sobie, jak siedziała w sali dla panny młodej w kościele metodystów św. Jana, oglądając się w lustrze i myśląc: Dziś jest najpiękniejszy dzień w moim życiu. Wychodzę za człowieka, którego kocham. Pamiętała, jak matka przysłała do sali, by pomóc jej włożyć welon. Jak pochyliła się ku niej i powiedziała z westchnieniem ulgi: Nie sądziłam, że doczekam tego dnia. Dnia, w którym jakiś mężczyzna poślubi w końcu moją córkę.

Teraz, siedem miesięcy później, Mattie wspomniała matki słowa, które nie były szczególnie miłe. Ale tamtego dnia nic nie zakłócało jej szczęścia. Ani poranne mdłości, ani niewygodne wysokie obcasy, ani nawet fakt, że Dwayne wypił na weselu tyle szampana, iż zasnął na łóżku w hotelowym pokoju, zanim wyszła z łazienki. Nic się nie liczyło poza tym, że była panią Purvis i miało się w końcu zacząć jej prawdziwe życie.

A teraz skończy się tutaj, w tej skrzyni, jeśli Dwayne mnie nie ocali.

Zrobi to, prawda? Chce mnie odzyskać?

Och, to było gorsze niż myślenie o zjadających ją robakach. Zmień temat, Mattie!

A jeśli nie chce, żebym wróciła? Jeśli cały czas miał nadzieję, że po prostu odejdę, żeby mógł być z tą kobietą? Jeśli to właśnie on...

Nie, nie Dwayne. Gdyby chciał, żeby umarła, po co zamykałby ją w skrzyni? I utrzymywał przy życiu?

Wciągnęła głęboko powietrze i do oczu napłynęły jej łzy. Chciała żyć. Zrobiłaby wszystko, żeby ocaleć, ale nie wiedziała, jak wydostać się z tej skrzyni. Całymi godzinami rozmyślała, jak to zrobić. Walała pięściami w ściany, kopała nogami w wieko. Zastanawiała się, czy nie rozebrać latarki i nie wykorzystać jej części do zbudowania... ale czego?

Bomby.

Słyszała niemal drwiący śmiech Dwayne'a. Tak, Mattie, jesteś prawdziwy MacGyver.

Więc co mam zrobić?

Robaki...

Znów wpełzły w jej myśli, w jej przyszłość. Wdzierały się pod skórę, pożerając ciało. Czekają w ziemi tuż obok skrzyni, pomyślała. Czekają, aż umrze. Wtedy przypełzną na uczkę. Odwróciła się na bok, cała drżąc

Musi być jakieś wyjście.

Rozdział dwudziesty

Yoshima stał nad zwłokami, trzymając przez rękawiczkę strzykawkę z grubą igłą. Miał przed sobą ciało młodej kobiety, tak wychudłe, że brzuch zapadł się na biodrach jak brezent namiotu. Yoshima naciągnął jej skórę w pachwinie i wbił igłę w żyłę na udzie. Pociągnął tłok i strzykawka zaczęła się wypełniać krwią tak ciemną, że niemal czarną.

Nie podniósł wzroku, gdy Maura weszła do sali, lecz koncentrował się na swojej pracy. Patrzyła w milczeniu, jak wyciąga igłę i rozlewa krew do szklanych próbek, wykazując chłodne opanowanie człowieka, który pobierał już wiele próbek krwi z niezliczonej liczby zwłok. Skoro ja jestem Królową Zmarłych, pomyślała, Yoshima jest z pewnością królem. On rozbiera zwłoki, waży je, znajduje żyły w pachwinach i szyjach, wkłada narządy do słoików z formaliną. A kiedy jest po sekcji, kiedy ja kończę krojenie zwłok, to on bierze igłę i nici i zszywa pocięte ciała.

Yoshima zdjął igłę i wrzucił zużytą strzykawkę do kosza. Potem spojrzął w zamyśleniu na kobietę, której krew przed chwilą pobrał.

— Przywieźli ją dziś rano — powiedział. — Jej chłopak znalazł ją martwą na kanapie, gdy się obudził.

Maura zobaczyła na ramionach dziewczyny ślady ukłuć.

— Bezsensowna śmierć.

— Jak zawsze.

— Kto robi sekcję?

— Doktor Costas. Doktor Bristol jest dziś w sądzie. — Przyciągnął do stołu wózek z narzędziami i zaczął je wykładać. W niezręcznej ciszy brzęk metalu brzmiał boleśnie głośno. Ich rozmowa była jak zwykle rzeczowa, ale dziś Yoshima nie patrzył na Maurę. Zdawał się unikać jej wzroku, nie spoglądał nawet w jej kierunku. Unikał też choćby wzmianki o tym, co wydarzyło się poprzedniego wieczoru na parkingu. Ale nie mogli tej sprawy ignorować. Wisiała w powietrzu, powodując między nimi napięcie.

— O ile wiem, odwiedziła cię wczoraj wieczorem detektyw Rizzoli — powiedziała Maura.

Znieruchomiał, stojąc do niej bokiem, z rękami nad wózkiem.

— Yoshima — kontynuowała. — Przykro mi, jeśli ona sugerowała w jakikolwiek sposób...

— Czy pani wie, doktor Isles — przerwał jej w pół zdania — od jak dawna pracuję w Urzędzie Lekarza Sądowego?

— Wiem, że jesteś tu dłużej niż ktokolwiek z nas.

— Osiemnaście lat. Doktor Tierney zatrudnił mnie, gdy tylko wyszedłem z wojska. Zajmowałem się tam zwłokami. Proszę mi wierzyć, że trudno jest oglądać w kostnicy ciała tylu młodych ludzi. Były to w większości wypadki lub samobójstwa, ale taka to już praca. Młodzi lubią ryzyko. Wdają się w bójki, jeżdżą zbyt szybko. Albo opuszczają ich żony, więc sięgają po broń i strzelają sobie w głowę. Uważałem, że przynajmniej mogę coś dla nich zrobić, traktować ich z szacunkiem należnym żołnierzom. Niektórzy byli jeszcze dziećmi, pozbawionymi prawie zarostu. Właśnie ich młody wiek działał deprymująco, ale jakoś sobie z tym radziłem. Tak jak radzę sobie tutaj, ponieważ to moja praca. Nie pamiętam, żebym kiedykolwiek brał zwolnienie. — Zamilkł na chwilę. — Ale dziś zastanawiałem się, czy tu przyjść.

— Dlaczego?

Odwrócił się i spojrzał na nią.

— Wie pani, jak to jest, gdy po osiemnastu latach pracy człowiek czuje nagle, że jest o coś podejrzewany?

— Przykro mi, że takie odniosłeś wrażenie. Wiem, że Rizzoli potrafi być szorstka...

— Wcale nie. Była bardzo uprzejma, przyjacielska. Tylko z charakteru jej pytań zorientowałem się, o co chodzi. „Jak pracuje się panu z doktor Isles? Dobrze się rozumiecie?” — Yoshima zaśmiał się. — Jak pani sądzi, dlaczego mnie o to pytała?

— Robiła, co do niej należy, to wszystko. O nic cię nie oskarżała.

— Ale tak to odebrałem. — Podeszedł do blatu i zaczął ustawiać rzędem słoje z formaliną, by umieścić w nich próbki tkanek. — Pracujemy razem prawie dwa lata, doktor Isles.

— Tak.

— Chyba nigdy nie miała pani powodów na mnie narzekać.

— Nigdy. Z nikim nie pracuje się lepiej.

Odwrócił się i spojrzał jej w oczy. Zobaczyła w ostrym świetle jarzeniówek, jak

bardzo jego czarne włosy przyprószone są siwizną. Sądziła kiedyś, że jest po trzydziestce. Przy jego łagodnej, gładkiej twarzy i szczupłej sylwetce trudno było określić, ile ma lat. Teraz, widząc zmarszczki wokół oczu Yoshimy, dostrzegła całą prawdę: zbliżał się powoli do wieku średniego. *Podobnie jak ja.*

— Nawet przez jedną chwilę nie pomyślałam, że mógłbyś... — zaczęła.

— Ale teraz musi pani brać to pod uwagę, prawda? Skoro detektyw Rizzoli poruszyła tę sprawę, musi pani rozważyć możliwość, że to ja uszkodziłem pani samochód. Że to ja panią śledzę.

— Nie, Yoshima. Wcale nie. Nie dopuszczam takiej myśli.

Bez przerwy na nią patrzył.

— To nie jest pani szczerą wobec siebie albo wobec mnie. Bo trudno o tym nie myśleć. A póki istnieje choćby cień nieufności, będę budził w pani niepokój. Oboje to czujemy. — Zdjął rękawiczki, odwrócił się i zaczął wypisywać na etykietach nazwisko denatki. Maura widziała napięcie jego ramion i mięśni karku.

— Poradzimy z tym sobie — powiedziała.

— Być może.

— Nie być może. Na pewno. Musimy pracować razem.

— To chyba zależy od pani.

Przyglądała mu się przez chwilę, zastanawiając się, jak przywrócić ich dawne serdeczne stosunki. A może nie były w sumie takie serdeczne, pomyślała. Tylko tak zakładałam, a on przez cały czas ukrywał przede mną swoje uczucia, zresztą ja też to robiłam. Ale z nas para pokerzystów. Co tydzień mamy w prosektorium do czynienia z czyjąś tragedią, ale nigdy nie widziałam jego łez ani on moich. Podchodzimy do śmierci jak robotnicy do swojej pracy w fabryce.

Yoshima skończył naklejać etykiety na słoje i odwróciwszy się, zobaczył, że Maura wciąż za nim stoi.

— Potrzebowała pani czegoś, doktor Isles? — spytał. Jego głos ani wyraz twarzy nie zdradzały, co przed chwilą między nimi zaszło. To był Yoshima, jakiego znała: zawsze pod ręką, chętny do pomocy.

Odpłaciła mu tym samym. Wyjęła z kopert klisze, które przyniosła do sali, i umocowała na podświetlanym ekranie zdjęcia Nikki Wells.

— Mam nadzieję, że pamiętasz ten przypadek — powiedziała, włączając światło. —

To zdarzyło się pięć lat temu. W Fitchburgu.

— Jak nazywała się ofiara?

— Nikki Wells.

Zmarszczył brwi, patrząc na zdjęcia. Natychmiast skupił uwagę na kościach płodu, widocznych na tle miednicy matki.

— To ta kobieta w ciąży? Zamordowana ze swoją siostrą?

— Czyli ją pamiętasz.

— Oba ciała zostały spalone?

— Zgadza się.

— Pamiętam. Sekcję robił doktor Hobart.

— Nigdy go nie spotkałam.

— Nic dziwnego. Pracował u nas jakieś dwa lata przed panią.

— Gdzie jest teraz? Chciałabym z nim porozmawiać.

— To będzie trudne. Nie żyje.

Zmarszczyła brwi.

— Co?

Yoshima pokręcił smętnie głową.

— Doktor Tierney bardzo to przeżył. Czuł się odpowiedzialny za jego śmierć, chociaż nie miał wyboru.

— Co się stało?

— Były pewne... problemy z doktorem Hobartem. Najpierw zgubił kilka preparatów mikroskopowych. Potem zapodziały mu się jakieś narządy i dowiedziała się o tym rodzina denata. Wytoczyli nam proces. Było dużo zamieszania, mnóstwo złej prasy, ale doktor Tierney stanął po jego stronie. Potem z torby z osobistymi rzeczami zmarłego zginęły jakieś lekarstwa i wtedy nie miał już wyboru. Poprosił doktora Hobarta, żeby się zwolnił.

— Co się potem stało?

— Doktor Hobart wrócił do domu i połknął garść tabletek oxycontinu. Znalezione go dopiero po trzech dniach. — Yoshima zamilkł na chwilę. — Nikt nie chciał tutaj robić jego sekcji.

— Kwestionowano jego kompetencje?

— Mógł popełnić parę błędów.

— Poważnych?

— Nie jestem pewien, co pani ma na myśli.

— Zastanawiam się, czy przeoczył to. — Wskazała na zdjęcie rentgenowskie, na jasny odłamek tkwiący w kości łonowej. — Jego raport na temat Nikki Wells nie wyjaśnia, skąd wziął się ten kawałek metalu.

— Na tej kliszy jest ich więcej — zauważył Yoshima. — Widzę tu haczyk od stanika. A to wygląda na zatrzask.

— Tak, ale spójrz na boczne ujęcie. Ten odłamek metalu jest wewnątrz kości. Nie na jej tle. Czy doktor Hobart wspominał ci coś na ten temat?

— Nie przypominam sobie. Nie ma tego w raporcie?

— Nie.

— W takim razie pewnie uznał to za mało istotne.

Co oznaczało, że prawdopodobnie nie wspomniano o tym podczas procesu Amalthei, pomyślała Maura. Yoshima wrócił do swojej pracy, rozstawiając metalowe misy i wiadra i porządkując papiery na podkładce z klipsem. Choć ciało martwej dziewczyny leżało w odległości zaledwie dwóch metrów, Maura nie zwracała na nie uwagi, lecz wpatrywała się w zdjęcie rentgenowskie Nikki Wells i jej płodu, których kości ogień zamienił w zwęgloną masę.

Dlaczego spaliłaś zwłoki? W jakim celu? Czy Amalthea odczuwała przyjemność, patrząc, jak ogarniają je płomienie? A może miała nadzieję, że ogień zatrze jakieś ślady?

Maura przeniosła wzrok z łukowatego sklepienia czaszki płodu na jasny odłamek metalu, tkwiący w kości łonowej Nikki. Odłamek cienki jak...

Ostrze noża. Ułamany fragment ostrza.

Ale Nikki zginęła od ciosu w głowę. Po co przebijać nożem ofiarę, której roztrzaskało się głowę łomem? Wpatrywała się w ten odłamek i pojawiwszy nagle jego znaczenie, poczuła ciarki na plecach.

Podeszła do telefonu i wcisnęła klawisz interkomu.

— Louise?

— Słucham, doktor Isles.

— Połącz mnie z doktorem Daljeetem Singhiem. Z Urzędu Lekarza Sądowego w Auguście, w stanie Maine.

— Proszę zaczekać. — Po chwili oznajmiła: — Doktor Singh jest na linii.

— Daljeet? — powiedziała Maura.

— Nie, nie zapomniałem, że jestem ci winien kolację! — odparł.

— Być może to ja cię zaproszę, jeśli odpowiesz mi na jedno pytanie.

— O co chodzi?

— Zidentyfikowałeś już te szczątki, które wykopaliśmy w Fox Harbor?

— Nie. To może trochę potrwać. Nie odpowiadają opisowi żadnej z osób zaginionych w okręgach Waldo i Hancock. Albo te kości są bardzo stare, albo ci ludzie nie pochodzili z tej okolicy.

— Sprawdzales już w KCIK? — spytała. Krajowe Centrum Informacji Kryminalistycznej, prowadzone przez FBI, dysponowało bazą danych na temat osób zaginionych na terenie całego kraju.

— Owszem, ale ponieważ nie potrafię ograniczyć przedziału czasowego do konkretnej dekady, dostałem wiele stron nazwisk. Wszystko, co dotyczy obszaru Nowej Anglii.

— Może ułatwię ci poszukiwania.

— Jak?

— Zajmij się osobami zaginionymi w latach tysiąc dziewięćset pięćdziesiąt pięć — tysiąc dziewięćset sześćdziesiąt pięć.

— Mogę spytać, dlaczego sugerujesz akurat tę dekadę?

Ponieważ wtedy moja matka mieszkała w Fox Harbor, pomyślała Maura. *Moja matka, która zabijała ludzi.*

Powiedziała jednak tylko:

— Mam pewną hipotezę.

— Jesteś bardzo tajemnicza.

— Wszystko ci wyjaśnię, kiedy się spotkamy.

* * *

Tym razem Rizzoli pozwoliła Maurze prowadzić, ale tylko dlatego, że jechały jej lexusem, kierując się na północ, ku autostradzie do Maine. W nocy nadciągnęła z zachodu burza i Maurę obudziły bębniące o dach krople deszczu. Zaparzyła kawę, przeczytała gazetę — robiła to wszystko, co każdego ranka. Jak szybko człowiek

powraca do rutyny, nawet w obliczu strachu. Ostatniej nocy nie spała już w motelu, lecz wróciła do domu. Zaryglowała wszystkie drzwi i zostawiła zapalone światło na ganku. Była to marna ochrona przed niebezpieczeństwami nocy, ale przespała burzę i rano czuła, że znów panuje nad swoim życiem.

Nie zamierzam już się bać, pomyślała. Nie dam się wypędzić z własnego domu.

Teraz, gdy jechały z Rizzoli do Maine, gdzie wisiały jeszcze ciemniejsze chmury burzowe, gotowa była walczyć, pokrzyżować plany swemu prześladowcy. *Kimkolwiek jesteś, wysłedzę cię i dopadnę. Ja też potrafię być myśliwym.*

* * *

Była druga po południu, gdy dotarły do budynku Urzędu Lekarza Sądowego stanu Maine w Auguście. Doktor Daljeet Singh spotkał ich przy recepcji i poprowadził schodami w dół do prosektorium, gdzie stały na blacie dwa pudła kości.

— Nie traktowałem tej sprawy priorytetowo — przyznał, rozkładając folię, która opadła z cichym poszumem na stalowy blat, jak czasza spadochronu. — Te kości leżały pewnie zakopane przez kilkadziesiąt lat. Kilka dni więcej nie robi różnicy.

— Dostałeś nowe dane z KCIK? — spytała Maura.

— Dziś rano. Wydrukowałem listę nazwisk. Jest tam na biurku.

— Zdjęcia uzębienia?

— Zapisałem pliki, które przysłali mi e-mailem. Nie miałem jeszcze okazji ich przejrzeć. Pomyślałem, że zaczekam, aż przyjedziecie. — Otworzył pierwsze kartonowe pudło i zaczął wyjmować kości, kładąc je ostrożnie na foliowej płachcie. Wyciągnął rozbitą czaszkę, zabrudzoną ziemią miednicę, kości długie, masywny kręgosłup i kilka żeber, które dzwoniły o siebie jak kawałki bambusa na wietrze. Poza tym w prosektorium Daljeeta — równie surowym i jasnym jak to, w którym Maura pracowała w Bostonie — panowała cisza. Dobrzy patolodzy są z natury perfekcjonistami i Daljeet ujawniał teraz ten aspekt swej osobowości. Zdawał się tańczyć wokół stołu, poruszając się niemal z kobiecą gracją, gdy układał kości w ich anatomicznym porządku.

— Który to szkielet? — spytała Rizzoli.

— Mężczyzny — odparł. — Długość kości udowej wskazuje, że miał od stu siedemdziesięciu pięciu do stu osiemdziesięciu centymetrów wzrostu. Wyraźne pęknięcie

czaszki przy prawej kości skroniowej. I dawne, dobrze zagojone złamanie Collesa. — Spojrzał na skonsternowaną Rizzoli. — Czyli złamanie nadgarstka.

— Po co wy, lekarze, to robicie?

— Co?

— Wymyślacie takie nazwy. Dlaczego nie mówicie po prostu: złamany nadgarstek?

Daljeet się uśmiechnął.

— Na niektóre pytania nie ma łatwych odpowiedzi, detektyw Rizzoli.

Rizzoli spojrzała na kości.

— Co jeszcze o nim wiemy?

— Nie ma widocznych zmian osteoporotycznych ani artretycznych w kręgosłupie. To był młody mężczyzna białej rasy. Widać srebrne amalgamatowe wypełnienia zębów, numer osiemnaście i dziewiętnaście.

Rizzoli wskazała na wgniecioną kość skroniową.

— Zginął z powodu tego uderzenia?

— To był niewątpliwie śmiertelny cios. — Odwrócił się i spojrzał na drugie pudło. — A teraz szkielet kobiety. Znaleziono go dwadzieścia metrów dalej.

Rozpostarł folię na drugim stole. Razem z Maurą ułożyli w odpowiednim porządku kolejne szczątki, krzątając się jak para kelnerów, nakrywających do obiadu. Kości stuknęły o blat. Oblepiona ziemią miednica. Druga czaszka, tym razem mniejsza, z cieńszymi krawędziami oczodołów niż u mężczyzny. Kości nóg, ramion, mostek. Wiązka żeber i dwa papierowe worki z zebranymi luzem kośćmi nadgarstka i stępu.

— Oto nasza NN — powiedział Daljeet, przyglądając się ułożonemu szkieletowi. — Nie mogę podać tu przyczyny śmierci, bo nie ma się na czym oprzeć. Wygląda na młodą kobietę, również białej rasy. Miała dwadzieścia do trzydziestu pięciu lat, około stu sześćdziesięciu pięciu centymetrów wzrostu, żadnych dawnych złamań. Uzębienie w bardzo dobrym stanie. Niewielki ubytek na jednym z kłów i złota koronka na czwórce.

Maura spojrzała na podświetlany ekran, gdzie wisiały dwie klisze.

— Czy to zdjęcia ich uzębienia?

— Mężczyzny z lewej, kobiety z prawej. — Daljeet podszedł do zlewu, by umyć ręce, i urwał papierowy ręcznik. — To nasza niezidentyfikowana para.

Rizzoli spojrzała na listę, którą Daljeet dostał rano pocztą elektroniczną z KCIK.

— Chryste. Tu są dziesiątki nazwisk. Tyle zaginionych osób.

— I to tylko na obszarze Nowej Anglii. Ludzie rasy białej w wieku od dwudziestu do czterdziestu pięciu lat.

— Wszystkie te zgłoszenia pochodzą z lat pięćdziesiątych i sześćdziesiątych.

— Taki przedział czasu podała Maura. — Daljeet podszedł do swego przenośnego komputera. — No dobrze, zobaczmy zdjęcia, które przysłali. — Otworzył plik, który dostał z KCIK. Na monitorze pojawił się szereg ikon, każda oznaczona numerem sprawy. Kliknął pierwszą z nich i ekran wypełniło zdjęcie rentgenowskie. Zakrzywiona linia zębów, które wyglądały jak wywracające się białe kostki domina.

— To z pewnością żadna z naszych ofiar — rzekł Daljeet. — Proszę spojrzeć na te zęby! To koszmar dla ortodonty.

— Albo kopalnia złota — skwitowała Rizzoli.

Daljeet zamknął ten obraz i kliknął następną ikonę. Pojawiło się kolejne zdjęcie, tym razem z wyraźną szczeliną między siekaczami.

— Nie sędzę, żeby to było to — odpowiedział.

Maura spojrzała znów na stół. Na kości nieznaney kobiety. Wpatrywała się w czaszkę z jej subtelną linią czoła i delikatnym łukiem jarzmowym. Ta kobieta musiała mieć szlachetne rysy twarzy.

— No, proszę — usłyszała głos Daljeeta. — Chyba rozpoznaję te zęby.

Spojrzała na ekran komputera i zobaczyła zdjęcie rentgenowskie dolnych zębów trzonowych z jasnymi plombami.

Daljeet wstał z krzesła i podszedł do stołu, na którym leżał szkielet mężczyzny. Wziął do ręki żuchwę i wrócił do komputera, by porównać ją ze zdjęciem.

— Amalgamatowe wypełnienie numeru osiemnaście i dziewiętnaście — zauważył. — Tak. To się zgadza...

— Jakie jest nazwisko na tym zdjęciu? — spytała Rizzoli.

— Robert Sadler.

— Sadler... Sadler... — Rizzoli przekartkowała wydruki komputerowe. — W porządku. Mam. Sadler, Robert. Mężczyzna rasy białej, dwadzieścia dziewięć lat. Sto siedemdziesiąt siedem centymetrów wzrostu, brązowe włosy, brązowe oczy. — Spojrzała na Daljeeta, który skinął głową.

— To pasuje do naszych szczątków.

Rizzoli czytała dalej.

— Był przedsiębiorcą budowlanym. Widziano go ostatnio w rodzinnym miasteczku Kennebunkport w stanie Maine. Zaginął trzeciego lipca tysiąc dziewięćset sześćdziesiątego roku razem z... — Przerwała, spoglądając na stół, na którym leżały rozłożone kości kobiety. — Razem z żoną.

— Jak się nazywała? — spytała Maura.

— Karen. Karen Sadler. Mam tutaj numer sprawy.

— Proszę mi go dać — powiedział Daljeet, odwracając się ponownie do komputera. — Sprawdźmy, czy jest tu jej zdjęcie. — Maura stała tuż za nim, zaglądając mu przez ramię, gdy kliknął odpowiednią ikonę i na ekranie pojawił się obraz. Było to zdjęcie, które wykonano, gdy Karen Sadler jeszcze żyła i zdenerwowana perspektywą nieuchronnego borowania siedziała na fotelu u dentysty. Nie wyobrażała sobie, przygryzając kartonowe skrzydełko, aby przytrzymać nienaświetloną kliszę, że zrobione tego dnia zdjęcie będzie jaśniało po latach na ekranie komputera patologa.

Maura zobaczyła rząd zębów trzonowych i jasny metaliczny blask koronki. Podeszła do podświetlanego ekranu, gdzie Daljeet powiesił zdjęcie uzębienia niezidentyfikowanej kobiety.

— To ona — oznajmiła cicho. — To kości Karen Sadler.

— A więc zidentyfikowaliśmy oboje — rzekł Daljeet. — Męża i żonę.

Za ich plecami Rizzoli przeglądała wydruki, szukając zgłoszenia zaginięcia Karen Sadler.

— W porządku, jest. Kobieta rasy białej, dwadzieścia pięć lat, jasne włosy, niebieskie oczy... — Nagle zamilkła. — Coś tu się nie zgadza. Lepiej sprawdźcie jeszcze raz te zdjęcia.

— Dlaczego?

— Sprawdźcie je.

Maura przyjrzała się kliszy, a potem obrazowi na ekranie komputera.

— Pasują do siebie, Jane. O co chodzi?

— Brakuje jeszcze jednego szkieletu.

— Jakiego szkieletu?

— Płodu. — Rizzoli patrzyła na nią z wyrazem zdumienia na twarzy. — Karen Sadler była w ósmym miesiącu ciąży.

Zaległa cisza.

- Nie znaleźliśmy innych szczątków — wykrztusił w końcu Daljeet.
- Mogliście je przeoczyć — powiedziała Rizzoli.
- Przesiewaliśmy ziemię. Dokładnie przekopaliśmy miejsce pochówku.
- Kości mogły rozwłóczyć zwierzęta.
- Tak, to zawsze możliwe. Ale to są szczątki Karen Sadler.

Maura podeszła do stołu i przyglądała się leżącej tam miednicy, myśląc o kościach innej kobiety, które widziała na zdjęciu rentgenowskim. *Nikki Wells też była w ciąży.*

Ustawiła nad stołem lupę i włączywszy światło, skierowała ją na gałązkę kości łonowej. Miejsce spojenia dwóch gałązek, połączonych skórną chrząstką, oblepione było czerwonałą ziemią.

- Daljeet, mogę prosić o mokry wacik albo gazę? Coś, żeby zetrzeć ten brud.

Napełnił metalowy basen wodą, otworzył paczkę wacików i położył je na tacy obok niej.

- Czego szukasz?

Nie odpowiedziała. Koncentrowała uwagę na zmywaniu warstwy ziemi i odsłanianiu tego, co było pod spodem. Czowała przyspieszone bicie serca. Gdy ostatnia grudka błota nagle odpadła, spojrzała przez lupę i wyprostowawszy się, popatrzyła na Daljeeta.

- Co tam widać? — spytał.

- Zobacz. Tuż na krawędzi, tam gdzie łączą się kości.

Pochylił się nad lupą.

- Masz na myśli to małe nacięcie? O tym mówisz?

- Tak.

- Jest dość niewielkie.

— Ale wyraźne. — Wciągnęła głęboko powietrze. — Przywiozłam zdjęcia rentgenowskie. Mam je w samochodzie. Chyba powinieneś je obejrzeć.

Deszcz smagał jej parasol, gdy szła na parking. Otwierając zdalnie drzwiczki przyciskiem w breloczku, spojrzała mimo woli na rysy na lakierze. Ślady pazurów, które miały ją zastraszyć. *A tylko mnie rozsierdziły. Zachęciły do walki.* Wzięła z tylnego siedzenia kopertę i ukrytą pod płaszczem zaniósła do budynku.

Daljeet patrzył zdumiony, gdy przypinała do świetlnego ekranu klisze ze zdjęciami Nikki Wells.

- Co chcesz mi pokazać?

— To zabójstwo sprzed pięciu lat w Fitchburgu, w stanie Massachusetts. Ofierze rozbito czaszkę, a potem spalono zwłoki.

Daljeet zmarszczył brwi, patrząc na zdjęcie.

— Kobieta w ciąży. Płód prawie dojrzały.

— Moją uwagę zwróciło to. — Wskazała na jasny odłamek, tkwiący w spojeniu kości łonowej Nikki Wells. — Myślę, że to ułamane ostrze noża.

— Ale Nikki Wells zginęła od uderzenia żelaznym łomem — zauważyła Rizzoli. — Rozbito jej czaszkę.

— Zgadza się — przyznała Maura.

— Więc po co użyto by noża?

Maura wskazała na kliszę. Na kości płodu, widoczne na tle miednicy Nikki Wells.

— Z tego powodu. Oto czego naprawdę chciał zabójca.

Daljeet przez chwilę milczał, wiedziała jednak, że rozumie jej tok myślenia. Odwrócił się do szczątków Karen Sadler i wziął do ręki miednicę.

— Nacięcie wzdłuż brzucha — powiedział. — Ostrze trafiło w kość w miejscu, gdzie widać ten ślad...

Maura pomyślała o nożu Amalthei, tnącym brzuch młodej kobiety ruchem tak zdecydowanym, że ostrze zatrzymało się dopiero na kości. Pomyślała o swoim zawodzie, w którym skalpele odgrywały tak dużą rolę, i o dniach spędzanych w prosektorium na rozcinaniu skóry i narządów. *Obie z matką robiłyśmy to samo. Ale ja kroiliłam zwłoki, a ona żywe ciała.*

— Dlatego przy szkielecie Karen Sadler nie znaleźliście kości płodu — wyjaśniła Maura.

— A co z tą drugą ofiarą? — Wskazał na zdjęcia Nikki Wells. — Płodu nie zabrano. Spłonął ze zwłokami matki. Po co robić nacięcie, żeby wydobyć płód, a potem go zabijać?

— Ponieważ dziecko Nikki Wells miało wadę wrodzoną. Zespół ABS.

— Co to takiego? — spytała Rizzoli.

— W worku owodniowym unosi się czasem fragment błony — wyjaśniła Maura. — Jeśli okręci się wokół kończyny płodu, może ograniczać przepływ krwi i spowodować nawet jej zanik. Wadę wykryto w drugim trymestrze ciąży Nikki. — Wskazała na kliszę. — Widać tu, że płód nie ma prawej nogi poniżej kolana.

— To nie jest śmiertelna wada?

— Nie, dziecko by przeżyło. Ale zabójczyni musiała natychmiast ten defekt zauważyć. Zobaczyła, że nie jest to zdrowe niemowlę. Myślę, że dlatego go nie zabrała.

— Maura spojrzała wymownie na Rizzoli, nie mogąc pominąć faktu, że ona też jest w ciąży. Świadczył o tym jej wydatny brzuch i zarumienione policzki. — Chciała doskonałego dziecka.

— Ale dziecko Karen Sadler też nie mogło być doskonałe — odparła Rizzoli. — Była dopiero w ósmym miesiącu. Płuca płodu nie były jeszcze dojrzałe, prawda? Potrzebowałyby inkubatora, aby przeżyć.

Maura spojrzała na kości Karen Sadler. Pomyślała o miejscu, w którym je znaleziono. A potem o szkielecie jej męża, pogrzebanym dwadzieścia metrów dalej. W oddzielnym grobie. Po co kopano dwie osobne dziury? Dlaczego nie pochowano ich razem?

Nagle zaschło jej w gardle. Uświadomiła sobie coś, co wprawiło ją w oszołomienie.

Nie zostali pochowani w tym samym czasie.

Rozdział dwudziesty pierwszy

Domek kulił się pod ciężkimi od deszczu gałęziami drzew, jakby chcąc uniknąć ich dotyku. Kiedy Maura ujrzała go po raz pierwszy przed tygodniem, zrobił na niej jedynie przygnębiające wrażenie. Przypominał ciemne pudełko, które zgniatał powoli napierający las. Teraz, gdy przyglądała mu się z samochodu, okna zdawały się patrzeć na nią złowrogo.

— To dom, w którym wychowała się Amalthea — oznajmiła Maura. — Anna mogła się tego łatwo dowiedzieć. Wystarczyło sprawdzić w archiwum szkoły albo poszukać pod nazwiskiem Lank w starej książce telefonicznej. — Spojrzała na Rizzoli. — Właścicielka, panna Clausen, powiedziała mi, że Annę interesowało wynajęcie właśnie tego domu.

— Musiała wiedzieć, że mieszkała tu kiedyś Amalthea.

I podobnie jak ja chciała koniecznie dowiedzieć się więcej na temat naszej matki, pomyślała Maura. Zrozumieć kobietę, która wydała nas na świat, a potem porzuciła.

Deszcz stukał o dach samochodu i spływał srebrnymi strużkami po szybie.

Rizzoli zapięła płaszcz przeciwdeszczowy i naciągnęła na głowę kaptur.

— No to wejdźmy i rozejrzyjmy się.

Pobiegły w strugach deszczu i wspięły się po schodkach na ganek, otrząsając płaszcze z wody. Maura wyjęła klucz, który dostała właśnie w biurze od panny Clausen, i włożyła go w zamek. Początkowo nie mogła go przekręcić, jakby dom bronił jej wstępu do środka. Gdy wreszcie zdołała otworzyć drzwi, zaskrzypiały ostrzegawczo, do końca stawiając opór.

Wnętrze było jeszcze bardziej ponure i klaustrofobiczne, niż je pamiętała. Powietrze przesycił zapach pleśni, jakby wilgoć z zewnątrz przeniknęła przez ściany na zasłony i meble. Światło wpadające przez okno pograżało salon w posępnych odcieniach szarości. Jesteśmy tu nieproszonymi gośćmi, pomyślała. Ten dom nie chce, żebyśmy poznały jego tajemnice.

Dotknęła ramienia Rizzoli.

— Proszę spojrzeć — powiedziała, wskazując na dwa rygle i mosiężne łańcuchy.

— Nowe zamki.

— Założyła je Anna. Zastanawiające, prawda? Przed kim się zamykała?

— Jeśli nie przed Charlesem Cassellem. — Rizzoli podeszła do okna w salonie i spojrzała na zasłonę opadających z deszczem liści. — Cóż, to bardzo odludne miejsce. Brak sąsiadów. Tylko las. Też założyłabym dodatkowe zamki. — Zaśmiała się niepewnie. — Nigdy nie lubiłam lasu. Kiedyś, w szkole, zrobiliśmy sobie piknik. Pojechaliśmy do New Hampshire i rozłożyliśmy śpiwory wokół ogniska. Całą noc nie zmrużyłam oka. Zastanawiałam się bez przerwy, czy coś nie czai się między drzewami albo w krzakach.

— Chodźmy — zaproponowała Maura. — Pokażę pani resztę domu.

Zaprowadziła ją do kuchni i włączyła światło. Jarzeniówki zapaliły się ze złowieszczym szumem. W jaskrawym świetle widać było każde pęknięcie, każdą wypukłość starego linoleum. Patrzyła na poślisk, zużyta czarno-biała szachownica i myślała, ile z latami musiało zostać na tej podłodze mikroskopijnych śladów po rozlanym mleku i błocie z butów. Co jeszcze wsiąkło w te szczeliny i bruzdy? Jakie straszliwe wydarzenia pozostawiły swoje piętno?

— To też są całkiem nowe zamki — oznajmiła Rizzoli, stając przy drzwiach, wychodzących na tyły domu.

Maura podeszła do drzwi od piwnicy.

— Proszę spojrzeć tutaj.

— Jeszcze jeden rygiel?

— Ale widzi pani, jaki zaśniedziały? Nie został założony teraz. Jest tu od dawna. Panna Clausen twierdzi, że był już na drzwiach, gdy kupiła tę posiadłość na aukcji dwadzieścia osiem lat temu. I powiem pani coś dziwnego.

— Co?

— Te drzwi prowadzą tylko do piwnicy. — Spojrzała na Rizzoli. — To ślepy korytarz.

— Po co ktoś miałby je zamykać?

— To mnie właśnie zastanawia.

Rizzoli otworzyła drzwi i z ciemności powiało zapachem wilgotnej ziemi.

— O Boże — mruknęła. — Nie cierpię schodzić do piwnic.

— Tuż nad pani głową jest sznurek od lampy.

Rizzoli pociągnęła za niego. Anemiczne światło żarówki oświetliło wąskie schody. W dole panował półmrok.

— Jest pani pewna, że nie ma drugiego wejścia? — spytała, zaglądając w dół. — Przez luk węglowy albo coś takiego?

— Obeszłam wokół całego domu. Nie widziałam żadnych zewnętrznych drzwi do piwnicy.

— Schodziła już tam pani?

— Nie było na razie potrzeby. — *Do dzisiaj.*

— W porządku. — Rizzoli wyjęła z kieszeni miniaturową latarkę i wzięła głęboki oddech. — Chyba powinniśmy tam zajrzeć.

Żarówka kołysała się nad ich głowami, rzucając cienie, gdy schodziły po skrzypiących schodach. Rizzoli poruszała się powoli, jakby sprawdzając każdy stopień, zanim na nim stanęła. Widząc, że jest czujna i przezorna jak nigdy dotąd, Maura także zachowywała ostrożność. Gdy dotarły do końca schodów, drzwi do kuchni wydawały się tak wysoko, jakby w innym wymiarze.

Żarówka u podnóża schodów była przepalona. Rizzoli omiotła światłem latarki podłogę z ubitej ziemi, wilgotną od deszczu. Zobaczyły stertę puszek po farbie i zwinięty dywan pod jedną ze ścian. W kącie stała skrzynia wypełniona szczapami drewna do kominka w salonie. Nie było tam nic nadzwyczajnego, co uzasadniałoby grozę, jaką Maura odczuwała u góry schodów.

— Miała pani rację — rzekła Rizzoli. — Nie ma stąd chyba innego wyjścia.

— Tylko przez drzwi od kuchni.

— Co oznacza, że ten rygiel założono tu bez sensu. Chyba że... — Snop światła zatrzymał się nagle na przeciwległej ścianie.

— Co to jest?

Rizzoli przeszła przez piwnicę, wpatrując się w coś.

— Skąd to się tu wzięło? Do czego mogło służyć?

Maura podeszła bliżej i poczuła ciarki na plecach, zobaczywszy, co Rizzoli oświetla latarką. Był to żelazny uchwyt, tkwiący w jednej z kamiennych płyt. Rizzoli zastanawiała się, do czego mógł być potrzebny. Maura cofnęła się z odrazą, uzmysławiając sobie odpowiedź na to pytanie.

To nie piwnica, tylko loch.

Rizzoli poderwała latarkę ku górze.

— Ktoś jest w domu — szepnęła.

Poprzez łomot własnego serca Maura usłyszała nad sobą skrzypienie podłogi. Ciężkie kroki kogoś wchodzącego do kuchni. W drzwiach pojawiła się czyjaś sylwetka i snop światła. Było tak ostre, że musiała odwrócić głowę, bo ją oślepiało.

— Doktor Isles? — zawołał męski głos.

Maura zmrużyła oczy przed światłem.

— Nie widzę pana.

— Detektyw Yates. Jest już też ekipa dochodzeniowa. Oprowadzi nas pani po domu, zanim zaczniemy?

Maura wypuściła z płuc powietrze.

— Już idziemy na górę.

Gdy Maura i Rizzoli wyłoniły się z piwnicy, zastały w kuchni czterech mężczyzn. Oprócz detektywów Corso i Yatesa ze stanu Maine, których Maura poznała tydzień wcześniej, na polanie w lesie, było jeszcze dwóch techników z ekipy dochodzeniowej. Przedstawili się po prostu jako Pete i Gary. Wszyscy wymienili uściski dłoni.

— Więc szukamy skarbów? — spytał Yates.

— Bez gwarancji, że cokolwiek znajdziemy — odparła Maura.

Obaj technicy rozglądali się po kuchni i badali podłogę.

— To linoleum jest mocno zużyte — zauważył Pete. — Jaki przedział czasu nas interesuje?

— Sadlerowie zaginęli czterdzieści pięć lat temu. Podejrzana musiała tu jeszcze wtedy mieszkać ze swoim kuzynem. Gdy wyjechali, dom przez wiele lat stał opuszczony, dopóki nie sprzedano go na aukcji.

— Czterdzieści pięć lat? Tak, to linoleum może tyle mieć.

— Wiem, że dywan w salonie jest nowszy, ma dopiero około dwudziestu lat — oznajmiła Maura. — Musielibyśmy go podnieść, żeby sprawdzić podłogę.

— Nie stosowaliśmy jeszcze tej techniki na niczym, co miało więcej niż piętnaście lat. To byłby nowy rekord. — Pete spojrzął na okno w kuchni. — Ściemni się najwcześniej za dwie godziny.

— Zacznijmy w piwnicy — zaproponowała Maura. — Tam jest wystarczająco

ciemno.

Wszyscy zaczęli przynosić z furgonetki sprzęt: kamery wideo, aparaty, statywy, pudła z odzieżą ochronną, pojemnikami z aerozolem i wodą destylowaną, przenośną lodówkę z butelkami chemikaliów, elektryczne kable i latarki. Znieśli to wszystko po wąskich schodkach do piwnicy, w której nagle zrobiło się ciasno, gdy znalazło się tam sześć osób i cały ekwipunek. Zaledwie pół godziny wcześniej Maura oglądała to ponure miejsce z niepokojem. Teraz, gdy widziała tam mężczyzn, ustawiających fachowo statywy i rozwijających kable elektryczne, piwnica przestała ją przerażać. To tylko mokre kamienie i ubita ziemia, pomyślała. Nie ma tu żadnych duchów.

— Nie wiem, czy nam się uda — powiedział Pete, przekręcając daszkiem do tyłu swoją czapkę baseballową. — Jest tu ubita ziemia. Z dużą zawartością żelaza. Może świecić wszędzie. Trudno to będzie zinterpretować.

— Bardziej interesują mnie ściany — oznajmiła Maura. — Smugi, plamy. — Wskazała na granitowy blok z żelaznym uchwytem. — Zacznijmy od tego miejsca.

— Musimy najpierw sfotografować punkty odniesienia. Ustawię statyw. Detektywie Corso, może pan przyłożyć miarękę do tamtej ściany? Jest odblaskowa. Według niej będziemy się orientować.

Maura spojrzała na Rizzoli.

— Powinna pani pójść na górę, Jane. Będą mieszać luminol. Lepiej się nie narażać.

— Nie sądziłam, że jest aż tak toksyczny.

— Nie radzę ryzykować. Jest pani w ciąży.

Rizzoli westchnęła ciężko.

— W porządku. — Ruszyła powoli po schodach. — Ale nie mogę odżalować tego pokazu światła. — Drzwi piwnicy zamknęły się za nią.

— Chryste, czy ona nie powinna już być na urlopie macierzyńskim? — zdziwił się Yates.

— Zostało jej jeszcze sześć tygodni — powiedziała Maura.

Jeden z techników się roześmiał.

— Jak ta policjantka z *Fargo*, co? Jak ścigać przestępcę z takim brzuchem?

Rizzoli krzyknęła przez zamknięte drzwi do piwnicy:

— Hej, mam wielki brzuch, ale nie jestem głucha!

— W dodatku jest uzbrojona — zauważyła Maura.

— Możemy zaczynać? — spytał detektyw Corso.

— W tamtym pudle są maski i okulary — oznajmił Pete. — Powinniście wszyscy je założyć.

Corso wręczył Maurze maskę i gogle. Założyła je i przyglądała się, jak Gary odmierza chemikalia.

— Zastosujemy preparat Webera — tłumaczył. — Jest trochę bardziej czuły i chyba bezpieczniejszy w użyciu. Ta substancja podrażnia skórę i oczy.

— Miesza pan różne składniki? — zapytała Maura. Jej głos wydobywający się spod maski miał przytłumione brzmienie.

— Tak. Przechowujemy je w lodówce w laboratorium. Potem mieszamy trzy składniki na miejscu, razem z wodą destylowaną. — Zamknął słoik i potrząsnął nim energicznie. — Czy ktoś nosi szkła kontaktowe?

— Ja — odezwał się Yates.

— Lepiej niech pan stąd wyjdzie. Nawet w goglach będzie pana razić światło.

— Nie, chcę popatrzeć.

— To proszę się cofnąć, kiedy zaczniemy spryskiwać. — Jeszcze raz wstrząsnął słoikiem, po czym przelał jego zawartość do pojemnika z rozpylaczem. — Dobra, jesteśmy gotowi. Najpierw zdjęcie. Może pan odsunąć się od ściany?

Corso odszedł na bok i Pete wyzwolił przyciskiem migawkę w aparacie. Błysnął flesz, utrwalając na kliszy wygląd ściany, którą mieli za chwilę spryskać luminolem.

— Wyłączyć już światło? — zapytała Maura.

— Niech Gary najpierw się ustawi. Kiedy zrobi się ciemno, będziemy się tu o siebie potykać. Niech każdy znajdzie sobie miejsce i tam zostanie, dobrze? Tylko Gary będzie się poruszał.

Gary podszedł do ściany, trzymając pojemnik z luminolem. W goglach i masce wyglądał jak ekspert od zwalczania szkodników, szykujący się do rozprawy z karaluchami.

— Proszę zgasić światło, doktor Isles.

Maura sięgnęła do stojącego obok reflektora i wyłączyła go, pograżając piwnicę w całkowitych ciemnościach.

— Zaczynaj, Gary.

Usłyszeli syk rozpylacza i w mroku zalśniły nagle, jak gwiazdy na nocnym niebie,

zielonkawoblękitne plamki. Potem pojawił się mglisty krąg, unoszący się jakby w powietrzu. Żelazny uchwyt.

— To wcale nie musi być krew — wyjaśnił Pete. — Luminol reaguje na wiele substancji. Rdzę, metale, środki wybielające. Ten żelazny uchwyt prawdopodobnie i tak by świecił, bez względu na to, czy jest na nim krew, czy nie. Gary, możesz się przesunąć, żebym zrobił zdjęcie? Daję czas naświetlania czterdzieści sekund, więc przez chwilę się nie ruszaj. — Kiedy migawka w końcu kliknęła, powiedział: — Poproszę światło, doktor Isles.

Maura wymacała w ciemnościach przełącznik reflektora. Kiedy rozbłysło światło, zobaczyła znów kamienną ścianę.

— Co pan sądzi? — spytał Corso.

Pete wzruszył ramionami.

— Nic szczególnego. Będzie tu wiele fałszywych tropów. Wszystkie te kamienie są zabrudzone ziemią. Sprawdzimy pozostałe ściany, ale jeśli nie pojawi się jakiś odcisk ręki albo duża plama, trudno będzie na takim podłożu wykryć ślady krwi.

Maura zauważyła, że Corso spogląda na zegarek. Dwaj detektywi z Maine mieli za sobą długą podróż i pewnie zaczynał się zastanawiać, czy nie była to strata czasu.

— Kontynuujmy — powiedziała.

Pete przesunął statyw i skierował obiektyw aparatu na kolejną ścianę. Błysnął flesz, a Pete rzucił krótko:

— Światło.

Piwnica znów pogrążyła się w ciemnościach.

Usłyszeli syk rozpylacza. W mroku zamigotały jak świetliki kolejne błękitnozielone plamki, gdy luminol zareagował z tlenkami metali w kamieniu, tworząc fosforyzujące punkty. Gary zatoczył jeszcze raz łuk rozpylaczem po murze i pojawiły się nowe gwiazdki, przesłaniane jego poruszającą się sylwetką. Nagle usłyszeli głośny stuk i cień na ścianie się zachwiał.

— Cholera.

— Wszystko w porządku, Gary? — zapytał Yates.

— Uderzyłem o coś nogą. Chyba o schody. Nic nie widzę w tych cholernych... — Przerwał nagle, po czym mruknął: — Hej, chłopaki. Spójrzcie na to.

Gdy się odsunął, zobaczyli niebieskozieloną plamę, wyglądającą jak mglista kałuża

ektoplazmy.

— Co to jest, do diabła? — powiedział Corso.

— Zapalcie światło! — krzyknął Pete.

Maura włączyła lampę. Niebieskozielona plama zniknęła. Zamiast niej widziała tylko prowadzące do kuchni drewniane schody.

— To było na tamym stopniu — oznajmił Gary. — Kiedy się potknąłem, prysnąłem tam rozpylaczem.

— Ustawię aparat. Chcę, żebyś poszedł schodami na górę. Myślisz, że uda ci się zejść, jak zgasimy światło?

— Nie wiem. Jeśli będę szedł dostatecznie wolno...

— Spryskuj stopnie, schodząc w dół.

— Nie. Raczej zacznę od dołu i pójdę do góry. Nie podoba mi się pomysł schodzenia po ciemku.

— Jak wolisz. — Błysnął flesz w aparacie. — W porządku, Gary. Mam już punkty odniesienia. Powiedz, jak będziesz gotowy.

— Okay. Może pani zgasić światło, pani doktor.

Maura wyłączyła lampę.

Usłyszeli ponownie, jak Gary rozpyła delikatną mgiełkę luminolu. Tuż przy ziemi pojawiła się niebieskozielona plama, a wyżej następna, niby mgliste kałuże wody. Słyszeli, jak Gary oddycha ciężko pod maską. Schody skrzypiały mu pod nogami, gdy szedł tyłem do góry, cały czas rozpryskując luminol. Kolejne stopnie zaczynały świecić, tworząc intensywnie fosforyzujący wodospad.

Kaskada krwi.

To nie mogło być nic innego, pomyślała. Krew rozmazana była na każdym stopniu, ślady jej strużek widniały po bokach schodów.

— Chryste — mruknął Gary. — Na najwyższym stopniu plama jest jeszcze wyraźniejsza. Wygląda na to, że krew płynęła z kuchni. Przeciekła pod drzwiami i kapała po schodach.

— Niech nikt nie rusza się z miejsca. Robię zdjęcie. Czterdzieści pięć sekund.

— Na zewnątrz chyba już jest wystarczająco ciemno — rzekł Corso. — Możemy zająć się resztą domu.

Rizzoli czekała na nich w kuchni, gdy wyszli na górę, dźwigając sprzęt.

— Chyba było niezłe widowisko — powiedziała.

— Zdaje się, że to jeszcze nie koniec — odparła Maura.

— Gdzie chcesz zacząć rozpylać teraz? — spytał Pete, zwracając się do Corso.

— Właśnie tutaj. Na podłodze przy drzwiach do piwnicy.

Tym razem Rizzoli nie wyszła, gdy zgasili światło. Cofnęła się tylko i patrzyła z daleka, jak na podłodze osiada mgiełka luminolu. Pod ich stopami zajaśniał nagle geometryczny wzór, niebieskozielona szachownica śladów krwi, zaschniętej w szczelinach linoleum. Rozprzestrzeniała się na wszystkie strony jak błękitny ogień, dochodząc aż do pionowej powierzchni ściany, na której widniały szerokie smugi, plamy i rozprysnięte krople.

— Zapalcie światło — poprosił Yates i Corso pstryknął przełącznikiem.

Plamy zniknęły. Wpatrywali się w ścianę, która nie świeciła już na niebiesko, i w wytarte linoleum w czarno-białą szachownicę. Nie widzieli żadnego koszmaru, po prostu kuchnię z poźółką podłogą i zużytym wyposażeniem. A jednak chwilę wcześniej zobaczyli tam krzyczące ślady zbrodni.

Maura nie odrywała wzroku od ściany, mając wciąż w pamięci to, co ujrzała.

— To było krwawienie tętnicze — powiedziała cicho. — Tu się wszystko wydarzyło. Tutaj zginęli.

— Ale w piwnicy też były ślady krwi — zauważyła Rizzoli.

— Na schodach.

— W porządku. Zatem wiemy, że co najmniej jedną ofiarę zabito tutaj, ponieważ na ścianę trysnęła krew z jej tętnicy. — Rizzoli przechadzała się po kuchni. Niesforne loki zakrywały jej oczy, gdy wpatrywała się w podłogę. Nagle przystanęła. — Skąd wiadomo, że nie było innych ofiar? Że to krew Sadlerów?

— Tego nie wiemy.

Rizzoli podeszła do piwnicy i otworzyła drzwi. Stała tam przez chwilę, patrząc na pogrążone w ciemnościach schody, po czym odwróciła się i spojrzała na Maurę.

— Tam jest podłoga z ubitej ziemi.

Przez moment panowało milczenie.

— Mamy w furgonetce radar do penetracji gruntu — odezwał się Gary. — Używaliśmy go dwa dni temu, na farmie w Machias.

— Przynieście go — zdecydowała Rizzoli. — Zobaczmy, co jest pod tą podłogą.

Rozdział dwudziesty drugi

Radar do penetracji gruntu wykorzystuje fale elektromagnetyczne do badania, co znajduje się pod powierzchnią ziemi. Przyrząd typu SIR System-2, który technicy wyładowali z furgonetki, miał dwie anteny: jedną do wysyłania w głąb ziemi impulsów elektromagnetycznych dużej częstotliwości, drugą do mierzenia fal, odbijanych przez znajdujące się w niej przedmioty. Na ekranie komputera pojawiał się obraz poziomych warstw gleby. Gdy technicy znosili przyrząd po schodach, Yates i Corso znakowali w metrowych odstępach na podłodze w piwnicy obszar poszukiwań.

— Z powodu tego deszczu ziemia będzie dość mokra — rzekł Pete, rozwijając kabel elektryczny.

— Czy to ma jakieś znaczenie? — zapytała Maura.

— Działanie radaru zależy od stopnia wilgotności gleby. Trzeba to uwzględnić przy nastawianiu częstotliwości impulsów.

— Dwieście megaherców? — upewnił się Gary.

— Od tego bym zaczął. Jak damy wyższą, obraz będzie zbyt szczegółowy. — Pete wetknął kable do konsoli w plecaku i włączył laptop. — Będziemy tu mieli problem, zwłaszcza z tymi drzewami naokoło.

— W czym one przeszkadzają? — spytała Rizzoli.

— Dom zbudowano na polanie. Jest tu pewnie mnóstwo zagłębień, pozostałych po zbutwiałych korzeniach. To zniekształci obraz.

— Pomóż mi założyć plecak — poprosił Gary.

— Mam podciągnąć rzemienie?

— Nie, są w porządku. — Gary odetchnął głęboko i rozejrzał się po piwnicy. — Zacznę z tamtej strony.

Gdy Gary przesuwiał przyrząd nad ubitą ziemią, na ekranie laptopa pojawił się obraz w postaci falujących pasów. Maura, będąc lekarką, znała się na badaniach sonograficznych ludzkiego ciała, ale nie miała pojęcia, jak interpretować te pofałdowania.

— Co widzicie? — spytała Gary'ego.

— Te ciemne obszary oznaczają pozytywne odbicia fal. Negatywne są białe. Szukamy wszelkich anomalii. Na przykład odbicia hiperbolicznego.

— Co to takiego? — chciała wiedzieć Rizzoli.

— Będzie wyglądało jak wybrzuszenie na tle tych różnych warstw. Zakopany pod ziemią przedmiot rozprasza fale radaru we wszystkich kierunkach. — Przerwał, wpatrując się w ekran. — O tutaj, widzi pani? Trzy metry pod ziemią mamy coś, co daje odbicie hiperboliczne.

— Co to jest? — dociekał Yates.

— Może po prostu korzeń drzewa. Zaznaczmy to miejsce i idźmy dalej.

Pete wbił w ziemię palik.

Gary posuwał się wzdłuż zaznaczonych linii, obserwując obraz na ekranie laptopa. Co jakiś czas przystawał i wskazywał, gdzie należy wbić kolejny palik, aby oznaczyć miejsce, które powinni ponownie sprawdzić. Wracał już przez środek piwnicy, gdy nagle się zatrzymał.

— A to ciekawe — powiedział.

— Co pan widzi? — zapytał Yates.

— Chwileczkę. Muszę sprawdzić jeszcze raz. — Gary cofnął się, przesuwając przyrząd nad miejscem, które już badał. Zrobił krok naprzód, wpatrując się w ekran laptopa i ponownie stanął. — Mamy tu znaczną anomalię.

Yates podszedł bliżej.

— Proszę mi pokazać.

— Na głębokości niecałego metra. Jakaś duża kieszeń. Widzi pan? — Gary wskazał na ekran, gdzie widać było wybrzuszenie zniekształcające fale radaru. Spoglądając na ziemię, powiedział: — Coś tu jest. I to nie bardzo głęboko. — Spojrzał na Yatesa. — Co chce pan zrobić?

— Macie w furgonetce łopaty?

— Tak, mamy jedną. I rydle.

Yates skinął głową.

— Dobrze. Przynieśmy je tutaj. I będziemy potrzebowali więcej światła.

— W furgonetce jest jeszcze jeden reflektor. I przedłużacze.

Corso zaczął wchodzić po schodach.

— Przyniosę je.

— Pomogę panu — powiedziała Maura, idąc za nim do kuchni.

Na zewnątrz ulewa zamieniła się w mżawkę. Przeszukawszy furgonetkę ekipy dochodzeniowej, znaleźli łopatę i dodatkowe oświetlenie. Corso zaczął nieść to wszystko do domu, a Maura zamknęła drzwiczki i miała już podążyć za nim z pudłem narzędzi do kopania, gdy zobaczyła migocące wśród drzew światła reflektorów. Stała na podjeździe, obserwując znajomą półciężarówkę, która nadjechała drogą i stanęła obok furgonetki.

Wysiadła z niej panna Clausen, ubrana w zbyt obszerny płaszcz przeciwdeszczowy, który ciągnął się za nią jak peleryna.

— Myślałam, że już pani skończyła. Zastanawiałam się, dlaczego nie oddała mi pani klucza.

— Jeszcze tu trochę zostaniemy.

Panna Clausen spojrzała na zaparkowane pojazdy.

— Sądziłam, że chciała pani tylko się rozejrzeć. Co robi tu ekipa dochodzeniowa?

— Potrzebujemy trochę więcej czasu, niż przypuszczałam. Być może zostaniemy tu do rana.

— Po co? Rzeczy pani siostry już tutaj nie ma. Spakowałam je, żeby mogła pani zabrać wszystko do domu.

— Nie chodzi tylko o moją siostrę, panno Clausen. Policja interesuje się inną sprawą. Czymś, co zdarzyło się w odległej przeszłości.

— Kiedy?

— Jakies czterdzieści pięć lat temu. Zanim jeszcze kupiła pani ten dom.

— Czterdzieści pięć lat temu? To znaczy wtedy, gdy... — Kobieta przerwała w pół zdania.

— Gdy co?

Wzrok panny Clausen spoczął nagle na pudle z narzędziami, które trzymała Maura.

— Po co te rydle? Co robicie w moim domu?

— Policja przeszukuje piwnicę.

— Przeszukuje? Chce pani powiedzieć, że tam kopią?

— Może będą musieli.

— Nie pozwoliłam wam na to. — Odwróciła się i wbiegła na ganek, ciągnąc za sobą

po schodach płaszcz.

Maura weszła za nią do kuchni i postawiła pudło z narzędziami na blacie.

— Chwileczkę. Pani nie rozumie...

— Nie chcę, żeby ktoś niszczył mi piwnicę! — Panna Clausen otworzyła na oścież drzwi i spojrzała w dół na detektywa Yatesa, który trzymał w rękach łopatę. Zaczął już kopać i u jego stóp leżała sterta ziemi.

— Panno Clausen, proszę nie przeszkadzać im w pracy — powiedziała Maura.

— To mój dom! — krzyknęła kobieta. — Nie możecie tu kopać bez mojej zgody!

— Proszę pani, obiecujemy, że zasypujemy tę dziurę, gdy tylko skończymy — oznajmił Corso. — Musimy obejrzyć to miejsce.

— Dlaczego?

— Nasz radar wykazuje duże wgłębienie.

— Co to znaczy? Co tam jest?

— Właśnie próbujemy to ustalić. Jeśli pozwoli nam pani kontynuować.

Maura odciągnęła kobietę od piwnicy i zamknęła drzwi.

— Proszę dać im pracować. Jeśli pani odmówi, będą zmuszeni wrócić z nakazem rewizji.

— Co ich w ogóle skłoniło do tego, żeby tam kopać?

— Krew.

— Jaka krew?

— W całej kuchni są ślady krwi.

Kobieta spuściła wzrok na podłogę, wpatrując się w linoleum.

— Niczego tu nie widzę.

— Bo są niewidoczne. Trzeba rozpylić substancję chemiczną, żeby je zobaczyć. Ale proszę mi wierzyć, że istnieją. Mikroskopijne ślady krwi na podłodze i na tamtej ścianie. Pod drzwiami do piwnicy i na schodach. Ktoś próbował zmyć je z podłogi i ze ścian. Może myślał, że się ich pozbył, bo przestały być widoczne. Ale ta krew nadal tu jest. Wsiąkła w szczeliny, w szpary w podłodze. Zostaje latami i nie można jej usunąć. Jest uwięziona w tym domu. W jego murach.

Panna Clausen odwróciła się, patrząc na nią.

— Czyja krew? — spytała cicho.

— To właśnie policja chciałaby wiedzieć.

— Nie myślicie chyba, że miałam coś wspólnego...

— Nie. Uważamy, że ślady krwi są bardzo stare. Były tu już zapewne, gdy kupiła pani ten dom.

Kobieta osunęła się oszołomiona na krzesło stojące przy stole kuchennym. Kaptur płaszcza przeciwdeszczowego zsunął jej się z głowy, odsłaniając sterczące siwe włosy. Skulona w tym zbyt obszernym płaszczu wydawała się jeszcze drobniejsza i starsza. Jakby chyliła się już do grobu.

— Nikt nie będzie chciał teraz kupić ode mnie tego domu — mruknęła. — Kiedy wszyscy się o tym dowiedzą, nie pozbędę się go.

Maura usiadła naprzeciwko niej.

— Dlaczego moja siostra go wynajęła? Powiedziała pani?

Nie było odpowiedzi. Panna Clausen nadal kręciła ze zdumieniem głową.

— Podobno zobaczyła przy drodze napis NA SPRZEDAŻ i przyszła do pani biura.

Kobieta w końcu skinęła głową.

— Zjawiała się nagle.

— Co pani powiedziała?

— Chciała dowiedzieć się czegoś więcej o tej posiadłości. Kto tu mieszkał, do kogo wcześniej należała. Mówiła, że zamierza kupić dom w tej okolicy.

— Wspomniała jej pani o rodzinie Lanków?

Panna Clausen znieruchomiała.

— Słyszała pani o nich?

— Wiem, że to był kiedyś ich dom. Mieszkał tu ojciec z synem. I siostrzenica właściciela, dziewczynka o imieniu Amalthea. Czy moja siostra o nich też pytała?

Kobieta westchnęła ciężko.

— Pytała o wszystko. Rozumiałam to. Jeśli planuje się zakup domu, chce się wiedzieć, kto go zbudował. I kto w nim mieszkał. — Spojrzała na Maurę. — Chodzi o nich, prawda? O rodzinę Lanków?

— Wychowała się pani w tym mieście?

— Tak.

— Więc musiała ich pani znać.

Panna Clausen nie odpowiedziała od razu. Najpierw wstała, zdjęła płaszcz i powiesiła go powoli na haku obok kuchennych drzwi.

— On był w mojej klasie — odezwała się w końcu, zwrócona nadal plecami do Maury.

— Kto?

— Elijah Lank. Nie znałam zbyt dobrze jego kuzynki, Amalthei, bo zaczęła chodzić do szkoły pięć lat później. Była wtedy małą dziewczynką. Ale Elijaha znaliśmy wszyscy.

— Zniżyła głos niemal do szeptu, jakby nie chciała wymawiać głośno jego imienia.

— Jak dobrze go pani znała?

— Tyle, ile było konieczne.

— Chyba nieszczęśliwie go pani lubiła.

Panna Clausen odwróciła się i spojrzała na nią.

— Trudno lubić kogoś, kto budzi przerażenie.

Przez drzwi piwnicy słyszały uderzenia łopaty o ziemię. Yates dokopywał się tajemnic tego domu. Domu, który był niemym świadkiem straszliwych wydarzeń sprzed lat.

— To było małe miasteczko, doktor Isles. Nie tak jak teraz, gdy przyjeżdżają z daleka nowi ludzie i kupują działki na letnie rezydencje. W tamtych czasach mieszkali tu tylko miejscowi i wszyscy się znali. Wiedziało się, kto jest porządny, a od kogo lepiej trzymać się z daleka. Poznałam się na Elijahu Lanku, kiedy miałam czternaście lat. Był jednym z tych chłopców, z którymi nie należało się zadawać. — Wróciła do stołu i opadła na krzesło, jakby z wyczerpania. Wpatrywała się w blat, jak gdyby oglądała w stawie swoje odbicie. Odbicie czternastoletniej dziewczynki, lękającej się chłopca, który mieszkał na wzgórzu.

Maura czekała, patrząc na pochyloną głowę ze szczecinią siwych włosów.

— Czemu panią przerażał?

— Nie tylko mnie. Wszyscy się go baliśmy. Od czasu, jak...

— Jak co?

Panna Clausen podniosła wzrok.

— Jak zakopał żywcem tę dziewczynę.

* * *

W ciszy, która nastąpiła, Maura słyszała pomruki mężczyzn rozkopujących podłogę

w piwnicy. Czują na żebrach kołatanie swego serca. Chryste, pomyślała. Co oni tam znajdują?

— Ona mieszkała w miasteczku od niedawna — kontynuowała panna Clausen. — Nazywała się Alice Rose. Inne dziewczyny obmawiały ją za plecami. Śmiały się z niej. Mogły robić to bezkarnie, bo Rose nie słyszała. Nie zdawała sobie sprawy, że z niej drwimy. Wiem, że byliśmy okrutne, ale w wieku czternastu lat dzieciaki takie są. Zanim nauczą się rozumieć czyjeś położenie. Zanim same poczują, jak to jest. — Westchnęła ciężko, myśląc o grzechach dzieciństwa i zdobytych zbyt późno doświadczeniach.

— Co stało się z Alice?

— Elijah mówił, że to był tylko żart. Twierdził, że zamierzał wyciągnąć ją stamtąd po paru godzinach. Ale może pani sobie wyobrazić, co znaczy być uwięzionym w takim dole? Moczyć się ze strachu? Nikt nie słyszał jej krzyków. Nikt nie wiedział, gdzie jest, oprócz chłopaka, który ją tam wrzucił.

Maura czekała w milczeniu. Bała się usłyszeć, jak skończyła się ta historia.

Panna Clausen dostrzegła niepokój w jej oczach i pokręciła głową.

— Och, Alice nie umarła. Ocalił ją pies. Wytropił ją i szczekając bez opamiętania, doprowadził do niej ludzi.

— A więc ocalała.

Kobieta skinęła głową.

— Znaleźli ją późną nocą. Siedziała już wtedy w tym dole od wielu godzin. Kiedy ją wyciągnęli, prawie nie mogła mówić. Była jak zombi. Po kilku tygodniach jej rodzina się wyprowadziła. Nie wiem, dokąd wyjechali.

— Co stało się z Elijahem?

Panna Clausen wzruszyła ramionami.

— A jak pani myśli? Twierdził uparcie, że to był tylko psikus. Podobny do tych, który robiliśmy Alice codziennie w szkole. To prawda, że wszyscy ją dręczyliśmy. Zatruliśmy jej życie. Ale Elijah przesadził.

— Nie został ukarany?

— Kiedy chłopak ma dopiero czternaście lat, daje mu się szansę. Zwłaszcza gdy jest potrzebny w domu. Gdy ojciec chodzi przez pół dnia pijany, a pod tym samym dachem mieszka dziewięcioletnia kuzynka.

— Amalthea — powiedziała cicho Maura.

Panna Clausen skinęła głową.

— Niech pani sobie wyobrazi, jak czuła się w tym domu mała dziewczynka. Dorastająca w rodzinie bestii.

Bestie.

Powietrze było jak naelektryzowane. Maurze zlodowaciały nagle dłonie. Pomyślała o bełkocie Amalthei Lank. *Odejdź, zanim on cię zobaczy.*

I przypomniała sobie zadrapania na drzwiczkach samochodu. *Znak Bestii.*

Wzdrygnęła się, słysząc skrzywienie drzwi od piwnicy. Odwróciła się i zobaczyła na progu Rizzoli.

— Coś znaleźli — oznajmiła Jane.

— Co takiego?

— Jakieś drewniane deski na głębokości pół metra. Próbują oczyścić je z ziemi. — Wskazała na pudło z narzędziami na blacie. — Będą nam potrzebne te rydle.

Maura zniosła pudło po schodach do piwnicy. Zobaczyła, że sterty wykopanej ziemi otaczają dół prawie dwumetrowej długości.

Wielkości trumny.

Detektyw Corso, który trzymał teraz łopatę, spojrzął na Maurę.

— Deski wydają się dość grube. Ale proszę posłuchać. — Uderzył łopatą o drewno. — Pod spodem jest pusta przestrzeń.

— Mam cię zastąpić? — spytał Yates.

— Tak, bolą mnie już plecy. — Corso przekazał mu łopatę.

Yates zeskoczył do wykopu. Jego buty zastukały głucho o drewno. Machał łopatą z ponurą determinacją, usypując szybko rosnący kopiec ziemi. Wszyscy patrzyli w milczeniu na ukazujące się ich oczom deski. W ostrym świetle dwóch reflektorów cień Yatesa tańczył na ścianach jak marionetka. Inni przyglądali się bez słowa jak hieny cmentarne, wyczekujące niecierpliwie, co zobaczą w grobowcu.

— Oczyściłem jedną krawędź — oznajmił Yates, dysząc ciężko i drapiąc łopatą deski. — Wygląda to na skrzynię. Już ją zarysowałem. Nie chcę zniszczyć drewna.

— Mam rydle i pędzle — powiedziała Maura.

Yates wyprostował się, sapiąc z wysiłku, i wygramolił się z dziury.

— W porządku. Może oczyścicie wieko skrzyni z ziemi. Zrobimy parę zdjęć, zanim ją otworzymy.

Wszedłszy z Garym do wykopu, Maura poczuła, jak deski uginają się pod ich ciężarem. Zastanawiała się, jakie okropności kryją się pod brudnymi deskami, i miała koszmarną wizję, że skrzynia nagle się rozlatuje, a ona wpada w ludzkie szczątki. Choć tłukło jej się serce, przyklękła i zaczęła zmiatać ziemię z desek.

— Proszę mi też dać pędzel — powiedziała Rizzoli, zamierzając wskoczyć do wykopu.

— Nie ma mowy — zaprotestował Yates. — Niech pani sobie odpuści.

— Nie jestem kaleką. Nie cierpię stać bezczynnie.

Yates zaśmiał się nerwowo.

— No cóż, wolelibyśmy, żeby nie zaczęła tu pani rodzić. I nie chciałbym tłumaczyć się przed pani mężem.

— Nie ma tu za wiele miejsca, Jane — wtrąciła Maura.

— Przetawię wam chociaż te lampy. Żebyście widzieli, co robicie.

Rizzoli przesunęła reflektor i nagle światło rozjaśniło kąt, w którym pracowała Maura. Klęcząc na kolanach, omiatała pędzlem deski z ziemi, odsłaniając plamki rdzy.

— Widzę tu główki starych gwoździ — oznajmiła.

— Mam w samochodzie łom — przypomniał sobie Corso. — Zaraz przyniosę.

Maura dalej zmiatała ziemię, odkrywając kolejne zardzewiałe gwoździe. Wykop był ciasny i zaczynał ją już boleć kark i ramiona. Wyprostowawszy plecy, usłyszała za sobą stuk.

— Hej — odezwał się Gary. — Niech pani spojrzy.

Maura odwróciła się i zobaczyła, że Gary wygrzebał łopatką kilkucentymetrowy kawałek rurki.

— Wygląda na to, że była wsunięta pod wieko — rzekł Gary. Podłubał ostrożnie palcami i odsłonił zatkany ziemią otwór u góry skrzyni. — Po co wtykać rurkę do... — Przerwał, patrząc na Maurę.

— To otwór wentylacyjny — doszła do wniosku.

Gary wpatrywał się w deski pod swymi kolanami.

— Co tam jest w środku do cholery? — szepnął.

— Wyjdźcie oboje z wykopu — rzucił Pete. — Zrobimy zdjęcia.

Yates wyciągnął rękę, by pomóc Maurze. Wyszła z dołu, czując nagle zawrót głowy, gdyż zbyt szybko wstała. Zmrużyła oczy, oszołomiona błyskami flesza, surrealistycznym

blaskiem reflektorów i cieniami tańczącymi na ścianach. Podeszła do piwnicznych schodów i usiadła. Dopiero wtedy przypomniała sobie, że stopień, na którym spoczęła, był przesiąknięty krwią.

— W porządku — rzekł Pete. — Otwórzmy tę skrzynię.

Corso przyklęknął obok wykopu i wsunął łom pod wieko. Gdy podważył deski, rozległo się skrzypienie zardzewiałych gwoździ.

— Ani drgnie — odezwała się Rizzoli.

Corso przerwał i otarł twarz rękawem, pozostawiając smugę brudu na czole.

— Chryste, jutro będę czuł kręgosłup.

Ponownie wsunął łom pod wieko skrzyni. Tym razem zdołał włożyć go głębiej. Wziął głęboki oddech i napał z całej siły.

Gwoździe ustąpiły.

Corso rzucił na bok łom. Sięgnęli z Yatesem do wykopu, chwycili wieko i podnieśli. Przez chwilę nikt się nie odzywał. Wpatrywali się w dziurę, wyraźnie teraz widoczną w świetle reflektorów.

— Nic nie rozumiem — powiedział w końcu Yates.

Skrzynia była pusta.

* * *

Jechały tego wieczoru do domu szosą lśniącą od deszczu. Wycieraczki w samochodzie Maury przesuwają się powoli, hipnotycznie po zamglonej szybie.

— Te ślady krwi w kuchni — zaczęła Rizzoli. — Wie pani, co one znaczą. Że Amalthea zabijała już wcześniej. Nikki i Theresa Wells nie były jej pierwszymi ofiarami.

— Nie mieszkała sama w tym domu, Jane. Mógł to zrobić jej kuzyn, Elijah.

— Miała dziewiętnaście lat, kiedy zginęli Sadlerowie. Musiała wiedzieć, co dzieje się w jej kuchni.

— Co nie oznacza, że ona to zrobiła.

Rizzoli spojrzała na Maurę.

— Wierzy pani w teorię O'Donnell? Na temat Bestii?

— Amalthea jest schizofreniczką. Jak ktoś o tak niezrównoważonym umyśle mógłby zabić dwie kobiety, a potem postąpić tak racjonalnie, by spalić ich zwłoki, żeby

zniszczyć dowody zbrodni?

— Nie udało jej się zatrzeć śladów. Proszę pamiętać, że została złapana.

— Policja z Wirginii miała szczęście. Zatrzymanie jej podczas rutynowej kontroli drogowej nie było wynikiem błyskotliwych działań detektywów. — Maura wpatrywała się w smugi mgły na pustej drodze. — Nie zabiła tych kobiet sama. Ktoś musiał jej pomagać. Ktoś, kto zostawił w samochodzie odciski palców. Kto był z nią od samego początku.

— Jej kuzyn?

— Elijah miał zaledwie czternaście lat, gdy zakopał żywcem tę dziewczynę. Który chłopak robi coś takiego? Na jakiego wyrasta mężczyznę?

— Strach pomyśleć.

— Chyba obie to wiemy — powiedziała Maura. — Widziałyśmy ślady krwi w kuchni.

Lexus sunął z szumem opon po szosie. Deszcz ustał, ale w powietrzu nadal unosiła się mgła, osiadając na szybie.

— Jeśli zabili Sadlerów — zauważyła Rizzoli — pozostaje pytanie... — Spojrzała na Maurę. — Co zrobili z dzieckiem Karen Sadler?

Maura milczała. Wpatrywała się w szosę. Żadnego zbaczania z drogi. *Koncentruj się na prowadzeniu.*

— Wie pani, do czego zmierzam? — ciągnęła Rizzoli. — Czterdzieści pięć lat temu Lank i jego kuzynka zabili brzemienną kobietę. Szczątków płodu nie znaleziono. Pięć lat później Amalthea Lank zjawia się w biurze Van Gatesa w Bostonie, chcąc sprzedać dwie nowo narodzone dziewczynki.

Maura poczuła, jak drętwieją jej palce na kierownicy.

— A może to nie były jej dzieci? — spytała Rizzoli. — Może Amalthea nie jest naprawdę pani matką?

Rozdział dwudziesty trzeci

Mattie Purvis siedziała w ciemnościach, zastanawiając się, jak długo człowiek umiera z głodu. Zbyt szybko kończyło jej się jedzenie. W torbie z zakupami zostało tylko sześć batoników, pół paczki krakersów i kilka pasków suszonej wołowiny. Muszę racjonować zapasy, pomyślała. Muszą mi wystarczyć na tyle, żeby...

Żeby co? Umrzeć z pragnienia?

Ugryzła bezcenny kawałek czekolady i kusilo ją, żeby zjeść następny, ale miała dość silnej woli, by się powstrzymać. Zawinęła ostrożnie resztę batonika na później. Gdyby było naprawdę źle, zawsze mogę jeść papier, pomyślała. Nadawał się do jedzenia, prawda? Robi się go z drewna, a głodne jelenie obgryzają korę z drzew, czyli musi ona mieć jakąś wartość odżywczą. Tak, trzeba zachować papier. Nie zabrudzić go. Niechętnie włożyła nadgryziony batonik z powrotem do torby. Zamknąwszy oczy, pomyślała o hamburgerach, pieczonych kurczakach i wszystkich zakazanych potrawach, których sobie odmawiała od czasu, gdy Dwayne powiedział, że ciężarne kobiety przypominają mu krowy. Miał ją na myśli. Przez następne dwa tygodnie jadła tylko sałatki, aż pewnego dnia zasłabła i musiała usiąść na podłodze na samym środku baru Macy's. Dwayne poczerwieniał jak burak, gdy zgromadziły się wokół nich zatroskane kobiety, pytając bez końca, czy jego żona dobrze się czuje. Opędzał się od nich, sycząc do Mattie, by się podniosła. Zawsze powtarzał, że najważniejszy jest wizerunek, a tymczasem on, pan bmw, walał się po podłodze ze swoją żoną, która w szerokich ciężowych spodniach wyglądała jak krowa. *Tak, jestem krową, Dwayne. Wielką, piękną krową, noszącą w łonie twoje dziecko. Zjaw się wreszcie i ocal nas, do cholery. Ocal nas.*

Usłyszała nad sobą skrzypienie desek.

Podniosła wzrok, nasłuchując kroków porywacza. Rozpoznawała je już. Skradał się jak kot. Za każdym razem, gdy się zjawiał, błagała, by ją uwolnił. Ale zawsze odchodził, pozostawiając ją w skrzyni. Teraz kończyła jej się już żywność i woda.

— Proszę pani.

Nie odpowiadała. Niech się zaniepokoi, pomyślała. Zacznie się martwić, czy nic mi

nie jest, i będzie musiał otworzyć skrzynię. Musi utrzymać mnie przy życiu, żeby dostać swój cenny okup.

— Niech się pani odezwie.

Nadal milczała. Nic innego nie pomogło, pomyślała. Może to go przestraszy. Może teraz mnie wypuści.

Usłyszała głucho uderzenie o ziemię.

— Jest pani tam?

A gdzie mogę być, ty dupku?

Zamilkł na dłuższą chwilę.

— Skoro już pani nie żyje, nie ma sensu pani wykopywać. Prawda? — Kroki zaczęły się oddalać.

— Chwileczkę! Niech pan zaczeka! — Włączyła latarkę i zaczęła tłuc nią o sufit. — Niech pan wraca, do cholery! — Nasłuchiwała z bijącym sercem i niemal roześmiała się z ulgą, gdy znów zaskrzypiały deski. Jakież to było żałosne! Musiała błagać o jego uwagę, jak odtrącona kochanka.

— Nie śpi pani — powiedział.

— Rozmawiał pan z moim mężem? Kiedy panu zapłaci?

— Jak się pani czuje?

— Dlaczego nigdy nie odpowiada pan na pytania?

— Proszę najpierw odpowiedzieć na moje.

— Och, czuję się po prostu świetnie!

— Co z dzieckiem?

— Kończy mi się jedzenie. Potrzebuję go więcej.

— Ma pani dość.

— Przepraszam, ale to ja siedzę w tej skrzyni, nie pan! Jestem głodna. Jeśli umrę, nie dostanie pan pieniędzy.

— Proszę zachować spokój. I odpoczywać. Wszystko będzie dobrze.

— Jest bardzo niedobrze!

Nie było odpowiedzi.

— Halo? Halo? — krzyknęła.

Kroki się oddalały.

— Proszę zaczekać! — Uderzyła pięścią w sufit. — Niech pan wraca! — Walila teraz

w deski oburącz. Ogarnęła ją nagle furia, jakiej dotychczas nie znała. — Nie może mnie pan tak traktować! — wrzasnęła. — Nie jestem zwierzęciem! — Osunęła się na ścianę, z posiniaczonymi i obolałymi dłońmi, szlochając z wściekłości, nie z bezradności. — Niech cię szlag trafi! — krzyczała. — Ciebie, Dwayne'a i wszystkich dupków na świecie!

Wyczerpana opadła na plecy, ocierając z oczu łzy. *Czego on od nas chce? Dwayne musiał mu już zapłacić. Więc dlaczego mnie tu trzyma? Na co czeka?*

Dziecko poruszyło się w jej łonie. Przytknęła rękę do brzucha, by uspokoić je dotykiem. Poczowała pierwszy skurcz. Biedactwo. Biedne...

Niemowlę.

Znieruchomiła nagle, zbierając myśli. Przypominając sobie wszystkie rozmowy z porywaczem. Nigdy nie wspomniał o Dwayne'nie ani o pieniądzach. To nie miało sensu. Jeśli ten dupek chciał forsy, musiał rozmawiać z Dwayne'em. Ale nie pytał o mojego męża. W ogóle o nim nie mówił. Może nawet do niego nie dzwonił? Może wcale nie zażądał okupu?

Więc czego chce?

Światło latarki przygasło. Wyczerpywał się drugi komplet baterii. Miała jeszcze dwa zestawy, a potem pogrzyży się w mroku. Tym razem nie panikowała, sięgając do torby z zakupami i rozrywając nowe opakowanie baterii. Już to robiłam i poradzę sobie jeszcze raz. Odkręciła nasadkę, wysunęła spokojnie stare baterie i włożyła nowe. Latarka rozbłysła jasnym światłem, pozbawiając ją na razie obaw przed długotrwałym uwięzieniem w ciemnościach.

Każdego czeka śmierć. Ale nie chcę umrzeć pogrzebana w tej skrzyni, gdzie nikt nie znajdzie moich kości.

Oszczędzaj światło. Oszczędzaj je jak najdłużej. Wyłączyła latarkę i leżała po ciemku, czując dławiący strach. Nikt nie wie, że tu jestem, myślała.

Przestań, Mattie. Weź się w garść. Tylko ty możesz sobie pomóc.

Obróciła się na bok i skrzyżowała ręce na piersiach. Usłyszała nagle, jak coś toczy się po podłodze. Była to bezużyteczna już, stara bateria.

A jeśli nikt nie wie, że zostałam porwana? Że jeszcze żyję?

Objęła rękami brzuch, przypominając sobie rozmowy z porywaczem. „Jak się pani czuje?”. Zawsze o to pytał, jakby się o nią troszczył. Jakby ktoś, kto zamknął ciężarną kobietę w skrzyni, cholernie przejmował się tym, jak się czuje. Ciągle jednak zadawał to

pytanie, a ona błagała go za każdym razem, by ją wypuścił.

On czeka na inną odpowiedź.

Podciągając kolana, uderzyła stopą w jakiś przedmiot, który potoczył się po podłodze. Usiadła i włączywszy latarkę, zaczęła zbierać porozrzucone baterie. Miała cztery zużyte i dwie nowe, jeszcze zapakowane. Plus dwie w latarce. Ponownie ją wyłączyła. Oszczędzaj światło. Oszczędzaj światło.

Siedząc w ciemnościach, zaczęła rozwiązywać but.

Rozdział dwudziesty czwarty

Doktor Joyce P. O'Donnell wchodząc do sali konferencyjnej wydziału zabójstw, wyglądała tak, jakby to miejsce należało do niej. Jej szykowna garsonka kosztowała zapewne więcej, niż Rizzoli wydawała na garderobę przez cały rok. Siedmiocentymetrowe obcasy podkreślały jeszcze posągową figurę. Chociaż trójka policjantów przyglądała się jej, gdy siadała przy stole, O'Donnell nie okazała nawet cienia zmieszania. Wiedziała, jak zapanować nad otoczeniem, czego Rizzoli szczerze jej zazdrościła, choć nie cierpiała tej kobiety.

Niechęć ta była najwyraźniej wzajemna. O'Donnell posłała Rizzoli lodowate spojrzenie, rzuciła okiem na Barry'ego Frosta, po czym całą uwagę skupiła na poruczniku Marquettie z wydziału zabójstw. Było to oczywiste. O'Donnell nie traciła czasu na rozmowy ze zwykłymi policjantami.

— To nieoczekiwane zaproszenie, poruczniku — rzekła. — Nieczęsto mam okazję być na Schroeder Plaza.

— To był pomysł detektyw Rizzoli.

— Tym bardziej jestem zaskoczona. Zważywszy na okoliczności.

Zważywszy na fakt, że gramy w przeciwnych drużynach, pomyślała Rizzoli. Ja chwytam potwory, a ty ich bronisz.

— Ale, jak powiedziałam detektyw Rizzoli przez telefon — kontynuowała O'Donnell — nie mogę wam pomóc, o ile wy nie pomożecie mnie. Jeśli chcecie odnaleźć Bestię, musicie podzielić się ze mną informacjami.

W odpowiedzi Rizzoli podsunęła jej teczkę.

— Tyle wiemy na razie o Elijahu Lanku. — Dostrzegła błysk w oczach O'Donnell, gdy lekarka sięgała po akta. To było pasją jej życia: zbliżyć się do potwora, poczuć pulsowanie zła.

O'Donnell otworzyła teczkę.

— Jego szkolna kartoteka.

— Z Fox Harbor.

— Iloraz inteligencji sto trzydzieści sześć. Ale zaledwie przeciętne oceny.

— Klasyczny przykład ucznia, osiągającego wyniki poniżej swych możliwości. — „Stać go na wiele, kiedy się postara”, napisał jeden z nauczycieli, nie zdając sobie sprawy, jakie talenty ujawni Elijah Lank. — Po śmierci matki wychowywał go ojciec, Hugo. Ciągłe rzucał pracę. Najwyraźniej spędzał większość czasu z butelką i zmarł na zapalenie trzustki, kiedy Elijah miał osiemnaście lat.

— I w tym samym domu dorastała Amalthea.

— Tak. Zamieszkała z wujem w wieku dziewięciu lat, gdy zmarła jej matka. Nikt nie wie nawet, kto był jej ojcem. A więc tak wyglądała rodzina Lanków z Fox Harbor. Pijany wuj, kuzyn socjopata i dziewczyna, która wyrasta na schizofreniczkę. Wzorowa amerykańska rodzina.

— Nazwała pani Elijaha socjopatą?

— A jak inaczej określić chłopca, który zakopuje żywcem koleżankę z klasy, po prostu dla zabawy?

O'Donnell przewróciła następną kartkę. Każdy, kto czytałby te akta, byłby przerażony, a jej twarz wyrażała zafascynowanie.

— Dziewczyna, którą zakopał, miała zaledwie czternaście lat — powiedziała Rizzoli. — Alice Rose chodziła do ich szkoły od niedawna. Źle słyszała, dlatego inne dzieci ją dręczyły. I zapewne dlatego Elijah wybrał właśnie ją. Była łatwym łupem. Zaprosił ją do swojego domu, a potem zwabił do miejsca, gdzie wykopał dół w lesie. Wrzucił ją tam, zakrył wykop deskami i położył na nie kamienie. Kiedy przesłuchiowano go później, twierdził, że to był psikus. Ale moim zdaniem naprawdę zamierzał ją zabić.

— Z raportu wynika, że dziewczynka wyszła z tego bez szwanku.

— Bez szwanku? Niezupełnie.

O'Donnell podniosła wzrok.

— Ale przeżyła.

— Alice Rose przez następnych pięć lat była leczona z powodu ciężkiej depresji i ataków lęku. W wieku dziewiętnastu lat podcięła sobie w wannie żyły. Moim zdaniem Elijah Lank odpowiada za jej śmierć. Była jego pierwszą ofiarą.

— Może pani udowodnić, że były następne?

— Czterdzieści pięć lat temu zaginęło w Kennebunkport pewne małżeństwo, Karen i Robert Sadlerowie. Karen Sadler była wtedy w ósmym miesiącu ciąży. Ich szczątki

znaleziono w zeszłym tygodniu w tym samym rejonie, gdzie Elijah zakopał żywcem Alice Rose. Myślę, że to on ich zabił. Razem z Amaltheą.

O'Donnell znieruchomiała, jakby wstrzymywała oddech.

— Pani pierwsza to zasugerowała, doktor O'Donnell — oznajmił porucznik Marquette. — Twierdziła pani, że Amalthea miała współnika, kogoś, kogo nazwała Bestią. Kto pomógł jej zamordować Nikki i Theresę Wells. Tak powiedziała pani doktor Isles, prawda?

— Nikt nie wierzył w moją teorię.

— Teraz wierzymy — rzekła Rizzoli. — Uważamy, że Bestia to jej kuzyn, Elijah.

O'Donnell uniosła ironicznie brew.

— Przypadek kuzynów morderców?

— Nie pierwszy — zauważył Marquette.

— To prawda — przyznała O'Donnell. — Kenneth Bianchi i Angelo Buono — Dusieciele z Hillside — byli kuzynami.

— A więc mamy precedens — powiedział Marquette. — Kuzyni jako współnicy zbrodni.

— Nie musiałam panu tego mówić.

— Wiedziała pani o istnieniu Bestii wcześniej niż ktokolwiek — rzekła Rizzoli. — Próbowала pani go znaleźć, skontaktować się z nim za pośrednictwem Amalthei.

— Ale mi się nie udało. Nie wiem więc, w jaki sposób mogłabym wam pomóc go odszukać. Nie wiem nawet, po co mnie pani tu wezwała, pani detektyw, skoro gardzi pani moimi badaniami.

— Wiem, że Amalthea z panią rozmawia. Do mnie nie chciała się odezwać, gdy spotkałam się z nią wczoraj. Ale strażniczki powiedziały mi, że z panią rozmawia.

— Nasze rozmowy są poufne. Jest moją pacjentką.

— Ale jej kuzyna pani nie leczy. To jego chcemy znaleźć.

— Gdzie ostatnio mieszkał? Musicie mieć jakieś informacje, od których można zacząć.

— Nie mamy prawie niczego. Od kilkudziesięciu lat nic nie wiadomo o miejscu jego pobytu.

— Wiecie chociaż, czy żyje?

— Nie — przyznała z westchnieniem Rizzoli.

— Miałby teraz prawie siedemdziesiąt lat, prawda? To dość sędziwy wiek dla seryjnego zabójcy.

— Amalthea ma sześćdziesiąt pięć — odparła Rizzoli. — A jednak nikt nie wątpił, że zabiła Theresę i Nikki Wells. Że rozbiła im głowy, oblała ich zwłoki benzyną i podpaliła. O'Donnell oparła się plecami o krzesło i przyglądała się Rizzoli przez chwilę.

— Proszę mi powiedzieć, dlaczego bostońska policja zajmuje się sprawą Elijaha Lankę? To dawne zabójstwa... i nie należą do waszej jurysdykcji. Czemu się tym interesujecie?

— Mogą mieć związek z zabójstwem Anny Leoni.

— Jaki?

— Tuż przed śmiercią Anna dopytywała się o Amaltheę. Może dowiedziała się zbyt wiele. — Rizzoli podsunęła O'Donnell kolejną teczkę.

— Co to jest?

— Słyszała pani o Krajowym Centrum Informacji Kryminalistycznej FBI? Mają tam bazę danych na temat osób zaginionych z całego kraju.

— Tak, wiem.

— Poprosiliśmy ich o listę kobiet w ciąży, które zagięły na obszarze Stanów Zjednoczonych. I oto co dostaliśmy. Wszystkie przypadki, które mają w kartotece od lat sześćdziesiątych.

— Dlaczego pytaliście konkretnie o ciężarne kobiety?

— Ponieważ Nikki Wells była w dziewiątym miesiącu ciąży, a Karen Sadler w ósmym. Czy to nie dziwny zbieg okoliczności?

O'Donnell otworzyła teczkę i spojrzała na wydruki komputerowe. Po chwili podniosła zdziwiona wzrok.

— Są tu dziesiątki nazwisk.

— Proszę wziąć pod uwagę, że każdego roku giną w tym kraju bez śladu tysiące ludzi. Jeśli co jakiś czas zaginie kobieta w ciąży, na tle tych statystyk nie brzmi to alarmująco. Ale gdy dzieje się tak raz w miesiącu, przez czterdzieści lat, liczby się sumują.

— Może pani powiązać któreś z tych spraw z Amaltheą Lank albo jej kuzynem?

— Właśnie dlatego panią wezwaliśmy. Rozmawiała pani z nią kilkanaście razy. Czy powiedziała pani coś o swoich podróżach? O tym, gdzie mieszkała, gdzie pracowała?

O'Donnell zamknęła teczkę.

— Chce pani, żebym ujawniła poufne informacje. Dlaczego miałabym to robić?

— Ponieważ zabójca działa nadal.

— Moja pacjentka nie może już zabijać. Jest w więzieniu.

— Ale jej wspólnik pozostaje na wolności. — Rizzoli pochyliła się naprzód, zbliżając się do kobiety, której szczerze nie cierpiała. Potrzebowała jednak O'Donnell, toteż opanowała swoją niechęć. — Bestia panią fascynuje, prawda? Chce pani dowiedzieć się o nim jak najwięcej. Chce pani poznać jego myśli, wiedzieć, co go nakręca. Interesują panią wszystkie szczegóły. Dlatego powinna nam pani pomóc. Żeby dodać do swojej kolekcji jeszcze jednego potwora.

— A jeśli obie się mylimy? Może Bestia jest tylko wytworem naszej wyobraźni.

Rizzoli spojrzała na Frosta.

— Możesz włączyć rzutnik?

Frost ustawił sprzęt i pstryknął przełącznikiem. W czasach komputerów i programu Power Point rzutnik wydawał się urządzeniem z epoki kamienia, ale wybrali najszybszy, najprostszy sposób prezentacji. Frost otworzył teczkę i wyjął foliogramy, na których zaznaczyli różnymi kolorami określone punkty.

Położył folię na rzutnik. Na ekranie ukazała się mapa Stanów Zjednoczonych. Umieścił na niej pierwszy foliogram. Na tle mapy pojawiło się sześć czarnych kropek.

— Co oznaczają te punkty? — spytała O'Donnell.

— To przypadki zaginięć z listy KCIK z pierwszych sześciu miesięcy tysiąc dziewięćset osiemdziesiątego czwartego roku — wyjaśnił Frost. — Wybraliśmy ten rok, bo wtedy FBI uruchomiło komputerową bazę danych. Powinny więc być w miarę kompletne. Każdy z tych punktów oznacza zaginioną kobietę w ciąży. — Skierował na ekran wskaźnik laserowy. — Widać geograficzne rozproszenie. Jedno zaginięcie odnotowano w Oregonie, jedno w Atlancie. Ale proszę zauważyć ich skupienie tutaj, na południowym zachodzie. — Zakreślił laserem kółko na mapie. — Jedna kobieta zaginiona w Arizonie, jedna w Nowym Meksyku, dwie w południowej Kalifornii.

— Jakie mam z tego wyciągnąć wnioski?

— Spójrzmy na następnych sześć miesięcy. Od lipca do grudnia tysiąc dziewięćset osiemdziesiątego czwartego roku. Może stanie się to jaśniejsze.

Frost nałożył na mapę kolejny foliogram. Pojawiły się nowe punkty, tym razem

czerwone.

— Tutaj znów widać — powiedział — że przypadki zaginięć są rozproszone po całym kraju. Ale kilka skupia się w jednym rejonie. — Zakreślił kółko wokół trzech czerwonych kropek. — San Jose, Sacramento i Eugene w Oregonie.

O'Donnell powiedziała cicho:

— To zaczyna być interesujące.

— Proszę poczekać, aż pani zobaczy następne półrocze — wtrąciła Rizzoli.

Po nałożeniu trzeciej folii ukazały się kolejne kropki, tym razem zielone. Teraz widać było już wyraźną prawidłowość. O'Donnell patrzyła na ekran z niedowierzaniem.

— Mój Boże — szepnęła. — Te skupiska punktów się przemieszczają.

Rizzoli posepnie skinęła głową.

— Z Oregonu przesuwały się na północny wschód. W ciągu następnych sześciu miesięcy dwie ciężarne kobiety zagięły w stanie Waszyngton, a potem trzecia w położonej o jeden stan dalej Montanie. — Odwróciła się i spojrzała na O'Donnell. — Ale na tym nie koniec.

O'Donnell pochyliła się na krześle, czujna jak kot czający się do skoku.

— Gdzie koncentrują się dalej te punkty?

Rizzoli spojrzała na mapę.

— W ciągu lata i jesieni przesunęły się na wschód, do Illinois i Michigan, Nowego Jorku i Massachusetts. A potem raptownie na południe.

— W którym miesiącu?

Rizzoli popatrzyła na Frosta, który przekartkował wydruki.

— Następne zaginięcie zarejestrowano w Wirginii czternastego grudnia — odparł.

— Te skupiska punktów przemieszczają się wraz z pogodą — rzekła O'Donnell.

Rizzoli spojrzała na nią.

— Co takiego?

— Mają związek z pogodą. Widzi pani, jak w ciągu letnich miesięcy przesuwały się wzdłuż środkowego zachodu? Jesienią są skoncentrowane w Nowej Anglii. A potem, w grudniu, pojawiają się nagle na południu. Kiedy robi się zimno.

Rizzoli zmarszczyła brwi, patrząc na mapę. Chryste, pomyślała. Ta kobieta ma rację. Czemu tego nie zauważyliśmy?

— Co dzieje się dalej? — spytała O'Donnell.

— Zataczają pełny krąg — wyjaśnił Frost. — Przemieszczają się na południu, z Florydy do Teksasu. I na koniec z powrotem do Arizony.

O'Donnell podniosła się z krzesła i podeszła do ekranu. Stała przy nim chwilę, przyglądając się mapie.

— Jaki przedział czasu obejmuje ten cykl?

— W tym wypadku trzy i pół roku — odparła Rizzoli.

— Spokojne tempo.

— Owszem. Ale proszę zauważyć, że liczba zaginionych kobiet w ciąży wzrasta w danym stanie tylko na krótko, nigdy nie ma zbyt wielu ofiar w tym samym rejonie. Zaginięcia zdarzają się w coraz to innych miejscach, aby władze nie dostrzegły ich regularności, nie zdawały sobie sprawy, że to się dzieje od lat.

— Co? — O'Donnell odwróciła się. — Ten cykl się powtarza?

Rizzoli skinęła głową.

— Zaczyna się od początku, na tym samym szlaku. Jak u dawnych koczowniczych plemion, podążających za stadami bizonów.

— Władze tego dotąd nie zauważyły?

— Ci myśliwi są w ciągłym ruchu. Przebywają w różnych stanach i obszarach jurysdykcji. Spędzają kilka miesięcy w jednym regionie, a potem znikają. Polują na innym terenie. A za jakiś czas wracają.

— Do znajomych miejsc.

— Bywamy w miejscach, które znamy, a znamy miejsca, w których bywamy — Rizzoli zacytowała jedną z zasad geograficznej segmentacji w kryminalistyce.

— Znaleźliście jakieś zwłoki?

— Jeszcze nie. Te sprawy pozostają niewyjaśnione.

— Muszą gdzieś grzebać ciała. Pozbywać się ich.

— Zakładamy, że korzystają z miejsc na odludziu — powiedział Frost. — Wiejskich nieużytków albo zbiorników wodnych. Skoro żadnej z tych kobiet nie znaleziono...

— Nikki i Theresę Wells tak — wtrąciła O'Donnell. — Ale ich zwłoki nie zostały zakopane, tylko spalone.

— Siostry znaleziono dwudziestego piątego listopada. Sprawdziliśmy rejestry pogody. Była wtedy nieoczekiwana zamieć. W ciągu jednego dnia spadło prawie pół metra śniegu. W stanie Massachusetts nikt się tego nie spodziewał i nieprzejezdnych było

wiele dróg. Może nie mogli się dostać do miejsca, gdzie grzebali ciała.

— I dlatego je spalili?

— Jak sama pani zauważyła, zaginięcia mają związek z pogodą — powiedziała Rizzoli. — Gdy robi się zimno, przemieszczają się na południe. Ale tamtego listopada Nowa Anglia została zaskoczona opadami śniegu. Nie oczekiwano ich tak wcześnie. — Zwróciła się do O'Donnell. — Ma pani swoją Bestię. Ta mapa pokazuje odciski stóp potwora. Myślę, że Amalthea towarzyszyła mu przez cały czas.

— Czego pani ode mnie oczekuje? Psychologicznego profilu sprawców? Wyjaśnienia, dlaczego zabijali?

— Wiemy, dlaczego to robili. Nie zabijali dla przyjemności ani dla dreszczyku emocji. To nie są typowi seryjni mordercy.

— To jakie mieli motywy?

— Nader prozaiczne, doktor O'Donnell. Pani, jako łowcy potworów, wydadzą się one zapewne banalne.

— Nie widzę w morderstwie nic banalnego. Więc dlaczego, pani zdaniem, zabijali?

— Wie pani, że Amalthea i Elijah nigdy nie pracowali? Nie znaleźliśmy żadnych dokumentów potwierdzających, by kiedykolwiek byli zatrudnieni, płacili składki na ubezpieczenie albo składali zeznania podatkowe. Nie mieli kart kredytowych ani rachunków w banku. Przez kilkadziesiąt lat byli niewidzialnymi ludźmi, żyjącymi na marginesie społeczeństwa. Z czego się utrzymywali? Jak płacili za jedzenie, paliwo i czynsz?

— Pewnie gotówką.

— Ale skąd ją mieli? — Rizzoli odwróciła się do mapy. — Oto z czego żyli.

— Nie rozumiem.

— Niektórzy ludzie łowią ryby, inni zrywają jabłka. Amalthea i jej wspólnik też zbierali plony. — Spojrzała na O'Donnell. — Czterdzieści lat temu Amalthea sprzedała do adopcji dwie nowo narodzone dziewczynki. Dostała za nie czterdzieści tysięcy dolarów. Nie sądzę, żeby była ich matką.

O'Donnell zmarszczyła brwi.

— Mówi pani o doktor Isles i jej siostrze?

— Tak. — Rizzoli poczuła niekłamaną satysfakcję, widząc zdumione spojrzenie O'Donnell. Ta kobieta nie miała pojęcia, z jaką sprawą ma do czynienia. Specjalistka od

psychiatrii, obcująca regularnie z potworami, była wyraźnie zaskoczona.

— Badałam Amaltheę — oznajmiła O'Donnell. — I zgadzam się z innymi psychiatrami...

— Że jest chora psychicznie?

— Tak. — O'Donnell westchnęła ciężko. — Z tego, co pani mi tu pokazuje, wynika, że to zupełnie inna osoba.

— Nie jest obłąkana.

— Nie wiem. Nie wiem, co o niej sądzić.

— Ona i jej kuzyn zabijali dla pieniędzy. Dla żywej gotówki. To bardzo świadome działanie.

— Możliwe...

— Ma pani częste kontakty z zabójcami, doktor O'Donnell. Rozmawia pani z nimi, spędza długie godziny z ludźmi takimi jak Warren Hoyt. — Rizzoli zamilkła na chwilę. — Rozumie ich pani.

— Staram się.

— Więc jak pani określi Amaltheę? Jest potworem czy po prostu zarabia na życie?

— Jest moją pacjentką. Tylko tyle mogę powiedzieć.

— Ale kwestionuje pani teraz swoją diagnozę, prawda? — Rizzoli wskazała na ekran. — To, co tu widać, świadczy o logicznym działaniu. Polujący koczownicy tropią zwierzynę. Czy nadal pani uważa, że ona jest niepoczytalna?

— Powtarzam, że to moja pacjentka. Muszę ją chronić.

— Nie interesuje nas Amalthea. Chcemy dopaść jego. Elijaha. — Rizzoli przysunęła się do O'Donnell, aż były niemal twarzą w twarz. — On nie przestał polować.

— Co?

— Amalthea jest już w więzieniu niemal od pięciu lat. — Rizzoli spojrzała na Frosta. — Pokaż dane z okresu od aresztowania Amalthei Lank.

Frost zdjął wcześniejsze foliogramy i nałożył na mapę nowy.

— W styczniu ciężarna kobieta zaginęła w Karolinie Południowej — powiedział. — W lutym w Georgii. W marcu — w Daytona Beach. — Położył kolejną folię. — Sześć miesięcy później to samo zdarzyło się w Teksasie.

— Amalthea Lank spędziła te wszystkie miesiące w więzieniu — rzekła Rizzoli. — Ale porwania nie ustały. Bestia działa nadal.

O'Donnell wpatrywała się w niepoohamowany strumień kropek na mapie. Jeden punkt, jedna kobieta. Jedno życie.

— Na jakim etapie cyklu jesteśmy? — spytała cicho.

— Rok temu — wyjaśnił Frost — największe skupisko zaginięć wystąpiło w Kalifornii, a potem zaczęło przesuwać się znów na północ.

— A teraz? Gdzie jest teraz?

— Ostatnie porwanie zgłoszono miesiąc temu. W Albany, w stanie Nowy Jork.

— Albany? — O'Donnell spojrzała na Rizzoli. — To znaczy...

— On jest w Massachusetts — powiedziała Rizzoli. — Bestia przybywa do miasta.

Frost wyłączył rzutnik. Gdy ucichł nagle szum wentylatora, pokój pogrążył się w złowrogiej ciszy. Ekran był teraz biały, ale obraz mapy wrył się wszystkim w pamięć. Sygnał telefonu komórkowego Frosta wydał im się wyjątkowo głośny.

— Przepraszam — rzekł Frost, wychodząc z pokoju.

Rizzoli zwróciła się do O'Donnell:

— Niech nam pani opowie o Bestii. Jak go znaleźć?

— Tak samo jak każdego człowieka z krwi i kości. Czy policja tego nie potrafi? Macie już jego nazwisko. Od tego trzeba zacząć.

— Nie ma karty kredytowej ani rachunku w banku. Trudno go wyśledzić.

— Nie jestem psem gończym.

— Rozmawiała pani z najbliższą mu osobą. Tylko ona może wiedzieć, jak go odszukać.

— Nasze rozmowy były poufne.

— Wymieniła kiedykolwiek jego imię? Wspomniała, że chodzi o jej kuzyna, Elijaha?

— Nie jestem upoważniona do ujawniania treści prywatnych rozmów, które prowadziłam z pacjentką.

— Elijah Lank nie jest pani pacjentem.

— Ale opiekuję się Amaltheą, a pani ją również próbuje oskarżać. O wielokrotne zabójstwa.

— Nie interesuje nas Amalthea. Chcę schwytać jego.

— Nie mam obowiązku pani w tym pomagać.

— A co z cholerną obywatelską odpowiedzialnością?

— Detektyw Rizzoli — przerwał jej Marquette.

Rizzoli wpatrywała się nadal w O'Donnell.

— Proszę pomyśleć o tej mapie. O tych punktach i kobietach. On jest teraz w pobliżu. Poluje na kolejną ofiarę.

O'Donnell opuściła wzrok na sterczący brzuch Rizzoli.

— Więc powinna pani być ostrożna, pani detektyw, prawda?

Rizzoli przyglądała się w milczeniu, jak O'Donnell sięga po neseser.

— Wątpię, czy wiele mogłabym dodać — oznajmiła. — Jak pani wspomniała, zabójca postępuje racjonalnie i pragmatycznie. Nie kierują nim żądze ani poszukiwanie przyjemności. Po prostu musi zarobić na życie. Zajęcie, które wybrał, jest trochę nietypowe. Sporządzenie profilu sprawcy nie pomoże go pani schwytać, ponieważ nie jest potworem.

— Pani z pewnością potrafi je rozpoznawać.

— Nauczyłam się tego. Pani zresztą także. — O'Donnell odwróciła się do drzwi, ale przystanęła jeszcze i obejrzała się z beznamiętnym uśmiechem. — Skoro mowa o potworach, pani detektyw, dawny znajomy pyta o panią za każdym razem, gdy go odwiedzam.

O'Donnell nie musiała wymieniać jego nazwiska. Obie wiedziały, że chodzi o Warrena Hoyta. Człowieka, który nadal prześladował ją w koszmarnych snach, którego skalpel pozostawił prawie dwa lata temu blizny na jej przegubach.

— Wciąż o pani myśli — powiedziała O'Donnell. Jeszcze jeden uśmiech, zdawkowy i drwiący. — Przyszło mi do głowy, że zechce pani to wiedzieć. — Zniknęła za drzwiami.

Rizzoli czuła, jak Marquette na nią patrzy, czekając na jej reakcję, chcąc się przekonać, czy straci nad sobą panowanie. Ulżyło jej, gdy on także wyszedł z pokoju, zostawiając ją samą, by mogła spakować rzutnik. Zebrała folie, wyciągnęła z gniazdka wtyczkę i zwinęła kabel, wyładowując na nim całą złość. Pchając wózek z rzutnikiem na korytarz, zderzyła się niemal z Frostem, który zamykał właśnie telefon komórkowy.

— Jedziemy — oznajmił.

— Dokąd?

— Do Natick. Zgłoszono tam zaginięcie kobiety.

Rizzoli zmarszczyła brwi.

— Czy ona...

Frost skinął głową.

— Jest w dziewiątym miesiącu ciąży.

Rozdział dwudziesty piąty

— Moim zdaniem — oznajmił detektyw Sarmiento z Natick — to podobny przypadek jak z Laci Peterson. Mąż ma romans na boku i małżeństwo się sypie.

— Przyznał, że ma kochankę? — spytała Rizzoli.

— Jeszcze nie, ale ja to wyczuwam. — Sarmiento postukał palcem po nosie i zaśmiał się. — Zapach innej kobiety.

Tak, zapewne potrafił go wyczuć, pomyślała Rizzoli, gdy Sarmiento prowadził ją i Frosta obok biurka z lśnącymi ekranami komputerów. Wyglądał na człowieka, który zna się na kobietach. Szedł pewnym krokiem, lekko odchylając w bok prawą rękę z powodu noszenia przez lata broni na biodrze. Widać było z daleka, że jest gliną. Barry Frost nigdy nie nabrał takiej manieri. Przy barczystym, ciemnowłosym Sarmiento wyglądał ze swym nieodłącznym piórem i notesem jak blady urzędnik.

— Zaginiona kobieta to Matilda Purvis — oznajmił Sarmiento, zatrzymując się przy biurku, by wziąć teczkę, którą podał Rizzoli. — Biała, trzydzieści jeden lat. Od siedmiu miesięcy jest żoną Dwayne'a Purvisa, właściciela salonu bmw w miasteczku. Ostatni raz widział żonę w piątek, gdy wpadła do niego do biura. Chyba się pokłócili, bo świadkowie twierdzą, że wyszła z płaczem.

— Kiedy zgłosił jej zaginięcie? — dopytywał się Frost.

— W niedzielę.

— Dopiero po dwóch dniach?

— Mówi, że po sprzeczce chciał, żeby wszystko przycichło, więc zatrzymał się w hotelu. Wrócił do domu dopiero w niedzielę. Samochód żony stał w garażu, w skrzynce nadal były listy z soboty. Uznał, że coś jest nie w porządku. Przyjęliśmy zgłoszenie w niedzielę wieczorem. A dziś rano zobaczyliśmy wasz komunikat na temat zaginionych ciężarnych kobiet. Nie jestem pewien, czy ten przypadek was zainteresuje. Wygląda mi to raczej na klasyczny konflikt małżeński.

— Sprawdził pan, w którym hotelu nocował? — spytała Rizzoli.

Sarmiento odpowiedział uśmiechem.

— Kiedy ostatnio z nim rozmawiałem, miał trudności z przypomnieniem sobie, co to był za hotel.

Rizzoli otworzyła teczkę i zobaczyła zdjęcie Matildy Purvis i jej męża, zrobione w dniu ślubu. Skoro byli małżeństwem dopiero od siedmiu miesięcy, musiała być już wtedy w drugim miesiącu ciąży. Panna młoda miała słodką buzię, brązowe włosy, piwne oczy i dziewczęco zaokrąglone policzki. Jej uśmiech dowodził pełni szczęścia. Wyglądała na kobietę, której marzenie życia właśnie się spełniło. Stojący przy niej Dwayne Purvis wydawał się zmęczony, niemal znudzony. Pod zdjęciem można by umieścić podpis: Będą kłopoty.

Sarmiento poprowadził ich korytarzem do mrocznego pomieszczenia. Przez jednostronne lustro widzieli sąsiedni pokój przesłuchań, chwilowo pusty. Wśród nagich białych ścian stał stół i trzy krzesła, a w kącie pod sufitem zainstalowana była kamera wideo. Było to pomieszczenie przystosowane do wyciskania z ludzi prawdy.

Zobaczyli przez szybę, jak otwierają się drzwi i wchodzi do środka dwaj mężczyźni. Jeden z nich był policjantem, łysawym, z wydatnym torsem, o pozbawionej wyrazu twarzy. Twarzy, która sprawiała, że człowiek pragnął zobaczyć na niej jakikolwiek przejaw uczucia.

— Tym razem zajmie się nim detektyw Ligett — mruknął Sarmiento. — Zobaczymy, czy uda się z niego wydobyć coś nowego.

— Niech pan siada — usłyszeli głos Ligetta. Dwayne usiadł twarzą do szyby. Z jego punktu widzenia było to lustro. Czy zdawał sobie sprawę, że obserwują go z drugiej strony? Rizzoli wydawało się przez chwilę, że skupia na niej wzrok. Miała ochotę się cofnąć, ukryć się w mroku. Dwayne Purvis nie wyglądał bynajmniej groźnie. Miał po trzydziestce. Był w zwyczajnej białej koszuli bez krawata i brązowych drelichowych spodniach. Na przegubie nosił zegarek marki Breitling. Nie postępował rozsądnie, błyskając na przesłuchaniu biżuterią, na którą policjanta nie stać. Dwayne, w miarę przystojny i nonszalancko pewny siebie, mógł podobać się kobietom, jeśli lubiły mężczyzn, którzy chętni byli kosztownymi zegarkami.

— Musi sprzedawać dużo samochodów — odezwała się Rizzoli.

— Jest zadłużony po uszy — odparł Sarmiento. — Jego dom należy do banku.

— Ma polisę na żonę?

— Na dwieście pięćdziesiąt tysięcy.

— Za mało, żeby warto było ją zabijać.

— Mimo wszystko to dwieście pięćdziesiąt patoli. Ale bez zwłok trudno mu będzie wyegzekwować tę forszę. A na razie ich nie znaleziono.

W sąsiednim pokoju detektyw Ligett powiedział:

— W porządku, Dwayne. Chcę wrócić do paru szczegółów. — Głos Ligetta był równie beznamiętny jak wyraz jego twarzy.

— Rozmawiałem już z tym drugim policjantem — powiedział Dwayne. — Zapomniałem jego nazwiska. To facet, który wygląda jak ten aktor. No wie pan, Benjamin Bratt.

— Detektyw Sarmiento?

— Właśnie.

Stojący obok Rizzoli Sarmiento mruknął z zadowoleniem. Zawsze miło usłyszeć, że jest się podobnym do Benjamin Bratta.

— Nie wiem, po co traci pan tutaj czas — zauważył Dwayne. — Powinien pan szukać mojej żony.

— Szukamy jej, Dwayne.

— Czemu służy to przesłuchanie?

— Nigdy nie wiadomo. Może przypomni pan sobie jakiś szczegół, który okaże się istotny dla śledztwa. — Ligett milczał przez chwilę. — Na przykład...

— Co?

— W jakim zatrzymał się pan hotelu. Dalej pan nie pamięta?

— To był jakiś zwyczajny hotel.

— Jak pan zapłacił za pokój?

— To bez znaczenia!

— Używa pan karty kredytowej?

— Chyba tak.

— Chyba?

Dwayne sapnął z irytacją.

— Tak, zapłaciłem kartą.

— A więc nazwa hotelu powinna być na kwicie. Wystarczy tylko sprawdzić.

Milczenie.

— No dobrze. Już sobie przypominałem. To był hotel Crowne Plaza.

— W Natick?

— Nie. W Wellesley.

Towarzyszający Rizzoli Sarmiento sięgnął nagle do zawieszzonego na ścianie telefonu i mruknął do słuchawki:

— Mówi detektyw Sarmiento. Poproszę z hotelem Crowne Plaza w Wellesley.

W pokoju przesłuchań Ligett zapytał:

— Wellesley jest trochę daleko od domu, prawda?

Dwayne westchnął.

— Musiałem zaczerpnąć trochę powietrza, to wszystko. Potrzebowałem czasu dla siebie. Mattie ciągle się mnie ostatnio czepiała. Poza tym muszę chodzić do pracy, a tam też wszyscy czegoś ode mnie chcą.

— Ciężkie życie, co? — Ligett powiedział to obojętnym tonem, bez cienia sarkazmu, który skrzętnie maskował.

— Każdy chce ubić interes. Muszę uśmiechać się przez zaciśnięte zęby do klientów, którzy oczekują gwiazdki z nieba. Nie mogę im jej dać. Za taki wóz jak bmw trzeba zapłacić. Dobija mnie to, że mają szmal, a chcą wydusić ze mnie ostatniego centa.

Jego żona zaginęła, być może nie żyje, pomyślała Rizzoli, a on się wkurza na szukających okazji klientów?

— Dlatego właśnie mnie poniosło. O to się pokłóciliśmy.

— Z żoną?

— Tak. Nie chodziło o nas, tylko o interesy. Jest ciężko z forszą. Tylko o to poszło. Mamy trudną sytuację.

— Pracownicy, którzy byli świadkami sprzeczki...

— Jacy pracownicy? Z kim pan rozmawiał?

— Ze sprzedawcą i mechanikiem. Obaj twierdzili, że pańska żona wyszła bardzo zdenerwowana.

— No cóż, jest w ciąży. Denerwuje się z byle powodu. Przez te wszystkie hormony nie potrafi się kontrolować. Z ciężarnymi kobietami nie ma dyskusji.

Rizzoli poczuła, że się czerwieni. Zastanawiała się, czy Frost myśli o niej tak samo.

— Poza tym ciągle jest zmęczona — kontynuował Dwayne. — Wybucho nagle płaczem. Bolą ją plecy i stopy. Musi co dziesięć minut biegać do łazienki. — Wzruszył ramionami. — Staram się to znosić, ale...

— Sympatyczny facet — rzekł Frost.

Sarmiento odwiesił nagle słuchawkę i wyszedł. Po chwili zobaczyli przez szybę, jak wsuwa głowę do pokoju przesłuchań i daje znak Ligettowi. Obaj detektywi zniknęli za drzwiami. Dwayne, pozostawiony sam przy stole, spojrzął na zegarek i poruszył się na krześle. Zerknąwszy w lustro, zmarszczył brwi. Wyjął z kieszeni grzebień i zaczął poprawiać włosy, by były idealnie przyczesane. Zrozpaczony mąż, szykujący się do kamery przed popołudniowym serwisem wiadomości.

Sarmiento wślizgnął się z powrotem do pokoju, w którym byli Rizzoli i Frost i mrugnął do nich porozumiewawczo.

— Mamy go — wyszeptał.

— Czego się pan dowiedział?

— Patrzcie.

Zobaczyli przez szybę, jak Ligett wchodzi ponownie do pokoju przesłuchań. Zamknął drzwi i wpatrywał się w Dwayne'a w milczeniu. Dwayne znieruchomiał, ale nad kołnierzykiem koszuli widać było pulsującą na jego szyi tętnicę.

— A więc — odezwał się Ligett. — Powie mi pan teraz prawdę?

— Na jaki temat?

— Tych dwóch nocy w hotelu Crowne Plaza?

Dwayne się roześmiał. Zważywszy na okoliczności, nie była to stosowna reakcja.

— Nie wiem, o co panu chodzi.

— Detektyw Sarmiento dzwonił właśnie do hotelu. Potwierdzają, że zatrzymał się pan u nich na dwie noce.

— A widzi pan? Mówiłem, że...

— Kim była kobieta, która panu towarzyszyła, Dwayne? Atrakcyjna blondynka. Jadała z panem śniadanie w hotelowej restauracji.

Dwayne zamilkł, przełykając z trudem ślinę.

— Czy pańska żona wie o tej blondynce? Czy z tego powodu się pokłóciliście?

— Nie.

— A więc nie wiedziała o niej?

— Nie! To znaczy, nie dlatego się posprzeczailiśmy.

— Jasne.

— Próbuje pan przedstawić sprawę w najgorszym świetle!

— Co, ta dziewczyna nie istnieje? — Ligett przysunął się bliżej, patrząc Dwayne'owi prosto w twarz. — Nietrudno ją będzie znaleźć. Prawdopodobnie sama do nas przyjdzie. Jak zobaczy pana zdjęcie w wiadomościach, zda sobie sprawę, że lepiej powiedzieć od razu całą prawdę.

— To nie ma nic wspólnego z... Wiem, że nie wygląda to za dobrze, ale...

— Racja.

— W porządku. — Dwayne westchnął ciężko. — Zbłądziłem, zgoda? To się zdarza wielu facetom w mojej sytuacji. Ciężko jest, kiedy żona tak tyje, że nie można już tego z nią robić. Sterczy jej brzuch. I w ogóle nie jest zainteresowana.

Rizzoli patrzyła niewzruszenie przed siebie, zastanawiając się, czy Frost i Sarmiento spoglądają na nią. Tak, ona też miała wielki brzuch. I męża poza miastem. Wpatrywała się w Dwayne'a i wyobrażała sobie Gabriela siedzącego na krześle i wypowiadającego te słowa. Chryste, przestań się dręczyć, pomyślała, nie mąć sobie w głowie. To nie Gabriel, tylko nieudacznik Dwayne Purvis, którego przyłapano z kochanką i który teraz nie potrafi poradzić sobie z konsekwencjami. *Twoja żona dowiaduje się o dziewczynie na boku, więc myślisz sobie: żegnajcie zegarki marki Breitling i połowa domu, teraz osiemnaście lat łożenia na dziecko... Ten dupek jest z pewnością winny.*

Spojrzała na Frosta, który pokręcił głową. Oboje wiedzieli, że to tylko powtórka dramatu, który widywali już wiele razy.

— Groziła panu rozwodem? — spytał Ligett.

— Nie. Mattie nic o niej nie wiedziała.

— Po prostu przysłała do pracy i wszczęła awanturę?

— To było głupie. Opowiadałem już o tym detektywowi Sarmiento.

— Dlaczego poniosły pana nerwy, Dwayne?

— Bo złapała gumę i nawet tego nie zauważyła! Jak trzeba być tępym, żeby nie widzieć, że zdiera się obręcz koła? Zobaczył to sprzedawca. Nowiutka opona, rozdarta na strzępy. Chyba na ten widok zacząłem na nią krzyczeć. Rozryczała się, i to rozdrażniło mnie jeszcze bardziej, bo czuję się wtedy jak kretyn.

Jesteś kretynem, pomyślała Rizzoli.

— Chyba dość już usłyszeliśmy — powiedziała, spoglądając na Sarmiento.

— A nie mówiłem?

— Zawiadomi nas pan, gdyby pojawiło się coś nowego?

— Tak, tak. — Sarmiento znów patrzył na Dwayne'a. — To prosta sprawa, gdy ktoś jest tak tępy.

Rizzoli i Frost ruszyli do wyjścia.

— Kto wie, ile kilometrów przejechała z tą pękniętą oponą — ciągnął Dwayne. — Mogła, do cholery, złapać gumę już wtedy, kiedy była u lekarki.

Rizzoli nagle znieruchomiała. Odwróciwszy się z powrotem do szyby, spojrzała na Dwayne'a, marszcząc brwi. Poczowała, jak pulsują jej skronie. *Chryste. Omal tego nie przeoczyłam.*

— O jakiej lekarce on mówi? — spytała Sarmiento.

— Doktor Fishman. Rozmawiałem z nią wczoraj.

— Dlaczego pani Purvis do niej poszła?

— To była rutynowa wizyta, nic niezwykłego.

Rizzoli spojrzała na Sarmiento.

— Czy doktor Fishman jest ginekologiem?

Skinął głową.

— Ma gabinet w klinice dla kobiet przy Bacon Street.

* * *

Doktor Susan Fishman spędziła prawie całą noc w szpitalu i na jej twarzy malowało się wyczerpanie. Nieumyte kasztanowe włosy miała związane w ogonek, a kieszenie białego fartucha, który włożyła na wymięty lekarski uniform, były tak obciążone różnymi medycznymi narzędziami, że ramiona zdawały się jej obwisać pod ich ciężarem.

— Larry z ochrony przyniósł taśmy wideo — oznajmiła, prowadząc Rizzoli i Frosta z recepcji kliniki na korytarz z tyłu budynku. Jej tenisówki skrzypiały po linoleum. — Instaluje właśnie magnetowid w sali na zapleczu. Dzięki Bogu, że nikt nie oczekuje tego ode mnie. Nie mam nawet wideo w domu.

— Klinika ma jeszcze nagrania sprzed tygodnia? — spytał Frost.

— Podpisaliśmy kontrakt z firmą ochroniarską. Trzymają taśmy co najmniej przez tydzień. Prosiliśmy o to, zważywszy na wszystkie zagrożenia.

— Jakie zagrożenia?

— Nasz szpital daje kobiecie prawo wyboru. Nie wykonujemy na miejscu aborcji, ale

sam fakt, że określamy go jako klinikę dla kobiet, budzi protesty prawników. Wolimy pilnować, kto wchodzi do budynku.

— Czyli mieliście już jakieś problemy?

— Jak można było się spodziewać. Listy z pogrózkami. Koperty z rzekomym wąglikiem. Wizyty różnych dupków, robiących zdjęcia naszym pacjentkom. Dlatego zainstalowaliśmy na parkingu kamerę. Chcemy widzieć każdego, kto zbliża się do drzwi frontowych. — Poprowadziła ich kolejnym korytarzem, ozdobionym równie sympatycznymi plakatami jak każdy szpital położniczy. Były tam informacje na temat karmienia piersią, diety ciążowej, wymieniano też „pięć ostrzegawczych sygnałów, że partner cię wykorzystuje”. Na jednym z plakatów widniał przekrój brzucha ciężarnej kobiety. Rizzoli poczuła się trochę niezręcznie, idąc obok Frosta i widząc na ścianie anatomię swojego ciała. Jelita, pęcherz, macicę. Skulone kończyny płodu. Zaledwie tydzień temu przechodziła obok tego samego plakatu Matilda Purvis.

— Wszyscy martwimy się o Mattie — powiedziała doktor Fishman. — To taka słodka istota. I tak się cieszyła dzieckiem.

— Czy podczas ostatniej kontroli wszystko było w porządku? — spytała Rizzoli.

— O tak. Wyraźnie wyczuwalne tętno, właściwa pozycja płodu. Wszystko jak najlepiej. — Fishman spojrzała na Rizzoli i spytała posepnie: — Myśli pani, że to sprawa jej męża?

— Dlaczego pani pyta?

— Czy zwykle tak nie jest? Przyszedł z nią tylko raz, na samym początku. Przez cały czas nie ukrywał znużenia. Potem Mattie przychodziła do mnie sama. To czegoś dowodzi. Skoro dwoje ludzi płodzi dziecko, powinni zjawiać się na badania razem. Ale to tylko moje zdanie. — Otworzyła drzwi. — To nasza sala konferencyjna.

Larry z firmy ochroniarskiej czekał tam na nich.

— Przygotowałem już taśmę — oznajmił. — Skoncentrowałem się na przedziale czasu, który państwa interesuje. Doktor Fishman, proszę obejrzeć ten materiał i powiedzieć nam, jak zauważy pani swoją pacjentkę.

Fishman westchnęła i usadowiła się na krześle naprzeciwko monitora.

— Nigdy jeszcze nie musiałam oglądać takiego filmu.

— Ma pani szczęście — rzekł Larry. — Są zwykle dość nudne.

Rizzoli i Frost usiedli po obu stronach doktor Fishman.

— W porządku — powiedziała Rizzoli. — Zobaczmy, co pan tam ma.

Larry włączył nagranie.

Na monitorze pojawił się widok głównego wejścia do kliniki. Był pogodny dzień i zaparkowane przed budynkiem samochody lśniły w promieniach słońca.

— Ta kamera jest zainstalowana na szczycie latarni na parkingu — wyjaśnił Larry. — U dołu ekranu widać godzinę. Czternasta zero pięć.

Na parking wjechał saab. Otworzyły się drzwiczki po stronie kierowcy i z samochodu wysiadła wysoka brunetka. Poszła w kierunku kliniki i zniknęła w środku.

— Mattie miała wizytę o wpół do drugiej — powiedziała doktor Fishman. — Może powinien pan cofnąć trochę taśmę.

— Proszę patrzeć dalej — poradził Larry. — Tutaj. Czternasta trzydzieści. Czy to ona?

Z budynku wyszła właśnie jakaś kobieta. Stała na chwilę w słońcu i przysłoniła oczy dłonią, jakby raziło ją światło.

— To ona — potwierdziła Fishman. — To Mattie.

Mattie zaczęła oddalać się od budynku, poruszając się kaczym krokiem charakterystycznym dla kobiet w zaawansowanej ciąży. Szła rozkojarzona, szperając bez pośpiechu w torebce w poszukiwaniu kluczyków do samochodu. Nagle przystanęła, rozglądając się półprzytomnie wokół, jakby zapomniała, gdzie zaparkowała wóz. Tak, ta kobieta mogła nie zauważyć, że ma przebitą oponę, pomyślała Rizzoli. W końcu Mattie odwróciła się i poszła w zupełnie innym kierunku, znikając z pola widzenia kamery.

— To wszystko, co pan ma? — spytała Rizzoli.

— Tego pani potrzebowała, prawda? — odparł Larry. — Potwierdzenia czasu jej wyjścia z budynku?

— Ale gdzie jest jej samochód? Nie widać, jak do niego wsiada.

— Ma pani wątpliwości, czy to zrobiła?

— Po prostu chcę zobaczyć, jak wyjeżdża z parkingu.

Larry wstał i podszedł do magnetowidu.

— Mogę pani jeszcze pokazać ujęcia z kamery zamontowanej po drugiej stronie parkingu — oznajmił, zmieniając kasetę. — Ale to chyba niewiele pomoże, bo jest w dużej odległości. — Wziął do ręki pilota i znów włączył odtwarzanie.

Pojawił się kolejny widok. Tym razem zobaczyli tylko jeden narożnik budynku

kliniki. Większość ekranu wypełniały zaparkowane samochody.

— To wspólny parking kliniki i znajdującego się obok szpitala chirurgicznego — wyjaśnił Larry. — Dlatego jest tu tyle samochodów. Proszę spojrzeć. Czy to nie ona?

W oddali widać było głowę Mattie, idącej wzdłuż szeregu samochodów. Nagle zniknęła z pola widzenia. Chwilę później z miejsca na parkingu wyjechał niebieski samochód.

— To wszystko, co mamy — podsumował Larry. — Ta kobieta wychodzi z budynku, wsiada do samochodu i odjeżdża. Cokolwiek się jej przydarzyło, nie stało się tutaj. — Sięgnął po pilota.

— Chwileczkę — powstrzymała go Rizzoli.

— Co takiego?

— Niech pan cofnie taśmę.

— Jak daleko?

— Jakieś trzydzieści sekund.

Larry włączył przewijanie i na monitorze ukazały się na chwilę kolorowe punkciki, a potem znów obraz zaparkowanych samochodów. Zobaczyli Mattie wsiadającą do wozu. Rizzoli wstała z krzesła, podeszła do monitora i przyglądała się, jak Mattie odjeżdża. I jak przez róg ekranu przesuwa się biała plama, zmierzając w tym samym kierunku co bmw Mattie.

— Stop — powiedziała Rizzoli. Obraz zamarł. Rizzoli dotknęła ekranu. — Tutaj. Ta biała furgonetka.

— Jedzie równolegle z samochodem ofiary — rzekł Frost. *Ofiary*. Zakładał już najgorszą ewentualność.

— I co z tego? — spytał Larry.

Rizzoli spojrzała na doktor Fishman.

— Rozpoznaje pani ten samochód?

Lekarka wzruszyła ramionami.

— Zupełnie nie zwracam uwagi na samochody. Nie znam się na markach i modelach.

— Ale widziała pani już kiedyś tę białą furgonetkę?

— Nie wiem. Wygląda jak każda inna.

— Czemu pani się nią interesuje? — spytał Larry. — Widać przecież, że ta kobieta wsiada bezpiecznie do swojego samochodu i odjeżdża.

— Niech pan przewinie taśmę — poleciła Rizzoli.

— Chce pani obejrzyć jeszcze raz to samo?

— Nie. Wcześniejszy fragment. — Spojrzała na doktor Fishman. — Wspomniała pani, że Mattie miała wizytę o wpół do drugiej?

— Tak.

— Wróćmy do godziny trzynastej.

Larry wcisnął przewijanie. Po chwili rozproszone punkty na monitorze utworzyły znów obraz. U dołu ekranu pojawił się napis: 1.02.

— Wystarczy — powiedziała Rizzoli. — Obejrzyjmy to.

W miarę upływu sekund widzieli wjeżdżające i wyjeżdżające samochody. Zobaczyli kobietę, która wyciągnęła z fotelików dwójkę maluchów i szła przez parking, trzymając ich mocno za ręce.

O trzynastej zero osiem pojawiła się biała furgonetka. Przejechała powoli wzdłuż szeregu samochodów i zniknęła z pola widzenia kamery.

O trzynastej dwadzieścia pięć wjechało na parking niebieskie bmw Mattie Purvis. Zasłaniał ją częściowo rząd aut, zobaczyli więc tylko czubek głowy, gdy Mattie wysiadła z samochodu i szła w kierunku budynku.

— Wystarczy? — spytał Larry.

— Jeszcze nie.

— Czego właściwie szukamy?

Rizzoli poczuła przyspieszony puls.

— Tego — odezwała się cicho.

Biała furgonetka była znów na ekranie. Jechała powoli wzdłuż szeregu samochodów. Zatrzymała się między kamerą a niebieskim bmw.

— Cholera! — zaklęła Rizzoli. — Zasłania nam widok. Nie widać, co robi kierowca.

Po kilku sekundach furgonetka odjechała. Nie udało im się dostrzec twarzy kierowcy ani tablicy rejestracyjnej.

— O co tu chodzi? — spytała doktor Fishman.

Rizzoli odwróciła się i spojrzała na Frosta. Nie musiała nic mówić. Oboje rozumieli, co zdarzyło się na parkingu. *Przebita opona. Theresa i Nikki Wells też złapały gumę.*

A więc tak je znajduje, pomyślała. Parking przy szpitalu. Ciężarne kobiety, przybywające z wizytą do lekarza. Szybkie przekłucie opony, a potem wystarczy już

tylko cierpliwie czekać. Podążasz za ofiarą, gdy wyjeżdża z parkingu. A gdy się zatrzyma, jesteś tuż za nią.

Gotów pospieszyć z pomocą.

* * *

Gdy Frost prowadził samochód, Rizzoli siedziała obok, myśląc o życiu poczętym w jej łonie. O tym, jak cienka warstwa skóry i mięśni chroniła jej dziecko. Ostrze noża nie musiałyby sięgać głęboko. Wystarczyłoby szybkie cięcie brzucha, od mostka do łona, bez martwienia się o blizny, gdyż nie musiałyby się goić. O zdrowie matki nie trzeba by się troszczyć. Jest tylko jednorazowym opakowaniem, które otwiera się dla ukrytego wewnątrz skarbu. Przytknęła dłonie do brzucha i poczuła nagle mdłości na myśl, co może teraz przeżywać Mattie Purvis. Z pewnością Mattie nie miała takich groteskowych wyobrażeń, gdy spoglądała na swoje odbicie w lustrze. Może widząc napiętą skórę na brzuchu, czuła żal, że przestała być atrakcyjna. Smutek, że mąż patrzy już na nią bez zainteresowania. Nie z pożądaniem ani z miłością.

Czy wiedziałaś, że Dwayne ma romans?

Rizzoli spojrzała na Frosta.

— On będzie potrzebował pośrednika.

— Co?

— Kiedy dostanie w swoje ręce noworodka, co z nim zrobi? Musi znaleźć pośrednika. Kogoś, kto załatwi adopcję, przygotuje wszystkie dokumenty. I wypłaci mu gotówkę.

— Van Gates.

— Wiemy, że już co najmniej raz zrobił to dla Amalthei.

— To było czterdzieści lat temu.

— Ile innych adopcji załatwił w tym czasie? Ile dzieci przekazał rodzinom, które za nie zapłaciły? Musi mieć z tego sporo forsy. — *Na utrzymanie młodej żony w różowym body.*

— Van Gates nie zechce współpracować.

— Nie ma szans. Ale teraz wiemy, czego szukać.

— Białej furgonetki.

Frost prowadził przez chwilę w milczeniu.

— Wiesz co — odezwał się w końcu — jeśli ta furgonetka pojawi się koło jego domu, to będzie zapewne znaczyło... — Przerwał w pół zdania.

Że Mattie Purvis już nie żyje, pomyślała Rizzoli.

Rozdział dwudziesty szósty

Mattie przywarła plecami do jednej ze ścian, przyłożyła stopy do drugiej i napierała na nią z całej siły. Liczyła sekundy, czując, jak drżą jej nogi, a na twarz występują krople potu. *Jeszcze pięć sekund. Dziesięć.* Dostała zadyszki, a jej łydki i uda pulsowały przyjemnym ciepłem. Nie poruszała nimi prawie w tej skrzyni. Spędziła zbyt wiele godzin skulona, użalając się nad sobą, a tymczasem wiotczały jej mięśnie. Pamiętała, jak kiedyś leżała z powodu ciężkiej grypy, mając gorączkę i dreszcze. Gdy po kilku dniach wstała z łóżka, była tak osłabiona, że musiała iść na czworakach do łazienki. Zbyt długie leżenie pozbawiało człowieka sił. Wkrótce będzie ich potrzebowała. Musiała być gotowa, kiedy wróci porywacz.

Bo była pewna, że wróci.

Dość odpoczynku. Stopy z powrotem na ścianę. Przyj!

Jęknęła, a jej czoło zrosił pot. Przypomniała sobie, jak na filmie *GI Jane* szczupła i delikatna Demi Moore podnosiła ciężary. Mattie miała ten obraz przed oczami, napierając na ściany swej klatki. Napręż mięśnie. Walcz. I pokonaj drania.

Dyszac ciężko, znów oparła się o ścianę, żeby odpocząć.

Oddychała głęboko, czekając, aż ustąpi ból w nogach. Zamierzała powtórzyć ćwiczenie, gdy poczuła nagle skurcz w brzuchu.

I jeszcze jeden.

Czekała, wstrzymując oddech w nadziei, że zaraz minie. I rzeczywiście. Macica ćwiczyła mięśnie, tak jak ona. Nie było to bolesne, ale oznaczało, że zbliża się jej czas.

Zaczekaj, maleństwo. Musisz poczekać jeszcze trochę.

Rozdział dwudziesty siódmy

Maura pozbywała się ponownie dowodów swej tożsamości. Włożyła do szafki torebkę, potem zegarek, pasek i kluczyki od samochodu. Ale nawet z moją kartą kredytową, prawem jazdy i numerem ubezpieczenia i tak nie wiem, kim naprawdę jestem, pomyślała. Jedyna osoba, która to wie, czeka na mnie po drugiej stronie barierki.

Zdjęła buty w boksie dla odwiedzających i położyła je na blacie do sprawdzenia, po czym przeszła przez bramkę do wykrywania metalu.

Czekała już na nią strażniczka.

— Doktor Isles?

— Tak.

— Prosiła pani o oddzielną salę do rozmowy?

— Muszę pomówić z więźniarką na osobności.

— Mimo wszystko jest tam kamera. Wie pani o tym?

— Bylebyśmy mogły rozmawiać w cztery oczy.

— To rozmównica, w której więźniarki spotykają się z adwokatami. Zapewnia dyskrecję. — Strażniczka poprowadziła Maurę przez publiczną salę widzeń w głąb korytarza. Otworzywszy drzwi, wskazała ręką, by weszła.

— Przyprowdzimy ją tutaj. Proszę usiąść.

Maura zobaczyła w środku stół i dwa krzesła. Usiadła twarzą do drzwi. Od korytarza dzieliła pokój szyba z pleksiglasu, a w dwóch narożnikach zainstalowane były kamery. Czekała, czując, jak mimo klimatyzacji pocą się jej ręce. Podniósłszy wzrok, wzdrygnęła się na widok ciemnych, beznamiętnych oczu Amalthei, wpatrujących się w nią zza szyby.

Strażniczka wprowadziła ją do sali i posadziła na krześle.

— Niewiele dziś mówi. Nie wiem, czy cokolwiek pani powie, ale proszę spróbować.

— Strażniczka pochyliła się, założyła Amalthei na kostkę stalowe kajdanki i przymocowała je do nogi stołu.

— Czy to naprawdę konieczne? — spytała Maura.

— Takie są przepisy, dla pani bezpieczeństwa. — Strażniczka wyprostowała się. —

Kiedy pani skończy, proszę przycisnąć guzik interkomu na ścianie. Przyjdziemy po nią.
— Poklepała Amaltheę po ramieniu. — Porozmawiaj z tą panią, dobrze, złotko? Przyjechała z daleka specjalnie do ciebie. — Rzuciła Maurze spojrzenie, które mówiło „powodzenia”, i wyszła, zamykając za sobą drzwi na klucz.

Minęła chwila.

— Byłam u ciebie w zeszłym tygodniu — zaczęła Maura. — Pamiętasz?

Amalthea siedziała skulona, wpatrując się w blat stołu.

— Powiedziałaś coś do mnie, gdy już wychodziłam. Powiedziałaś: „Teraz ty też umrzesz”. Co miałaś na myśli?

Milczenie.

— Próbowалаś mnie ostrzec, prawda? Dać do zrozumienia, żebym zostawiła cię w spokoju. Nie chciałaś, żebym grzebała w twojej przeszłości.

Znów milczenie.

— Nikt nas nie słyszy, Amaltheo. Jesteśmy w tym pokoju same. — Maura położyła ręce na stole, żeby pokazać, że nie ma żadnego magnetofonu ani notatnika. — Nie jestem policjantką ani prokuratorem. Możesz mi powiedzieć, co zechcesz, i zostanie to między nami. — Pochyliła się niżej, dodając cicho: — Wiem, że rozumiesz wszystko, co do ciebie mówię. Więc spójrz na mnie, do cholery. Mam dość tej gry.

Chociaż Amalthea nie podniosła głowy, mięśnie jej ramion wyraźnie się napięły. *Ona mnie słucha. Czeka, co mam do powiedzenia.*

— To była groźba, prawda? Mówiąc, że umrę, dawałaś do zrozumienia, żebym trzymała się od ciebie z daleka, bo skończę jak Anna. Myślałam, że to tylko bełkot osoby chorej psychicznie, ale mówiłaś serio. Chronisz go, prawda? Osłaniasz Bestię.

Amalthea uniosła powoli głowę. Spojrzenie jej ciemnych oczu było tak zimne i pozbawione wyrazu, że Maura cofnęła się, czując ciarki na skórze.

— Wiemy o nim — powiedziała Maura. — Wiemy o was obojgu.

— Co wiecie?

Maura nie oczekiwała, że Amalthea się odezwie. Wyszeptała to pytanie tak cicho, że Maura nie była pewna, czy naprawdę je słyszała. Przełknęła ślinę. Wciągnęła głęboko powietrze, poruszona mroczną otchłanią tych oczu. Nie było w nich obłędu, tylko pustka.

— Jesteś równie poczytalna jak ja — ciągnęła. — Ale nie chcesz, żeby ktokolwiek o tym wiedział. O wiele łatwiej jest ukrywać się pod maską schizofreniczki. Łatwiej

udawać chorą psychicznie, bo ludzie zawsze zostawiają szaleńców w spokoju. Nie zadają sobie trudu, żeby cię przesłuchiwać. Nie próbują dociec prawdy, bo uważają, że masz tylko urojenia. A teraz nie podają ci już nawet leków, tak dobrze symulujesz efekty uboczne. — Maura zmusiła się, by spojrzeć głębiej w otchłań jej oczu. — Nie wiedzą, że Bestia naprawdę istnieje. Ale ty wiesz. I wiesz, gdzie jest.

Amalthea siedziała nieruchomo, ale na jej twarzy pojawiło się napięcie. Miała zaciśnięte usta i nabrzmiące mięśnie szyi.

— Nie miałaś innego wyjścia, prawda? Musiałaś symulować obłąd. Dowody były niepodważalne: krew na łomie, skradzione portfele. Ale wystarczyło przekonać sąd, że jesteś chora psychicznie, by uniknąć dalszego dochodzenia. Miałaś nadzieję, że nie dowiedzą się o pozostałych ofiarach. O kobietach, które zabiłaś na Florydzie i w Wirginii, w Teksasie i Arkansas. W stanach, gdzie obowiązuje kara śmierci. — Maura pochylała się jeszcze bardziej. — Dlaczego go nie wydasz, Amaltheo? W końcu ciebie obarczył całą winą. A sam jest na wolności i wciąż zabija. Działa na własną rękę, odwiedzając te same miejsca, te same tereny łowieckie. Porwał właśnie kolejną kobietę w Natick. Mogłabyś go powstrzymać, Amaltheo. Możesz położyć temu kres.

Amalthea wstrzymywała oddech, wyczekując.

— Spójrz na siebie. — Maura się zaśmiała. — Siedzisz w więzieniu. Jesteś przegrana. Dlaczego ty masz być tutaj, gdy Elijah jest wolny?

Amalthea zamrugnęła oczami i w jednej chwili jakby opuściło ją napięcie.

— Porozmawiaj ze mną — nalegała Maura. — W tym pokoju nie ma nikogo innego, tylko my dwie.

Kobieta podniosła wzrok na jedną z zamontowanych w narożnikach kamer wideo.

— Tak, obserwują nas — przyznała Maura. — Ale nic nie słyszą.

— Wszyscy nas słyszą — szepnęła Amalthea. Wpatrywała się w Maurę. Jej przepastne spojrzenie stało się zimne, skupione. I przerażająco trzeźwe, jakby pojawiła się nagle nowa istota, patrząca tymi samymi oczami. — Po co tu jesteś?

— Chcę wiedzieć, czy Elijah zabił moją siostrę?

Amalthea zamilkła. I, o dziwo, Maura dostrzegła w jej oczach błysk rozbawienia.

— Po co miałyby to zrobić?

— Wiesz, czemu Anna została zamordowana, prawda?

— Dlaczego nie zadasz mi pytania, na które znam odpowiedź? Pytania, z którym

naprawdę do mnie przyszłaś. — Głos Amalthei był niski, dyskretny. — Chodzi o ciebie, Mauro, prawda? Co chcesz wiedzieć?

Maura wpatrywała się w nią z bijącym sercem. Pojedyncze pytanie więzło jej w gardle.

— Powiedz mi...

— Tak? — Był to tylko pomruk, cichy jak szept w umyśle Maury.

— Kim była naprawdę moja matka?

Amalthea uśmiechnęła się kącikami ust.

— Nie dostrzegasz podobieństwa?

— Chcę znać prawdę.

— Spójrz na mnie. A potem do lustra. Taka jest prawda.

— W niczym nie jestem do ciebie podobna.

— Mylisz się.

Maura roześmiała się zaskoczona, że zdobyła się na taką reakcję.

— Nie wiem, po co tu przyjechałam. Ta wizyta to strata czasu. — Odsunęła krzesło i zaczęła wstawać.

— Lubisz pracować z umarłymi, Mauro?

Maura znieruchomiała, zdumiona tym pytaniem.

— Tym się zajmujesz, prawda? — spytała Amalthea. — Kroisz zwłoki, wyjmujesz narządy, rozcinasz serca. Dlaczego to robisz?

— Wymaga tego moja praca.

— Dlaczego ją wybrałaś?

— Nie przyszłam tu, żeby mówić o sobie.

— Owszem. To wszystko dotyczy ciebie. Tego, kim naprawdę jesteś.

Maura powoli usiadła znów na krześle.

— Może mi wszystko powiesz?

— Rozcinasz brzuchy. Zanurzasz ręce we krwi. Dlaczego sądzisz, że się od siebie różnimy? — Kobieta pochylała się naprzód tak niepostrzeżenie, że Maura nie zauważyła nawet, kiedy znalazły się twarzą w twarz. — Spójrz w lustro. Zobaczysz moje odbicie.

— Należymy do różnych gatunków.

— Skoro chcesz w to wierzyć, kimże jestem, żeby cię przekonać? — Amalthea wpatrywała się w Maurę bez mrugnięcia okiem. — Zawsze istnieje jeszcze DNA.

Maurze zaparło dech w piersiach. Ona blefuje, pomyślała. Czeka, czy chwyć przynętę. Czy naprawdę chce znać prawdę. DNA nie kłamie. Biorąc jej wymaz z gardła, otrzymałabym odpowiedź. Potwierdziłabym swoje najgorsze obawy.

— Wiesz, gdzie mnie znaleźć — powiedziała Amalthea. — Wróć, kiedy będziesz gotowa poznać prawdę. — Wstała, stukając kajdankami o nogę stołu, i spojrzała w kierunku kamery, dając sygnał strażniczce, że chce wyjść.

— Jeśli jesteś moją matką — rzekła Maura — powiedz mi, kto był moim ojcem.

Amalthea spojrzała na nią, znów lekko się uśmiechając.

— Nie domyślasz się?

Otworzyły się drzwi i strażniczka wsunęła głowę do środka.

— Wszystko w porządku?

Przemiana była zdumiewająca. Jeszcze przed chwilą Amalthea spoglądała na Maurę z chłodnym wyrachowaniem. Teraz ta istota zniknęła, a zastąpiła ją zamroczona kobieta, która szarpała kajdanki, jakby zaskoczona, że nie może się od nich uwolnić.

— Chcę iść — bełkotała. — Chcę już iść.

— Tak, złotko. Oczywiście, że pójdziemy. — Strażniczka spojrzała na Maurę. — Domyślam się, że już pani skończyła?

— Na razie — odparła Maura.

* * *

Rizzoli nie spodziewała się wizyty Charlesa Cassella, była więc zaskoczona, gdy sierżant z dyżurki powiadomił ją, że doktor Cassell czeka na nią w holu. Gdy wyszła z windy i go zobaczyła, zaszokowała ją zmiana jego wyglądu. W ciągu tygodnia postarzał się jakby o dziesięć lat. Najwyraźniej stracił na wadze, a jego twarz była wychudzona i blada. Marynarka, choć niewątpliwie kosztowna, zwisała mu z przygarbionych ramion.

— Muszę z panią pomówić — oznajmił. — Muszę wiedzieć, co się dzieje.

Rizzoli skinęła do dyżurnego.

— Zabiorę go na górę.

— Nikt nie chce mi niczego powiedzieć — rzekł, gdy wchodzili do windy.

— Rozumie pan, oczywiście, że to standardowa procedura podczas śledztwa.

— Chcecie mnie oskarżyć? Detektyw Ballard mówi, że to tylko kwestia czasu.

Spojrzała na niego.

— Kiedy to panu powiedział?

— Powtarza to za każdym razem, gdy do mnie dzwoni. Czy to wasza strategia, pani detektyw? Zastraszyć mnie i zmusić do współpracy?

Rizzoli milczała. Nic nie wiedziała o ciągłych telefonach Ballarda do Cassella.

Gdy wyszli z windy, zaprowadziła go do pokoju przesłuchań, gdzie usiedli naprzeciwko siebie na rogu stołu.

— Ma pan mi coś nowego do powiedzenia? — spytała. — Bo jeśli nie, to spotkanie nie ma sensu.

— Nie zabiłem jej.

— To już pan mówił.

— Chyba za pierwszym razem mnie pani nie słuchała.

— Ma pan coś jeszcze do dodania?

— Sprawdziliście, że leciałem samolotem, prawda? Podałem wam tę informację.

— Linie Northwest Airlines potwierdzają, że był pan na pokładzie. Ale nadal nie ma pan alibi na wieczór, gdy została zamordowana Anna.

— A ten incydent z martwym ptakiem w skrzynce pocztowej. Czy zadaliście sobie trud, żeby sprawdzić, gdzie byłem, kiedy to się stało? Wiem, że nie było mnie w mieście. Moja sekretarka może to potwierdzić.

— Ale to też nie dowodzi pańskiej niewinności. Mógł pan komuś zlecić, żeby skrzył ptakowi kark i wrzucił go Annie do skrzynki.

— Chętnie przyznam się do tego, co zrobiłem. Owszem, śledziłem ją. Kilka razy przejeżdżałem obok jej domu. I uderzyłem ją tamtego wieczoru. Nie jestem z tego dumny. Ale nigdy nie wysyłałem jej pogróżek. I nie zabiłem żadnego ptaka.

— Tylko tyle ma pan do powiedzenia? Bo jeśli tak... — Rizzoli zaczęła podnosić się z krzesła.

Ku jej zaskoczeniu, chwycił ją tak mocno za ramię, że natychmiast zareagowała, wykręcając mu rękę.

Jęknął z bólu i usiadł, wyraźnie oszołomiony.

— Chce pan, żebym złamała panu rękę? — spytała. — To proszę spróbować tej sztuczki jeszcze raz.

— Przepraszam — mruknął, patrząc na nią zbolonym wzrokiem. Cały gniew jakby z niego wyparował. — Boże, naprawdę mi przykro...

Widząc, jak kuli się na krześle, Rizzoli pomyślała: on nie udaje.

— Chcę po prostu wiedzieć, co się dzieje — zaznaczył. — Muszę wiedzieć, czy cokolwiek robicie.

— Robię, co do mnie należy, doktorze Cassell.

— Przesłuchuje pani tylko mnie.

— To nieprawda. Prowadzimy rozległe dochodzenie.

— Ballard twierdzi...

— Detektyw Ballard nie odpowiada za śledztwo, tylko ja. I proszę mi wierzyć, że sprawdzam wszystkie możliwości.

Cassell skinął głową, zaczerpnął powietrza i wyprostował się.

— To właśnie chciałem usłyszeć, że robicie wszystko, co należy. Że niczego nie pomijacie. Bez względu na to, co pani o mnie sądzi, ja naprawdę ją kochałem. — Przechesał dłonią włosy. — To straszne, kiedy ktoś człowieka opuszcza.

— Owszem.

— Gdy się kogoś kocha, to naturalne, że pragnie się mieć go przy sobie. Z rozpaczy robi się różne szalone rzeczy...

— Można nawet zabić?

— Nie zabiłem jej. — Napotkał spojrzenie Rizzoli. — Ale owszem, dla niej byłbym gotów zabić.

W tym momencie zadzwonił telefon komórkowy Rizzoli. Wstała z krzesła, powiedziała „przepraszam” i wyszła z pokoju. Dzwonił Frost.

— Ochrona zauważyła właśnie obok rezydencji Van Gatesa białą furgonetkę — oznajmił. — Przejechała tamtędy przed kwadrans, ale się nie zatrzymała. Możliwe, że kierowca spostrzegł naszych ludzi, więc przesunęli się trochę dalej.

— Dlaczego sądzicie, że to ta furgonetka?

— Miała kradzione tablice rejestracyjne.

— Co?

— Zdążyli zanotować numery. Tablice ściągnięto z dodge'a caravana trzy tygodnie temu w Pittsfield.

Pittsfield, pomyślała. W pobliżu Albany, tuż przy granicy stanu.

Tam w zeszłym miesiącu zaginęła kobieta.

Stała ze słuchawką przyciśniętą do ucha, czując pulsowanie skroniach.

— Gdzie jest teraz ta furgonetka?

— Nasi ludzie siedzieli cicho i nie pojechali za nią. Gdy dostali informację o skradzionych tablicach, już jej nie było. Potem nie wróciła.

— Przetawcie ten wóz na równoległą ulicę. Wyślijcie drugą ekipę do obserwacji domu. Jeśli furgonetka znów się pojawi, niech śledzą ją na przemian dwa samochody.

— Dobrze. Już tam jadę.

Wyłączyła telefon i spojrzała do sali przesłuchań, gdzie Charles Cassell nadal siedział przy stole, z pochyloną głową. Czy to miłość, czy obsesja? — pomyślała.

Czasem trudno było to rozróżnić.

Rozdział dwudziesty ósmy

Zapadał zmierzch, gdy Rizzoli podjechała na Dedham Parkway. Zauważywszy samochód Frosta, zatrzymała się za nim. Wsiadła z wozu i zajęła miejsce na siedzeniu pasażera obok niego.

— I co? — spytała. — Co się dzieje?

— Zupełnie nic.

— Cholera. To już ponad godzina. Wystraszyliśmy go?

— Istnieje możliwość, że to nie był Lank.

— Biała furgonetka, ze skradzionymi tablicami z Pittsfield?

— No cóż, nie kręcił się tutaj. I już nie wrócił.

— Kiedy Van Gates ostatnio wychodził?

— Około południa poszedł z żoną na zakupy. Od tego czasu są w domu.

— Przejedźmy się. Chcę się trochę rozejrzeć.

Frost ruszył, jechał na tyle powoli, by Rizzoli mogła dobrze się przypatrzeć Tarze przy Sprague Street. Minęli zaparkowany przy następnej przecznicy samochód z ekipą prowadzącą obserwację, po czym skręcili za róg i zatrzymali się.

— Jesteś pewien, że oni są w domu? — zapytała Rizzoli.

— Nasi ludzie nie widzieli, by od południa ktokolwiek wychodził.

— Jest tam bardzo ciemno.

Siedzieli tak przez kilka minut. Zmierzchało coraz bardziej, a w Rizzoli narastał niepokój. Nie widziała w oknach świateł. Czyżby Van Gates i jego żona spali? A może wymknęli się niepostrzeżenie?

Co robiła tutaj ta furgonetka?

Spojrzała na Frosta.

— Wystarczy. Nie zamierzam już dłużej czekać. Złóżmy im wizytę.

Frost podjechał z powrotem pod dom i zaparkował samochód. Nacisnęli dzwonek i zapukali do drzwi, ale nikt nie odpowiadał. Rizzoli zeszła z ganku i spojrzała na południową fasadę z białymi kolumnami. Na piętrze również nie paliły się światła.

Furgonetka, pomyślała. Nie przyjechała tu bez powodu.

— I co ty na to? — spytał Frost.

Rizzoli czuła, jak zaczyna walić jej serce i przechodzą ją ciarki. Skinęła w bok głową i Frost zrozumiał bez słowa: *Idziemy od tyłu.*

Okrażyła dom i otworzyła boczną furtkę. Zobaczyła przylegający do płotu wąski chodnik z cegieł. Nie było tam miejsca na ogródek i z trudem mieściły się dwa stojące obok siebie pojemniki na śmieci. Przeszła przez furtkę. Nie mieli nakazu rewizji, ale działo się tam coś złego, coś, co sprawiało, że czuła mrowienie w rękach, tych samych, na których pozostawiło blizny ostrze skalpela Warrena Hoyta. *Potwór odciska swoje piętno na naszym ciele, naszych instynktach. Potem już zawsze wyczuwa się obecność następnego.*

Mając tuż za sobą Frosta, minęła ciemne okna i klimatyzator, który owionął strumieniem ciepłego powietrza jej zziębnięte ciało. Spokojnie. Wkroczyli na prywatny teren, ale chciała tylko zajrzeć przez okna, zobaczyć drzwi na tyłach domu.

Za węglem ukazał się jej oczom niewielki dziedziniec otoczony płotem. Tylna furtka była otwarta. Podeszła do niej i wyjrzała na znajdującą się za nią alejkę. Nikogo tam nie było. Ruszyła w kierunku domu i dochodziła już niemal do drzwi, gdy zauważyła, że są uchylone.

Wymienili z Frostem spojrzenia i oboje sięgnęli po broń. Stało się to tak szybko, tak automatycznie, że nie pamiętała nawet, kiedy wyciągnęła swoją. Frost pchnął drzwi. Gdy się otworzyły, zobaczyli kuchenne kafelki.

I krew.

Frost wszedł do środka i pstryknął przełącznikiem. W kuchni zapaliło się światło. Ściany i blaty zbryzgane były krwią. Widok był tak wstrząsający, że Rizzoli zachwiała się, jakby ktoś ją popchnął. Dziecko w jej łonie poruszyło się nagle zaniepokojone.

Frost wyszedł z kuchni na korytarz. Rizzoli stała jednak nieruchomo, wpatrując się w Terence'a Van Gatesa, który leżał jak pływak o szklanych oczach w kałuży krwi. *Krew nie zdążyła nawet zastygnąć.*

— Rizzoli! — krzyknął Frost. — Jego żona... jeszcze żyje!

Omali się nie potknęła, biegnąc niezdarnie, z wielkim brzuchem, z kuchni na korytarz. Ujrzała koszmarny widok. Ściana była opryskana kropelkami krwi tętniczej. Podążyła ich śladem do salonu, gdzie klęczał Frost, wzywając przez krótkofalówkę ambulans, a drugą

ręką przyciskając szyję Bonnie Van Gates. Krew sączyła mu się między palcami.

Rizzoli przyklękła obok leżącej kobiety. Bonnie miała szeroko otwarte oczy i patrzyła z przerażeniem, jakby widziała Śmierć, unoszącą się nad jej głową.

— Nie mogę powstrzymać krwotoku! — powiedział Frost, gdy krew nadal ciekła mu przez palce.

Rizzoli chwyciła narzutę z oparcia kanapy i owinęła ją wokół dłoni. Pochyliwszy się przytknęła ten prowizoryczny opatrunek do szyi Bonnie. Frost cofnął rękę, uwalniając strumień krwi, zanim Rizzoli zasłoniła ranę. Zwinięta tkanina natychmiast nią nasiąknęła.

— Jej ręka też krwawi! — zauważył Frost.

Spoglądając w dół, Rizzoli spostrzegła strużkę krwi, spływającą z rozciętego przegubu Bonnie. *Nie poradzimy sobie...*

— Karetka? — spytała.

— Już jedzie.

Bonnie uniosła nagle rękę i chwyciła Rizzoli za ramię.

— Niech pani leży spokojnie! Proszę się nie ruszać!

Bonnie wzdrygnęła się, unosząc obie ręce jak ranne zwierzę, rzucające się z pazurami na napastnika.

— Przytrzymaj ją, Frost!

— Chryste, ależ jest silna!

— Bonnie, przestań! Staramy się ci pomóc!

Kolejne szarpnięcie i Rizzoli poczuła na twarzy strumień ciepła i smak krwi. Bonnie odwróciła się na bok, kopiać gwałtownie nogami.

— Wrywa mi się! — krzyknął Frost.

Rizzoli przycisnęła głowę Bonnie do dywanu i przytknęła tkaninę z powrotem do rany. Krew była już wszędzie, na koszuli Frosta i na garsonce Rizzoli, która starała się utrzymać opatrunek na śliskiej skórze. Tyle krwi! Chryste, ile człowiek może jej stracić?

W korytarzu zadudniły kroki. Byli to ludzie z samochodu zaparkowanego na ulicy. Rizzoli nie podniosła nawet wzroku, gdy dwaj mężczyźni wpadli do salonu. Frost krzyknął, by przytrzymali Bonnie. Ale nie było już takiej potrzeby. Przestała się wrywać. Miała tylko drgawki.

— Ona nie oddycha — oznajmiła Rizzoli.

— Odwróćcie ją na plecy! Szybciej!

Frost przyłożył usta do warg Bonnie i wydmuchał z płuc powietrze. Po chwili wstał, z krwią na twarzy.

— Nie ma tętna!

Jeden z policjantów przyłożył ręce do klatki piersiowej Bonnie i zaczął rytmicznie ją uciskać. Raz-dwa-trzy, raz-dwa-trzy. Zagłębiał dłonie w przesmyku jej hollywoodzkiego biustu. Ale każde naciśnięcie powodowało jedynie wyciek kolejnej strużki krwi z rany. Miała już w żyłach tak niewiele życiodajnej krwi. Pompowali wodę z wyschniętej studni.

Gdy przyjechał ambulans z rurkami, monitorami i kroplówką, Rizzoli ustąpiła im miejsca i poczuła się nagle tak słabo, że musiała usiąść. Opadła na fotel i opuściła głowę. Zdała sobie sprawę, że siedzi na białej tapicerce i zapewne brudzi ją krwią z ubrania. Gdy podniosła znów głowę, zobaczyła, że Bonnie poddano już intubacji. Rozerwano jej bluzkę i rozcięto stanik. Na piersiach miała przewody do EKG. Zaledwie tydzień temu Rizzoli widziała w tej kobiecie tępą i sztuczną lalkę Barbie, w obcisłej różowej bluzeczce i sandałkach na wysokim obcasie. Teraz wyglądała faktycznie, jakby była z plastiku. Miała woskową cerę i szklisty wzrok. Rizzoli zauważyła jeden z sandałów Bonnie, leżący dwa metry dalej i zastanawiała się, czy próbowała uciekać w tych butach. Wyobraziła sobie, jak stuka nimi rozpaczliwie o podłogę, biegnąc korytarzem i obryzgując ścianę krwią. Nawet gdy sanitariusze zabrali Bonnie, Rizzoli wpatrywała się jeszcze w ten bezużyteczny sandał.

— Ona nie przeżyje — rzekł Frost.

— Wiem. — Rizzoli spojrzała na niego. — Masz krew na ustach.

— Powinnaś spojrzeć na siebie w lustrze. Powiedziałbym, że oboje cholernie ryzykowaliśmy.

Pomyślała o wszystkich zagrożeniach, jakie niesie kontakt z krwią. HIV. Zapalenie wątroby.

— Wyglądała na dość zdrową — odparła lakonicznie.

— Mimo wszystko — odparł Frost. — Przecież jesteś w ciąży.

Więc co, do cholery, robiła w tym domu, przesiąknięta krwią umierającej kobiety? Powinnam siedzieć przed telewizorem, pomyślała, trzymając w górze opuchnięte stopy. To nie jest życie dla matki. To nie jest życie dla kogokolwiek.

Próbowała podźwignąć się z fotela. Frost wyciągnął do niej rękę i po raz pierwszy chwycił ją, pozwalając, by pomógł jej wstać. Czasem, pomyślała, trzeba przyjąć

pomocną dłoń. Niekiedy trzeba przyznać, że nie potrafi się zrobić wszystkiego samemu. Miała sztywną bluzkę i zastygłą krew na rękach. Wkrótce zjawi się ekipa dochodzeniowa, a potem dziennikarze. Zawsze ci cholerni dziennikarze.

Pora doprowadzić się do porządku i zabrać się do pracy.

* * *

Wysiadłszy z samochodu, Maura zobaczyła gęszcz obiektywów kamer i wystawionych mikrofonów. Błyski biało-niebieskich świateł radiowozu oświetlały tłum gapiów zgromadzonych wzdłuż policyjnej taśmy. Ruszyła bez wahania w kierunku domu, nie dając dziennikarzom szansy, by ją otoczyli. Skinęła głową policjantowi pilnującemu wejścia.

Odpowiedział jej zdziwionym spojrzeniem.

— Eee... doktor Costas już przyjechał...

— Ja też — odparła, przechodząc pod taśmą.

— Doktor Isles?

— Jest w środku?

— Tak, ale...

Szła dalej, wiedząc, że jej nie zatrzyma. Cieszyła się autorytetem, który niewielu policjantów ośmieliłoby się kwestionować. Przystanęła przed drzwiami frontowymi, aby włożyć rękawiczki i osłony na buty, niezbędne zabezpieczenia, gdy ma się do czynienia z krwią. Potem weszła do środka, gdzie technicy dochodzeniowi tylko rzucili na nią okiem. Wszyscy ją znali. Nie mieli powodu dziwić się jej obecności. Przeszła bez przeszkód z holu do salonu i zobaczyła poplamiony krwią dywan oraz ślady działań sanitariuszy. Na podłodze leżały porzrzucone strzykawki, rozerwane opakowania i brudne waciki. Nie było ciała.

Ruszyła korytarzem, gdzie zostały ślady przemocy na ścianach. Po jednej stronie widać było rozpryskaną krew tętniczą. Po drugiej — mniejsze kropelki, strząśnięte z noża napastnika.

— Pani doktor? — Rizzoli stała u wylotu korytarza.

— Dlaczego pani do mnie nie zadzwoniła? — spytała Maura.

— Zajmuje się tym Costas.

— Właśnie się dowiedziałam.

— Nie powinna pani tu przyjeżdżać.

— Mogła mi pani powiedzieć, Jane. Mogła mnie pani zawiadomić.

— To nie pani sprawa.

— Dotyczy mojej siostry, a więc mnie także.

— Właśnie dlatego nie może się pani nią zajmować. — Rizzoli podeszła w jej kierunku, mierząc ją wzrokiem. — Nie muszę pani tego mówić. Sama pani to wie.

— Nie chcę występować w tej sprawie w roli lekarza sądowego. Mam tylko pretensje, że nikt mnie nie zawiadomił.

— Nie miałam okazji, jasne?

— To ma być usprawiedliwienie?

— To prawda, do cholery! — Rizzoli wskazała ręką ślady krwi na ścianach. — Mamy tu dwie ofiary. Nie jadłam jeszcze obiadu. Nie zmyłam krwi z włosów. Na litość boską, nie miałam nawet czasu pójść się wysikać. — Odwróciła się. — Mam ważniejszą sprawę na głowie niż tłumaczenie się przed panią.

— Jane.

— Proszę wracać do domu, pani doktor. I pozwolić mi pracować.

— Jane! Przepraszam. Nie powinnam była tego wszystkiego mówić.

Rizzoli odwróciła się z powrotem do niej i Maura zobaczyła coś, czego wcześniej nie dostrzegła. Jej podkrążone oczy, obwisłe ramiona. *Ona ledwo trzyma się na nogach.*

— Mnie też jest przykro. — Rizzoli spojrzała na zbryzganą krwią ścianę. — Zabrakło nam tyle, by go złapać — powiedziała, stykając wymownie kciuk i wskazujący palec. — Nasi ludzie obserwowali dom z ulicy. Nie wiem, jak zauważył ich samochód, ale przejechał obok i wszedł przez furtkę od tyłu. — Pokręciła głową. — Skądś się dowiedział. Wiedział, że go szukamy. Dlatego Van Gates stał się dla niego problemem...

— Ona go ostrzegła.

— Kto?

— Amalthea. To musiała być ona. Zadzwoiła albo napisała list. Przekazała coś przez jedną ze strażniczek. Chroni swojego współnika.

— Myśli pani, że jest wystarczająco poczytalna?

— Owszem. — Maura zawahała się. — Dziś u niej byłam.

— Kiedy zamierzała mi to pani powiedzieć?

— Zna sekrety na mój temat. Może odpowiedzieć na wiele pytań.

— Ona słyszy głosy, na litość boską.

— Wcale nie. Jestem przekonana o jej całkowitej poczytalności. Wie dokładnie, co robi. Chroni swojego współnika, Jane. Nigdy go nie wyda.

Rizzoli przyglądała jej się przez chwilę w milczeniu.

— Może powinna pani coś zobaczyć. Żeby wiedzieć, z czym mamy do czynienia.

Maura poszła za nią do kuchni i stanęła w drzwiach oszołomiona rzezią, którą ujrzała. Jej kolega, doktor Costas, kucał przy zwłokach. Spojrzał na Maurę zaskoczony.

— Nie wiedziałem, że zajmujesz się tą sprawą — powiedział.

— Nie. Chciałam tylko zobaczyć... — Popatrzyła na Terence'a Van Gatesa i przełknęła z trudem ślinę.

Costas wstał.

— Sprawca był cholernie skuteczny. Żadnych ran wskazujących na to, by ofiara miała szansę się bronić. Pojedyncze cięcie, od ucha do ucha. Podszedł od tyłu. Nacięcie zaczyna się po lewej stronie, przechodzi przez tchawicę i kończy nieco niżej po prawej.

— Napastnik był praworęczny.

— I silny. — Costas pochylił się i delikatnie odciągnął głowę ofiary do tyłu, pokazując lśniący pierścień chrząstek. — Widać tu kręgosłup. — Puścił głowę, która opadła do przodu. Rozcięte krawędzie ponownie się złączyły.

— To egzekucja — mruknęła Maura.

— Można tak powiedzieć.

— A ta druga ofiara... w salonie...

— Jego żona. Zmarła na pogotowiu godzinę temu.

— Ale w jej przypadku sprawca nie był tak skuteczny — rzekła Rizzoli. — Sądzymy, że najpierw zabił mężczyznę. Może Van Gates oczekiwał jego wizyty. Może nawet wpuścił go do kuchni, myśląc, że chodzi o interesy. Ale nie spodziewał się ataku. Nie było ran świadczących, by się bronił, ani śladów walki. Odwrócił się tyłem do zabójcy i zginął jak zarzynane jagnię.

— A jego żona?

— Bonnie to osobna historia. — Rizzoli spoglądała na Van Gatesa, na kępki przeszczepionych włosów, symbol próżności starego człowieka. — Myślę, że Bonnie zaskoczyła zabójcę. Weszła do kuchni i zobaczyła krew. Zobaczyła męża, siedzącego na

podłodze z niemal odciętą głową. Zabójca trzymał jeszcze nóż. Przy włączonej klimatyzacji wszystkie okna były szczelnie zamknięte. Mają podwójne szyby. Tak więc nasi ludzie w zaparkowanym na ulicy samochodzie nie mogli słyszeć krzyków. Nawet jeśli zdążyła krzyknąć.

Rizzoli spojrzała w kierunku drzwi prowadzących na korytarz. Wyobraziła sobie, że stoi w nich ta kobieta.

— Widziała, jak zbliża się zabójca. Ale w odróżnieniu od męża stawiała mu opór. Jedyne, co mogła zrobić, gdy chciał ją dźgnąć nożem, to chwycić za ostrze. Rozciął jej przegub — skórę, ścięgna, aż do kości. Uszkodził tętnicę.

Rizzoli wskazała na korytarz za drzwiami.

— Uciekała tamtędy, przyskajac krwią po ścianach.

Doścignął ją w salonie. Nawet wtedy walczyła, próbując zasłonić się rękami przed ostrzem noża. Ale poderżnął jej gardło. Cięcie nie było tak głębokie jak u jej męża, ale wystarczające. — Rizzoli spojrzała na Maurę. — Żyła jeszcze, kiedy ją znaleźliśmy. Byliśmy tuż po nim.

Maura spoglądała na Terence'a Van Gatesa, opartego o szafkę. Pomyślała o domku w lesie, gdzie dwoje kuzynów zadzierzgnęło swą śmiercionośną więź. Więź, która trwa do dzisiaj.

— Pamięta pani, co powiedziała Amalthea, gdy odwiedziła ją pani pierwszy raz? — spytała Rizzoli.

Maura skinęła głową. *Teraz ty też umrzesz.*

— Obie myślałyśmy, że to tylko rojenia chorej psychicznie kobiety. — Rizzoli spojrzała na Van Gatesa. — Teraz wydaje się jasne, że to było ostrzeżenie. Groźba.

— Ale dlaczego? Nie wiem więcej niż pani.

— Może to ze względu na pani pochodzenie, pani doktor. Jest pani córką Amalthei.

Maura poczuła na plecach lodowaty dreszcz.

— Mój ojciec... — powiedziała cicho. — Jeśli naprawdę jestem jej córką, kto był moim ojcem?

Rizzoli nie wymieniła Elijaha Lanka. Nie musiała tego robić.

— Jest pani żywym świadectwem ich związku — oznajmiła Rizzoli. — Pani kod genetyczny zgadza się w połowie z jego DNA.

Zamknęła na klucz drzwi frontowe i zasunęła rygiel. Pomyślała o Annie i wszystkich mosiężnych zamkach i łańcuchach, które zdobiły jej domek w Maine. Zamieniam się w moją siostrę, przemknęło jej przez myśl. Wkrótce będę chowała się za barykadami albo uciekała z własnego domu do innego miasta, nowej tożsamości.

Światła reflektorów przesunęły się po zaciągniętych zasłonach w salonie. Wyjrzała na ulicę i zobaczyła przejeżdżający radiowóz. Nie był to tym razem samochód z Brookline, lecz wóz patrolowy mający z boku napis WYDZIAŁ POLICJI W BOSTONIE. Pewnie to na prośbę Rizzoli, pomyślała.

Poszła do kuchni i zrobiła sobie drinka. Nic wymyślnego, tylko sok pomarańczowy z wódką i lodem. Usiadła przy kuchennym stole i sączyła go powoli. Kostki lodu stukały o szklankę. Piła sama. Nie był to dobry znak, ale co tam, do cholery. Potrzebowała znieczulenia. Musiała przestać myśleć o tym, co widziała tego wieczoru. Klimatyzator dmuchał chłodnym powietrzem spod sufitu. Nie otwierała okien. Wszystkie były pozamykane i zabezpieczone. Zimna szklanka mroziła jej palce. Odstawiła ją i spojrzała na swój przegub, na delikatne żyłki. *Czy w moich żyłach płynie ich krew?*

Zadzwonił dzwonek u drzwi.

Uniosła raptownie głowę i spojrzała w kierunku salonu, czując przyspieszone bicie serca i napięcie mięśni. Podniosła się powoli i przeszła bezgłośnie korytarzem do drzwi frontowych. Zatrzymała się przy nich, zastanawiając się, jak łatwo mogłaby je przebić kula. Podeszła do bocznego okna i wyjrzawszy na zewnątrz, zobaczyła stojącego na ganku Ballarda.

Z westchnieniem ulgi otworzyła drzwi.

— Słyszałem o Van Gatesie — powiedział. — Dobrze się czujesz?

— Jestem trochę wstrząśnięta. Ale poza tym w porządku. — *Wcale nie. Mam stargane nerwy i piję sama w kuchni.* —

Wejdz, proszę.

Nigdy dotąd nie był w jej domu. Wszedł, zamknął drzwi i zasunął rygiel, przyglądając mu się uważnie.

— Musisz założyć sobie system alarmowy, Mauro.

— Miałam taki zamiar.

— Zrób to szybko, dobrze? — Spojrzał na nią. — Pomogę ci wybrać najlepszy.

Skinęła głową.

— Chętnie skorzystam z rady. Napijesz się czegoś?

— Dziś nie, dziękuję.

Weszli do salonu. Przystanął, patrząc na pianino w kącie.

— Nie wiedziałem, że grasz.

— Od dzieciństwa. Ale za mało ćwiczę.

— Anna też grała... — Przerwał. — Pewnie o tym słyszałaś.

— Nie. To takie dziwne, Rick. Za każdym razem, gdy dowiaduję się o niej czegoś nowego, wydaje się coraz bardziej do mnie podobna.

— Pięknie grała. — Podeszedł do pianina, podniósł osłonę klawiatury i wystukał kilka dźwięków. Zamknąwszy ją, ponownie wpatrywał się w lśniąca czarną powierzchnię. Potem spojrzał na Maurę i rzekł: — Martwię się o ciebie. Zwłaszcza po tym, co przydarzyło się Van Gatesowi.

Maura westchnęła i osunęła się na kanapę.

— Straciłam kontrolę nad swoim życiem. Nie mogę już nawet spać przy otwartych oknach.

Ballard również usiadł. Wybrał fotel naprzeciwko niej, by musiała na niego spojrzeć, gdy podniesie głowę.

— Moim zdaniem nie powinnaś być dzisiaj sama.

— To mój dom. Nie zamierzam go opuszczać.

— Nie musisz. — Zamilkł na chwilę. — Chcesz, żebym z tobą został?

Podniosła wzrok.

— Dlaczego to robisz, Rick?

— Ponieważ uważam, że potrzebujesz opieki.

— I ty się mną zajmiesz?

— A kto inny? Spójrz na siebie! Mieszkasz samotnie w tym domu. Ogarnia mnie przerażenie na myśl, co mogłoby się zdarzyć. Kiedy Anna mnie potrzebowała, nie przyszedłem jej z pomocą. Ale tobą się zajmę. — Wyciągnął ręce i ujął jej dłonie. — Będę w każdej chwili do twojej dyspozycji.

Spojrzała na jego dłonie, spoczywające na jej rękach.

— Kochałeś ją, prawda? — Kiedy nie odpowiadał, podniosła wzrok i spojrzała mu

w oczy. — Prawda, Rick?

— Potrzebowała mnie.

— Nie o to pytałam.

— Nie mogłem stać z boku i pozwolić, by skrzywdził ją ktoś taki jak on.

Powinłam była od razu to zauważyć, pomyślała. Wyczuć to w jego spojrzeniu i dotyku.

— Gdybyś zobaczyła ją tamtej nocy na pogotowiu — powiedział. — Z podbitym okiem, siniakami. Spojrzałem tylko na jej twarz i miałem ochotę zatłuc tego, kto to zrobił. Rzadko tracę panowanie nad sobą, Mauro, ale facet, który bije kobietę... — Wciągnął raptownie powietrze. — Nie zamierzałem dopuścić, by to znów jej się przydarzyło. Ale Cassell nie dawał za wygraną. Wciąż do niej dzwonił, śledził ją, więc musiałem działać. Pomogłem jej założyć zamki. Zacząłem wpadać do niej codziennie, by sprawdzić, czy wszystko jest w porządku. Pewnego wieczoru poprosiła, bym został na kolację i... — Wzruszył bezradnie ramionami. — Tak to się zaczęło. Była przerażona i potrzebowała mnie. Może po prostu zadziałał instynkt. Instynkt policjanta. Potrzeba zapewnienia komuś ochrony.

Zwłaszcza atrakcyjnej kobiecie.

— Starłem się zapewnić jej bezpieczeństwo, to wszystko. — Spojrzał na Maurę. — Tak, masz rację. W końcu się w niej zakochałem.

— A teraz o co chodzi, Rick? — Popatrzyła na jego ręce, zaciśnięte nadal na jej dłoniach. — Co się dzieje? Myślisz o mnie czy o niej? Nie jestem Anną. Nie zastąpię jej.

— Jestem tutaj, ponieważ ty mnie potrzebujesz.

— To przypomina powtórkę filmu. Wcielasz się znów w rolę opiekuna. A ja przypadkiem zostałam dublerką Anny.

— To nie tak.

— A gdybyś nigdy nie poznał mojej siostry, gdybyśmy byli po prostu dwojgiem ludzi, którzy spotkali się na przyjęciu? Czy też byś tu teraz był?

— Owszem. — Pochylił się ku niej, ściskając jej dłonie. — Wiem to na pewno.

Przez chwilę siedzieli w milczeniu. Chcę mu wierzyć, pomyślała. Tak łatwo byłoby mu uwierzyć.

— Nie powinieneś zostawać tu na noc.

Wyprostował się powoli. Nadal patrzył jej w oczy, ale dzielił ich już teraz dystans.

I rozczarowanie.

Podniosła się powoli. I on także.

Podeszli w milczeniu do drzwi frontowych. Zatrzymał się i odwrócił do niej. Delikatnie dotknął ręką jej twarzy. Nie cofnęła się.

— Bądź ostrożna — powiedział i wyszedł.

Zamknęła za nim drzwi na klucz.

Rozdział dwudziesty dziewiąty

Mattie zjadła ostatni pasek suszonej wołowiny. Gryzła go jak dzikie zwierzę, pożywiające się wyschniętą padliną, myśląc: Biało da mi siłę. Zwycięstwo! Myślała o lekkoatletach przygotowujących się do maratonu, doskonalących ciała do biegu swojego życia. Ją też czekał maraton. Miała jedyną szansę na zwycięstwo.

Jeśli przegrasz, umrzesz.

Wołowina przypominała skórę i omal się nie udławiła przy przełykaniu, ale popiła ją jakoś łykiem wody. Drugi dzbanek był prawie pusty. Wszystko się kończy, pomyślała. Dużo dłużej już nie wytrzymam. A teraz miała jeszcze nowy problem. Zaczęły dokuczać jej skurcze, jakby na macicę napierała pięść. Nie były jeszcze bolesne, ale zwiastowały już, co nadchodzi.

Gdzie on się podziewa, do cholery? Dlaczego zostawił ją tak długo samą? Nie mając zegarka, nie wiedziała, czy od jego ostatniej wizyty upłynęły godziny, czy dni. Zastanawiała się, czy nie rozgniewała go swoim krzykiem. Może chciał ją ukarać? Może próbował ją przestraszyć, dać jej do zrozumienia, że musi być uprzejma i okazywać mu szacunek? Przez całe życie była grzeczna i oto do czego ją to doprowadziło. Grzeczne dziewczynki pozwalają sobą pomiatać. Są zawsze w cieniu i nikt nie zwraca na nie uwagi. Wychodzą za mężczyzn, którzy szybko zapominają o ich istnieniu. Nie będę już grzeczna, pomyślała. Jeśli się stąd wydostanę, pokażę pazury.

Ale najpierw trzeba się stąd wydostać. A to oznacza, że muszę udawać grzeczną.

Wypiła kolejny łyk wody. Czuła się dziwnie syta, jak po ucztach z winem. Cierpliwości, pomyślała. On wróci.

Otuliwszy ramiona kocem, przymknęła oczy.

Obudził ją skurcz. O nie, pomyślała, teraz już zabolęło. Zdecydowanie. Leżała spocona w ciemnościach, próbując sobie przypomnieć zajęcia ze szkoły rodzenia, ale zdawało jej się, że to było przed wiekami. W poprzednim życiu.

Wdech, wydech. Odprężenie...

— Proszę pani...

Znieruchomiała, spoglądając w kierunku kratki wentylacyjnej, skąd dochodził szept. Serce waliło jej jak młot. *Pora działać, GI Jane.* Ale leżąc w ciemnościach i wdychając woń własnego strachu, pomyślała: Nie jestem gotowa. Nigdy nie będę gotowa. Jak mogłam sądzić, że mnie na to stać?

— Proszę pani. Niech się pani odezwie.

To twoja jedyna szansa. Postaraj się.

Wzięła głęboki oddech.

— Potrzebuję pomocy — jęknęła.

— Dlaczego?

— Moje dziecko...

— Co się dzieje?

— Zaczęło się. Mam bóle. Och, proszę mnie wypuścić! Nie wiem, ile to jeszcze potrwa... — mówiła, szlochając. — Niech mnie pan wypuści. Muszę stąd wyjść. Moje dziecko się rodzi.

Zamilkła.

Przyłgnęła do koca, bojąc się oddychać, bojąc się, że nie dosłyszysz jego szeptu. Czemu nie odpowiadał? Czyżby znów odszedł? Nagle usłyszała łoskot, a potem odgłos skrobania.

Łopata. Zaczynał kopać.

To moja jedyna szansa, pomyślała. Jedna jedyna.

Słyszała kolejne uderzenia. Mężczyzna odgarniał ziemię coraz bardziej posuwistymi ruchami. Łopata drapała o deski, zgrzytając nieprzyjemnie jak kreda po tablicy. Mattie oddychała szybko, czując, jak wali jej serce. Ocaleję albo umrę, pomyślała. Zaraz wszystko się okaże.

Drapanie ustało.

Miała ręce jak z lodu, gdy przyciskała koc do ramion. Usłyszała skrzypienie drewna, a potem zawiasów. Ziemia posypała się do skrzyni, prosząc jej w oczy. *O Boże, nie będę nic widziała. Muszę widzieć!* Odwróciła się, by osłonić twarz przed ziemią sypiącą się jej na włosy. Zamrugła parę razy, strząsając kurz z oczu. Pochyliła głowę i nie widziała nad sobą porywacza. A co on widział, patrząc w wykop? Swoją ofiarę, skuloną pod kocem, brudną, bezbronną. Udęconą bólami porodowymi.

— Pora wyjść — powiedział, tym razem nie przez kratkę. Spokojnym, całkowicie

normalnym głosem. Jak zło może brzmieć tak zwyczajnie?

— Proszę mi pomóc — wyszlochała. — Nie sięgnę tak wysoko.

Usłyszała szuranie drewna o drewno i poczuła, jak coś spada obok niej. Drabina. Otworzywszy oczy, spojrzała w górę i zobaczyła tylko sylwetkę na tle gwiazd. Po ciemnościach, jakie panowały w skrzyni, nocne niebo zdawało się emanować poświatą.

Mężczyzna włączył latarkę, kierując snop światła na szczeble.

— To tylko kilka stopni — zachęcał.

— Bardzo mnie boli.

— Podam pani rękę. Ale musi pani wejść na drabinę.

Pociągając nosem, podniosła się powoli z ziemi. Zachwiała się jednak i osunęła znów na kolana. Nie stała na nogach przez wiele dni i zaszokowało ją, jak bardzo jest słaba pomimo ćwiczeń i poziomu adrenaliny we krwi.

— Jeśli chce pani wyjść — mówił mężczyzna — musi pani wstać.

Jęknęła i podźwignęła się znowu, stając niepewnie jak nowo narodzone ciele. Prawą rękę trzymała wciąż pod kocem, przyciskając ją do piersi. Lewą chwyciła drabinę.

— O to chodzi. Proszę się wspiąć.

Stanąła na najniższym szczeblu, zatrzymując się na chwilę, by odetchnąć, zanim sięgnęła wolną ręką do następnego. Zrobiła kolejny krok. Wykop nie był głęboki. Jeszcze kilka szczebli i będzie na górze. Jej głowa i ramiona znalazły się już na wysokości pasa mężczyzny.

— Proszę mi pomóc — wymamrotała błagalnym tonem. — Proszę mnie stąd wyciągnąć.

— Niech pani rzuci koc.

— Jest mi zimno. Proszę mnie wyciągnąć!

Położył latarkę na ziemi.

— Niech mi pani poda rękę — powiedział i pochylił się ku niej, jak pozbawiony twarzy cień, wyciągający swą mackę.

W porządku. Jest dostatecznie blisko.

Miała teraz jego głowę w zasięgu ręki. Zawahała się przez chwilę, czując odrazę na myśl o tym, co musi zrobić.

— Niech pani nie marnuje mojego czasu — rozkazał mężczyzna. — No już!

Wyobrazila sobie nagle, że widzi twarz Dwayne'a. Patrzył na nią z pogardą i szydził.

Najważniejszy jest wizerunek, Mattie, a spójrz na siebie! Gruba jak krowa Mattie przywiera do drabiny, bojąc się ocalić samą siebie. Uratować swoje dziecko. *Nie jesteś już mnie warta.*

Jestem. JESTEM!

Puściła koc. Zsunął jej się z ramion, odsłaniając to, co przyciskała do piersi: skarpetkę, wypełnioną ośmioma bateriami od latarki. Podniosła rękę i zamachnęła się nią jak maczugą, z dziką furią. Celowała na ślepo, nieporadnie, ale usłyszała, jak baterie trafiają w czaszkę.

Cień zachwiał się i osunął w dół.

W parę sekund wspięła się po drabinie i wygramoliła z dziury. Przerazenie wcale człowieka nie obezwładnia; wyostrza zmysły, sprawia, że jest się zwinny jak gazela. W ciągu ułamka sekundy, gdy tylko Mattie stanęła na twardym gruncie, odnotowała równocześnie kilkanaście szczegółów. Księżyc w kwadrze, wyzierający zza wygiętych łukowato gałęzi. Zapach ziemi i mokrych liści. I drzewa, wszędzie wysokie drzewa, otaczające ją pierścieniem jak wartownicy i pozwalające widzieć tylko skrawek gwiaździstego nieba. *Jestem w lesie.* Ogarnęła to wszystko jednym spojrzeniem, powzięła błyskawiczną decyzję i popędziła w kierunku prześwitu między drzewami. Znalazszy się nagle na stromym zboczu, musiała przedzierać się przez krzaki jeżyn i chaszczę, które nie łamały się, lecz jakby z zemsty siekły ją w twarz.

Wylądowała na czworakach, ale natychmiast podniosła się i biegła dalej, kulejąc, gdyż skręciła sobie prawą kostkę. Robię za wiele hałasu, pomyślała. Jak szarżujący słoń. Nie zatrzymuj się! On może być blisko! Nie przestawaj biec!

Poruszała się jednak po omacku. Drogę wskazywały jej tylko gwiazdy i żaloszny sierp księżyca. Nie było światła ani żadnych znaków orientacyjnych. Nie miała pojęcia, gdzie jest ani skąd może oczekiwać pomocy. Nie wiedziała nic o tym miejscu i czuła się zagubiona jak wędrowiec w sennym koszmarze. Przedzierała się przez zarośla, zmierzając instynktownie w dół zbocza i pozwalając, by siła grawitacji decydowała, jaki ma wybrać kierunek. Góry prowadzą do dolin, doliny do strumieni, a strumienie do ludzi. Do diabła, brzmiało to logicznie, ale czy było prawdą? Z powodu upadku drętwiły jej już kolana. Jeśli przewróci się jeszcze raz, być może w ogóle nie zdoła iść dalej.

A teraz znowu poczuła ból. Chwycił ją nagle, w połowie oddechu. Skurcz. Zgięła się wpół, czekając, aż przejdzie. Gdy w końcu zdołała się wyprostować, była mokra od potu.

Coś zaszeleściło za nią. Odwróciwszy się, ujrzała nieprzeniknioną ciemność. Czuła nadciągające zło. Rzuciła się natychmiast do ucieczki, ogarnięta paniką. Gałęzie drzew siekły ją po twarzy. *Szybciej! Szybciej!*

Zbiegając po zboczu, straciła grunt pod nogami i omal nie upadła. Uderzyłaby brzuchem o ziemię, gdyby nie chwyciła się drzewka. Biedne dziecko! O mało cię nie przygniotłam! Nie słyszała odgłosów pościgu, ale wiedziała, że porywacz musi być tuż za nią, podążając jej śladami. Strach sprawiał, że biegła dalej przez sieć splątanych gałęzi.

Nagle drzewa zniknęły, jak za sprawą czarodziejskiej różdżki. Przedarła się przez ostatnią gęstwinę pnączy i poczuła pod stopami ubitą ziemię. Oszołomiona i zdyszana patrzyła na odbite w wodzie światło księżyca. Na jezioro i drogę.

W oddali, na cyplu, widniała sylwetka niewielkiego domu.

Zrobiła kilka kroków, przystanąła i jęknęła, gdy dopadł ją kolejny skurcz, tak silny, że nie mogła oddychać i musiała przykucnąć na drodze. Ogarnęły ją mdłości. Słyszała uderzenia fal o brzeg i krzyk ptaka nad jeziorem. Bała się, że zemdleje i upadnie. Nie tutaj! Nie zatrzymuj się w tak widocznym miejscu.

Powłokła się dalej, czując, że skurcz ustępuje. Zmusiła się, aby iść w kierunku domu, który dawał jej mglistą nadzieję na ocalenie. Zaczęła biec polną drogą, choć każdy krok sprawiał jej ból w kolanie. Szybciej, pomyślała. On cię widzi na tle jeziora. Uciekaj, zanim zaczną się znowu skurcze. Ile masz jeszcze czasu? Pięć, dziesięć minut? Dom wydawał się tak daleko.

Nie oszczędzała się, napinając mięśnie nóg i wytężając płuca. Nadzieja działała jak paliwo rakietowe. *Będę żyła. Będę żyła.*

Okna domu były ciemne. Mimo wszystko zastukała do drzwi, nie ośmielając się krzyczeć z obawy, że jej głos rozlegnie się echem na drodze i na wzgórzu. Nie było odpowiedzi.

Wahała się tylko przez moment. *Do diabła z grzeczną dziewczynką. Rozbij tę cholerną szybę!* Chwyciła kamień leżący przy frontowych drzwiach. Dźwięk tłuczonego szkła rozdarł nocną ciszę. Zbiła kamieniem sterczące odłamki szyby, sięgnęła ręką do środka i otworzyła drzwi.

Włamujesz się i wchodzisz. Naprzód, GI Jane!

Wewnątrz poczuła zapach cedru i stęchłego powietrza. Był to dom letniskowy, zbyt

długo zamknięty i zaniechany. Szkło zgrzytnęło jej pod butami, gdy szukała po omacku przełącznika światła. Gdy tylko je zapaliła, uświadomiła sobie, że on to zobaczy. *Już za późno. Znajdź telefon.*

Rozejrzała się po pokoju i zobaczyła kominek, stertę drewna i meble z tapicerką w szkocką kratę, ale nigdzie nie było telefonu.

Pobiegła do kuchni i zauważyła na blacie przenośny aparat. Wzięła go do ręki i wystukiwała już numer 911, gdy zdała sobie sprawę, że nie ma sygnału. Linia była głucha.

W salonie zazgrzytało na podłodze szkło.

On jest w domu. Uciekaj. Uciekaj natychmiast.

Wyślizgnęła się przez drzwi kuchenne i ostrożnie zamknęła je za sobą. Znalazła się w niewielkim garażu. Przez pojedyncze okienko sączyło się światło księżyca, wystarczająco jasne, by mogła zobaczyć niską sylwetkę łodzi, osadzonej na przyczepie. Nie było tam żadnej innej osłony, żadnej kryjówki. Odsunęła się od kuchennych drzwi, chowając się jak najgłębiej w mrok. Uderzywszy ramieniem o półkę, usłyszała metaliczny brzęk i poczuła zapach starego kurzu. Szukała po omacku jakiegoś narzędzia do obrony, ale znajdowała tylko stare puszki z farbą z zaskorupiałymi pokrywkami i pędzle z zaschniętym włosiem. Nagle trafiła na śrubokręt. Chwyciła go. Była to żałosna broń, równie groźna jak pilnik do paznokci. Najmarniejszy ze wszystkich śrubokrętów.

Światło pod kuchennymi drzwiami zamigotało. Cień przesunął się na tle szczeliny i znieruchomiał.

Wstrzymała oddech. Cofnęła się w kierunku drzwi garażu. Serce waliło jej jak młot. Miała tylko jedno wyjście.

Pochyliła się i pociągnęła za uchwyt. Drzwi zaskrzypiały i uniosły się, obwieszczając z piskiem: *Ona jest tutaj! Ona jest tutaj!*

W chwili gdy drzwi kuchenne otworzyły się z impetem, wydostała się z garażu i wybiegła w ciemność. Wiedziała, że jest doskonale widoczna na brzegu. I że nie potrafi biec szybciej niż on. A jednak uciekała wzdłuż srebrzystej tafli jeziora, grzęznąc w błocie. Słyszała, jak się zbliża przez szeleszczące trzciny. Płyn, pomyślała. Uciekaj do wody. Skręciła w kierunku jeziora.

I nagle zgięła się w pół, gdy dopadł ją kolejny skurcz. Takiego bólu jeszcze nigdy nie zaznała. Powalił ją na kolana. Klęczała w głębokiej do kostek wodzie, gdy ból narastał,

ściskając ją tak mocno, że na chwilę pociemniało jej w oczach i poczuła, jak się przewraca. Miała w ustach błoto. Kaszłąc, przekręciła się na plecy, bezbronna jak wywrócony żółw. Skurcz ustał. Na niebie znów zajaśniały gwiazdy. Poczuła, jak woda pieści jej włosy, omywa policzki. Nie była wcale zimna, lecz ciepła jak w wannie. Usłyszała zbliżające się kroki, trzask łamanych trzcin. Szuwary się rozstały.

Stanął nad nią, górując na tle nieba. Przyszedł po swoją zdobycz.

Uklęknął przy niej i odbite w wodzie światło zalśniło w jego oczach. Lśniło również to, co trzymał w ręce: srebrne ostrze noża. Zdawał się wiedzieć, pochylając się nad nią, że jest bez sił. Że jej dusza czeka tylko na uwolnienie z wycieńczonego ciała.

Chwycił w pasie jej ciężowe spodnie i pociągnął je w dół, odsłaniając białą wypukłość brzucha. Nadal się nie poruszała. Leżała jak martwa. Poddawała mu się bezwolnie.

Położył jedną rękę na jej brzuchu, a w drugiej trzymał nóż, zbliżał jego ostrze do nagiego ciała, pochylając się nad nią, by wykonać pierwsze cięcie.

Srebrna fontanna wody wystrzeliła nagle w górę, gdy wyciągnęła raptownie rękę z błota, celując śrubokrętem w jego twarz. Napinając z furią mięśnie, dźgnęła go z całej siły w oko, zamieniając niewinne narzędzie w śmiercionośną broń.

To za mnie, dupku!

A to za moje dziecko!

Wbiła ostrze głęboko, aż po rękę, i czuła, jak przebija kość i mózg.

Napastnik upadł, nie wydając nawet jęku.

Przez chwilę nie mogła się poruszyć. Osunął się na jej uda i czuła na ubraniu jego ciepłą krew. Zwłoki są ciężkie, o wiele cięższe niż żywy człowiek. Zepchnęła go z wysiłkiem, czując odrazę. W końcu opadł z pluskiem na plecy między szuwary.

Podźwignęła się na nogi i wyszła chwiejnie z wody. Byle dalej od jeziora, od krwi. Na brzegu opadła na trawę. Leżąc tam, poczuła następny skurcz. A potem kolejne. Przez zamglone bólem oczy widziała wędrujący po niebie sierp księżyca. Widziała blednące gwiazdy i różową poświatę na wschodzie.

Gdy zza horyzontu wyłoniło się słońce, Mattie Purvis powitała na świecie swoją córeczkę.

Rozdział trzydziesty

Sępniki różowogłowe krążyły leniwie po niebie, zwiastując obecność świeżej padliny. Zmarli szybko przyciągają uwagę Matki Natury. Odór rozkładu zwabia muchy i chrząszcze, kruki i gryzonie, hojnie obdarzane przez śmierć. A czym ja się od nich różnię? — pomyślała Maura, idąc po trawiastym brzegu w kierunku jeziora. Ją też przyciągali zmarli. Grzebała w martwym ciele jak padlinożerca. Czeką ją ponure zadanie w tak pięknym miejscu. Błękitne niebo było bezchmurne, a jezioro lśniło jak srebrzyste szkło. Ale na brzegu biała płachta przykrywała coś, co miało być ucztą dla krążących w górze sępników.

Jane Rizzoli, stojąca obok Barry'ego Frosta i dwóch funkcjonariuszy policji stanowej z Massachusetts, wyszła Maurze na powitanie.

— Zwłoki leżały w płytkiej wodzie, w tamtych szuwarach. Wyciągnęliśmy je na brzeg. Chciałam, żeby pani wiedziała, że zostały przeniesione.

Maura spoglądała na przykryte ciało, ale go nie dotykała. Nie była jeszcze psychicznie gotowa, by zajrzeć pod plastikową płachtę.

— Czy tej kobiecie nic się nie stało?

— Widziałam panią Purvis na pogotowiu. Jest trochę wstrząśnięta, ale wyjdzie z tego. A dziecko jest w bardzo dobrym stanie. — Rizzoli wskazała na brzeg, gdzie rosły kępy ostnicy. — Urodziła je tam. Poradziła sobie sama. Gdy koło siódmej przejeżdżał tędy strażnik leśny, siedziała na skraju drogi i karmiła niemowlę.

Maura patrzyła na brzeg jeziora, myśląc o kobiecie, która rodziła samotnie pod gołym niebem, gdzie nikt nie słyszał jej krzyków, podczas gdy dwadzieścia metrów dalej stygło i sztywniało ciało napastnika.

— Gdzie on ją trzymał?

— W dole, jakieś trzy kilometry stąd.

Maura zmarszczyła brwi.

— Dotarła tu pieszo?

— Tak. Niech pani sobie wyobrazi biec tu w ciemnościach, przez las. Z bólami

porodowymi. Uciekła z lasu tamtym zboczem.

— Nie wyobrażam sobie.

— Powinna pani zobaczyć skrzynię, w której ją więził. Wygląda jak trumna. Była zakopana żywcem przez tydzień. Nie wiem, jak wyszła z tego przy zdrowych zmysłach.

Maura pomyślała o nieletniej Alice Rose, uwięzionej w dole przed wielu laty. Jedna noc rozpacz i ciemności pozostawiła ślad w psychice dziewczyny na resztę jej krótkiego życia. I w końcu doprowadziła ją do śmierci. Ale Mattie Purvis nie tylko zachowała pocztytalność, lecz była gotowa walczyć. I przeżyć.

— Znaleźliśmy białą furgonetkę — oznajmiła Rizzoli.

— Gdzie?

— Stoi zaparkowana na jednej z bocznych dróg, jakieś trzydzieści, czterdzieści metrów od dołu, w którym zakopał Mattie. Nigdy byśmy tam nie trafili.

— Odkryliście już jakieś szczątki? W pobliżu muszą być zakopane zwłoki.

— Dopiero zaczęliśmy szukać. Jest tam dużo drzew, rozległy teren. Trzeba czasu, żeby przeczesać całe wzgórze.

— Tyle lat, tyle zaginionych kobiet... Jedna z nich mogła być moją... — Maura przerwała, spoglądając na drzewa na zboczu. *Jedna z nich mogła być moją matką. Może w moich żyłach wcale nie płynie krew potwora. Może moja prawdziwa matka nie żyje od wielu lat. Mogła być jedną z ofiar zakopanych gdzieś w tym lesie.*

— Zanim zacznie pani cokolwiek zakładać — rzekła Rizzoli — radzę zobaczyć zwłoki.

Maura zmarszczyła brwi i spojrzała na leżące u jej stóp przykryte płachtą ciało. Przyklęknęła i wyciągnęła rękę, by je odsłonić.

— Chwileczkę. Powinam panią ostrzec...

— Tak.

— Będzie pani zaskoczona.

Maura zawahała się, trzymając rękę w powietrzu. Słyszała brzęczenie owadów, żadnych dostępu do świeżego mięsa. Zaczerpnąwszy tchu, odsunęła płachtę.

Przez chwilę milczała, przyglądając się twarzy, którą odsłoniła. Nie zaszokował jej widok zmasakrowanego lewego oka ani śrubokrętu, wbitego po rękę w oczodół. Odnotowała w myślach ten ponury szczegół, tak jak rejestrowała fakty w dyktowanym raporcie z sekcji. Jej uwagę przykuło oblicze napastnika. Przeraziło ją.

— Jest zbyt młody — mruknęła. — Ten człowiek jest zbyt młody, by był Elijahem Lankiem.

— Ma jakieś trzydzieści, trzydzieści pięć lat.

Maura wypuściła z płuc powietrze, wyraźnie zaszokowana.

— Nie rozumiem...

— Widzi pani to, prawda? — spytała cicho Rizzoli. — Czarne włosy, zielone oczy.

Jak moje.

— Z pewnością jest milion facetów z takimi włosami i oczami. Ale podobieństwo...

— Przerwała. — Frost też je zauważył. Jak my wszyscy.

Maura przykryła zwłoki płachtą i cofnęła się, nie dopuszczając do świadomości prawdy, która wyraźnie się malowała na twarzy zmarłego.

— Doktor Bristol jest już w drodze — oznajmił Frost. — Sądziliśmy, że nie zechce pani robić sekcji tego mężczyzny.

— W takim razie po co mnie wezwaliście?

— Ponieważ chciała pani być o wszystkim informowana — odparła Rizzoli. — Ponieważ to pani obiecałam. A także dlatego... — Rizzoli spojrzała na zasłonięte zwłoki — ...dlatego, że wcześniej czy później dowiedziałyby się pani, kim on jest.

— Ale przecież nic o nim nie wiemy. Wydaje wam się, że widzicie podobieństwo. To żaden dowód.

— Jest coś jeszcze. Coś, czego dowiedzieliśmy się dziś rano.

Maura spojrzała na nią.

— Co?

— Próbowaliśmy ustalić miejsce pobytu Elijaha Lanki. Natrafić gdzieś na jego nazwisko. Na listach osób aresztowanych, ukaranych mandatami, gdziekolwiek. Dziś rano dostaliśmy faks z urzędu okręgowego z Karoliny Północnej. Było to świadectwo zgonu. Elijah Lank zmarł osiem lat temu.

— Osiem lat temu? Więc nie był z Amaltheą, gdy zabiła Theresę i Nikki Wells.

— Nie. Miała już wtedy nowego współnika. Kogoś, kto zajął miejsce Elijaha. Żeby prowadzić dalej rodzinny interes.

Maura odwróciła się i patrzyła na jezioro, którego tafla lśniła teraz oślepiającym blaskiem. Nie chce już tego słuchać, pomyślała. Nie chce wiedzieć więcej.

— Przed ośmiu laty Elijah zmarł na atak serca w szpitalu w Greenville — powiedziała Rizzoli. — Zjawił się na ostrym dyżurze, skarżąc się na bóle w piersiach. Według ich kartoteki przywiozła go na pogotowie rodzina.

Rodzina.

— Jego żona, Amalthea — ciągnęła Rizzoli. — I ich syn, Samuel.

Maura wciągnęła głęboko powietrze, czując w nozdrzach zarówno odór zgnilizny, jak i powiew lata. Pomieszany zapach śmierci i życia.

— Przykro mi — rzekła Rizzoli. — Żałuję, że musiała się pani o tym dowiedzieć. Jest jeszcze szansa, że mylimy się co do tego człowieka. Że wcale nie jest z nimi spokrewniony.

Nie mylili się jednak i Maura dobrze o tym wiedziała.

Wystarczyło, że zobaczyłam jego twarz.

* * *

Gdy Rizzoli i Frost weszli tego wieczoru do lokalu J. P. Doyle'a, stojący wokół baru policjanci powitali ich tak gromką owacją, że Rizzoli aż się zaczerwieniła. Do diabła, nawet faceci, którzy nieszczerze ją lubili, wiwatowali w uznaniu jej sukcesu. Trąbiono o nim właśnie w wiadomościach o siedemnastej w stojącym nad barem telewizorze. Tłum zaczął zgodnie przytupywać, gdy Rizzoli i Frost podeszli do kontuaru, gdzie uśmiechnięty szeroko barman postawił już dla nich dwa drinki. Dla Frosta whisky, a dla Rizzoli...

Dużą szklanę mleka.

Gdy wszyscy parsknęli śmiechem, Frost pochylił się i szepnął jej na ucho:

— Wiesz co, boli mnie trochę żołądek. Nie chcesz się zamienić?

Co zabawniejsze, Frost naprawdę lubił mleko. Podsunęła mu swoją szklanę i poprosiła barmana o coca-colę.

Gdy inni policjanci podchodzili, by uścisnąć im dłonie i przybić piątkę, Rizzoli i Frost jedli orzeszki i sączyli łagodne drinki. Rizzoli brakowało jej ulubionego piwa Adams. Brakowało jej zresztą tego wieczoru wielu rzeczy: męża, piwa, szczupłej talii. Ale mimo wszystko był to dobry dzień. Jak zawsze, pomyślała, gdy udaje się dopaść przestępcę.

— Hej, Rizzoli! W puli jest dwieście dolców, że będziesz miała dziewczynkę i sto dwadzieścia na chłopaka.

Spojrząwszy w bok, zobaczyła stojących obok niej przy barze detektywów Vanna i Dunleavy'ego. Gruby i chudy hobbit trzymali w rękach identyczne kufle guinnessa.

— A jeśli urodzę dziewczynkę i chłopca? — spytała. — Bliźniaki?

— Hmm — mruknął Dunleavy. — Tego nie wzięliśmy pod uwagę.

— Kto wtedy wygra?

— Chyba nikt.

— A może wszyscy? — zasugerował Vann.

Obaj mężczyźni zastanawiali się przez chwilę nad tą kwestią. Sam i Frodo, roztrząsający dylematy na Górze Przeznaczenia.

— No cóż — rzekł Vann. — Chyba powinniśmy dodać jeszcze jedną możliwość.

Rizzoli się zaśmiała.

— Tak, zróbcie to.

— Nawiasem mówiąc, świetnie się spisałaś — rzekł Dunleavy. — Niedługo trafisz do czasopisma „People”. Zabójca tylu kobiet... Niezła historia.

— Mam być szczerą? — Rizzoli westchnęła i odstawiła szklanekę z coca-colą. — To nie nasza zasługa.

— Nie?

Frost spojrzał na Vanna i Dunleavy'ego.

— To nie my go załatwiliśmy, tylko niedoszła ofiara.

— Zwykła gospodyni domowa — powiedziała Rizzoli. — Przerażona kobieta w ciąży. Nie miała broni ani pałki, tylko skarpetkę wypełnioną bateriami.

W telewizji skończyły się wiadomości i barman przestawił program na kanał HBO. Leciał film z kobietami w krótkich spódniczkach. Kobietami, które miały szczupłe talie.

— Więc co z tym pociskiem typu Black Talon? — spytał Dunleavy. — Wyjaśniliście to?

Rizzoli milczała przez chwilę, sącząc coca-colę.

— Jeszcze nie.

— Znaleźliście broń?

Dostrzegła spojrzenie Frosta i poczuła niepokój. Ten szczegół dręczył ich oboje. Nie znaleźli w furgonetce broni. Były tam zasupłane sznury i zakrwawione noże, a także

starannie prowadzony notes z nazwiskami i numerami telefonów dziewięciu innych pośredników, zajmujących się sprawami adopcji w różnych rejonach kraju. Terence Van Gates nie był jedynym. Były również potwierdzenia gotówkowych płatności, jakie otrzymywali Lankowie w ciągu wielu lat, stanowiące materiał do długotrwałych badań. Ale broni, z której zabito Annę Leoni, w furgonetce nie było.

— No cóż, może jeszcze się znajdzie — powiedział

Dunleavy. — Albo sprawca się jej pozbył.

Niewykluczone. A może coś przeoczyliśmy.

Było już ciemno, gdy Rizzoli wyszła z Frostem od Doyle'a. Zamiast wrócić do domu, pojechała na Schroeder Plaza, mając wciąż w pamięci rozmowę z Vannem i Dunleavym. Usiadła przy biurku, zawalonym stertą akt. Na szczycie leżały listy z KCIK, obejmujące zgłoszenia zaginionych osób z kilkudziesięciu lat, zgromadzone w trakcie polowania na Bestię. Ale całe dochodzenie wprawiło w ruch zabójstwo Anny Leoni, jak wrzucony do rzeki kamień, od którego rozchodzą się na wodzie coraz szersze kręgi. Zabójstwo Anny doprowadziło ich do Amalthei, a w końcu do Bestii. Pozostało jednak nadal nierozwiązaną zagadką.

Rizzoli odsunęła na bok listy KCIK, szukając akt Anny Leoni. Chociaż czytała je już wiele razy, przejrzała ponownie zeznania świadków, wyniki sekcji, raporty z badań włosów, włókien, odcisków palców i kodu DNA. Doszedłszy do ekspertyzy balistycznej, zatrzymała wzrok na słowach „black talon”. Przypomniała sobie gwieździsty kształt pocisku na zdjęciu rentgenowskim czaszki Anny Leoni. A także spustoszenia, jakie pozostawił w jej mózgu.

Black talon. Gdzie jest broń, z której go wystrzelono?

Zamknęła teczkę i spojrzała na kartonowe pudło, stojące od tygodnia obok jej biurka. Zawierało akta na temat zabójstwa Wasilija Titowa, które pożyczyli jej Vann i Dunleavy. Był on jedyną, poza Anną, ofiarą pocisku tego typu w rejonie Bostonu w ciągu ostatnich pięciu lat. Wyjęła akta z pudła i ułożyła je na biurku, wzdychając ciężko na widok ogromnej sterty papierów. Nawet proste dochodzenie pozostawia obszerną dokumentację. Vann i Dunleavy zapoznali ją już wcześniej ze sprawą i przeczytała wystarczająco dużo, by nabrać pewności, że aresztowali właściwego człowieka. Proces i szybkie skazanie Antona Leonowa umacniało jeszcze to przekonanie. A jednak przeglądała ponownie akta sprawy, w której nie było wątpliwości, że ukarano winnego.

Końcowy raport detektywa Dunleavy'ego był drobiazgowy i przekonujący. Leonowa przez tydzień obserwowana przez policję, gdyż spodziewano się, że otrzyma dostawę heroiny z Tadżykistanu. Gdy dwaj detektywi siedzieli w samochodzie na ulicy, Leonow podjechał pod dom Titowa, zapukał do drzwi i został wpuszczony do środka. Po chwili rozległy się dwa strzały. Leonow wyszedł, wszedł do samochodu i zamierzał odjechać, gdy Vann i Dunleavy go aresztowali. Titowa znaleziono martwego w kuchni, z dwoma pociskami typu Black Talon w mózgu. Ekspertyza balistyczna potwierdziła później, że wystrzelono je z broni Leonowa.

Sprawa zamknięta. Winnego skazano, a broń trafiła w ręce policji. Rizzoli nie widziała żadnego związku między śmiercią Wasilija Titowa i Anny Leoni, z wyjątkiem użycia tego samego typu pocisków. Była to niezwykle rzadka amunicja, ale to nie wystarczyło, by można naprawdę powiązać ze sobą te zabójstwa.

A jednak nadal przerzucała akta, studiowała je przez cały wieczór. Gdy brała do ręki ostatnią teczkę, była niemal zbyt zmęczona, by do niej zajrzeć. Skończyła to, pomyślała, a potem wszystko spakuję i dam sobie spokój.

Otworzywszy teczkę, znalazła raport z rewizji hurtowni Antona Leonowa. Zawierał sporządzony przez detektywa Vanna opis policyjnej akcji, wykaz aresztowanych pracowników Leonowa i listę całego skonfiskowanego dobytku, od skrzyń po gotówkę i księgi rachunkowe. Zatrzymała wzrok na spisie uczestniczących w akcji policjantów. Dziesięciu funkcjonariuszy z Bostonu. Jej spojrzenie padło na nazwisko, którego nie dostrzegła, czytając ten raport przed tygodniem. *Może to przypadek. To nie musi koniecznie oznaczać...*

Usiadła, zastanawiając się nad tym przez chwilę. Przypomniała sobie nalot na handlarzy narkotyków, w którym brała udział jako młoda policjantka. Było wtedy wiele hałasu, podniecenia... i zamieszania. Gdy kilkunastu podekscytowanych policjantów otacza niebezpieczny budynek, wszyscy są zdenerwowani, każdy troszczy się o siebie. Można nie zauważyć, co robi kolega. Co wsuwa do kieszeni. Pieniądze, narkotyki. Pudełko pocisków, którego braku nikt nie zauważy. Zawsze istnieje pokusa, by zabrać coś na pamiątkę. Coś, co może później się przydać.

Podniosła słuchawkę i zadzwoniła do Frosta.

Rozdział trzydziesty pierwszy

Zmarli nie stanowili miłego towarzystwa.

Maura siedziała nad mikroskopem, patrząc przez okular na wycinki płuc, wątroby i trzustki — fragmenty tkanki, pobrane z doczesnych szczątków ofiary samobójstwa, umieszczone pod szkłem i zabarwione na tandetny różowopurpurowy kolor hematoksyliną-eozyną. Jeśli nie liczyć sporadycznych odgłosów przekładanych szkiełek i szumu klimatyzatora, w budynku panowała cisza. Nie znaczyło to, że nie było tam ludzi. W chłodni na dole leżało w zapiętych całunach kilkoro niewymagających, niemych gości. Każdy miał do opowiedzenia własną historię, ale tylko temu, kto chciał ich ciąć i badać.

Na biurku zadzwonił telefon. Włączyła się automatyczna sekretarka. *Nie ma tu już nikogo, tylko zmarli. I ja.*

Historia, którą widziała teraz pod mikroskopem, nie była niczym nowym. Młode narządy, zdrowa tkanka. Ciało, które mogło żyć jeszcze wiele lat, gdyby chciała tego dusza, gdyby jakiś wewnętrzny głos szepnął zrozpaczonemu mężczyźnie: *Hej, zaczekaj, ból serca minie i pokochasz jeszcze pewnego dnia inną dziewczynę.*

Obejrzała ostatni preparat i odłożyła go do pudełka. Siedziała przez chwilę, nie myśląc o oglądanych przed chwilą wycinkach, lecz o czymś innym: o młodym człowieku z czarnymi włosami i zielonymi oczami. Nie widziała jego sekcji. Tego popołudnia, gdy kroił go doktor Bristol, była w swoim biurze. Ale dyktując raporty i przeglądając do późnego wieczora preparaty, nie przestawała o nim myśleć. *Czy naprawdę chcę wiedzieć, kim on jest?* Jeszcze nie podjęła decyzji. Wstając zza biurka i zabierając torebkę oraz plik teczek, nadal nie była pewna odpowiedzi.

Ponownie zadzwonił telefon. I znów go zignorowała.

Idąc pogrążonym w ciszy korytarzem, mijała zamknięte drzwi i opustoszałe biura. Przypomniała sobie inny wieczór, gdy wyszła z pustego budynku i znalazła na samochodzie zadrapania. Poczwała, jak zaczyna bić jej szybciej serce.

Ale jego już nie ma. Bestia nie żyje.

Wyszła tylnymi drzwiami w ciepłą letnią noc. Przystanęła pod latarnią, żeby spojrzeć na pogrążony w cieniu parking. Wokół lampy krążyły zwabione światłem ćmy. Słyszała, jak trzepoczą skrzydełkami o żarówkę. Potem dotarł do niej kolejny dźwięk: odgłos zamykanych drzwiczek samochodu. Ktoś szedł w jej kierunku. Jego sylwetka nabierała kształtu w miarę zbliżania się do światła latarni.

Odetchnęła z ulgą, rozpoznając Ballarda.

— Czekales na mnie?

— Zobaczyłem na parkingu twój wóz. Próbowałem się do ciebie dodzwonić.

— Po piątej odbiera telefony automatyczna sekretarka.

— Twoja komórka też nie odpowiadała.

— Wyłączyłam ją. Nie musisz mnie pilnować, Rick. Wszyst ko jest w porządku.

— Naprawdę?

Westchnęła, gdy szli do jej samochodu. Spojrzała w niebo. Gwiazdy wyglądały blado w łunie światła miasta.

— Muszę zdecydować, co z tym badaniem DNA, czy faktycznie chcę znać prawdę.

— Daj temu spokój. To bez znaczenia, czy jesteś z nimi spokrewniona. Amalthea nie ma nic wspólnego z tym, kim jesteś.

— Wcześniej też tak sądziłam. — *Zanim się dowiedziałam, czyja krew może płynąć w moich żyłach. Nim się okazało, że mogę pochodzić z rodziny potworów.*

— Zło nie jest dziedziczne.

— Mimo wszystko to niezbyt przyjemne uczucie, gdy mogę mieć w rodzinie paru seryjnych zabójców.

Otworzyła drzwiczki i wsiadła za kierownicę. Zdążyła włożyć kluczyk do stacyjki, gdy Ballard pochylił się ku niej.

— Mauro — poprosił. — Zjedz ze mną kolację.

Znieruchomiła, nie patrząc na niego. Wpatrywała się w zielone światła deski rozdzielczej, rozważając jego zaproszenie.

— Wczoraj wieczorem — powiedział — zadałaś mi pytanie. Zastanawiałaś się, czy interesowałbym się tobą, gdybym nie kochał twojej siostry. Chyba nie uwierzyłaś w moją odpowiedź.

Spojrzała na niego.

— Jak możesz być tego pewny? Przecież naprawdę ją kochałeś.

— Więc daj mi szansę poznać ciebie. To, co zdarzyło się tam, w lesie, nie było wytworem mojej wyobraźni. Czuliśmy to oboje. Coś między nami zaszło. — Pochylił się bliżej i dodał cicho: — Chodzi tylko o kolację, Mauro.

Pomyślała o tym, jak wiele godzin spędziła, pracując w sterylnym laboratorium, mając do towarzystwa jedynie umarłych. Tego wieczoru nie chciała być sama. Chciała przebywać z żywymi.

— Na tej ulicy jest chińska restauracja — zaproponowała. — Może tam pojedziemy?

Wsunął się na miejsce pasażera obok niej i przez chwilę patrzyli na siebie. Blask latarni oświetlał połowę jego twarzy. Wyciągnął rękę, by dotknąć jej policzka. Potem objął ją ramieniem i przyciągnął do siebie, ale ona już pochylała się ku niemu, wychodząc mu na spotkanie. Westchnęła, gdy zetknęli się ustami. Poczowała ciepło jego uścisku.

I nagle podskoczyła, słysząc eksplozję.

Wzdrygnęła się, gdy szyba po stronie Ricka rozprysła się na kawałki, a fragmenty szkła uderzyły ją w policzek. Otworzyła znów oczy, by na niego spojrzeć. Z jego twarzy pozostała krwawa miazga. Osunął się powoli, opadając głową na jej uda. Poczowała na brzuchu ciepłą krew.

— Rick. Rick!

Jakiś ruch na zewnątrz przyciągnął jej oszołomione spojrzenie. Z mroku wyłoniła się czarna postać, zmierzając w jej kierunku jak zaprogramowany robot.

Przychodzi mnie zabić.

Jedź. Jedź!

Zepchnęła ciało Ricka z dźwigni skrzyni biegów. Miała dłonie śliskie od krwi, ciekącej z jego zmasakrowanej twarzy. Zdołała wrzucić wsteczny bieg i wcisnąć pedał gazu.

Lexus ruszył raptownie z miejsca na parkingu.

Napastnik był tuż za nią i zbliżał się.

Szlochając z wysiłku, zepchnęła twarz Ricka z dźwigni. Czując pod palcami krwawą miazgę, wrzuciła bieg.

Tylna szyba rozpadła się na kawałki. Skuliła się, gdy odłamki szkła posypały jej się na włosy.

Wdusiła w podłogę pedał gazu. Lexus ruszył do przodu z piskiem opon. Napastnik

odciął jej drogę do najbliższego wyjazdu. Mogła jechać teraz tylko w stronę sąsiedniego parkingu Centrum Medycznego Uniwersytetu w Bostonie. Oba parkingi rozdzielał jedynie krawężnik. Jechała prosto w jego kierunku, przygotowując się na wstrząs. Czuła, jak wysuwa podbródek i zaciska zęby, gdy opony podskoczyły na betonie.

Kolejna kula rozbiła przednią szybę.

Maura pochyliła głowę, gdy odłamki szkła posypały się na deskę rozdzielczą, uderzając ją w twarz. Straciła panowanie nad kierownicą. Zobaczyła przed sobą słup latarni. Zderzenie było nieuniknione. Zamknęła oczy, zanim z hukiem poduszka powietrzna przydusiła ją do fotela.

Powoli otworzyła ze zdumieniem oczy. Klakson ryczał bez przerwy, nawet wtedy gdy wydostała się spod zwiotczącej już poduszki, otworzyła drzwiczki i wygramoliła się na chodnik.

Chwiejąc się na nogach, na wpół ogłuszona wyciem klaksonu, zdołała ukryć się za zaparkowanym w pobliżu samochodem. Szła niepewnie wzdłuż stojących rzędem aut, aż nagle przystanęła.

Miała teraz przed sobą otwartą przestrzeń chodnika.

Uklęknęła za kołem samochodu i wyjrzała zza zderzaka. Poczowała, jak krew zastyga jej w żyłach na widok wyłaniającej się z mroku ciemnej postaci, która zmierzała nieustępliwie w kierunku rozbitego lexusa.

Gdy stanęła w blasku światła latarni, Maura zobaczyła lśnienie jasnych włosów, zarys końskiego ogona.

Uzbrojona kobieta otworzyła drzwiczki po stronie pasażera i nachyliła się do środka, by spojrzeć na ciało Ballarda. Nagle podniosła znów głowę i zmierzyła wzrokiem parking.

Maura ukryła się ponownie za kołem. Czuła pulsowanie w skroniach i paniczny strach. Spojrzała w kierunku pustego chodnika, skąpanego w świetle kolejnej latarni. W głębi, po drugiej stronie ulicy, widniał jaskrawoczerwony neon z napisem POGOTOWIE. Wystarczyło, by przebiegła odsłonięty odcinek chodnika i Albany Street. Wycie klaksonu musiało już zaalarmować personel szpitala.

Tak blisko. Pomoc jest tak blisko.

Z bijącym sercem przykucnęła na piętach. Bała się poruszyć, bała się pozostać w miejscu. Ostrożnie wysunęła głowę i wyjrzała zza koła.

Zobaczyła czarne buty po drugiej stronie samochodu.

Uciekaj.

W jednej chwili ruszyła biegiem w kierunku odsłoniętego chodnika. Nie myślała o tym, by unikać strzałów, biegnąc zygzakiem, po prostu pędziła na oślep przed siebie. Czerwony neon pogotowia jaśniał tuż przed nią. Uda mi się, powtarzała w myślach. Dam radę...

Pocisk trafił ją w ramię. Runęła do przodu i upadła na asfalt. Próbowwała podźwignąć się na kolana, ale lewa ręka uginała się pod nią. Co się dzieje? — myślała. Dlaczego nie mam czucia w ręce? Jęcząc, odwróciła się na plecy i ujrzała nad sobą w świetle latarni twarz Carmen Ballard.

— Zabiłam cię już raz — powiedziała Carmen. — Teraz muszę zrobić to ponownie.

— Błagam. Rick i ja... my nigdy...

— Nie miałaś do niego prawa. — Carmen uniosła lufę broni, która przypominała ciemne oko, wpatrzone w Maurę. — Pieprzona dziwka — syknęła, zaciskając palec na spuście.

Nagle odezwał się inny głos. Głos mężczyzny.

— Rzuć broń!

Carmen zamrugała szybko, wyraźnie zaskoczona, i spojrzała w bok.

Kilka metrów dalej stał ochroniarz ze szpitala, celując do niej z pistoletu.

— Nie słyszała pani? — warknął. — Proszę rzucić broń!

Ręka Carmen zadrżała. Spojrzała na Maurę, potem znów na strażnika. Gniew i chęć zemsty walczyły w niej ze świadomością konsekwencji.

— Nigdy nie byliśmy kochankami — oznajmiła Maura tak słabym głosem, że nie była pewna, czy Carmen słyszy ją na tle ryczącego ciągle w oddali klaksonu. — Anna też nie była jego kochanką.

— Kłamiesz. — Carmen znów skierowała wzrok na Maurę. — Jesteś taka jak ona. Zostawił mnie z jej powodu. Porzucił mnie.

— To nie była jej wina...

— Owszem. A teraz ty zawiniłaś. — Nie odrywała wzroku od Maury, także wtedy, gdy z piskiem opon podjechał do nich samochód i kolejny głos zawołał:

— Rzuć broń, Ballard!

Rizzoli.

Carmen zerknęła w bok, po raz ostatni oceniając swoje możliwości. Celowano teraz do niej z dwóch stron. Przegrała. Bez względu na to, co postanowi, jej życie się skończyło. Maura dostrzegła w jej oczach decyzję, którą podjęła. Widziała, jak Carmen wyciąga rękę, mierząc do niej, by wystrzelić. Widziała, jak zaciska palec na spuście, gotowa ją zabić.

Huk wystrzału zaszokował Maurę. Carmen zachwiała się i upadła.

Maura usłyszała dudnienie kroków, narastające wycie syren i znajomy głos, który mruknął:

— O Boże, pani doktor!...

Zobaczyła nad sobą twarz Rizzoli. Ulica pulsowała światłami. Zewsząd zbliżały się cienie. Duchy zapraszające ją do swojego świata.

Rozdział trzydziesty drugi

Widziała teraz wszystko z drugiej strony. Jako pacjentka, nie lekarka. Migają jej przed oczami światła na suficie, gdy nosze na kółkach jechały korytarzem, a pielęgniarka w czepku patrzyła na nią z troską na twarzy. Kółka skrzypiały, a pielęgniarka dyszała lekko, pchając wózek przez podwójne drzwi do sali operacyjnej. Światło stało się teraz ostre, oślepiająco jasne. Jak w prosektorium.

Maura przymknęła oczy. Gdy pielęgniarki z pogotowia przeniosły ją na stół, pomyślała o Annie, leżącej nago pod identycznymi lampami, z rozkrojonym ciałem, na które patrzyli obcy ludzie. Czuła, jak duch Anny unosi się nad nią, patrząc, tak jak Maura kiedyś patrzyła na nią. Moja siostra, pomyślała, gdy wstrzyknięto jej do żył pentobarbital i światła zaczęły przygasać. Czekasz na mnie?

Ale gdy się obudziła, nie zobaczyła Anny, lecz Jane Rizzoli. Promienie słońca przenikały przez częściowo zasłonięte żaluzje, rzucając jasne poziome smugi na twarz Rizzoli, gdy pochylała się nad Maurą.

— Witam, pani doktor.

— Witam — szepnęła w odpowiedzi Maura.

— Jak się pani czuje?

— Nie za dobrze. Moja ręka... — Maura się skrzywiła.

— Zdaje się, że pora na znieczulenie. — Rizzoli sięgnęła do przycisku, by wezwać pielęgniarkę.

— Dziękuję. Dziękuję za wszystko.

Zamilkły, gdy weszła pielęgniarka, by wstrzyknąć Maurze do żyły dawkę morfiny. Milczenie trwało nadal po jej wyjściu, dopóki lek nie zaczął magicznie działać.

Maura powiedziała cicho:

— Rick...

— Przykro mi. Wie pani, że on...

Wiem. Maura zamrugnęła powiekami, by powstrzymać łzy.

— Nie mieliśmy szans.

— Ona by do tego nie dopuściła. Te zadrapania na drzwiczkach pani samochodu to było ostrzeżenie. Żeby trzymała się pani z daleka od jej męża. Pocięte siatki w oknach, martwy ptak w skrzynce na listy — te wszystkie pogróżki, które Anna przypisywała Cassellowi — były, moim zdaniem, sprawką Carmen, próbującej ją zastraszyć, by wyjechała z miasta. By zostawiła w spokoju jej męża.

— Ale Anna wróciła do Bostonu.

Rizzoli skinęła głową.

— Wróciła, bo dowiedziała się, że ma siostrę.

Mnie.

— Informacja o jej powrocie dotarła do Carmen — oznajmiła Rizzoli. — Anna zostawiła Rickowi wiadomość na automatycznej sekretarce, pamięta pani? Usłyszała ją jego córka i powiedziała matce. Carmen straciła wtedy wszelką nadzieję na pogodzenie się z mężem. Ta kobieta znów wkroczyła na jej terytorium. Zagroziła jej rodzinie.

Maura przypomniała sobie słowa Carmen: „Nie miałaś do niego prawa”.

— Charles Cassell powiedział mi coś na temat miłości — rzekła Rizzoli. — Twierdził, że istnieje miłość, która nie pozwala odejść, pod żadnym pozorem. To brzmi niemal romantycznie, prawda? Dopóki śmierć nas nie rozłączy. Ale jak się człowiek zastanowi, ilu ludzi ginie tylko dlatego, że ktoś, kto kocha, nie chce ustąpić, nie daje za wygraną...

Morfina zaczynała działać. Maura przymknęła oczy, doznając upragnionej ulgi.

— Skąd pani wiedziała? — mruknęła. — Dlaczego podejrzewała pani Carmen?

— Z powodu tego pocisku. Powinnam od początku iść tym śladem. Ale zbili mnie z tropu Lankowie. Bestia.

— Mnie też — wyszeptała Maura. Czowała, jak morfina ją usypia. — Myślę, że jestem już gotowa, żeby poznać prawdę.

— Jaką?

— Na temat Amalthei. Chcę wiedzieć.

— Czy jest pani matką?

— Tak.

— Nawet jeżeli, to nic nie znaczy. To tylko biologia. Co pani przez to osiągnie?

— Dowiem się prawdy. — Maura westchnęła. — Przynajmniej dowiem się prawdy.

Ludzie rzadko chcą naprawdę słyszeć prawdę, pomyślała Rizzoli, idąc do samochodu. Czy nie lepiej byłoby trzymać się tej cieniutkiej nici nadziei, że nie jest się potomkiem potworów? Ale Maura prosiła o fakty, a Rizzoli wiedziała, że są one brutalne. Ekipa poszukiwawcza znalazła już dwa szkielety kobiet, pogrzebanych na zalesionym zboczu wzgórza, niedaleko miejsca, gdzie była więziona Mattie Purvis. Ile jeszcze ciężarnych kobiet poznało koszmar zamknięcia w takiej skrzyni? Ile z nich ocknęło się w ciemnościach i drapało z krzykiem jej ściany? Ile zrozumiało, tak jak Mattie, że czeka je straszny koniec, gdy przestaną być użyteczne jako żywe inkubatory?

Czy przeżyłabym ten koszmar? Nigdy nie poznam odpowiedzi. Musiałabym znaleźć się najpierw w takiej skrzyni.

Gdy dotarła do zaparkowanego w garażu samochodu, sprawdziła, czy wszystkie opony są w porządku, i rozejrzała się wokół, czy nikt jej nie obserwuje. Oto co robi z ciebie ta praca, pomyślała. Zaczynasz węszyć zło nawet tam, gdzie go nie ma.

Wsiadła do subaru i włączyła silnik. Siedziała przez chwilę, czując coraz chłodniejszy powiew klimatyzacji. Sięgnęła do torebki po telefon komórkowy, myśląc: Muszę usłyszeć głos Gabriela. Muszę się przekonać, że nie jestem jak Mattie Purvis, że mój mąż mnie kocha. Tak jak ja jego.

Odpowiedział już po pierwszym sygnale.

— Agent Dean.

— Cześć — zaczęła.

Gabriel roześmiał się, zaskoczony.

— Miałem właśnie do ciebie dzwonić.

— Tęsknię za tobą.

— Liczyłem, że to powiesz. Jestem w drodze na lotnisko.

— Na lotnisko? Czy to oznacza...

— Wsiadam w najbliższy samolot do Bostonu. Co powiesz na randkę z mężem dziś wieczorem? Możesz wpisać mnie w harmonogram?

— Niezmywalnym atramentem. Wracaj do domu. Błagam.

Zamilkł, po czym dodał cicho:

— Dobrze się czujesz, Jane?

Nieoczekiwanie napłynęły jej do oczu łzy.

— Och, to te przekłete hormony. — Otarła twarz i roześmiała się. — Myślę, że natychmiast cię potrzebuję.

— Myśl tak dalej. Już pędzę.

* * *

Rizzoli uśmiechała się, jadąc do Natick, by odwiedzić kolejną pacjentkę w kolejnym szpitalu. Jeszcze jedną osobę, która cudem uniknęła śmierci. To dwie niezwykle kobiety, pomyślała, i mam zaszczyt znać je obie.

Sądząc po zaparkowanych przed szpitalem wozach transmisyjnych telewizji i reporterach tłoczących się przy wejściu, dziennikarze także uznali, że Mattie Purvis jest osobą wartą poznania. Rizzoli musiała przeciskać się przez ich tłum, by dostać się do holu. Opowieść o kobiecie zakopanej w skrzyni wzbudziła emocje w całym kraju. Rizzoli musiała okazać policyjną legitymację dwóm różnym ochroniarzom, zanim w końcu pozwolono jej zapukać do drzwi izolatki, w której leżała Mattie. Nie usłyszawszy odpowiedzi, weszła do środka.

Grał tam telewizor, ale miał wyłączony dźwięk. Na ekranie migotały obrazy, których nikt nie oglądał. Mattie leżała w łóżku, z zamkniętymi oczami, nie przypominając zupełnie wypielęgowanej panny młodej ze ślubnej fotografii. Wargi miała posiniaczone i opuchnięte, a twarz pokaleczoną i zadrapaną. Zwinięta rurka z wprowadzoną do żyły igłą była przymocowana do dłoni z widocznymi na palcach strupami i połamanymi paznokciami. Wyglądała jak łapa dzikiego zwierza. Ale twarz Mattie wyrażała spokój. Nie męczyły jej we śnie koszmary.

— Pani Purvis? — odezwała się cicho Rizzoli.

Mattie otworzyła oczy i zamrugała kilka razy, zanim skoncentrowała wzrok na swoim gościu.

— O, detektyw Rizzoli. Wróciła pani.

— Postanowiłam panią odwiedzić. Jak się pani dziś czuje?

Mattie westchnęła głęboko.

— O wiele lepiej. Która godzina?

— Prawie południe.

— Przespałam cały ranek?

— Zasługuje pani na to. Nie, proszę nie siadać, spokojnie.

— Męczy mnie już leżenie na plecach. — Mattie odsunęła pościel i usiadła. Nieuczesane włosy opadły jej luźnymi lokami.

— Widziałam przez szybę pani córeczkę. Jest śliczna.

— Prawda? — Mattie uśmiechnęła się. — Nazwę ją Rose. Zawsze podobało mi się to imię.

Rose. Rizzoli przeszedł dreszcz. To był czysty przypadek, jeden z tych niewytłumaczalnych zbiegów okoliczności, jakie zdarzają się we wszechświecie. *Alice Rose. Rose Purvis.* Jedna z tych dziewczynek dawno nie żyła, druga rozpoczynała właśnie życie. Ich losy łączyła na przestrzeni kilkudziesięciu lat krucha więź.

— Chciała mnie pani jeszcze o coś zapytać? — powiedziała Mattie.

— Prawdę mówiąc, tak... — Rizzoli przysunęła do łóżka krzesło i usiadła. — Wczoraj pytałam już panią o tyle spraw, Mattie, ale dalej nie wiem, jak udało się pani przetrwać.

— Przetrwać?

— Pozostać przy zdrowych zmysłach. Nie załamać się.

Z ust Mattie zniknął uśmiech. Spojrzała na Rizzoli szeroko otwartymi, udręczonymi oczami i mruknęła:

— Nie wiem, jak to zrobiłam. Nie wyobrażałam sobie nigdy, że potrafię... — Przerwała. — Chciałam przeżyć, to wszystko. Chciałam ocalić moje dziecko.

Przez chwilę obie milczały.

Potem Rizzoli powiedziała:

— Powinnam ostrzec panią przed dziennikarzami. Nie dadzą pani spokoju. Stoi ich na zewnątrz cały tłum. Na razie szpital ich do pani nie dopuszcza, ale gdy wróci pani do domu, wtedy się zaczną. Zwłaszcza że... — Rizzoli nie dokończyła.

— Że co?

— Po prostu chcę, żeby była pani na to przygotowana. Proszę nie dać sobą manipulować.

Mattie zmarszczyła brwi, po czym spojrzała na wyciszony telewizor, gdzie nadawano właśnie południowe wiadomości.

— On jest dziś na wszystkich kanałach — oznajmiła.

Na ekranie widać było Dwayne'a Purvisa, który stał przed morzem mikrofonów. Mattie sięgnęła po pilota i włączyła dźwięk.

— To najszczęśliwszy dzień w moim życiu — mówił Dwayne do tłumu reporterów. — Odzyskałem moją cudowną żonę i córkę. Przeżyłem nieopisane piekło. Koszmar, którego nikt z was nie potrafi sobie wyobrazić. Dzięki Bogu, dzięki Bogu, że wszystko się szczęśliwie skończyło.

Mattie wyłączyła telewizor, ale nadal patrzyła w ekran.

— To wszystko wydaje mi się nierealne — powiedziała. — Jakby nigdy się nie zdarzyło. Tylko dlatego mogę tu siedzieć i spokojnie o tym myśleć, że nie wierzę, że byłam naprawdę zamknięta w tej skrzyni.

— Była pani, Mattie. Minie trochę czasu, zanim się pani z tym oswoi. Może pani mieć koszmary. Złe wspomnienia. Wchodząc do windy albo zaglądając do szafy, dozna pani nagle wrażenia, że jest znów w tej skrzyni. Ale z czasem będzie coraz lepiej, obiecuję. Proszę zawsze pamiętać, że to przejdzie.

Mattie spojrzała na nią błyszczącymi oczami.

— Pani to wie.

Owszem, wiem, pomyślała Rizzoli, dotykając blizn na swoich przegubach. Były świadectwem koszmaru, który przeżyła, walki o pozostanie przy zdrowych zmysłach. *Przetrwanie to dopiero pierwszy krok.*

Rozległo się pukanie do drzwi. Rizzoli wstała, gdy do pokoju wszedł Dwayne Purvis z naręczem czerwonych róż. Podszedł prosto do łóżka żony.

— Cześć, skarbie. Byłbym szybciej, ale tam na dole jest istne zoo. Wszyscy chcą wywiadów.

— Widzieliśmy pana w telewizji — powiedziała Rizzoli. Starła się zachować obojętny ton, choć patrząc na niego, miała ciągle w pamięci rozmowę na komisariacie w Natick. Och, Mattie, pomyślała, zasługujesz na kogoś lepszego niż ten facet.

Gdy spojrzał na Rizzoli, zobaczyła jego szytą na miarę koszulę i starannie zawiązany jedwabny krawat. Woń płynu po goleniu przytłumiła zapach róż.

— I jak wypadłem? — spytał z przejęciem.

Rizzoli odparła zgodnie z prawdą:

— Wyglądał pan w telewizji jak prawdziwy profesjonalista.

— Tak? To zdumiewające, ilu tam jest reporterów. Wszyscy są podekscytowani. —

Spojrzał na swoją żonę. — Wiesz, kochanie, musimy to wszystko uwiecznić. Utrwalić na pamiątkę.

— Co masz na myśli?

— Na przykład tę chwilę. Powinniśmy zrobić teraz zdjęcie. Jak przynoszę ci kwiaty, kiedy leżysz w szpitalu. Mam już zdjęcia małej. Poprosiłem pielęgniarkę, żeby podeszła z nią do szyby. Ale potrzebujemy zbliżeń. Na przykład, jak ją trzymasz.

— Ona ma na imię Rose.

— I nie mamy żadnych zdjęć razem. Zdecydowanie potrzebujemy kilku wspólnych fotografii. Przyniosłem aparat.

— Jestem nieuczczesana, Dwayne. Fatalnie wyglądam. Nie chcę żadnych zdjęć.

— Daj spokój. Wszyscy o nie proszą.

— Kto? Dla kogo mają być te zdjęcia?

— To zdecydujemy później. Zastanowimy się, przejrzymy oferty. Historia ilustrowana zdjęciami jest warta o wiele więcej. — Wyjął z kieszeni aparat i podał go Rizzoli. — Zrobi nam pani zdjęcie?

— To zależy od pańskiej żony.

— Nie ma sprawy — nalegał. — Proszę je zrobić. — Przysunął się do Mattie, wyciągając w jej kierunku bukiet róż. — Tak będzie dobrze? Wręczam jej kwiaty. To będzie wyglądało wspaniale. — Wyszczrzył zęby w uśmiechu — kochający mąż, otaczający opieką żonę.

Rizzoli spojrzała na Mattie. Nie dostrzegła w jej oczach protestu, tylko dziwny, ognisty błysk, którego nie potrafiła zinterpretować. Podniosła aparat, skadrowała zdjęcie i zwolniła migawkę.

Błysnął flesz, rejestrując na kliszy obraz Mattie Purvis, która uderza męża w twarz bukietem róż.

Rozdział trzydziesty trzeci

Cztery tygodnie później

Tym razem nie było żadnego odgrywania ról i udawania obłądu. Amalthea Lank weszła do prywatnej rozmównicy i usiadła przy stole, kierując na Maurę wyraziste spojrzenie osoby w pełni poczytalnej. Włosy, które przedtem miała w nieładzie, były starannie związane w kucyk, uwydatniając jej regularne rysy. Wpatrując się w pociągłą twarz i dumny wzrok Amalthei, Maura zastanawiała się: Dlaczego wcześniej nie chciałam tego dostrzec? To takie oczywiste. To przecież moja własna twarz sprzed dwudziestu pięciu lat.

— Wiedziałam, że wrócisz — powiedziała Amalthea. — No i jesteś.

— Czy wiesz dlaczego?

— Dostałaś wyniki testu, prawda? Teraz wiesz, że mówiłam prawdę. Chociaż nie chciałaś mi wierzyć.

— Potrzebowałam dowodów. Ludzie ciągle kłamią, ale nie kod DNA.

— Mimo wszystko musiałaś znać odpowiedź wcześniej. Zanim dotarły wyniki twojego bezcennego testu. — Amalthea pochyliła się naprzód i wpatrywała w nią z niemal serdecznym uśmiechem. — Masz usta twojego ojca, Mauro. Wiesz o tym? I moje oczy, moje rysy. Widzę Elijaha i mnie w twojej twarzy. Jesteśmy rodziną. Mamy tę samą krew. Ty, ja, Elijah. I twój brat. — Zamilkła. — Wiesz, że nim był?

Maura przełknęła z trudem ślinę.

— Tak. — *Tylko jego zatrzymałaś. Sprzedałaś moją siostrę i mnie, ale zatrzymałaś syna.*

— Nie wspomniałaś mi, jak zginął Samuel — powiedziała Amalthea. — W jaki sposób ta kobieta go zabiła.

— To była samoobrona. To ci powinno wystarczyć. Nie miała wyboru. Musiała walczyć.

— Kim jest ta Matilda Purvis? Chciałabym wiedzieć o niej więcej.

Maura milczała.

— Widziałam jej zdjęcie w telewizji. Nie ma w niej nic nadzwyczajnego. Nie rozumiem, jak mogła tego dokonać.

— Ludzie zrobią wszystko, aby przeżyć.

— Gdzie ona mieszka? Przy jakiej ulicy? W telewizji mówili, że jest z Natick.

Maura spojrzała w ciemne oczy matki i nagle przeszły ją ciarki. Nie z obawy o siebie, lecz o życie Mattie Purvis.

— Po co ci te informacje?

— Mam prawo wiedzieć. Jako matka.

— Matka? — Maura niemal się roześmiała. — Naprawdę uważasz, że zasługujesz na to miano?

— Jestem matką Samuela. A ty jego siostrą. — Amalthea przysunęła się bliżej. — Mamy prawo wiedzieć. Jesteśmy jego rodziną, Mauro. Nic na tym świecie nie łączy ludzi bardziej niż więzy krwi.

Maura patrzyła w oczy Amalthei, niesamowicie podobne do jej własnych, i dostrzegała w nich inteligencję, nawet błyskotliwość. Lśniły jednak złowrogim blaskiem, odbitym w roztrzaskanym lustrze.

— Więzy krwi nic nie znaczą — odparła Maura.

— Więc dlaczego tu jesteś?

— Przyjechałam, żeby po raz ostatni cię zobaczyć. A potem odejdę na zawsze. Ponieważ uznałam, że bez względu na wyniki testu DNA nie jesteś moją matką.

— To kto nią jest?

— Kobieta, która mnie kochała. Ty nie potrafisz kochać.

— Kochałam twojego brata. Mogłabym kochać ciebie. — Amalthea wyciągnęła rękę nad stołem i pogładziła Maurę po policzku. Delikatnie i czule jak prawdziwa matka. — Daj mi szansę — szepnęła.

— Żegnaj, Amaltheo. — Maura wstała i nacisnęła guzik, by wezwać strażniczkę. — Już skończyłam — powiedziała do interkomu. — Chcę wyjść.

— Wrócisz — rzekła Amalthea.

Maura nie patrzyła na nią, nie obejrzała się nawet za siebie, wychodząc z rozmównicy. Słyszała, jak Amalthea krzyczy za nią:

— Mauro! Zobaczysz, że wrócisz!

Odebrała z szafki w przechowalni torebkę, prawo jazdy i karty kredytowe. Wszystkie dowody tożsamości. Ale wiem już, kim jestem, pomyślała.

I wiem, kim nie jestem.

Wyszedłszy na zewnątrz w upalne letnie popołudnie, Maura przystanęła i wzięła głęboki oddech. Czuła, jak ciepłe powietrze oczyszcza jej płuca z więziennego zaduchu. Czuła też, że Amalthea Lank nie zatruwa już jej duszy.

Oczy i rysy Maury stanowiły dowód, że jest córką Amalthei. W jej żyłach płynęła krew zabójców. Ale zło nie jest dziedziczne. Mogła mieć je w swoich genach, jak każde nowo narodzone dziecko. *Pod tym względem nie jestem wyjątkiem. Wszyscy wywodzimy się od potworów.*

Oddaliła się od budynku, w którym więziono zbłąkane dusze. Czekał na nią samochód i droga do domu. Nie oglądała się już za siebie.